

**JOHN**

**LE CARRÉ**

**bardzo poszukiwany**

**człowiek**

Najważniejszą zasadą jest to, by pomóc tym,  
których kochamy, uwolnić się od nas.

*Friedrich von Htigel*

**1**

Trudno mieć pretensje do boksera z Turcji, mistrza wagi ciężkiej, że kiedy spacerował sobie hamburską ulicą pod rękę ze swoją mamą, nie od razu zauważył, iż łązi za nim chudy chłopak w czarnym płaszczu.

Duży Melik, bo tak nazywała boksera cała podziwiająca go dzielnica, był *to* chłop jak dąb, niedbały w stroju, dobroduszny, o szerokim, naturalnym uśmiechu, czarnych włosach związanych z tyłu głowy w kucyk i chodzie tak swobodnym, że gdy kroczył, nawet bez mamy zajmował pół chodnika. W wieku dwudziestu lat był już w swym małym światku znaną postacią, co zawdzięczał nie tylko sprawności na ringu: był równocześnie kapitanem juniorów w muzułmańskim klubie sportowym, trzykrotnym wicemistrzem Niemiec Północnych na sto metrów stylem motylkowym i jakby tego było mało, świetnym bramkarzem w drużynie piłkarskiej, w której występował co sobotę.

Jak wszyscy bardzo rośli ludzie był przyzwyczajony, że to inni patrzają na niego, a nie on na innych, i również dlatego chudemu chłopakowi udało się śledzić go niepostrzeżenie przez trzy kolejne dni i wieczory.

9

Kontakt wzrokowy nawiązali po raz pierwszy, gdy Melik i jego mama, Leila, wychodzili z biura podróży Al-Umma, gdzie właśnie zakupili bilety lotnicze, wybierali się bowiem na wesele siostry Melika w ich rodzinnej wiosce pod Ankarą. Melik poczuł utkwiony w sobie wzrok, oglądnął się za siebie i stanął twarzą w twarz z wysokim — prawie tego samego co on wzrostu - lecz przeraźliwie chudym chłopakiem o zmierzwionej brodzie, głęboko osadzonych przekrwionych oczach, w długim czarnym płaszczu, w którego połach mógłby zmieścić jeszcze trzech takich mizeraków. Miał na szyi biało-czarną arafatkę, a na ramieniu turystyczną torbę z wielbłądziej skóry. Wbił wzrok najpierw w Melika, potem w Leilę. I znów w Melika; zapadłe płonące oczy patrzyły błagalnie, bez mrugnięcia.

Ale rozpaczliwy wyraz twarzy chłopca wcale nie musiał Melika szczególnie zaniepokoić, ponieważ biuro podróży znajdowało się na skraju hali dworca głównego, gdzie przez cały dzień wałęsali się wszelkiej maści nieszczęśnicy: niemieccy włóczędzy, Azjaci, Arabowie, Murzyni albo i rodacy Melika, którym nie powiodło się tak dobrze jak jemu - nie wspominając już o beznogich inwalidach na elektrycznych wózkach, dilerach narkotykowych i ich klientach, żebrakach i ich psach czy o siedemdziesięcioletnim kowboju w kapeluszu i nabijanych srebrnymi ćwiekami skórzanych bryczesach do jazdy konnej. Tu mało kto miał pracę, a co poniektórzy nie mieli też prawa przebywania na niemieckiej

ziemi — przy odrobinie szczęścia zostawiano ich w spokoju i w starannie pielęgnowanej nędzy aż do najbliższej akcji deportacyjnej, która odbywała się zawsze bez sądu, bez zwłoki i nad ranem. Dlatego też na dworcu tkwili tylko nowo przybyli albo zatwardziali ryzykanci; bardziej doświadczeni nielegalni omijali go szerokim łukiem.

Dodatkowym powodem, by całkiem zignorować chłopaka, była muzyka klasyczna, którą dyrekcja dworca bombarduje tę część podległego jej terenu za pomocą baterii odpowiednio wymierzonych głośników. Nie chodzi jednak o wywoływanie

10

u słuchaczy nastroju spokoju i błogości, lecz o to, żeby szybciej się wynieśli.

Mimo wszystko twarz chudzielca odcisnęła się w świadomości Melika, który na krótką chwilę zawstydził się własnego szczęścia. Ale czego się tu wstydzić? Tego, że stało się coś cudownego? Tego, że nie może się doczekać, kiedy zatelefonuje do siostry, by jej oznajmić, że ich mama, która ostatnio najpierw przez sześć miesięcy opiekowała się umierającym mężem, a potem przez rok umartwiała się w żałobie, teraz szaleje z radości na myśl, że wkrótce będzie na weselu córki, że przejmuje się już tylko tym, czy będzie miała co na siebie włożyć, czy posag jest odpowiedni i czy pan młody jest tak przystojny, jak twierdzą wszyscy — łącznie z córką?

A więc niby dlaczego Melik nie miałby dalej gawędzić z własną matką? To i gawędził, wręcz z entuzjazmem, przez całą drogę do domu. Potem doszedł do wniosku, że tylko dlatego zwrócił uwagę na tamtego, iż

chłopak był taki chudy. I przez tę jego twarz — niby rówieśnika, a już pomarszczoną. I przez to, że na widok tego głodomora w piękny wiosenny dzień pomyślał nagle o zimie.

\* \* \*

To było w czwartek.

A w piątek wieczorem, gdy Melik i Leila wychodzili z meczetu, chłopak znów tam był - ten sam, w tej samej arafatce i za dużym płaszczu, skulony w cieniu obskurnej bramy. Tym razem Melik zauważył, że kościste ciało chłopaka jest jakoś dziwnie przechylone - jak gdyby ktoś mu je przetrącił i dotąd nie dało się wyprostować. A rozogniony wzrok pałał jeszcze mocniej niż poprzedniego dnia. Melik popatrzył mu w oczy, pożałował, że to zrobił, i umknął spojrzeniem.

To drugie spotkanie był jeszcze mniej prawdopodobne, bo Leila i Melik prawie nie chodzili do meczetu nawet do tego

11

umiarkowanego, tureckojęzycznego. Po 11 września 2001 roku w hamburskich meczetach zrobiło się niebezpiecznie. Wystarczyło raz pójść do niewłaściwego meczetu — albo i do właściwego, tyle że trafić w nim na niewłaściwego imama - i już do końca życia można było razem z całą rodziną figurować na policyjnej liście podejrzanych. Nikt nie miał wątpliwości, że na prawie każdy rząd modlących się przypada jeden opłacany przez władze informator. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek - czy był muzułmaninem, policyjnym szpiclem czy jednym i drugim - zapomniał, że przed 11 września właśnie w Hamburgu znaleźli bezpieczne

schronienie trzej spośród porywaczy - nie mówiąc już o ich współpracownikach i wspólnikach — ani że Mo-hammed Atta, ten sam, który skierował pierwszy z samolotów na Bliźniacze Wieże, czcił swego gniewnego boga w pewnym skromnym hamburskim meczecie.

Inna rzecz, że od śmierci męża Leila wraz z Melikiem stali się jakby mniej gorliwi w swej wierze. Nieboszczyk był oczywiście muzułmaninem, ale i osobą jak najbardziej świecką, mocno zaangażowaną w obronę praw pracowniczych - przecież właśnie dlatego musiał uchodzić z ojczystego kraju. Tego dnia w ogóle tylko dlatego poszli do meczetu, że Leila, jak to Leila, impulsywnie tego zapragnęła. Teraz była szczęśliwa, żal po mężu powoli przestawał ją przytłaczać - lecz bądź co bądź zbliżała się pierwsza rocznica jego śmierci. Czuła potrzebę porozmawiania z nim, podzielenia się dobrą nowiną. Co prawda na główną piątkową modlitwę i tak już się spóźnili i równie dobrze mogli pomodlić się w domu, kaprysy Leili jednak zawsze były prawem. Logicznie rozumując, że osobiste prośby wysłuchiwane są lepiej, gdy przedstawia się je wieczorem, uparła się iść na ostatnie modły tego dnia — zresztą wtedy w meczecie na ogół nie ma tłoku.

Najwyraźniej więc drugie spotkanie Melika z chudym chłopcem, podobnie jak pierwsze, było całkowicie przypadkowe. Przecież inaczej być nie mogło. A przynajmniej tak się wówczas wydawało prostodusznemu, dobrotliwemu Melikowi.

12

Następnego dnia była sobota, więc Melik pojechał autobusem na drugi koniec miasta do bogatego stryjka, który prowadził rodzinną wytwórnię

świec. Stosunki między stryjem i ojcem bywały czasem napięte, ale od śmierci tego drugiego młody człowiek nauczył się cenić przyjaźń krewnego. Wskoczył zatem do autobusu i kogo wtedy zobaczył pod szklaną wiatą przystanku? Oczywiście tego samego chudzielca. Chudzielec patrzył, jak Melik odjeżdża, a gdy ten sześć godzin później wrócił na przystanek, chłopak ciągle tam tkwił. Opatulony arafatką i płaszczem magika, skulony w tym samym kącie wiaty - czekał.

Melik, którego życiową zasadą było miłować tak samo całą ludzkość, poczuł do tego jej przedstawiciela bardzo nieładną i nie-mającą nic wspólnego z miłosierdziem awersję. Miał wrażenie, że ten chudzielec o coś ma do niego pretensje, i bardzo mu się to nie spodobało. Jeszcze mniej podobał mu się wyraz twarzy tamtego

— pełen wyższości mimo nędznego wyglądu. I jeszcze ten wielki płaszcz - czy on myśli, że robi się niewidzialny? A może próbuje dać do zrozumienia, że ma gdzieś nasze zachodnie zwyczaje i dlatego w ogóle nie zwraca uwagi na własny wygląd?

Tak czy inaczej Melik powziął silne postanowienie pozbycia się natręta. Zamiast podejść do niego, zapytać, czy nie jest chory, czy nie potrzebuje pomocy — jak uczyniłby w innej sytuacji

— ruszył szybkim krokiem do domu pewny, że chudy chłopak nie ma najmniejszych szans dotrzymać mu kroku.

Dzień był jak na wiosnę niezwykle upalny, słoneczny blask odbijał się od zatłoczonego chodnika. Mimo to chudzielcowi jakimś cudem udało się nadążyć za Melikiem. Kusztykał, sapał, rzeził i zlewał się potem, od czasu do czasu podskakując jakby z bólu, ale i tak doganiał go przed każdym przejściem przez jezdnię.

A gdy Melik otworzył drzwi i wszedł do ceglanego domku, który po kilku dziesięcioleciach oszczędzania mama właśnie pra-

13

wie do końca splotała, nie czekał długo, nim przy tych samych drzwiach zadzwieczał dzwonek. Kiedy wrócił na dół i otworzył, zobaczył przed sobą, oczywiście, chudego chłopaka z wielbłądzą torbą na ramieniu, oczyma pałającymi ze zmęczenia po forsownym marszu i twarzą mokrą od potu jak po letnim deszczu, trzymającego w drżącej dłoni kawałek brązowego kartonu z takim oto napisem po turecku: *Jestem muzulmaninem, studentem medycyny. Jestem zmęczony i chciałbym zatrzymać się u Państwa. Issa*. Jakby na potwierdzenie tych słów z pięknej złotej bransoletki na przegubie jego ręki zwisała maleńka złota replika Koranu.

Teraz jednak Melik już się wściekł. W porządku, w szkole nie był może największym prymusem, jakiego tam pamiętano, ale bynajmniej nie lubił poczucia winy, nie lubił, żeby ktoś go śledził i za nim łąził - szczególnie kiedy tym kimś był zarozumiały żebrak. Melik był dumny, że po śmierci ojca właśnie on wziął na siebie rolę pana domu i opiekuna matki, tym bardziej że udało mu się to, co nie udało się jego ojcu: jako turecki imigrant w drugim pokoleniu rozpoczął dla siebie i mamy żmudną i najeżoną przeciwnościami drogę do obywatelstwa niemieckiego, co oznaczało wzięcie przez władze pod mikroskop wszelkich aspektów życia całej rodziny, pierwszym zaś i koniecznym warunkiem było osiem lat prowadzenia się bez zarzutu. Najście przez pomyłonego włóczęgę podającego się za studenta medycyny mogło i Melikowi, i jego mamie

tylko zaszkodzić.

- Won stąd - opryskliwie rzucił chudzielcowi po turecku i zastawił sobą całe drzwi. - Ale już. Przestań za nami łązić. I żebym cię tu więcej nie widział.

Ponieważ na wychudłej twarzy nie zobaczył żadnej reakcji poza grymasem bólu, Melik powtórzył swoje żądanie po niemiecku. Lecz kiedy już zamierzał zatrzaskać tamtemu drzwi przed nosem, zobaczył, że na schodach stoi za nim Leila, patrząc nad jego ramieniem na chłopca i na drżący w jego dłoni napis na kartonie.

I że ma łzy w oczach.

14

\* \* \*

Minęła niedziela, a w poniedziałek rano Melik znalazł wymówkę, by nie iść do pracy, czyli do sklepu spożywczego kuzyna w Wellingsbiittel. Powiedział mamie, że musi zostać w domu i trenować na otwarty turniej boksu amatorskiego, pójść na siłownię i na basen olimpijski. Tak naprawdę jednak uznał, że nie byłoby bezpiecznie zostawić ją samą z tym kopniętym dryblasem z manią wielkości, który jeśli się nie modlił albo gapił w ścianę, snuł się po domu i czule wszystkiego dotykał, jakby pamiętał to z dawnych czasów. W opinii własnego syna Leila była osobą świętą, ale od śmierci męża stała się impulsywna i kierowała się wyłącznie uczuciami. Tym, których postanowiła kochać, potrafiłaby wybaczyć nie wiadomo jakie grzechy. Łagodne zachowanie Issy, jego nieśmiałość i nagle a niespodziewane napady szczęśliwości sprawiły, że natychmiast stał się członkiem tej ekskluzywnej kategorii ludzkiej.



I w poniedziałek, i we wtorek Issa właściwie tylko spał, modlił się i kąpał. W kontaktach z gospodarzami używał łamanego języka tureckiego z dziwnym gardłowym akcentem. Odzywał się zniechcąco i wtedy mówił dużo, pośpiesznie, jakby mówienie było zakazane - a mimo to w uszach Melika wciąż brzmiało to nieznośnie i mentorsko. Poza tym tylko jadł. Gdzie mu się to mieściło? O jakiegokolwiek porze dnia Melik przychodził do kuchni, zastawał tam intruza pochylonego nad miską pilawu. Łyżka ani na chwilę nie zatrzymywała się w powietrzu, oczy łypały na wszystkie strony, jakby ktoś zaraz miał mu wyrwać talerz. Kiedy kończył, wycierał miskę do czysta kawałkiem chleba, który potem zjadał, mrużąc: "Bogu niech będą dzięki". Wtedy na jego twarzy pojawiał się lekki uśmiezek, jakby był w posiadaniu tajemnicy, której inni nie są godni poznać, potem zanosił miskę do zlewu i sam ją mył pod bieżącą wodą - na coś takiego Leila nigdy nie pozwoliłaby synowi czy mężowi, bo kuchnia była jej królestwem, gdzie mężczyźni nie mieli wstępu.

15

- To kiedy zamierzasz iść na tę twoją medycynę? - zapytał z głupia frant Melik, ale tak, żeby mama słyszała.
- Niedługo, jeśli Bóg pozwoli. Muszę być silny. I nie żebrąć.
- Wiesz, będziesz musiał załatwić sobie wizę pobytową. I legitymację studencką. Nie mówiąc już o stu tysiącach euro na mieszkanie i wyżywienie. I o ładnym kabrioleciku, żeby mieć czym wozić dziewczyny.
- Bóg jest miłosierny. Kiedy nie będę żebrał, da mi, co mi będzie potrzeba.

W opinii Melika nawet taka pewność siebie była przejawem czegoś więcej niż tylko pobożności.

- Mamo, jego pobyt kosztuje nas kupę kasy - oznajmił, wdarłszy się raz do kuchni, korzystając z tego, że Issa był na poddaszu. - Tyle żre, tyle się kąpie...

- Nie więcej niż ty, Melik.

- Nie, ale on to nie ja, prawda? My nawet nie wiemy, co to za jeden.

- Issa to nasz gość. Kiedy przyjdzie do zdrowia, zastanowimy się nad jego przyszłością, jeśli Allah pozwoli - odparła górnolotnie mama.

Mało przekonywające wysiłki Issy, by nie robić im kłopotu, w rzeczywistości sprawiały, że Melikowi tym bardziej zawadzało. Kiedy przemykał się wąskim korytarzem albo zaczynał wspinać po schodkach na poddasze, gdzie Leila przygotowała mu posłanie, zachowywał się z nadmierną - zdaniem Melika - ostrożnością, za każdym razem nadając swym ciemnym oczom błagalny wyraz i przywierając do ściany, gdy musiał wyminąć któreś z nich.

— Issa był w więzieniu - oznajmiła Leila pewnego ranka z pełną wyrozumiałością.

Melik był wstrząśnięty.

-Jesteś pewna? Przechowujemy u siebie kryminalistę? A czy policja też jest pewna? A może on sam ci powiedział?

16

- Powiedział, że w więzieniu w Stambule dają dziennie tylko po kromce chleba i misce ryżu - powiedziała Leila i nim Melik zdążył przedstawić kolejne obiekcje, wygłosiła jedną z ulubionych maksym

swego zmarłego męża: - Gościa trzeba szanować. I pomagać ludziom w potrzebie. Żaden dobry uczynek nie zostanie bez nagrody w raju - wyrecytowała. - A twój ojciec nie siedział w Turcji? Nie każdy, kto idzie do więzienia, to zaraz kryminalista. Dla ludzi takich jak Issa czy twój ojciec więzienie to powód do chwały.

Melik jednak wiedział, że mama coś skrywa. Że wymyśliła coś, z czym nie chce się zdradzić. I rzeczywiście: oto Allah wysłuchał jej modlitw i w zamian za męża, którego zabrał do siebie, zesłał jej drugiego syna. A że był nim na wpół obłąkany kryminalista bez prawa pobytu, za to z manią wielkości, najwyraźniej nie miało dla niej najmniejszego znaczenia.

\* \* \*

Był z Czeczenii. Okazało się to wieczorem trzeciego dnia pobytu Issy, gdy Leila zaskoczyła ich obu, wypowiadając parę zdań po czeczeńsku - w języku, którego Melik nigdy dotąd w jej ustach nie słyszał. Wychudła twarz Issy rozjaśniła się nagłym zdumionym uśmiechem, który niemal równie szybko zniknął, po czym sam Issa jakby do reszty oniemiał. Ale Leila bardzo prosto wytłumaczyła swe lingwistyczne umiejętności: w Turcji jako mała dziewczynka bawiła się z mieszkającymi w jej wiosce czeczeńskimi dziećmi i nauczyła się trochę ich języka. Już na pierwszy rzut oka domyśliła się, że Issa jest Czeczenem, lecz nic nie mówiła, bo z Czeczenami nigdy nie wiadomo.

Był z Czeczenii, jego matka nie żyła, jedyne, co mu po niej zostało, to ta złota bransoletka z miniaturką Koranu, którą włożyła mu na rękę, nim umarła. Natomiast kiedy i jak umarła, ile miał lat, gdy odziedziczył po niej tę bransoletkę - tych pytań albo naprawdę nie rozumiał, albo nie chciał

zrozumieć.

17

- Czeczenów wszędzie nienawidzą - wyjaśniła Melikowi Leila, podczas gdy Issa z powrotem pochylił głowę i zabrał się za jedzenie. — Ale my nie. Słyszysz, co mówię, Melik?

- No pewnie, że słyszę, mamó.

— Wszyscy oprócz nas prześladują Czeczenów - ciągnęła.

-Tak jest i w Rosji, i na całym świecie. Nie tylko Czeczenów, wszystkich rosyjskich muzułmanów. Putin ich prześladuje, a pan Bush jeszcze go podjudza. Putinowi wystarczy, że nazywa to wojną z terrorem, i zaraz może robić, co chce, i nikt nie będzie go powstrzymywał. Nie tak jest, Issa?

Krótką chwilą radości Issy dawno jednak minęła. Na jego umęczoną twarz powrócił cień, w piwne oczy - ogień cierpienia, wychudła dłoń zacisnęła się obronnym gestem na bransolecie. Powiedz coś, niech cię diabli, powtarzał w myśli zde gustowany Melik. Jeżeli ktoś niespodziewanie zaczyna mówić do mnie po turecku, ja po turecku odpowiadam, bo tego wymaga grzeczność! A ty czemu żałujesz mojej mamie paru słów podziękowania po czeczeńsku? A może jesteś za bardzo zajęty napychaniem się tym, czym cię częstuje?

Melik miał i inne zmartwienia. Przeprowadziwszy inspekcję poddasza, które Issa traktował jak własne niezawisłe terytorium - chyłkiem, korzystając z tego, że Issa siedział w kuchni i jak zwykle gadał z jego mamą - dokonał pewnych ważnych odkryć: znalazł ukryte resztki jedzenia, jakby Issa przygotowywał ucieczkę; znalazł oprawne w złoczone

ramki zdjęcie siostry Melika, obecnie szczęśliwej narzeczonej, w wieku lat osiemnastu, skradzione z bezcennego dla mamy rodzinnego ołtarzyka w salonie; znalazł lupę ojca leżącą na hamburskiej książce telefonicznej, otwartej na stronie z numerami licznymi w tym mies'cie banków.

— Bóg dał twojej siostrze miły uśmiech - wyjaśniła Leila z zadowoleniem, odpowiadając na wściekłe zapewnienia Melika, że ukrywają u siebie nie dość, że nielegalnego imigranta, to jeszcze seksualnego zboczeńca. — Ten jej uśmiech ulży sercu Issy.

18

\* \* \*

A więc Issa był z Czeczenii niezależnie od tego, czy mówił czy nie mówił po czeczeńsku. Stracił oboje rodziców, lecz pytany o nich robił minę równie zdziwioną jak jego gospodarze i unosząc brwi, grzecznie odwracał wzrok w kąt pokoju. Nie miał ani ojczyzny, ani domu, był byłym więźniem i nielegalnym imigrantem, ale kiedy już nie będzie żebrakiem, Allah umożliwi mu studia medyczne.

A tak się złożyło, że Melik też kiedyś marzył o zostaniu lekarzem i nawet uzyskał od ojca i stryjów obietnicę wspólnego sfinansowania studiów, choć pociągałoby to za sobą daleko idące wyrzeczenia ze strony całej rodziny. Gdyby jednak trochę lepiej zdał maturę i może ciut mniej zajmował się sportem, tam właśnie byłby teraz - na studiach medycznych. Byłby na pierwszym roku i wkuwałby wiedzę ku chwale swojej rodziny. Nic dziwnego w tej sytuacji, że spokojne zapewnienia Issy, jakoby Allah miał umożliwić mu to, co w tak oczywisty sposób nie powiodło się Melikowi, kazały temu ostatniemu zlekceważyć nakazy Leili i na tyle, na

ile pozwalało mu na to jego dobrodusze w sumie serce, przeprowadzić dokładne przesłuchanie nieproszonego gościa.

Nikt nie mógł w tym Melikowi przeszkodzić, bo Leila poszła na zakupy i miała wrócić dopiero późnym południem.

- To ty już trochę studiowałaś medycynę, tak? - zapytał, przysiadając się do Issy, by było bardziej przyjacielsko, i uważając się za najchytrzejszego śledczego świata. - Fajnie.
- Byłem w szpitalu, proszę pana.
- Na praktyce?
- Byłem chory, proszę pana.

Skąd tyle tych "proszę pana"? Też z więzienia?

- Ale być pacjentem to nie to samo co lekarzem, no nie?

Lekarz musi wiedzieć, co komu jest. A pacjent siedzi i czeka, aż lekarz go wyleczy.

Issa przyjął to stwierdzenie w taki jakiś skomplikowany sposób, w jaki przyjmował wszelkie stwierdzenia, długie czy

19

krótkie: to uśmiechnął się gdzieś w dal, to podrapał się po brodzie swymi pajęczymi palcami, wreszcie rozpromienił się, lecz nic nie odpowiedział.

—A ile masz lat? - zapytał Melik trochę bardziej wprost, niż początkowo zamierzał. —Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, że pytam - dodał sarkastycznie.

- Dwadzieścia trzy, proszę pana. — Tym razem także odpowiedź przysłała po dłuższym namyśle.
- To jesteś już dość stary, nie? Nawet jak pobytówkę ci dadzą jutro,

lekarzem zostaniesz, jak będziesz miał trzydzieści pięć lat, nie? A jeszcze musisz się nauczyć niemieckiego. Za to też trzeba płacić.

- Jak Bóg pozwoli, ożenię się z porządną kobietą i będę miał dużo dzieci. Dwóch chłopców, dwie dziewczynki.
- Ale nie z moją siostrą. Bo ona, niestety, wychodzi za mąż już za miesiąc.

—Oby miała wielu synów, jeśli Bóg pozwoli, proszę pana.

Melik zastanowił się, jak teraz zaatakować, i wreszcie się zdecydował:

- A w ogóle jak dostałeś się do Hamburga? - zapytał.
- To bez znaczenia.

Bez znaczenia? A skąd mu się wziął taki zwrot, i to po turecku?

- Nie wiedziałeś, że uchodźców traktują tu gorzej niż w jakimkolwiek innym mieście w całych Niemczech?
- Hamburg będzie moją ojczyzną, proszę pana. Tu mnie przywieźli.

Taki był boski wyrok Allaha.

- Kto cię przywiózł? Jacy oni?
- Różni ludzie, proszę pana.
- Jak to: różni?
  - Może Turcy, może Czeczeni... Zapłaciliśmy. Zabrali nas na statek. Wsadzili do kontenera. W takim kontenerze mało powietrza.

## 20

Issa zaczął się pocić, lecz Melik nie mógł się teraz wycofać.

-My? Jacy: my?

- Grupa była, proszę pana. Ze Stambułu. Ale sami źli ludzie. Ja takich

nie szanuję. - Znów ten pełen wyższos'ci ton w połączeniu z łamanym tureckim.

• Ilu was było?

• Może dwudziestu. A w kontenerze zimno. Po paru godzinach bardzo zimno. Statek płynął do Danii. Byłem szczęśliwy.

• Pewnie do Kopenhagi, co? Do Kopenhagi? To stolica Danii.

• Tak - rozpromienił się, jakby Kopenhaga świetnie mu się kojarzyła. - Do Kopenhagi. W Kopenhadze poszłoby dobrze. W Kopenhadze uciekłbym od złych ludzi. Ale ten statek nie płynął od razu do Kopenhagi. Najpierw musiał do Szwecji. Do Góteborga. Tak?

• Rzeczywiście, jest taki port. W Szwecji - przyznał Melik.

• A w Góteborgu statek miał przybić, wziąć ładunek, potem płynąć do Kopenhagi. Kiedy dopłynął do Góteborga, byliśmy bardzo chorzy, bardzo głodni. Na statku mówią nam: "Nie hałasować. Szwedzi źli. Szwedzi was zabijają". Nie hałasowaliśmy, ale Szwedom nie spodobał się nasz kontener. Mieli psa... - Zastanowił się przez chwilę. -

"Nazwisko proszę" - wyrecytował na tyle głośno, że Melik aż usiadł.

— "Papiery proszę. Z więzienia? A za co siedziałeś? Uciekłeś z

więzienia? A jak?" Mieli dobrych doktorów. Szanuję takich doktorów.

Dali nam spać. Jestem im wdzięczny. Kiedyś sam będę takim

doktorem. Ale muszę uciekać, jak Bóg pozwoli. Uciec ze Szwecji nie

ma szans. NATO ma druty, dużo strażników. Jest ubikacja. A w

ubikacji okno. Za oknem brama z portu. Kolega umiał otworzyć

bramę. Kolega ze statku. Wróciłem na statek. Statek zawiózł mnie do

Kopenhagi. Mówię: nareszcie się udało. Z Kopenhagi ciężarów-



ką do Hamburga. Ja kocham Boga, proszę pana. Ale Zachód też kocham. Na Zachodzie będzie mi wolno go czcić.

- To do Hamburga przyjechałeś ciężarówką?
- Tak było załatwione.
- Czecheńską ciężarówką?
- Kolega musiał mnie najpierw zaprowadzić na drogę.
- Ten twój kolega z załogi? Ten kolega? Ten sam?
- Nie, proszę pana. Inny kolega. Do drogi szło się trudno. Zanim była ciężarówka, musieliśmy jedną noc spać w polu. — Spojrzał w górę i wychudłe rysy na chwilę napełniły się wyrazem czystej radości. - Gwiazdy były. Bóg miłosierny. Chwała mu za to.

Zmagając się z tym wszystkim, co w tej opowieści było mało prawdopodobne, onieśmielony przez żar, z jakim została opowiedziana, lecz wściekły, że tyle w niej przemilczeń i że nie potrafi ich w żaden sposób wypełnić, Melik czuł, że ta jego wściekłość rozlewa mu się po ramionach i pięściach i że jego bokserskie nerwy skręcają mu się w żołądku.

— To w takim razie gdzie cię wysadziła? Ta zaklęta ciężarówka, która pojawiła się nie wiadomo skąd? I gdzie cię podwiozła?

Issa jednak już go nie słuchał, jeżeli w ogóle słuchał go jeszcze przed chwilą. Nagle - albo nagle tylko dla pocziwego, ale mało spostrzegawczego Melika - coś, co narastało w Issie, nagle wybuchło. Jak pijany ociężale dźwignął się na nogi i z zaciśniętą na ustach dłonią powlókł się do drzwi, z wysiłkiem je otworzył, choć nawet nie były

zamknięte na klamkę, i pokuśtykał do łazienki. Po chwili dom wypełnił się jękami i odgłosami torsji, jakich Melik nie słyszał od śmierci ojca.

Stopniowo ucichły, po czym dał się słyszeć najpierw szum wody, potem otwarcie i zamknięcie drzwi łazienki, i wreszcie skrzypienie schodków na poddasze. Później nastąpiła głęboka, niepokojąca cisza, przerywana tylko co kwadrans ćwierkaniem elektronicznej kukułki w zegarze Leili.

## 22

\* \* \*

O czwartej tego samego popołudnia wróciła obładowana zakupami Leila i prawidłowo odczytawszy panującą w domu atmosferę, dała Melikowi burę za niegościnnosć i splamienie dobrego imienia rodziny. Potem i ona skryła się w swym pokoju, i miotała się po nim w samotności aż do chwili, gdy trzeba było przygotować kolację. Wtedy cały dom napełnił się wonią jedzenia, ale teraz z kolei Melik nie ruszał się ze swego łóżka. O wpół do dziewiątej Leila uderzyła w mosiężny gong - cenny prezent ślubny - który dla Melika zawsze brzmiał trochę jak wyrzut sumienia. Wiedząc, że w takich chwilach mama nie toleruje spóźniałskich, wślizgnął się do kuchni, lecz unikał jej wzroku.

- Issa, kochany, chodź na dół! - zawołała Leila i nie używszy odpowiedzi, chwyciła laskę nieboszczyka *męża* i stuknęła w sufit jej gumową stopką, równocześnie spoglądając z wyrzutem na Melika, który pod wpływem jej lodowatego spojrzenia odważył się ruszyć na poddasze.

Issa leżał na materacu w samej bieliźnie. Był zlany potem i skulony na boku. Zdjętą z przegubu bransoletę po matce ścisnął kurczowo w mokrej

dłoni. Na szyi miał zawieszoną na rzemyku brudną skórzaną sakiewkę. Szeroko otwarte oczy chyba nawet nie zarejestrowały obecności Melika. Ten sięgnął, by dotknąć ramienia Issy, i cofnął się z przerażeniem. Ciało Issy od pasa w górę pokrywała siatka krzyżujących się niebiesko-pomarańczowych sińców. Jedne wyglądały na ślady po biczu, inne po jakimś tępym narzędziu. Na podeszwach stóp - tych samych, które wydeptywały hamburskie chodniki - Melik zauważył jęczące się rany po przypalaniu papierosem. Dla przyzwoitości owinąwszy Issę w pasie kocem, Melik uniósł go ostrożnie i spuścił przez właz na poddasze w nadstawione ręce Leili.

- Połóż go w moim łóżku - szepnął przez łązy. - Ja będę spał na podłodze. Co tam!... Dam mu nawet zdjęcie siostry, niech

## 23

### Y

się do niego uśmiecha - dodał, przypomniawszy sobie o znalezionym na poddaszu zdjęciu, i wrócił po nie na górę.

\* \* \*

Zmaltretowane ciało Issy leżało opatulone szlafrokiem Melika, posiniaczone nogi wystawały za kraniec łóżka Melika, w zaciśniętej kurczowo dłoni wciąż tkwił złoty łańcuszek, nieruchomy wzrok ani na chwilę nie odrywał się od ściany, na której widniały dowody chwały Melika: prasowe zdjęcia triumfującego czempiona, jego bokserskie pasy i przynoszące szczęście rękawice. Tuż obok na podłodze klęczał sam Melik. Chciał wezwać lekarza, zapłacić mu z własnych pieniędzy, Leila jednak

nie pozwoliła mu sprowadzać nikogo. To zbyt niebezpieczne. Dla Issy, ale dla nas też. Zapomniałeś, że staramy się o obywatelstwo? Rano gorączka spadnie, zaczniesz zdrowieć.

Gorączka nie spadała.

Spowita w wielką chustę Leila, część drogi odbywszy taksówką — aby zniechęcić wyimaginowanych prześladowców - złożyła niezapowiedzianą wizytę w meczecie na drugim końcu miasta, do którego uczęszczał podobno jeden z nowo przybyłych tureckich lekarzy. Trzy godziny później wróciła wściekła do domu. Ten nowy młody lekarz okazał się głupcem i oszustem. Na niczym się nie zna, nie ma ani podstawowych kwalifikacji, ani poczucia obowiązków religijnych i najprawdopodobniej w ogóle nie jest lekarzem.

Tymczasem pod jej nieobecność gorączka Issie trochę spadła, Leila mogła więc ograniczyć się do najprostszych zabiegów pielęgnacyjnych, wykorzystując umiejętności zdobyte w czasach, gdy rodziny nie stać było na lekarzy albo jeszcze się ich obawiano. Oświadczyła, że gdyby Issa doznał obrażeń wewnętrznych, nie mógłby tak pchać w siebie jedzenia, jak pchał, i że w takim razie można spokojnie podać mu aspirynę, by do

## 24

reszty spędzić gorączkę, albo napoić go wodą ryżową z tureckimi naparami ziołowymi.

Zdając sobie sprawę, że Issa ani w zdrowiu, ani w chorobie nie życzyłby sobie, by to ona dotykała jego nagiego ciała, wyekwipowała Melika w ręczniki, okład na czoło i miskę z zimną wodą i kazała przemywać pacjenta co godzinę. W tym celu wciąż *jeszcze* nękany

wyrzutami sumienia Melik musiał zdjąć Issie z szyi skórzaną sakiewkę.

Po długim wahaniu, odczekawszy, aż Issa obróci się twarzą do ściany i zapadnie w półsen przerywany tylko urywanymi pomrukami po rosyjsku, Melik - wyłącznie w interesie gościa, tak przynajmniej sobie to tłumaczył — zdecydował się wreszcie rozwiązać rzemyk i rozchylić sakiewkę.

Najpierw wyjął z niej spięte gumką, zrolowane pożółkłe wycinki z rosyjskich gazet. Zdjął gumkę i rozłożył wycinki na podłodze. Wspólnym elementem każdego było zdjęcie oficera Armii Czerwonej w mundurze. Oficer miał szerokie czoło, potężną żuchwę i w ogóle wyglądał na chama. Mógł mieć trochę ponad sześćdziesiąt lat. Na dwóch wycinkach widniały nekrologi upstrzone prawosławnymi krzyżami i odznakami pułkowymi.

Drugim znaleziskiem Melika był plik spiętych klipsem nowych amerykańskich banknotów pięćdziesięciodolarowych w liczbie dziesięciu. Na ich widok powróciły wszystkie dawne podejrzenia. Zagłodzony, bezdomny, bez grosza przy duszy i pobity uciekinier ma w sakiewce pięćset nowiutkich dolarów?! Czy on je ukradł?... Podrobił?... Czy za to siedział w więzieniu?... Czy tyle mu zostało po spłaceniu przemytników, ludzi ze Stambułu, członka załogi statku, który był tak miły, że go tam ukrył, i kierowcy ciężarówki, który przerzucił go z Kopenhagi do Hamburga? A jeżeli teraz zostało mu pięćset, to ile musiało tego być, kiedy wyruszał w podróż? Więc może te jego bajki o medycynie to wcale nie takie bajki?

Trzecim znaleziskiem była zabrudzona biała koperta, zmięta w kulę, jak gdyby ktoś chciał ją wyrzucić, ale potem zmienił

zdanie - bez znaczka ani adresu, z oderwanym skrzydełkiem.

Rozprostowawszy ją, Melik wydobył ze środka równie zmięty jednostronicowy list pisany na maszynie cyrylicą. W nagłówku miał wydrukowany dużymi, tłustymi literami adres, datę i nadawcę - tak przynajmniej można się było domyślać. Pod niezrozumiałym tekstem znajdował się nieczytelny podpis złożony niebieskim atramentem, pod nim zaś dopisana ręcznie sześciocyfrowa liczba, wykaligrafowana bardzo wyraźnie. Każda cyfra została nadpisana kilkakrotnie, jakby chciała powiedzieć: "Zapamiętaj!".

Ostatnim skarbem w sakiewce był kluczyk — mały kluczyk o okrągłym trzpieniu, nie większy niż pół palca bokerskiej dłoni Melika. Był robiony maszynowo, nie ręcznie, i miał trzy skomplikowane rzędy ząbków; za mały na drzwi więzienne, pomyślał Melik, za mały na bramę w Góteborgu prowadzącą z powrotem na statek. Ale na przykład do kajdanek mógłby pasować jak ulał.

Melik schował skarby Issy do sakiewki, po czym wsunął ją pod przepoconą poduszkę, by właściciel odnalazł ją zaraz po przebudzeniu. Jednakże następnego ranka wciąż jeszcze było w nim przemożne poczucie winy. Podczas całonocnego czuwania na podłodze, o stopień niżej od leżącego na łóżku Issy, dręczyły go wizje poranionych kończyn gościa i przekonanie o własnej małości.

Jak każdy bokser znał ból - a przynajmniej wydawało mu się dotąd, że zna. Jako tureckie dziecko ulicy nie tylko bił innych — sam też był bity. Nawet podczas ostatniej turniejowej walki grad ciosów przeciwnika pchnął go w czerwoną ciemność, z której wielu bokserom nie udaje się powrócić. Na zawodach pływackich, podczas których konkurował z

rodowitymi Niemcami, wciąż sprawdzał granice własnej wytrzymałości - a przynajmniej tak mu się dotąd zdawało.

Ale w porównaniu z Issą nie przechodził jeszcze żadnej próby.

26

Issa to mężczyzna, ja jestem wciąż małym chłopcem. Zawsze chciałem mieć brata i oto teraz stanął na mym progu, a ja go odrzuciłem. On cierpiał za własne przekonania, kiedy ja uganiałem się za tanią sławą na bokserskim ringu.

Wczesnym świtem nieregularny oddech, przez który Melik przez całą noc leżał jak na szpilkach, przeszedł w bardziej równomierne charczenie. Przy zmianie okładu Melik stwierdził z ulgą, że gorączka opadła. Już przed południem następnego dnia gość spoczywał jak basza na stercie złotych atlasowych, zdobnych w kutasiki poduszek Leili przyniesionych z salonu, gospodyni zaś karmiła go życiodajną papką własnej produkcji. Złoty łańcuszek po matce wrócił na swe miejsce na przegubie.

Czerwony ze wstydu Melik odczekał, aż Leila zamknie za sobą drzwi. Klęknął przy łóżku Issy i zwiesił głowę.

- Zaglądałem do twojej sakiewki - powiedział. - Tak mi wstyd, że *to* zrobiłem. Niech miłosierny Allah mi wybaczy.

Issa pogrzyżył się w typowym dla niego, tak długim, że zdawałoby się, wiecznym milczeniu, ale po chwili położył wynędzniałą dłoń na barku Melika.

— Nigdy do niczego się nie przyznawaj, przyjacielu — pora dził mu sennie, ściskając jego dłoń. - Jeżeli się przyznasz, będą

cię tu trzymali do końca życia.

Była godzina szósta po południu w następny piątek, gdy prywatny bank Brue Freres pic, dawniej z siedzibą w Glasgow, Rio de Janeiro i Wiedniu, a obecnie w Hamburgu, kładł się spać na cały weekend.

Punktualnie o siedemnastej trzydzieści muskularny portier zamknął frontowe drzwi ładnej willi z tarasem wychodzącym na jezioro Binnenalster. Parę minut później główna kasjerka zamknęła skarbiec i włączyła alarm, kierowniczka sekretariatu pomachała na pożegnanie ostatniej z wychodzących dziewczyn, sprawdziła komputery i kosze na śmieci, najstarsza zaś pracownica banku, *Frau* Ellenberger, przełączyła telefony na odbiór automatyczny, naciągnęła na głowę beret, odpięła żelazną blokadę z pozostawionego na dziedzińcu roweru i odjechała, by odebrać córkę siostrzenicy z lekcji tańca.

Ale nie omieszkała przedtem żartobliwie skarcić swego pracodawcy, pana Tommyego Brue, ostatniego z żyjących współwłaścicieli banku i nosicieli tego sławnego nazwiska.

— *Muter* Tommy, pan jest jeszcze gorszy niż my, Niemcy - łajęła go swą doskonale wyuczoną angielszczyzną, zaglądając do jego gabinetu. - Dlaczego pan tak się zamęcza? Przyszła wio-

## 28

sna! Nie widział pan krokusów i magnolii? Proszę pamiętać, że ma pan już sześćdziesiąt lat. Powinien pan iść do domu i wypić kieliszek wina z małżonką w waszym pięknym ogrodzie! Bo jeżeli nie, wytrze się pan do podszewki — ostrzegła go bardziej po to, by pochwalić się swą miłością



do powiastek Beatrix Potter niż w nadziei, że szef się poprawi.

Brue uniósł prawą dłoń i pomachał nią, dobrodusznie parodiując gest papieskiego błogosławieństwa.

- Szerokiej drogi, *Frau Elli* - odpowiedział niby to z rezygnacją. - Skoro moi pracownicy nie chcą dla mnie pracować przez cały tydzień, ja muszę za nich pracować w weekendy.

*Tschiiss* — dodał, posyłając jej całusa.

- *Tschiiss, Tschiiss*, panie Tommy. Ukłony dla szanownej małżonki.
- Przekażę.

Oboje wiedzieli, że rzeczywistość jest inna. Bo gdy milkły telefony i pustoszały korytarze, gdy nie było już klientów domagających się widzenia z bankierem i gdy jego żona, Mitzi, szła na brydża ze znajomymi, von Essenami, Brue miał wreszcie całe to królestwo dla siebie. Mógł wtedy spokojnie zastanowić się nad całym mijającym tygodniem, przygotować się na następny. I mógł też - o ile był w nastroju — zagłębiać w głąb własnej nieśmiertelnej duszy.

\* \* \*

Z powodu upału, niezwykłego o tej porze roku, Brue był w koszuli z krótkim rękawem. Spodnie miał na staromodnych szelkach, marynarka zaś szytego na miarę garnituru spoczywała na równie staromodnym stojącym wieszaku, na którym złożony napis: *RandaWs of Glasgow*, słaWił nazwę firmy krawieckiej ob-szywającej już czwarte pokolenie rodziny Brue. Również biurko, przy którym pracował, było tym samym, które Duncan Brue, założyciel banku, zabrał ze sobą na statek, gdy w roku 1908

opuścił Szkocję, mając przy sobie tylko pięćdziesiąt złotych suwereków w kieszeni i wielkie marzenia w duszy.

Do rodzinnej legendy przeszła także olbrzymia, bo zajmująca całą ścianę mahoniowa biblioteczka. Za jej ozdobnymi przeszklonymi drzwiczkami stały na baczność rzędy oprawnych w skórę arcydzieł literatury światowej: Dante, Goethe, Platon, Sokrates, Tołstoj, Dickens, Szekspir i, może niezbyt pasujący do tego towarzystwa, Jack London. Biblioteczkę, podobnie jak książki, otrzymał dziad Tommyego Brue w ramach spłaty jakiegoś długu. Czy czuł się zobowiązany je przeczytać? Legenda twierdzi, że nie, że wystarczyło mu ich posiadanie.

A na ścianie naprzeciw biurka, niczym ostrzegawczy znak drogowy stojący wiecznie na linii wzroku, wisiało oryginalne, ręcznie malowane, oprawione w złotą ramę drzewo genealogiczne rodziny Brue. Korzenie wielowiekowego dębu tkwiły głęboko w brzegu srebrzystej rzeki Tay. Jego gałęzie sięgały na wschód - ku starej Europie — i na zachód — ku Nowemu Światu. Złote żołądźce przedstawiały miasta, w których zawierane za granicą małżeństwa ożywiały krew rodu, nie mówiąc o jego finansowych zasobach.

Sam zaś Brue był godnym, choć ostatnim już spadkobiercą tej szlacheckiej linii. W głębi duszy wiedział zapewne, że Freres - bo tak o banku mówiono w rodzinnym gronie - stali się oazą staroświeckiego sposobu prowadzenia interesów. On jeszcze prowadzi Freres, ale czas Freres już się kończy. Prawda, ma przecież córkę, Georgie, z pierwszego małżeństwa, lecz ostatnim znanym mu miejscem zamieszkania Georgie był aszram pod San Francisco. Bankowość nigdy nie leżała w kręgu jej

zainteresowań.

Z wyglądu jednak Brue wcale nie był staroświecki: dobrze zbudowany, dyskretnie przystojny, z szerokim piegowatym czołem i typową dla Szkota wiechą kręconych rudobrazowych włosów, które jakoś udawało mu się okiełznywać i nawet za-czesywać z przedziałkiem przez środek. I była w nim pewność siebie, jaką daje zamożność, za to bez często towarzyszącej jej

### 30

arogancji. Jego twarz, jeśli nie tężała w zawodowej skrytości, była sympatyczna i mimo całego życia spędzonego za sterami banku — a może właśnie dzięki temu — młoda i pozbawiona zmarszczek. Gdy Niemcy nazywali go typowym Anglikiem, wydawał z siebie głośny śmiech i obiecywał znieść tę zniewagę ze szkocką cierpliwością. Jeżeli należał do ginącego gatunku, to równocześnie w głębi serca był z tego całkiem dumny: Tommy Brue, sól ziemi, dobry człowiek na ciężkie czasy, bynajmniej nie geniusz, ale tym lepiej; ma wspaniałą żonę, jest doskonałym kompanem przy stole, niezłym golfistą. Tak przynajmniej o nim mówiono - i bardzo dobrze.

Przeładnąwszy ostatni raz kursy zamknięcia i przeliczywszy to na aktywa banku - normalny spadek na piątkowe popołudnie, nie ma się czym przejmować - Brue wyłączył komputer i przebiegł wzrokiem stertę akt zostawionych mu na biurku przez *Frau* Ellenberger.

Przez cały tydzień zmagał się z niemal niezrozumiałymi zawilościami współczesnego świata bankierskiego, w którym wiadomo, komu tak

naprawdę pożyczają się pieniądze, mniej więcej z taką pewnością jak to, kto je wydrukował. Za to przebieg tych piątkowych seansów zależał nie tyle od potrzeby, ile od nastroju. Jeżeli nastrój był dobroduszny, Brue potrafił przez cały wieczór reorganizować za darmo trust dobroczynny któregoś z klientów; jeżeli chciał się rozzerwać, wolał zająć się czymś stadem ogierów, kurortem lub siecią kasyn. A gdy przychodziła pora na pracę z konkretnymi liczbami - którą to umiejętność zawdzięczał ciężkiej pracy, a nie rodzinnym genom — zwykle puszczał sobie Mahlera i zagłębiał się w prospekty domów maklerskich, banków i wiecznie konkurujących ze sobą funduszy inwestycyjnych.

Ale tym razem nie miał luksusu swobodnego wyboru zajęcia. Jeden z jego dobrych klientów stał się przedmiotem postę-

31

powania wyjaśniającego na Giełdzie Hamburskiej i choć Haug von Westerheim, prezes komisji, zapewniał, że do żadnych zeznań nie dojdzie, Brue uważał, że musi zaznajomić się dogłębnie z aktualnym stanem sprawy. Najpierw jednak rozparł się w fotelu i jeszcze raz rozpamiętywał chwilę, w której stary Haug złamał ustalone przez siebie zasady dyskrecji:

Wśród wspaniałych marmurów Klubu Angielsko-Niemieckiego trwa w najlepsze wystawne galowe przyjęcie - śmietanka hamburskiego świata finansowego składa hołd jednemu ze swych przedstawicieli. Dziś Tommy Brue kończy sześćdziesiąt lat i co do tego nie ma żadnych wątpliwości, gdyż jak często powtarzał jego ojciec, Edward Amadeus: "Tommy, mój synu, arytmetyka jest tą częścią naszego zawodu, która nigdy nie kłamie". Atmosfera jest podniosła, jedzenie dobre, wino jeszcze lepsze, bogaci są

szczęśliwi, a Haug von Westerheim, siedemdziesięcioletni armator, człowiek wielce wpływowy, anglofil i dowcipniś, właśnie wznosi toast za zdrowie jubilata.

— Tommy, kochany chłopie, doszliśmy do wniosku, że za dużo naczytałeś się Oscara Wilde'a - zaczyna piskliwie po angielsku, gdy z wysokim kieliszkiem do szampana staje przed portretem królowej z czasów młodości. - Słyszałeś pewnie o Dorianie Grayu? Tak myśleliśmy. Bo coś nam się zdaje, że poszedłeś za przykładem Doriana Graya. Podejrzewamy, że skarbiec twego banku skrywa odrażający portret Tommyego ukazujący jego prawdziwy wiek. Tymczasem ty, w odróżnieniu od twej kochanej królowej, nie zamierzasz starzeć się z godnością, tylko siedzisz tu i uśmiechasz się do nas jak dwudziestopięcioletni sztubak, dokładnie tak, jak uśmiechałeś się, gdy siedem lat temu przybyłeś tu z Wiednia, by pozbawiać nas naszych ciężko zarobionych pieniędzy.

Zrywa się aplauz i nie milknie, Westerheim ujmuje elegancką dłoń żony Tommy'ego i ponieważ Mitzi jest z pochodzenia wiedenką, całuje tę dłoń podwójnie szarmancko, po czym informuje zebranych, że jej uroda, w odróżnieniu od urody jej męża,

## 32

jest istotnie wieczna. Brue jest autentycznie wzruszony, podnosi się z miejsca, by podziękować Westerheimowi uściskiem dłoni, ale starszy pan, podekscytowany i własnym triumfem, i winem, chwyta go w objęcia i chrapliwie szeptem mu do ucha:

— *Tommy, kochany, chłopie... to śledztwo w sprawie twojego klienta...*

*zajmiemy się tym... najpierw sprawę przeciągnie się ze względów proceduralnych... a potem utopi się ją w Łabie. .. wszystkiego najlepszego, Tommy, przyjacielu... porządny z ciebie gość...*

Teraz, nałożywszy okulary do czytania, Brue na nowo poświęcił się studiowaniu zarzutów przeciwko swemu klientowi. Miał wrażenie, że każdy inny bankier dawno już zatelefonowałby do Westerheima i podziękował mu za tych parę słów, tym samym zobowiązując go do dalszego działania. Ale nie Brue. Brue nie potrafił wymagać od starego, by wywiązał się z obietnicy złożonej pochopnie pod wpływem wzruszenia wywołanego uroczystą okazją.

Wziął pióro i napisał karteczkę do *Frau* EUenberger: "Bardzo proszę od razu w poniedziałek zatelefonować do sekretariatu Komisji Etyki i zapytać, czy ustalono już datę. Dzięki, TB".

Zrobione, pomyślał. Teraz stary może spokojnie podjąć decyzję, czy doprowadzić do przesłuchań czy wszystko zatuszować.

Na Uście spraw do załatwienia na ten wieczór znajdowała się też Wariatka Marianna, jak ją nazywał Brue - ale tylko w obecności *Frau* EUenberger. Marianna, wdowa po zamożnym hamburskim handlarzu drewnem, była bohaterką najdłuższej opery mydlanej Brue Freres - klientką, która udowadniała, że wszystkie obiegowe opinie o bankowości prywatnej to szczerą prawdą. Dzisiejszy odcinek serialu miał być o tym, że Marianna doznała ostatnio religijnego objawienia pod wpływem trzydziestoletniego pastora luterańskiego z Danii i lada dzień wszystkich swych dóbr doczesnych - opiewających na bardzo konkretną kwotę równą jednej trzydziestej rezerw banku - po-

zbędzie się na rzecz tajemniczej fundacji non profit, nad którą pasterską opiekę sprawuje wspomniany duchowny.

Przed Brue leżą teraz wyniki poufnego śledztwa, które zlecił z własnej inicjatywy. Wyniki te nie są zbyt zachęcające. Pastor został ostatnio oskarżony o oszustwo, ale następnie uniewinniony, bo nie pojawili się świadkowie. Ma dzieci z wolnych związków z kilkoma kobietami. Tylko jak biedny bankier Brue ma o tym powiedzieć swej zakochanej po uszy klientce, nie tracąc przy tym jej rachunku? Wariatka Marianna nawet w znacznie korzystniejszych sytuacjach wykazuje słabą tolerancję na złe wiadomości, o czym zdażył się już kilkakrotnie przekonać na własnej skórze. Ostatnio musiał użyć całego swojego wdzięku - chociaż trzeba od razu wyjaśnić, że bez uciekania się do ostateczności! — by nie przeniosła swych kont do jakiegoś szepczącego jej czule słówka młodzieńca w Goldman Sachs. Jest przecież jej syn, któremu grozi utrata całej fortuny. Marianna chwilami go ubóstwia, lecz — kolejny zwrot akcji — syn ów przebywa obecnie na odwyku w górach Taunus. Być może sprawę załatwiłby jeden dyskretny wyjazd do Frankfurtu...

Brue szybko pisze nową karteczkę do swej wiernej do grobowej deski *Frau* Ellenberger: "Proszę skontaktować się z kierownikiem ośrodka i ustalić, czy młody człowiek jest w stanie przyjąć gościa (mnie!)".

Pomruki centrali telefonicznej obok biurka rozproszyły jego uwagę, więc zerknął na jej mrugające diody. Jeżeli to gorąca linia z zastrzeżonym numerem, odbierze. Ale nie - więc zabrał się z kolei za wstępną wersję półrocznego sprawozdania firmy, które choć wyglądało nieźle, wymagało lekkiego podrasowania. Długo nad nim nie popracował, bo znowu

przeszkodziła mu centralka.

Czy to nowa wiadomość czy też poprzednie pomruki wbiły mu się w pamięć? Kto może dzwonić w piątek o siódmej wieczór? I to otwartą linią? To musi być pomyłka. Ciekawość zwyciężyła - dotknął przycisku odtwarzania. Najpierw roz-

### 34

legł się elektroniczny pisk ucięty zaraz przez *Frau* Ellenberger, uprzejmie prosząc rozmówcę najpierw po niemiecku, potem po angielsku, by zostawił wiadomość lub zatelefonował jeszcze raz w godzinach pracy.

A potem kobiecy głos, młody, mówiący po niemiecku i niewinny jak głosik chłopca z kościelnego chóru.

\* \* \*

Najważniejszą rzeczą w życiu każdego bankiera prywatnego — jak w miłym towarzystwie chętnie nauczał Brue po paru szkockich - nie są, jak logicznie można by przypuszczać, pieniądze. Ani bessy, hossy, fundusze hedgingowe czy derywaty. Dla każdego prywatnego bankiera najważniejszy jest chaos. Uporczywy, powiedziałyby wręcz nieprzerwany łoskot, kiedy wszystko wokół wali się jak przysłowiowy domek z kart. Więc jeśli ktoś akurat nie przepada za życiem w ciągłym stanie obłąkania, to całkiem prawdopodobne, że bankowość prywatna nie jest dla tego kogoś wymarzoną zajęciem. Podobne rozumowanie zostało całkiem nieźle przyjęte w przemówieniu, które przygotował sobie w odpowiedzi na toast starego Westerheima.

A będąc zżytym z chaosem od lat, Brue wykształcił w sobie dwa różne



sposoby reagowania w chwilach kryzysowych. Jeżeli kryzys pojawiał się na zebraniu rady nadzorczej, a więc w sytuacji, kiedy wzrok całego świata był skierowany właśnie na niego, wstawał, zatykał kciuki za pasek spodni i zaczynał wędrować po sali z kojącym spokojem na twarzy.

Kiedy nikt nie patrzył, chętniej wybierał drugą możliwość, czyli zamarcie w pozycji, w której zastała go zła wiadomość, i pstrykanie palcem w dolną wargę. Tak właśnie postąpił teraz, gdy po raz drugi i trzeci odsłuchiwał pozostawioną wiadomość od początku, od pierwszego pisku.

— Dobry wieczór. Nazywam się Annabel Richter, jestem prawniczką i chciałabym jak najszybciej porozmawiać osobi-

35

ście z panem Tommym Brue w sprawie klienta, którego reprezentuję.

Którego reprezentuję, ale którego nazwiska nie wymienię - Brue metodycznie sporządził trzecią notatkę. Suchy, niemiecki, choć mówiący z południowym akcentem głos, wykształcony i poirytowany, że nie można mówić wprost.

- Mój klient poinstruował mnie, że mam pozdrowić od niego pana... - urywa, jakby sprawdzała przygotowany wcześniej scenariusz tej rozmowy — pana Lipizzanera. Powtarzam: nazwisko Lipizzaner. Tak jak ta rasa koni, prawda? Sławnych białych koni lipicańskich z Hiszpańskiej Szkoły Jazdy w Wiedniu, czyli w mieście, gdzie przedtem miał siedzibę pański bank? Mam wrażenie, że pański bank dobrze się zna na lipizzanerach.

Unosi głos. Beznamiętna wiadomość o białych koniach zamienia się w błaganie zrozpaczonego chórzysty.

- Proszę pana, mój klient ma do dyspozycji bardzo mało czasu. Oczywiście to nie jest rozmowa na telefon. Poza tym całym możliwie, że wie pan o jego sytuacji więcej niż ja, a to na pewno przyspieszy sprawę. Dlatego byłabym wdzięczna, gdyby po otrzymaniu tej wiadomości oddzwonił pan do mnie na komórkę, żebyśmy mogli umówić się na spotkanie.

Mogłaby już tu zakończyć, ale nie kończy. W głosie chórzysty przebijają teraz ostrzejsze tony:

- Gdyby chciał się pan spotkać późnym wieczorem, z mojej strony nie ma przeszkód. Nawet bardzo późno. Przed chwilą mijalam pana bank i widziałam światło w pana gabinecie. Może osobiście już pana nie ma w pracy, ale ktoś na pewno jest. Jeżeli tak, to bardzo proszę tę osobę, by z łaski swojej niezwłocznie przekazała tę wiadomość panu Tommy'emu Brue, ponieważ tylko pan Tommy Brue jest władny zająć się tą sprawą. Bardzo dziękuję za poświęcony mi czas.

A ja za pani czas, *Frau* Annabel Richter, pomyślał Brue wstając z miejsca i wciąż trzymając kciuk i palec wskazujący

36

przy dolnej wardze, ruszył w stronę okna w wykuszu, jakby tędy wiodła najkrótsza droga ucieczki. Owszem, owszem, mój bank rzeczywiście bardzo dobrze zna się na lipizzanerach, droga pani, jeżeli mówiąc "bank", ma pani na myśli mnie, moją jedyną powiernicę *Frau* Elli i absolutnie

nikogo więcej. Mój bank dałby wszystkie pieniądze, by ostatni z żyjących lipizzanerów zniknął w galopie za horyzontem, wrócił do Wiednia, skąd pochodzi, i nigdy więcej się tu nie pokazał. A może to także pani wie?

Tu naszła go dręcząca myśl — a może pani zawsze mi towarzyszyła przez te siedem lat i dopiero teraz postanowiła wynurzyć się z cienia? Może właśnie o to pani chodzi? O “wszystkie pieniądze”, *Frau Annabel Richter*? Pani i pani świętemu klientowi, który ma tak mało czasu?

Czy przypadkiem nie idzie o mały szantażyk?

A może przy okazji daje mi pani do zrozumienia tym swoim niewinnym chłopięcym głosem i tonem, w którym brzmi wierność etyce zawodowej - pani i pani wspólnik, przepraszam, klient - że konie lipicańskie mają tę ciekawą właściwość, iż rodzą się czarne jak noc i dopiero z wiekiem stają się białe? I że właśnie z tego powodu użyczyły swego miana kuriozalnemu typowi rachunku bankowego wymyślonemu przez wybitnego bankiera Edwarda Amadeusa Brue, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego, mojego ojca, którego skądinąd nadal szanuję jako ucieleśnienie bankierskiej uczciwości, pod koniec jego bezgrzesznych lat w Wiedniu, gdy brudne pieniądze z upadającego Imperium Zła płynęły strumieniami - czy raczej całymi ciężarówkami - przez zetlałą do cna żelazną kurtynę?

\* \* \*

Brue wolno okrzyknął pokój.

Tylko dlaczego to uczyniłeś, ojczy drogi?

Dlaczego, przez całe życie opierając się na dobrym imieniu własnym i przodków, tak w życiu publicznym, jak i prywatnym,

zgodnie z najlepszymi tradycjami szkockiej ostrożności, sprytu i odpowiedzialności - dlaczego ryzykowałeś tym wszystkim dla bandy szabrowników i wyzyskiwaczy ze wschodu, których jedynym życiowym osiągnięciem było plądrowanie własnego kraju w chwili, gdy kraj ten najbardziej potrzebował pieniędzy?

Dlaczego otworzyłeś przed nimi podwoje swego banku, swego ukochanego banku, twojego największego skarbu? Dlaczego przyjąłeś pod swój dach ich złodziejskie łupy i zapewniłeś im nigdzie niespotykaną dyskrecję i bezpieczeństwo?

Dlaczego naciągałeś wszelkie zasady i przepisy - bo naciągałeś jak struny, naciągałeś, aż pękły z rozpaczliwym jękiem - i dlaczego zapomniałeś o wszelkiej ostrożności - już wtedy miałem ci to za złe — byle zostać ulubionym wiedeńskim bankierem bandy ruskich gangsterów?

W porządku - nienawidziłeś komunizmu, komunizm był wtedy na łożu śmierci, nie mogłeś doczekać się pogrzebu. Ale przecież ci bandyci, dla których byłeś taki miły, byli częścią reżimu!

*Po co nazwiska, towarzysze? Wystarczy, że umieścicie u nas wasze łupy na pięć lat, a my damy wam numerek! A jak następnym razem do nas wpadniecie, wasze lipizzanery będą już białe jak śnieg, dorosłe, będą wspaniałymi inwestycjami! Zrobimy to jak Szwajcarzy, tyle że my jesteśmy Brytole, więc wyjdzie nam jeszcze lepiej!*

Tylko że nie wyszło, pomyślał ze smutkiem Brue, trzymając ręce związane za plecami, gdy zatrzymał się, by wyglądnać przez okno w wykuszu.

Nie wyszło, bo wielcy ludzie, którzy głupieją na starość, prędzej czy

później umierają; bo pieniądze przenoszą się z miejsca na miejsce, podobnie jak banki; bo na scenie pojawiają się ci dziwni ludzie, kontrolerzy, i przeszłość nagle gdzieś umyka. Tylko że nie umyka do końca, prawda? Wystarczy parę słów wypowiedzianych głosem kościelnego chórzysty i zaraz przybiega cwałem z powrotem.

**38**

\* \* \*

Pięć metrów pod oknem zmotoryzowani mieszkańcy najza-możniejszego miasta w Europie pędzili z rykiem silników do domu, by uściskać dzieci, zjeść kolację, oglądnąć telewizję, kochać się i iść spać. W czerwonym zmierzchu ślizgały się po jeziorze łódki i żaglówki.

Ona gdzieś tam jest, pomyślał. Widziała, że u mnie pali się światło.

Ona gdzieś tam jest, ćwiczy gamy ze swym tak zwanym klientem, kłóca się, na ile można mnie naciągnąć za to, że nie doniosłem o lipicańskich kontaktach. "Całkiem możliwe, że wie pan o jego sytuacji więcej niż ja, a to na pewno przyśpieszy sprawę".

No więc całkiem możliwe, że wcale nie wiem więcej, *Frau Annabel Richter*. I szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć, choć wygląda na to, że będę musiał.

A skoro przez telefon nie chce mi pani więcej powiedzieć o swoim kliencie - szczerze doceniam pani dyskrecję - i skoro nie posiadam zdolności nadprzyrodzonych, dzięki którym potrafiłbym zidentyfikować go pośród tych kilku pozostałych jeszcze przy życiu hpizzanerów - zakładając, że rzeczywiście jeszcze żyją, że nikt ich nie zastrzelił, nie wsadził do więzienia albo że zwyczajnie po pijaku nie zapomnieli, gdzie u

diabła upchnęli te parę drobnych milionów - nie mam wyjścia i zgodnie z najlepszymi tradycjami szantażu, muszę uczynić zadość pani prośbie.

Wybrał jej numer.

- Richter.
- Tu Tommy Brue z Banku Brue. Dobry wieczór pani.
- Dobry wieczór panu. Bardzo proszę, chciałabym porozmawiać z panem jak najszybciej.

Na przykład teraz. Bo teraz głos jest trochę mniej melodyjny, trochę ostrzejszy, niż gdy błagała go przez telefon, aby jej wysłuchał.

39

Hotel Atlantic leżał o dziesięć minut drogi piechotą z banku, przy zatłoczonej żwirowej ścieżce wokół jeziora. Równoległe do niej druga dróżka stukała rowerowymi łańcuchami i syczała do wtóru przekleństw pędzących do domu cyklistów. Zerwała się chłodna bryza, niebo stało się granatowoczarne. Spadły pierwsze długie krople deszczu. W Hamburgu nazywa się je kłębkami przedzy. Siedem lat wcześniej, gdy Brue dopiero co przybył do tego miasta, wędrówka w ciżbie trwałaby nieco dłużej z powodu resztek jego brytyjskiej nieśmiałości. Teraz jednak bezwzględnie torował sobie drogę wśród przechodniów z łokciem gotowym odeprzeć atak rozpychających się parasolek.

Przy wejściu do hotelu portier w czerwonej liberii uchylił cylindra na jego widok. W holu natychmiast znalazł się u jego boku recepcjonista, *Herr* Schwarz, i bez słowa poprowadził go do stolika, przy którym Brue najchętniej podejmował klientów, którzy nie mieli ochoty na rozmowy w siedzibie banku. Stolik znajdował się w najdalszym kącie sali, między

jedną z marmurowych kolumn a olejnymi obrazami przedstawiającymi hanzeatyckie statki, na to wszystko zaś spoglądał wzrokiem wątrobiarza kajzer Wilhelm Drugi, przedstawiony na mozaice w barwach morskiej toni.

- Peter, oczekuję pewnej pani, której nie miałem jeszcze przyjemności poznać — wyznał Brue z męsko-porozumiewawczym uśmiechem. - Nazywa się *Frau* Richter. Przypuszczam, że jest młoda. Bardzo proszę, byś sprawdził, czy jest również piękna.
- Zrobię co w mojej mocy, proszę pana — obiecał z poważną miną *Herr* Schwarz bogatszy o dwadzieścia euro.

Ni stąd, ni zowąd Brue przypomniał sobie bolesną rozmowę z córką, z Georgie, gdy miała zaledwie dziewięć lat. Tłumaczył jej wtedy, że mamusia i tatuś wprawdzie nadal się kochają, mimo to będą mieszkać osobno. Że lepiej żyć osobno, lecz

## 40

z miłością, niż razem i ciągle się kłócić - tak kazał mu powiedzieć znienawidzony psychiatra. I że lepiej mieć dwa szczęśliwe domy niż jeden nieszczęśliwy. I że Georgie będzie mogła widywać się z mamusią i tatusiem tak często, jak tylko będzie chciała, chociaż nie tak jak do tej pory, razem, a z każdym z osobna. Ale Georgie bardziej interesowała się wtedy swoim nowym szczeniakiem.

- Gdyby został ci tylko jeden austriacki szyling i gdybyś nie miał już nic innego, to co byś z nim zrobił? - zapytała, w zamyśleniu drapiąc pieska po brzuszku.
- No jak to, kochanie? Oczywiście, że bym go zainwestował. A ty?

- A ja bym dała komuś napiwek - odpowiedziała.

Dziwiąc się bardziej sobie niż Georgie, Brue usiłował zrozumieć, dlaczego właśnie w takiej chwili zadręcza się na nowo tą historią. Nie przestając zerkać na wahadłowe drzwi, uznał, że to na pewno podobieństwo ich głosów. Czy ta druga będzie miała przy sobie ukryty mikrofon? A może będzie go miał jej... klient, jeżeli go ze sobą przyprowadzi? Jeżeli tak, to mają pecha.

Przypomniawszy sobie, kiedy ostatni raz miał do czynienia z szantażem: inny hotel, inna kobieta. Angielka mieszkająca w Wiedniu. Ubłagany przez klienta Freres, który nie chciał zaufać nikomu innemu, Brue umówił się z nią na podwieczorek pod dyskretnym dachem Sachera. Była to dostojna *madame* w pełnej żałobie. A dziewczyna nazywała się Sophie.

- To jedna z moich najlepszych dziewczyn, ta Sophie, więc oczywiście okropnie mi wstyd - tłumaczyła spod runda czarnego słomkowego kapelusza. - Tylko że widzi pan, ona zastanawia się, czy nie pójść z tym do gazet. Mówiłam jej, żeby dała spokój, ale nie słucha. Ech, młodzież!... A pański przyjaciel ma bardzo brzydkie zwyczaje, niektóre naprawdę bardzo nieprzyjemne. No cóż, nikt nie chce przeczytać o sobie takich rzeczy, prawda? I to w gazecie. Takie coś może bardzo zaszkodzić, jak się jest prezesem wielkiej spółki.

41

Jednakże Brue zdążył wcześniej porozumieć się z szefem policji wiedeńskiej, który — tak się akurat złożyło - też był klientem Freres. Idąc za radą policjanta, pokornie zgodził się na wypłatę bajątkowej sumy za milczenie, całą zaś rozmowę nagrali wiedeńscy detektywi w cywilu przy



sąsiednim stoliku.

Tylko że tym razem Brue nie miał po swojej stronie żadnego szefa policji. A ofiarą szantażu miał paść nie jakiś klient, tylko on sam.

\* \* \*

W wielkim holu hotelu Atlantic, podobnie jak na ulicach na zewnątrz, panował duży ruch. Pozornie spokojnie rozparty w fotelu Brue widział ze swego punktu obserwacyjnego każdego z wchodzących i wychodzących gości — panie w futrach i bo-ach, współczesnych biznesmenów w pogrzebowych garniturach, włóczęgów milionerów w podartych dżinsach...

Z korytarza w głębi hotelu wynurzyła się procesja starszych panów we frakach i pań w lśniących sukniach balowych prowadzona przez boya hotelowego, który pchał wózek wypełniony owiniętymi w celofan bukietami. Ktoś stary i bogaty ma dziś urodziny, pomyślał Brue, i przez chwilę zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jeden z jego klientów, i czy *Frau Elli* pamiętała o wysłaniu butelki szampana. Pewno nie starszy ode mnie, pomyślał z samozaparciem. Czy inni rzeczywiście jego też uważają za starego? Pewnie tak. Jego pierwsza żona, Sue, zawsze narzekała, że już urodził się stary. No cóż, każdy kiedyś będzie miał sześćdziesiątkę, oczywiście jeżeli dopisze mu szczęście i jej dożyje. Co to powiedziała mu kiedyś Georgie, kiedy zaczynała być buddystką? "Przyczyną śmierci jest to, że się rodzimy".

Spojrzał na swój złoty zegarek, prezent od Edwarda Amadeusa na dwudzieste pierwsze urodziny. Za dwie minuty będzie spóźniona, ale prawnicy i bankierzy nigdy się nie spóźniają. Szantażystki niewątpliwie

także nie.

## 42

Po drugiej stronie wahadłowych drzwi, na ulicy, zerwał się prawdziwy mistral. Poły liberii portiera w cylindrze powiewały jak nietotne skrzydła, gdy rzucał się od limuzyny do limuzyny. Lunał rześisty deszcz, samochody i ludzie zniknęli w mleczej mgle. Z niej to - jak ktoś, kto sam jeden przeżył zejście lawiny — wynurzyła się drobna figurka w bezkształtnym stroju i chuście owiniętej wokół głowy i szyi. Przez chwilę Brue miał wrażenie, że postać niesie na plecach małe dziecko, dopóki nie uświadomił sobie, że to spory i męski raczej niż damski plecak.

Weszła na schody, odczekała, by wahadłowe drzwi zamknęły się za nią, wkroczyła do holu i tu się zatrzymała. Blokowała przejście tym, którzy wchodzili za nią, ale jeżeli była tego świadoma, to bynajmniej się nie przejmowała. Zdjęła mokre od deszczu okulary, z głębi kurtki wyszarpnęła koniec chusty, przetarła szkła i umieściła je z powrotem na nosie. *Herr* Schwarz podszedł do niej, lekko skinęła mu głową. Oboje popatrzyli w kierunku Tommyego Brue. *Herr* Schwarz wykonał gest, jakby chciał ją zaprowadzić, pokręciła jednak głową. Przerzuciwszy plecak na drugie ramię, ruszyła między stolikami w stronę bankiera, wbijając wzrok przed siebie i ignorując innych gości na swej drodze.

Bez makijażu, od szyi w dół nie widać ani skrawka ciała, zauważył Brue, gdy wstawał na powitanie. Zdecydowane płynne ruchy małego, lecz pewnego siebie ciała pod tym bezkształtnym strojem. Styl trochę wojskowy, ale takie są teraz kobiety. Okulary okrągłe, bez oprawek, odbijają blask żyrandoli. Nie mruga oczyma. Skóra jak u dziecka. Jakies

trzydzieści lat młodsza ode mnie i niższa o ćwierć metra, tyle że szantażystki mogą mieć najróżniejsze wymiary i z dnia na dzień są młodsze. I pasująca do chłopięcego głosu chłopięca twarz.

Nie widać, by przyszła tu ze współnikiem. Granatowe dżinsy, glany. Kieszonkowa piękność w przebraniu. Twarda, ale delikatna; z całych sił skrywająca kobiece ciepło, choć bez skutku. Istna Georgie.

## 43

- *Frau* Richter? Miło mi. Jestem Tommy Brue. Co mogę dla pani zamówić?

Dłoń tak mała, że instynktownie rozluźnił uścisk.

- Mają tu wodę? - zapytała, surowo przyglądając mu się przez okulary.
- Oczywiście. — Skinął na kelnera. — Przyszła pani pieszo?
- Jestem na rowerze. Bardzo proszę bez gazu. I bez cytryny. W temperaturze pokojowej.

\* \* \*

Siedziała naprzeciw niego wyprostowana na samym środku swego skórzanego tronu, z dłońmi założonymi na ramiona, kolana razem, plecak położyła na podłodze. I patrzyła na niego: najpierw na jego dłonie, potem na złoty zegarek i buty, wreszcie spojrzała mu w oczy, ale na bardzo krótko. Sprawiała wrażenie, że nic jej nie dziwi. A Brue odwzajemniał się takim samym badawczym wzrokiem, chociaż bardziej ukradkowo: widział, że sposób, w jaki pije wodę - łokieć przy sobie, przedramię na ukos przy ciele — zdradza staranne wychowanie, podobnie jak jej pewność siebie w luksusowym wnętrzu, którym najwyraźniej zamierzała

pogardzać; że stara się ukryć to wychowanie, tylko niezupełnie jej się to udaje.

Zdjęła chustę, odsłaniając wełniany beret. Spod niego wysunął się na czoło niesforny ciemnoblonde kosmyk. Ujarzmiła go, napiła się wody i powróciła do oględzin swego rozmówcy. Jej oczy, powiększone przez szkła okularów, były szarozielone i nieustraszone. I "przetykane złotem" — przypomniał sobie. Gdzie on to przeczytał? Chyba w jednej z dziesięciu powieści, które zawsze leżały przy łóżku po stronie Mitzi. Drobnego wysokiego biustu, celowo nie eksponowanego.

Brue wyjął wizytówkę z kieszonki w niebieskiej jedwabnej podszewce swej marynarki od Randalla i z uprzejmym uśmiechem wręczył jej przez stolik.

#### 44

- Dlaczego "Freres"? - zapytała. Ani jednego pierścionka. Paznokcie obcięte krótko, jak u dziecka.
- Pomysł pradziadka.
- Był Francuzem?
  - Niestety nie. Chciał nim być - odparł Brue, korzystając z gotowej odpowiedzi na to pytanie. - Był Szkotem. Dla wielu Szkotów Francja jest bliższym krajem niż Anglia.
- A miał braci?
- Nie. Ja niestety też nie.

Szybko schyliła się po plecak, otworzyła jedną z kieszeni, potem drugą. Ponad jej ramieniem Brue szybko zinwentaryzował zawartość: chusteczki higieniczne, buteleczka z płynem do soczewek, telefon komórkowy,

skoroszyt, karty kredytowe i spora teczka do akt, opisana i opieczętowana jak materiały procesowe. Nie widać ani magnetofonu, ani mikrofonu, ale teraz technika poszła tak daleko, że pewności nie ma żadnej. Zresztą pod tym strojem mogłaby skrywać nawet dwudziesto-pięcioletnią bombę.

Ona też wręczyła mu wizytówkę.

AZYL PÓLNOC, przeczytał Brue. *Dobroczynna Chrześcijańska Fundacja Pomocy Osobom Bezpaństwowym i Uciekinierom w regionie Niemiec Północnych*. Adres biura we wschodniej części miasta. Numery telefonu i faksu, adres e-mailowy. Numer konta w Commerzbanku. Jak trzeba będzie, w poniedziałek mogę zamienić parę słów z ich szefem na Hamburg, sprawdzić jej zdolność kredytową. *Annabel Richter, adwokat*. Słowa ojca wracają, aby go prześladować: "Nigdy nie wierz pięknym kobietom, Tommy. To kryminalistki, najlepsze, jakie są".

- Może lepiej niech pan oglądnie i to - powiedziała, wpychając mu do ręki dowód osobisty.
- Ależ co znowu, nie trzeba - zaprotestował, mimo że sam też o tym pomyślał.
- Bo może nie jestem tą, za kogo się podaję?
- Naprawdę? A kim?

45

- Niektórzy z moich klientów mają do czynienia z ludźmi, którzy podają się za prawników, wcale nimi nie będąc.
- Szokujące. Mój Boże!... Mam nadzieję, że mnie nigdy to się nie przytrafi. Zresztą już mogło się kiedyś zdarzyć, a ja nawet nie podejrzewałem. Straszna myśl - oznajmił ze sztuczną wesołością, ale

jeżeli myślał, że Annabel ją podzieli, rozczarował się.

Na zdjęciu miała włosy rozpuszczone, starsze okulary, poza tym twarz ta sama, choć bez groźnej miny. Annabel Richter, miejsce urodzenia: Fryburg Bryzgowijski, rok urodzenia: 1977. Czyli młodszej prawniczki w Niemczech ze świecą by szukać

- jeżeli rzeczywiście była prawniczką. Teraz rozparła się w fotelu jak bokser odpoczywający między rundami, wciąż obserwując go przez te babciowate okularki zamykające oś niekształtnie ubranego, zapiętego na ostatni guzik, drobnego, świętoszkowatego ciała.

- Słyszał pan o nas? - zapytała wyzywająco.

- Słucham?

- O Azylu Północ. Słyszał pan, czym się zajmujemy? W ogóle cokolwiek o nas pan wie?

- Niestety nie.

Powoli pokręciła głową i z niedowierzaniem rozglądnęła się po hotelowym holu - popatrzyła na starsze pary w pełnej gali, na hałaśliwych młodych bogaczy przy barze, na hotelowego pianistę wygrywającego rzewne piosenki, których nikt nie słuchał.

- A przez kogo jest finansowana ta pani dobroczynność? — za pytał Brue swym najbardziej praktycznym tonem.

Wzruszyła ramionami.

- Przez parę parafii. Przez urząd miejski w Hamburgu, jak mają tam ochotę zrobić coś szlachetnego... Jakoś dajemy

sobie radę.

46

- A od jak dawna prowadzicie interesy? To znaczy pani organizacja?

- Nie prowadzimy interesów. Działamy *pro bono*. Od pięciu lat.

- A pani?

- Od dwóch. Mniej więcej.

- Na pełny etat? Nie ma pani żadnej innej praktyki?

— Co oznaczało: pracuje pani na czarno? Jakiś szantaż na boku?

Ale ona miała już dość pytań.

- Mam klienta, proszę pana. Oficjalnie reprezentuje go Azyl Północ.

Jednak z powodu naglących terminów zatrudnił mnie osobiście, bym zajęła się w jego imieniu wszelkimi sprawami związanymi z pańskim bankiem, i wyraził zgodę, że bym się z panem skontaktowała. Co niniejszym czynię.

- Zgodę? - Jego sztuczny uśmiech jeszcze się poszerzył.

- No dobrze, powiedzmy, że kazał mi skontaktować się z panem. Co za różnica? Jak już wspomniałam przez telefon, sytuacja mojego klienta w Hamburgu jest delikatna. Są pewne granice tego, co on chce mi powiedzieć, są też granice tego, co ja mogę powiedzieć panu.

Spędziwszy z nim trochę czasu, jestem zdania, że to, co mi

powiedział, choć nie mówił wiele, to prawda. Nie cała prawda, może tylko jej drobna część odpowiednio spreparowana na mój użytek, ale

mimo wszystko prawda. W naszej organizacji musimy umieć oceniać takie rzeczy. Musimy zadowalać się tym tylko, co wiemy, i w oparciu

o to działać. Wolimy zgrzeszyć nadmiarem zaufania niż cynizmem.

Tacy jesteśmy. Takie mamy poglądy - dodała wyzywająco, pozostawiając Brue z niewypowiedzianym oskarżeniem, że on by wolał, aby było na odwrót.

• Rozumiem panią doskonale - zapewnił ją. - I szanuję.

— Grał. To umiał dobrze.

- Nasi klienci to ludzie, których pan nigdy nie uznałby za normalnych klientów.

## 47

• Naprawdę? Nie jestem pewny, czy w ogóle kiedykolwiek miałem do czynienia z normalnym klientem. — Żart, który znów puściła mimo uszu.

• Nasi klienci należą do "wyklętego ludu ziemi", o którym pisze Frantz Fanon. Czytał pan tę książkę?

• Słyszałem o niej, ale niestety, nie czytałem.

• Są praktycznie bezpaństwowcami. Często w szoku. Boją się nas tak samo, jak boją się świata, w którym się znaleźli, i świata, z którego uciekli.

• Rozumiem - zapewnił, mimo że wcale nie rozumiał.

• Mój klient jest przeświadczony, nie wiem, czy słusznie, że właśnie pan może go ocalić. Z powodu pana przyjechał do Hamburga. Dzięki panu będzie mógł zostać w Niemczech, zalegalizować pobyt i iść na studia. Bez pana pomocy wróci do piekła.

Brue zastanawiał się, czy powiedzieć: "ojej" czy: "jakie to smutne", lecz zrezygnował, gdy napotkał jej nieustępliwy wzrok.



- Jest przeświadczony, że wystarczy, by wspomniał panu o panu Lipizza nerzei podał pewien konkretny numer, numer czego albo kogo, tego nie wiem i nie wiem, czy on sam wie, i abrakadabra: otworzą się wszystkie drzwi.
- Czy mogę zapytać, jak długo już tu jest?
- Powiedzmy, że od paru tygodni.
  - I tyle czasu minęło, nim się za mną skontaktował, choć to ja mam być powodem jego przyjazdu? Tego jakoś nie mogę zrozumieć.
  - Przyjechał w bardzo złym stanie, był przerażony, nie znał tu żywej duszy. To jego pierwszy pobyt na Zachodzie. Nie mówi ani słowa po niemiecku.

Brue znowu chciał powiedzieć: "Rozumiem" i znowu się rozmyślił.

—Poza tym z powodów, których nawet nie próbuję wyjaśnić, bardzo mu się nie podoba, że w ogóle trzeba się z panem kontaktować. On najchętniej nie zrobiłby nic i umarł z głodu. Niestety w jego sytuacji pan jest jego jedyną szansą.

**48**

\* \* \*

Teraz przyszła kolej na Brue, lecz jak ma się zachować? "Jeśli jesteś w kropce, Tommy, nie chowaj głowy w piasek, tylko wzmacniaj obronę". Znowu powiedzenie ojca.

- Proszę mi wybaczyć, *Frau Richter* - zaczął z szacunkiem, równocześnie dając do zrozumienia, że nie zrobił nic, co miałyby mu do wybaczenia. - Konkretnie skąd pani klient ma informację... właściwie powinienem powiedzieć: wydaje mu się, że ma

informację, że mój bank jest w stanie dokonać tego cudu?

- Nie chodzi tylko o bank, ale o pana osobę.
- Obawiam się, że nie mam pojęcia, w jaki sposób miałbym pomóc. Pytałem o jego źródła informacji.
- Może powiedział mu jakiś adwokat?... Jeszcze jeden z n a s - dodała z przekąsem.

Brue spróbował inaczej.

- A jeśli można wiedzieć, w jakim języku uzyskała pani tę informację od klienta?
- Tę o panu Lipizzanarze?
  - I o innych sprawach. Choćby moje nazwisko...

Jej młoda twarz była nieruchoma jak skała.

- Mój klient powiedziałby, że to pytanie jest bez związku.
- Więc może zapytam, czy rozmowa między państwem odbywała się w obecności osób trzecich? Na przykład, czy był przy niej wykwalifikowany tłumacz? A może potrafi się pani porozumiewać z nim bezpośrednio?

Kosmyk włosów znów uciekł spod beretu, lecz tym razem chwyciła go w palce i bawiła się nim, wrogim spojrzeniem obrzucając salę.

- Po rosyjsku - powiedziała, po czym w przyпіywie ciekawości zagadnęła: - A pan mówi po rosyjsku?
- Trochę. W sumie całkiem nieźle — odparł.

To wyznanie jakby wyzwoliło w niej trochę kobiecości, bo uśmiechnęła się i po raz pierwszy zwróciła twarzą wprost do niego.

- Gdzie się pan nauczył?

- Ja?... No cóż, niestety w Paryżu. To bardzo dekadentkie.

- W Paryżu? Dlaczego akurat w Paryżu?

- Ojciec mnie wysłał. Uparł się. Trzy lata na Sorbonie. Trzy lata w towarzystwie brodatych poetów emigracyjnych. A pani?

Krótką chwilą osobistej sympatii minęła. Zaczęła grzebać w plecaku.

- Podał mi numer - powiedziała. - Jakiś specjalny nu

mer, który wszystko przypomni panu Lipizzanerowi. Panu może też.

Wyrwała kartkę ze skoroszytu i wręczyła Tommy'emu. Sześć cyfr wypisanych ręcznie - uznał, że przez nią. Liczba zaczynała się od 77, czyli tak jak numery wszystkich lipizzanerów.

- Zgadza się? - zapytała, spoglądając na niego wyzywająco i nieustępliwie.

- Z czym ma się zgadzać?

- Czy numer, który właśnie panu podałam, jest stosowany na oznaczenie rachunków w banku Brue Freres? Tak czy nie?

— nalegała, jakby mówiła do upartego dziecka.

Brue zastanowił się nad pytaniem. A właściwie nad tym, jak uniknąć odpowiedzi.

- Chwileczkę. Pani na pewno zawsze bardzo zależy na dyskrecji dla dobra klientów, ale mnie też — zaczął swobodnie.

- Mój bank nie ujawnia tożsamości swych klientów ani prowadzonych przez nich transakcji. Jestem pewny, że to pani uszanuje. Nie ujawniamy niczego, do czego nie jesteśmy prawnie zobowiązani. Kiedy wymienia pani nazwisko "Lipizzaner", sły

sze je i kojarzę. Jeżeli natomiast podaje mi pani numer klienta czy rachunku, muszę sprawdzić dane... — Urwał, by miała oka-

50

zję przyznać mu rację, lecz jej twarz wyrażała tylko stanowczy sprzeciw. — Jestem pewny, że sama pani jest kryształowo uczciwa - ciągnął. - To oczywiste. Ale zdziwiłaby się pani, ilu mamy oszustów na tym świecie. — Skinął na kelnera.

- On nie jest oszustem, proszę pana.

- Oczywiście, że nie. To pani klient.

Stali. Nie wiedział, kto wstał pierwszy. Może ona. Nie spodziewał się, że spotkanie potrwa aż tak krótko, i mimo mętliku w głowie żałował, że nie posiedzą dłużej.

- Porozumiem się z panią, kiedy wszystko sprawdzę. W porządku?

- Kiedy?

- To zależy. Jeżeli niczego nie znajdę, to bardzo szybko.

- Jeszcze dziś?

- Możliwe.

- Czy teraz wraca pan do banku?

- A czemu nie? Skoro to sprawa życia i śmierci, jak chyba pani sugeruje, trzeba zrobić, co się da. To oczywiste. Każdy by tak postąpił.

- On tonie. Wystarczy, że wyciągnie pan do niego rękę.

- No cóż, niestety w moim zawodzie ten okrzyk słyszę dość często.

Jego ton wyraźnie ją rozgniewał.

- On panu ufa — powiedziała.
- Jak to możliwe? Przecież mnie nie zna.
  - No dobrze, on nie, ale jego ojciec panu ufał. Jest pan dla niego jedynym ratunkiem.
  - No cóż, to na pewno bardzo trudna sprawa. Na pewno i dla mnie, i dla pani.

Zarzuciła plecak na plecy i odmaszerowała przez hol ku wahadłowym drzwiom. Za nimi czekał już na nią portier z jej rowerem. Wciąż lało jak z cebra. Z drewnianej skrzyneczki przytroczonej do kierownicy wyciągnęła kolarski kask, nałożyła go na głowę, zapięła pod brodą, potem szybko włożyła nie-

51

przemakalne spodnie. Zniknęła, nie pomachawszy mu na do widzenia, nawet się nie obejrzawszy.

\* \* \*

Skarbiec Freres leżał w suterenie na tyłach budynku. Rozmiary miał cztery metry na trzy, więc podczas budowy do znudzenia żartowano z architektem, ilu by się tam mogło zmieścić złych dłużników, i stąd się wzięła potoczna nazwa tego pomieszczenia — “loch”. Wraz z rozwojem nowoczesnej techniki inne prywatne banki mogły zrezygnować z papierowych archiwów czy nawet skarbców, ale bank Freres miał swoją historię i tu właśnie trzymano to, co po niej zostało, przywiezione z Wiednia opancerzoną ciężarówką i złożone w wymalowanym na biało mauzoleum z cegły, pulsującym klimatyzatorami, strzeżone tablicami ze

światełkami i numerowanymi przyciskami wymagającymi zaszyfrowanych kombinacji cyfr, odcisku kciuka i paru uspokajających słów. Firma ubezpieczeniowa domagała się jeszcze czytnika źrenic, lecz tutaj Brue się zbuntował. Teraz, znalazłszy się w środku, minął rząd zakurzonych sejfów i dotarł do wielkiej stalowej szafy opartej o najdalszą ścianę skarbcza. Wprowadziwszy kod, otworzył ją i przeglądał segregatory, sprawdzając raz po raz kartkę wydartą z notatnika An-nabel Richter, aż znalazł ten, którego szukał. Segregator miał spłowieła pomarańczową okładkę, zawartość była spięta metalowymi ringami. Naklejka na grzbiecie zawierała tylko numer, bez nazwiska. W żółtawym świetle lampek u sufitu powoli przerzucał kartki, nie tyle czytając je, ile przeglądając. Jeszcze raz sięgnął do szafy i tym razem wyciągnął pudełko po butach pełne mocno sfatygowanych wymiętoszonych kartek. Poszperawszy w nich, wyciągnął opatrzoną tym samym numerem co segregator.

Odczytał: *KARPOW, Grigorij Borysowicz, pułkownik Armii Czerwonej. 1982. Członek założyciel.*

52

Najlepszy rocznik, pomyślał. Mój zatruty kielich. O tym Karpowie nigdy nie słyszałem, ale przecież nie było powodu, bym słyszał, prawda? Bo wszystkie lipizzanery trzymałeś w swojej prywatnej stajni.

Czytał dalej: *Wszelkie operacje i dyspozycje klienta na tym rachunku należy natychmiast zgłaszać osobiście do EAB przed podjęciem jakichkolwiek kroków. Podpisano: Edward Amadeus Brue.*

Do ciebie osobiście. Bo rosyjscy złodzieje to twoja osobista działka. Mniejsi złodzieje - inwestorzy, ubezpieczyciele, koledzy bankowcy —

mogą sobie posiedzieć pół godziny w poczekalni i w końcu załatwić sprawę z główną kasjerką, ale rosyjskich złodziei należy kierować prosto do EAB - to twoje osobiste polecenie.

Nawet nie wypisane na maszynie ani nie opatrzone pieczętą przez *Frau Elli*, twoją wówczas bardzo młodą, bardzo przywiązaną i bardzo osobistą sekretarką, lecz wypisane przez ciebie własnoręcznie pięknymi granatowymi pociągnięciami twego nieodłącznego wiecznego pióra, z pełnym podpisem na wypadek, gdyby przygodny czytelnik - choć nawet Pan Bóg wie, że takiego nie było - nie wiedział, że EAB oznacza Edwarda Amadeusa Brue, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego, bankiera, który przez całe życie nigdy nie nagiął przepisów - aż do samego końca, gdy złamał je wszystkie. Zamknąwszy szafę, a po chwili cały skarbiec, Brue z segregatorem pod pachą wspiał się po eleganckich schodach do gabinetu, w którym dwie godziny wcześniej jego weekendowy spokój został tak brutalnie zakłócony. Rozrzucone na biurku papierzyska Wariatki Marianny wydały mu się teraz starą sprawą sprzed roku, etyczne wątpliwości Giełdy Hamburskiej - bez znaczenia.

I znów to pytanie: dlaczego?

Przecież nie dla pieniędzy, ojciec drogi, bo ani tobie ich nie brakowało, ani nikomu z nas. Wystarczyłoby, abyś dalej był tym, kim byłeś: zawsze kierującym się zdrowym rozsądkiem bogatym i szanowanym nestorem wiedeńskiego świata bankowego.

53

A gdy któregoś popołudnia wpadłem jak burza do twojego gabinetu, poprosiłem *Frau EUenberger*, by zostawiła nas samych

- wtedy *Frdulein*, nie *Frau*, w dodatku bardzo ładna *Frdulein*
- i znacząco zamknąłem za nią drzwi, nalałem nam obu po sporej szklance szkockiej i powiedziałem ci, że diabli mnie biorą, kiedy nazywają nas “Mafia Freres”, co ty zrobiłeś?

Przywołałeś na twarz bankierski uśmiech - owszem, przyznaję, że w jego bardzo bolesnej wersji - poklepałeś mnie po ramieniu i powiedziałeś, że na tym świecie są czasem takie tajemnice, w które lepiej nie wprowadzać nawet ukochanego syna.

Twoje własne słowa. Zwykła zasłona dymna. Nawet *Frdulein* EUenberger wiedziała więcej niż ja, ale musiała ci zaprzysiąc całkowite milczenie jeszcze w dniu, w którym zaczęła swój nowicjat.

No i w końcu to ty śmiałeś się ostatni, prawda? Ty już wtedy umierałeś, lecz to była jeszcze jedna tajemnica, której mi nie zdradziłeś. A gdy zaczęło wyglądać na to, że nie wiadomo, kto dopadnie cię pierwszy, kostucha czy wiedeński wymiar sprawiedliwości, pojawiła się tak kochana przez starego Westerhe-ima królowa angielska i ni stąd, ni zowąd, z powodów zwykłym śmiertelnikom nieznanym, wezwała cię do ambasady brytyjskiej, gdzie z wielką, choć zwyczajną przy takich okazjach pompą jej wierny ambasador uczynił cię kawalerem Orderu Imperium Brytyjskiego, którego to zaszczytu - jak się później dowiedziałem, mimo że sam nigdy mi się do tego osobiście nie przyznałeś — pożył przez całe życie.

Na ceremonii płakałeś.

Ja też.

I płakałaby też twoja żona a moja matka, gdyby była z nami, tyle że w jej przypadku kostucha była znacznie szybsza.

A kiedy połączyłeś się z nią na powrót w Niebiańskim Banku, co udało



ci się w twoim najlepszym i najrozsądniejszym stylu w niespełna dwa miesiące później, przeprowadzka do Hamburga wydawała się jeszcze lepszym pomysłem niż wcześniej.

54

“Nasi klienci to ludzie, których pan nigdy nie uznałby za normalnych klientów”.

Wspierając podbródek na dłoni, Brue przerzucał tam i z powrotem cienkie, niewiele mówiące akta. Indeks był niekompletny, część papierów usunięto w trosce o ochronę tożsamości klienta. Protokoły ze spotkań - takie zapiski były tylko w aktach lipizzanerów — podawały czas i miejsce, ale nie temat rozmowy między nieuczciwym klientem a nieuczciwym bankierem.

Kapitał właściciela rachunku posłużył do zakupienia udziałów w zagranicznym funduszu inwestycyjnym na Bahamach — standardowa praktyka w przypadku lipizzanerów.

Fundusz ten należał do pewnej fundacji z Liechtensteinu.

Udział właściciela rachunku w tej fundacji miał formę obligacji na okaziciela zdeponowanych w banku Freres.

Obligacje te zostaną wydane “uprawnionym osobom” po przedstawieniu “właściwego numeru konta i dokumentu tożsamości” oraz czegoś, co określano dość zdawkowo mianem “odpowiedniego instrumentu dostępu”.

Inne szczegóły — patrz akta osobowe właściciela rachunku, tylko że się nie da, bo poszły z dymem tego samego dnia, gdy Edward Amadeus Brue, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, oficjalnie przekazał swemu

synowi klucze banku. Krótko mówiąc, żadnych zarejestrowanych przelewów, prawie żadnych formalności — wystarczy tylko “a kuku, to ja!” ze strony szczęśliwego posiadacza rachunku, dowolny dowód tożsamości ze zdjęciem oraz ten tak zwany “instrument”, i nieokreślona liczba *junk bonds* przechodzi z jednej brudnej ręki do drugiej — wymarzony scenariusz każdego, kto chce wyprać pieniądze.

55

\* \* \*

- *Tylko że...* - mruknął Brue na głos.

Tylko że w przypadku pułkownika Grigorija Borysowicza Karpowa, byłego żołnierza Armii Czerwonej, “osoba uprawniona” — jeżeli taką się okaże - to jeden z wyklętego ludu ziemi, któremu wcale się nie podoba, że musi się z bankiem kontaktować, bo najchętniej nie zrobiłby nic i umarł z głodu. A poza tym tonie, lecz wystarczy, bym wyciągnął do niego rękę. Uważa, że jestem jego jedynym ratunkiem i że beze mnie wróci do piekła.

Ale Brue myślał nie o swojej ręce, tylko o dłoni Annabel Richter: bez pierścionków, z dziecinnie krótko obciętych paznokciami.

Na ulicy ruch już zamarł. Dziś brydżowy wieczór Mitzi. Spojrzał na zegarek. O Boże, jak ten czas zleciał! Jak to się stało, że jest już tak późno? Zresztą co to znaczy: późno? Czasem grają do rana. Miał nadzieję, że wygrywa. Lubi wygrywać. Nie dla pieniędzy. Dla samego wygrywania. Jego córka, Georgie, była kompletnie inna. Georgie była miękka. Szczęśliwa dopiero wtedy, gdy przegrywała. Gdyby ją zostawić z zawiązanymi oczyma w pokoju pełnym facetów, wśród których jeden

byłby stuprocentowym nieudacznikiem, można założyć się o wszystko, że po paru minutach nieomylnie by się z nim zwąchała.

A ty, Annabel Richter z Azylu Północ? Jaka ty jesteś? Wygrywasz czy przegrywasz? Skoro pragniesz zbawiać świat, prawdopodobnie to drugie. Ale jeżeli przegrywasz, to niewątpliwie z honorem. Edward Amadeus byłby tobą zachwycony.

Brue bez namysłu po raz drugi wystukał jej numer telefonu.

### 3

Pierwsze wieści o obecności Issy w mieście dotarły do ciasnych pomieszczeń Działu Informacji Zagranicznych hamburskiego Urzędu Ochrony Konstytucji - mówiąc prościej, agencji wywiadu wewnętrznego - późnym popołudniem czwartego dnia jego wędrówki po mieście, a więc mniej więcej wtedy, gdy wstrząsany dreszczami i zlany potem pojawił się przed drzwiami Leili i poprosił, aby go wpuszczono do środka.

“Dział”, jak pogardliwie określano tę jednostkę organizacyjną w innych częściach Urzędu, znajdował się nie w głównym budynku położonego za miastem kompleksu służb specjalnych, ale na najdalszym końcu dziedzińca i tak blisko ogrodzenia z ostrego jak brzytwa drutu, jak można było się znaleźć bez rozcięcia sobie skóry. Ponura oficyna, w której gnieździła się szesnastoosobowa załoga, uzupełniona jeszcze przez nieliczny kontyngent analityków, obserwatorów, podsłuchiwczy i kierowców, była kiedyś stajnią SS, górowała zaś nad nią wieżyczka z nieczynnym zegarem, zapewniająca panoramiczny widok na stare opony samochodowe i

całkowicie zapuszczone ogrodowe grządki.

Stworzony na życzenie niedawno powstałego w Berlinie Połączonego Komitetu Kierowniczego - powstałego po to,

57

by dokonać całkowitej reorganizacji rozdrobnionego i znanego z nieskuteczności wywiadu i kontrwywiadu niemieckiego - Dział miał być zwiastunem planu zlikwidowania nadmiernych podziałów kompetencyjnych w imię stworzenia zreformowanej i zintegrowanej instytucji. Choć na papierze podlegał lokalnemu kierownictwu i nie posiadał uprawnień policji federalnej, jego szefowie nie odpowiadali ani przed hamburskimi specsłużbami, ani przed kwaterą główną tychże służb w Kolonii, lecz przed tym samym nieokreślonym i wszechmocnym ciałem w Berlinie, które specsłużbom narzuciło taką konkurencję.

Z kogo lub z czego składało się to wszechmocne ciało z Berlina? Już samo jego pojawienie się nappełniło strachem serca broniącej swego stanu posiadania szpiegokracji. Prawda- Połączony Komitet był z nazwy li tylko zgromadzeniem najważniejszych postaci każdej z głównych służb, stworzonym po to, by poprawić ich współdziałanie po serii cudem unikniętych spisków terrorystycznych na terenie Niemiec. Po wstępnym sześciomiesięcznym okresie funkcjonowania miał - przynajmniej według wersji oficjalnej - wydać zalecenia dla obu instytucji państwowych mających wpływ na niemiecki wywiad: Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Urzędu Kanclerskiego. I nic więcej.

A właściwie - więcej.

Bo w rzeczywistości działanie Połączonego Komitetu miało wstrząsnąć

posadami niemieckich służb specjalnych: miało, ni mniej, ni więcej, stworzyć od podstaw nowy system zarządzania i kontroli, rozciągający się na wszystkie większe i mniejsze agencje wywiadowcze podporządkowane -w sposób bardzo nietypowy dla rozwiązań dotychczas preferowanych w Republice Federalnej - nowo kreowanemu koordynatorowi służb specjalnych, istnemu jedynowładcy tych służb, osobistości o niespotykanych dotąd uprawnieniach.

Kimże będzie ten straszliwy koordynator?

Nikt nie wątpił, że zostanie wybrany właśnie spośród członków tajemniczego Komitetu. Ale z której frakcji? W którą stronę

58

przechyli się szala w sytuacji, gdy polityczna stabilność Niemiec zależy od kaprysów chwiejnej koalicji? Jaką wizję, jaki program przyniesie ze sobą? Względem kogo będzie miał zobowiązania? I kogo wyrzuci, a kogo zostawi w spokoju, gdy zabierze się za porządki w tej stajni Augiasza?

Na przykład: czy policja federalna nadal będzie miała przewagę nad swą konkurencją ze służb specjalnych w odwiecznej walce o prymat w dziedzinie kontrwywiadu? Czy Federalna Służba Wywiadu Zagranicznego pozostanie jedyną instytucją uprawnioną do niejawnych działań poza terytorium kraju? A jeśli tak, to czy wreszcie pozbędzie się ze swych szeregów balastu byłych wojskowych i pseudodyplomatów, od których roi się w placówkach zagranicznych? Bo to na pewno świetni ludzie, jeśli trzeba bronić ambasad niemieckich w czasach zamieszek, ale znacznie mniej sprawni w skomplikowanych zadaniach pozyskiwania źródeł i prowadzenia siatek wywiadowczych.

Nic więc dziwnego, że w tym powszechnie panującym wśród niemieckich specśłużb nastroju podejrzeń i niepewności stosunki między tajemniczymi berlińskimi przybłędami a ich hamburskimi gospodarzami były w najlepszym razie chłodne, co wpływało na najdrobniejsze nawet elementy ich codziennej współpracy; czyli także na to, że zainteresowanie jednej strony dziedzińca wywołane pojawieniem się Issy nie musiało wcale być podzielane przez drugą stronę. Prawdę mówiąc, gdyby nie bujna - według niektórych: chorobliwa — wyobraźnia nadpobudliwego Gunthera Bachmanna z Działu, ukradkowe przybycie człowieka imieniem Issa mogłoby pozostać niezauważone.

No właśnie, a ten cały Günther Bachmann z Berlina — co on za jeden i jaki jest?

Jeżeli są na świecie ludzie, dla których szpiegostwo stanowi jedyne możliwe powołanie, to Bachmann niewątpliwie

59

był takim człowiekiem. Nim skończył trzydziestkę, ów poliglota wychowany przez pełną temperamentu matkę, Niemkę z Ukrainy, i jej kolejnych mężów najróżniejszych narodowości oraz podobno jedyny oficer we wszystkich służbach, którego akademickie kwalifikacje nie wykraczały poza szkołę średnią — a i z niej zresztą wyrzucono go z wilczym biletem - zaliczył już ucieczkę z domu na morze, wędrówkę po Hindukuszu, odsiadkę w Kolumbii i napisanie tysięczstronicowej, nie nadającej się do druku powieści.

Mimo to w trakcie tych wysoce nieszablonowych zajęć udało mu się

jakoś odkryć w sobie swą prawdziwą narodowość i prawdziwe powołanie. Najpierw wypłynął jako przygodny agent jakiejś daleko wysuniętej niemieckiej placówki, potem już jako etatowy, chociaż pozbawiony przykrycia dyplomatycznego uczestnik operacji niejawnych: w Warszawie, bo mówił po polsku, w Adenie, Bejrucie, Bagdadzie i Mogadiszu, bo znał arabski, i wreszcie w Berlinie, bo narozrabiał i trzeba było dać mu trochę wytchnienia po wywołanym przez niego i w ostatniej chwili zatuszowanym gigantycznym skandalu, o którym krążyły tylko niejasne plotki: nadgorliwość, o jedną próbę szantażu za dużo, nagłe odwołanie pewnego niemieckiego ambasadora.

Potem, już ostrożniej i pod innym nazwiskiem, powrót do Bejrutu, żeby robić to, co robił zawsze lepiej od innych, choć może niezupełnie zgodnie z regulaminem - ale od kiedy to w Bejrucie najbardziej liczy się regulamin? A więc: wszelkimi sposobami wyszukiwać, werbować i prowadzić agentów w terenie, czyli klasyczna prawdziwa praca wywiadowcza. Jednakże w pewnym momencie nawet w Bejrucie znów zrobiło mu się za gorąco i biurko w Hamburgu zostało uznane za najbezpieczniejsze miejsce dla Bachmanna - jeżeli nie przez samego Bachmanna, to przez jego berlińskich mocodawców.

Bachmann wszakże nie był człowiekiem, którego łatwo posłać na zieloną trawkę. Ci, którzy twierdzili, że Hamburg to zesłanie, nie wiedzieli, o czym mówią. Bachmann, obecnie do-

brze już po czterdziestce, był niechlujnym, łatwo wpadającym w gniew człowiekiem nieokreślonej rasy, barczystym i często obsypanym popiołem

z własnych papierosów na klapach marynarki, które gorliwie strzepywała Erna Frey, jego wieloletnia współpracowniczka i asystentka, postać niezwykła. Do tego wszystkiego był Bachmann zapamiętałym w działaniu, charyzmatycznym i przymuszającym innych do posłuchu pracoholikiem o czarującym uśmiechu. Jego jasna, młodzieńcza czupryna nie pasowała do gęsto krzyżujących się na jego czole zmarszczek. Umiał jak aktor schlebiać, czarować i straszyć. W jednym i tym samym zdaniu zdolny był prawić czułe słówka i rzucać najstraszliwsze przekleństwa.

— Niech sobie połazi, niech jest wolny jak ptak - powiedział do Erny Frey, gdy stali ramię w ramię w zatęchłej jaskini analityków w dawnej stajni SS, patrząc, jak ich najlepszy haker Maximilian wyczarowuje na ekranach kolejne ujęcia Issy. - Niech gada, z kim kazano mu pogadać, modli się, gdzie kazano mu się modlić, i śpi, gdzie kazano mu spać. Niech mi go nikt nie zaczepia, zanim my się za niego nie weźmiemy. A już na pewno niech mu dadzą spokój te dupki z naprzeciwka.

\* \* \*

Pierwsza urzędowa wzmianka o Issie, jeżeli w ogóle tak to można określić, nie zawierała sama w sobie nic interesującego. Europejski nakaz aresztowania wydany przez komendę główną policji szwedzkiej w Sztokholmie informował wszystkich sygnatariuszy, że nielegalny imigrant z Rosji, tu imię, nazwisko, zdjęcie, rysopis, obecne miejsce pobytu nieznane, ulotnił się ze szwedzkiego aresztu. Takich komunikatów pojawia się kilka dziennie, więc w centrum operacyjnym specszużb po drugiej stronie dziedzińca został on zauważony, ściągnięty z Internetu, dodany do rzędów podobnych dokumentów, którymi udekorowano ściany



pokoju pracowniczego, i natychmiast zapomniany.

61

Ale twarz Issy musiała wryć się w świadomość Maximiliana, bo w ciągu paru następnych godzin, gdy atmosfera w jaskini analityków Bachmanna tężała coraz bardziej, powoli napływali też pracownicy z innych zakamarków dawnej stajni, by nic nie stracić z tego podniecającego spektaklu. Dwudziestosiemioletni Maximilian jąkał się niemal bez przerwy, miał pamięć jak dwunastotomowa encyklopedia i intuicyjną zdolność kojarzenia najbardziej odległych faktów. Jednakże było już dobrze po kolacji, gdy odchylił się w fotelu i złączył długie piegowate palce za rudą głową.

—*Play it again*, Maximilian — rozkazał Bachmann jak Borgart, przerywając kościelną niemal ciszę rzadko przez siebie używaną angielszczyzną. Maximilian zaczerwienił się i zaczął od nowa:

Zdjęcia Issy zrobione na szwedzkim komisariacie, *en face* i oba profile, z napisem LIST GOŃCZY u góry i równie wielkim, jakby ostrzegawczym napisem: KARPOW, ISSA, u dołu.

Dziesięć wierszy tekstu wytluszczoną czcionką, opisującego go jako zbiegłego z aresztu działacza muzułmańskiego, urodzonego dwadzieścia trzy lata temu w Groźnym w Czeczenii, on sam zresztą też może być groźny, przy kontakcie zachować ostrożność. Zaciśnięte usta. Bez uśmiechu, bo do zdjęcia na list gończy nie wolno się uśmiechać.

I szeroko otwarte oczy, obolałe po nocach i dniach spędzonych w dusznej czerni kontenera. Nieogolony, wynędzniały, gotowy na wszystko.

- Skąd wiemy, że podał prawdziwe nazwisko? - zapytał Bachmann.
- Wiemy, że nie podał - odpowiedziała tym razem Erna Frey, bo Maximilian zbyt długo zmagał się z odpowiedzią. - Podał jakieś czeczeńskie nazwisko, ale wydali go towarzysze podróży z kontenera. "To Issa Karpow," powiedzieli. "Ten rosyjski arystokrata, co uciekł".

62

- Arystokrata?

- Tak jest w raporcie. Kumple uznali, że zadziera nosa. Ze wydaje mu się, że jest nie wiadomo kim. Jak można zadzierać nosa w kontenerze, to tajemnica, której na razie nie udało nam się zgłębić.

Maximilian tymczasem przewyciężył jąkanie.

— Szwedzka policja podejrzewa, że wrócił na statek i prze kupił załogę - wyrzucił z siebie naraz mnóstwo słów. - A ostatnim portem, do którego ten statek zawinął, była Kopenhaga. - I to słowo było już prawdziwym triumfem ludzkiej woli nad naturą.

Zamazane klatki filmu ukazujące chudego mężczyznę z brodą, w długim czarnym płaszczu, arafatce i mycce w zygzakowaty wzorek, wysiadającego z budy ciężarówki.

Kierowca macha ręką.

Odchodzący pasażer - nie.

Dobrze znane okolice dworca głównego w Hamburgu. Długie rzędy pastelowożółtych taksówek.

Ta sama chuda postać wyciągnięta poziomo na dworcowej ławce. Znowu ta sama postać, ale tym razem siedzi, rozmawia z żywo

gestykulującym grubasem, przyjmuje od niego papierowy kubek z jakimś płynem, popija małymi łyżkami. Porównanie zdjęcia Issy z listu gończego z wyostrzonymi klatkami przedstawiającymi chudzielca na ławce.

Kolejna klatka z tym samym chudym brodaczem, tym razem stojącym w holu dworca.

— Szwedzi go zmierzili — powiedział po paru próbach Maximilian. — Wysoki jest. Prawie dwa metry.

Na ekranie obok najpierw leżącego, a potem siedzącego brodacza pojawia się wirtualna miarka. Można na niej odczytać: metr dziewięćdziesiąt trzy.

— Do jasnej cholery, co ci do głowy przyszło, żeby zabrać się za filmy z dworca w Hamburgu? - nie dowierzał Bachmann.

— Dostajesz ze Szwecji fotkę gościa, który popłynął do Danii,

63

a ty go szukasz między pijanymi menelami na dworcu w Hamburgu? Chyba zaraz cię wsadzę za jasnowidztwo!

Purpurowy z zadowolenia Maximilian całkiem niepotrzebnie podniósł jedną rękę, żeby dalej go słuchano, podczas gdy drugą już klikał w ekran:

Powiększone zdjęcie tej samej ciężarówki przed dworcem, widok boczny, brak oznaczeń.

Powiększone zdjęcie tej samej ciężarówki, widok tylny. Maximilian robi zbliżenie tablicy rejestracyjnej. Jest częściowo zakryta jakąś czarną szmatą. Z jednej strony widoczny symbol Unii Europejskiej i pierwsze dwie litery duńskiej rejestracji. Maximilian usiłuje coś powiedzieć, ale mu

się nie udaje. Wyrećza go jego ładniutka dziewczyna, pół-Arabka Niki z sekcji nasłuchu:

- Szwedzi wy pytali o niego innych pasażerów na gapę - mówi, a Maximilian potakuje. — Chciał się koniecznie dostać do Hamburga. Tam i nigdzie indziej. W Hamburgu miały się skończyć wszystkie jego kłopoty.
- Nie mówił, jak to się miało stać?
- Nie. Jak go pytali, od razu robił się tajemniczy i nieufny. Towarzysze podróży uznali, że mu odbiło.
- Im wszystkim odbiło, jak trochę pomieszkali w tym kontenerze. Po jakimu mówi?
- Po rosyjsku.
- Tylko po rosyjsku? Po czeczeńsku nie?
- Według Szwedów nie. Może nie sprawdzili.
- Ale na imię ma Issa. A Issa to Jezus. Jezus Karpow. Ma rosyjskie nazwisko i muzułmańskie imię. Skąd mu się to wzięło, do cholery?
- Günther, kochanie, to nie Niki nadała mu imię - mruknęła Erna Frey.
- A otczestwo? - narzekał dalej Bachmann. - Co z jego rosyjskim otczestwem? Zostawił w więzieniu czy co?

Zamiast odpowiedzieć, Niki wznowiła opowieść w zastępstwie ukochanego:

64

- Günther, Maximilian wpadł na genialny pomysł. Wymyślił, że skoro statek miał zawinąć do Kopenhagi, a chłopak chciał się dostać do Hamburga, to może trzeba sprawdzić zapis z kamer

na dworcu po przyjeździe każdego pociągu z Kopenhagi.

Bachmann bardzo niechętnie udzielał pochwał, więc udał, że tego nie słyszy.

- Czy Issa bezotczestwowicz Karpow jest jedyną osobą, która wysiadła z tej duńskiej ciężarówki z zakrytą rejestracją?

- Był sam. Prawda, Maximilian? Solo. - Entuzjastyczne potakiwanie Maximiliana. - Z duńskiej ciężarówki nikt poza nim nie wysiadł, kierowca też nie ruszył się z szoferki.
- To mi powiedz, kim jest ten gruby sukinsyn.
- Jaki gruby sukinsyn? - Niki na chwilę straciła głowę.
- Gruby sukinsyn z papierowym kubkiem. Ten stary gruby sukinsyn, co gadał z naszym chłopakiem w holu dworca. Miał czarną marynarską czapkę. Czy tylko ja widziałem grubego sukinsyna? O nie. Nasz chłopak coś powiedział wspomnianemu staremu grubemu sukinsynowi. Po jakiemu mówili? Po rosyjsku? Czeczeńsku? Arabsku? Łacinie? Klasyczną greką?... A może nasz chłopak zna niemiecki, tylko my o tym nie wiemy?

Maximilian znowu podnosi rękę. Drugą klika na film ze starym grubym sukinsynem, by powiększyć ten fragment obrazu. Puszcza film najpierw w czasie rzeczywistym, potem w zwolnionym tempie: łysy, krępy starszy pan o wojskowej postawie, w kawaleryjskich butach, ceremonialnie podaje plastikowy lub papierowy kubek. W jego gestach jest jakaś zabawna godność, niemal kapłańska. I rzeczywiście - stary gruby sukinsyn i nasz chłopak niewątpliwie mówią jeden do drugiego.

- To teraz pokaż mi jego przegub.
- Jaki przegub?

- Przegub ręki! - wrzasnął Bachmann. - Przegub ręki chłopaka, cholera, no, jak bierze tę kawę. Przybliż.

Piękna bransoleta, może ze złota, może ze srebra. Zwisa z niej maleńka otwarta książka.

65

- Gdzie Karl? Karl, gdzie jesteś? - nie przestaje krzyczeć Bachmann, obracając się i rozkładając ręce, jakby właśnie zo stał okradziony.

Karl stoi tuż obok niego. Karl to były ulicznik z Drezna. Ma na koncie trzy wyroki jako młodociany i dyplom z nauk społecznych. I nieśmiały bezsilny uśmiech.

- Karl, bądź tak dobry, idź na dworzec. Może to przypadkowe spotkanie między starym grubym sukinsynem a naszym chłopakiem wcale nie było takie przypadkowe. Może nasz chłopak w ten sposób dostaje rozkazy albo to w ogóle jego główny kontakt. A może tylko widzimy żałosnego starucha, któremu w życiu zostało już tylko częstowanie kawą w papierowym kubku przystojnych chłopaczków na dworcach o drugiej w nocy. Pogadaj z tymi świętymi ludźmi ze schroniska, co się tam opiekują naszymi biednymi braćmi. Zapytaj, czy nie wiedzą, kto taki w samym środku nocy poczęstował naszego chłopaka tym czymś w papierowym kubku. Może ten ktoś częściej tam bywa. Nie pokazuj żadnych zdjęć, bo ich spłoszysz. Mów im czule słówka i trzymaj się z daleka od policjantów z dworca. I miej gotową jakąś bajeczkę. Na przykład że ten stary gruby sukinsyn to twój wujek, z którym się dawno nie widziałeś. Albo że wisisz mu pieniądze. Tylko nie

narozrabiaj. Masz być cichutki i niewidzialny, tak jak potrafisz. Jasne?

•Jasne.

Bachmann mówi teraz do wszystkich: do Niki, jej kumpeli Laury, paru obserwatorów ulicznych, którzy przyszli z Karlem, do Maximiliana, Erny Frey:

- No więc tak to wygląda, moi drodzy. Szukamy faceta bez odczestwa i bez kontaktu z rzeczywistością. Z akt wiemy, że to działacz rosyjsko-czeczeński, który nie cofa się przed przemocą i potrafi wykupić się z tureckiego więzienia. No a przecież tam też za coś siedział, do diabła! I który umie uciec szwedzkiej policji portowej, daje łapówkę, żeby z powrotem przyjęli go na statek, z którego go ściągnięto, wymyka się z doków w Ko-

66

penhadze, wynajmuje ciężarówkę do Hamburga, przyjmuje pełny kubek od starego grubego sukinsyna, z którym odbywa rozmowę w nie wiadomo jakim języku i nosi złotą bransoletkę z Koranem. Takiego faceta musimy traktować z należnym szacunkiem. Amen!

Po czym odmaszerowuje do swego gabinetu, a Erna Frey, jak zawsze, idzie tuż za nim.

\* \* \*

Czy byli małżeństwem?

Pod każdym możliwym względem Bachmann i Erna Frey stanowili swe całkowite przeciwieństwo, więc może tak. Bachmann nienawidził ruchu na świeżym powietrzu, palił, przeklinał, pił za dużo whisky i poza

pracą nic go nie interesowało; Erna Frey była wysoka, nie nadużywała używek, dbała o kondycję, włosy miała krótko obcięte i porządnie utrzymane, pewny krok. Ochrzczona imieniem ciotki ze strony mamy i wysłana przez bogatych rodziców do elitarnej hamburskiej szkoły klasztornej dla córek możnych tego świata, ukończyła ją obciążona surowymi niemieckimi zasadami cnoty, zapobiegliwości, pobożności, uczciwości i honoru, dopóki nie uwolniło ją od nich zgryźliwe poczucie humoru i zdrowy sceptycyzm. Ktoś inny mógłby jeszcze wymienić staroświeckie imię na nowszy model, lecz nie Erna. Na turniejach tenisowych wciąż zamęczała przeciwników obojga płci smeczami i wolejami, na wycieczkach w Alpy wspinała się szybciej niż młodszy o połowę mężczyźni. Ale jej największą pasją było samotne żeglarstwo; wiedziano, że każdy zarobiony cent odkładała na kupno jachtu, którym zamierzała opłynąć kiedyś kulę ziemską.

Jednakże w pracy ta jakże niedopasowana para stawiała się rzeczywiście mężem i żoną, dzieląc te same pokoje, telefony, akta, komputery, własne zapachy i zwyczaje. Kiedy Bachmann łamał regulamin, zapalając ulubionego wstrętnego rosyjskiego papierosa,

67

Erna Frey demonstracyjnie kaszlała i rzucała się otwierać okna, ale na tym kończyły się jej protesty. Bachmann mógł sobie palić, aż pokój wypełniał się dymem jak wędzarnia ryb - nie mówiła mu już marnego słowa. Czy sypiali ze sobą? Plotkowano, że kiedyś spróbowali seksu, lecz potem uznali go za strefę zakazaną. Mimo to jeśli oboje zostawali w pracy na noc, bez wahania zasypiali obok siebie w ciasnym łóżku w pokoiku na końcu



korytarza.

A gdy ich świeżo skompletowany zespół zgromadził się po raz pierwszy na pośpiesznie wyremontowanej galeryjce w budynku po stajni, który miał stać się ich nowym domem, gdzie Bachmann witał wszystkich swym ulubionym badeńskim winem, a Erna Frey własnej roboty pieczenia z dzika z żurawiną, oboje byli tak dla siebie mili, tak świetnie i intuicyjnie wczuwali się w rolę gospodarzy, że goście wcale by się nie zdziwili, gdyby trzymali się za ręce: oczywiście do chwili, gdy Bachmann poczuł się w obowiązku wyjaśnić swym nowo zaciężnym żołnierzom, po jaką cholere tu są i jakie będzie odtąd ich miejsce na ziemi. Jego przemowa, chwilami rubaszna, chwilami mesjanistyczna, była równocześnie połączeniem bardzo subiektywnej lekcji historii z wezwaniem do broni. Nic dziwnego, że została z czasem nazwana kantatą Bachmanna. A brzmiała tak:

\* \* \*

- Kiedy zdarzył się jedenasty września, było nie jedno *Ground Zero*, tylko dwa - oświadczył, kierując do nich swe słowa to z jednej strony galeryjki, to z tyłu, by potem nagle pod drewnianymi belkami stropu pojawić się przed nimi niczym krępy dzinn z butelki. Każde słowo akcentował ostrym ruchem dłoni.
- Pierwsze było w Nowym Jorku. Druga strefa zero tej katastrofy, o której tyle się nie mówi, była tu, w Hamburgu.

Machnął ręką ku oknu.

- Ten dziedziniec tutaj był zasypany na trzydzieści metrów. Samym papierem. A żałośni baronowie niemieckich służb spe-

cjalnych grzebali tam i próbowali się zorientować, jak to się stało, do diabła, że tak fatalnie się pomylili. Z całej półkuli sprowadzaliśmy geniuszy, żeby nam poradzili i chronili nam tyłki. Szefów wszystkich specsłużb, tych, pożał się Boże, obrońców naszej świętej Konstytucji — śmiech słuchaczy, który zignorował — największych szpiegów z naszego wspaniałego wywiadu zagranicznego, jaśniepaństwo z naszej wszechwiedzącej Komisji do spraw Służb Specjalnych z Bundestagu, Amerykanów z tyłu agencji, że o większości nawet nie słyszałem, a ostatnio naliczyłem ich szesnaście. I ci wszyscy ludzie robili wszystko, żeby gównem zamieść pod cudze drzwi, byle nie pod własne. Mówię wam: tylu mądrych pierdzieli się tu wtedy wymądrzało, że te biedaki, co próbowały posprzątać i w ogóle cokolwiek zrobić, okropnie żałowały, że się ci mądrale nie zjawili parę tygodni wcześniej. Bo wtedy nie byłoby żadnego Mohammeda Atty ani zajadłych szczających na nich małą z mediów.

Ruszył wokół galerii, łokcie trzymał rozstawione na zewnątrz, pięści zaciśnięte.

- Hamburg zawalił. Zawalili wszyscy inni, ale po łbie dostało się Hamburgowi. — Teraz błaznował, odgrywając obie strony na wymyślonej konferencji prasowej: - "Czy mógłby nam pan powiedzieć, ilu pracowników władających językiem arabskim zatrudnia w tej chwili w tym mieście pańska instytucja?"

•zapiszczał i skoczył w lewo. — "Według najnowszych danych półtora pracownika". - Skok w prawo: - "Proszę pana, a jakie konkretne osoby podsłuchiwano i śledzono w mieście w ciągu miesięcy poprzedzających tę apokalipsę?" - Kolejny skok.

- “No więc, proszę pani, niech pomyślę... paru panów z Chin, podejrzewanych o kradzież naszej wspaniałej technologii... nastoletnich neofaszystów, którzy malują swastyki na żydowskich nagrobkach... kolejne pokolenie Frakcji Czerwonej Armii... Aha, no i jeszcze tych dwudziestu ośmiu byłych komunistów z geriatrici, pragnących powrotu ich ukochanej NRD”.

Zniknął im z oczu, by pojawić się na drugim końcu galeryjki, tym razem śmiertelnie poważny.

69

—Hamburg zawinił - oznajmił cicho. - Świadomie i nie świadomie. Hamburg może nawet sam tu ściągnął tych porywaczy. Czy to oni wybrali nas czy my ich? Bo zastanówmy się, jakie sygnały wysyła Hamburg przeciętnemu islamskiemu antysyjoniście, który zrobi wszystko, żeby rozwalić świat Zachodu? Wielowiekowy antysemityzm?... Mamy go w Hamburgu. Obozy koncentracyjne pod ręką?... Były. W porządku, zgoda, Hitler nie urodził się w Blankenese. Ale nie myślcie, że nie mógł. A banda Baader-Meinhof? Ulrike Meinhof urodziła się niedaleko stąd i Hamburg z dumą się do niej przyznaje. Nawet szkoliła się u Arabów. Imprezowała z innymi wariatami i potem razem z nimi bawiła się w porwania. Może Ulrike była jakimś takim sygnałem? Trochę za dużo Arabów kocha Niemców właśnie z takich niskich pobudek. Może nasi porywacze też? Jakoś nie zapytaliśmy ich o to, a teraz już raczej nie będzie okazji.

Odczekał, by cisza chwilę trwała, a potem jakby nabrał ducha.

—Ale o Hamburgu można też powiedzieć wiele dobrego — zaczął weselszym tonem. — Jesteśmy ludźmi morza. Jesteśmy bywałym w świecie, liberalno-lewicującym, szeroko otwartym państwem-miastem. Jesteśmy światowej klasy handlarzami ze światowej klasy portem i światowej klasy nosem do interesów. Nasi obcokrajowcy nie są dla nas obcymi. Nie jesteśmy jakimś tam zapyziałym miasteczkiem w głębi lądu, gdzie na obcokrajowców patrzy się jak na Marsjan. Obcokrajowcy wtopili się u nas w obraz miasta. Od wieków miliony sobowtórów Mohammeda Atty piją nasze piwo, rzną się z naszymi dziewczynkami, a potem wracają na swój statek. I ani ich nie witamy, ani nie żegnamy, ani nie pytamy, co tu robią, bo jesteśmy do nich przyzwyczajeni. Tutaj są Niemcy, lecz jakby obok Niemiec. Jesteśmy lepsi od Niemiec. Jesteśmy Hamburgiem, ale też Nowym Jorkiem. W porządku, nie mamy Bliźniaczych Wież. Co z tego? Nowy Jork już też nie ma. Ale jesteśmy interesujący. I ciągle przyciągamy niewłaściwych ludzi.

## 70

Zapadła kolejna chwila ciszy, podczas której rozważał to, co powiedział do tej pory.

- A skoro mowa o sygnałach... Mam wrażenie, że trzeba za to winić naszą świeżutką, wazeliniarską tolerancję odmienności religijnej i etnicznej. No bo miasto, które czuje się winne, które chce odkupić swoje dawne grzechy i dlatego obnosi się ze swoją niewyczerpaną, zadziwiającą, bezkrytyczną

tolerancją... No cóż, to też jest jakiś sygnał. To tak naprawdę zachęta, żeby nas odwiedzić i wypróbować.

W ten sposób zbliżał się do swego ulubionego tematu, na który wszyscy czekali i dla którego właśnie ściągnięto ich tu z Berlina czy Monachium, skoszarowano w ruderze, dawnej es-esmańskiej stajni w Hamburgu. Zaraz zacznie toczyć pianę, roztrzaskując wstrząsającą porażkę zachodnich wywiadów - a przede wszystkim wywiadu niemieckiego — jaką była niezdolność zwerbowania choćby jednego solidnego źródła informacji w jakiegokolwiek fundamentalistycznej grupie islamskiej.

- Myślicie, że po jedenastym września cokolwiek się zmieniło? — zapytał wściekły, nie wiadomo, na nich czy na siebie. — Wydaje się wam, że dwunastego września nasz wspaniały wywiad zagraniczny, stanąwszy w obliczu wizji globalnego zagrożenia terrorystycznego, ponarzuczał arafatki, ruszył na suki Ade-nu, Mogadiszu, Kairu, Bagdadu i Kandaharu i zaraz nakupił informacji, gdzie wybuchnie następna bomba i kto tym razem naciśnie guzik? Wiem, wszyscy znamy ten głupi kawał: Araba nie da się kupić, ale można go wynająć. A my, kurwa, nawet nie umieliśmy wynająć! Poza paroma szlachetnymi wyjątkami, którymi nie chcę was w tej chwili nudzić, nie mieliśmy wtedy żadnych źródeł, samo gówno. I dalej mamy gówno.
- O, pewnie, płacimy Bóg wie ilu dzielnym niemieckim dziennikarzom i biznesmenom, czasem nawet nie tylko niemieckim, ale oni z dziką radością sprzedają nam jakieś śmieci, żeby dorobić do pensji i jeszcze nie zapłacić od tego podatków. Tylko że to nie są źródła. To nie są chciwi, rozczarowani, ra-

dykalni imamowie, to nie są smarkaci islamiści w pół drogi do pasa z bombami. To nie śpiochy Osamy, jego łowcy talentów, jego kurierzy, jego kwatermistrzowie czy skarbnicy, czy choćby jakaś dziesiąta woda po kisielu. To tylko ludzie, z którymi przyjemnie umówić się na kolację. Odczekał, aż ucichnie śmiech.

- A kiedyśmy się obudzili i okazało się, że coś takiego by się przydało, to tego nie było.

My, zauważyli słuchacze. My w Bejrucie. My w Mo-gadiszu i Adenie. To królewskie m y Bachmanna. Bo Bachmann umiał znaleźć źródła, prawdziwe dobre źródła, wszyscy w światku tajnych służb dobrze o tym wiedzieli. A czy je kupował, czy wynajmował — wszystko jedno. Ale może on też je utracił. Albo musiał się ich wyprzeć ze względów bezpieczeństwa.

-Wydawało nam się, że przeciągniemy ich na drugą stronę samym tylko naszym wdziękiem. Wydawało nam się, że skusimy ich naszymi szlachetnymi buziami i grubymi portfelami. Siedzieliśmy, kurwa, na parkingach przez całą noc i czekaliśmy, żeby ktoś wsiadł do tyłu i ubił z nami interes. Tylko że nikt nie przyszedł, nikt się nie pojawił. Przeszukiwaliśmy eter, żeby złamać ich szyfry. Ale oni, kurwa, nie mają żadnych szyfrów. Dlaczego? Bo to już nie jest zimna wojna. My walczymy teraz z jakimś drobnym ułamkiem państwa, które nazywa się Islam, które ma pół miliarda ludności i odpowiednio wielką infrastrukturę pasywną. Wydawało nam się, że można robić wszystko tak, jak do tej pory, ale kurwa, myliliśmy się jak ostatni idioci.

Pozwolił sobie na dygresję i gniew w nim opadł.

- Słuchajcie, przecież ja to przerabiałem - zwierzył się.  
- Zanim zacząłem się zajmować Arabami, prowadziłem grę z takimi jak ja po sowieckiej stronie. Kupowałem ludzi, sprzedawałem. Przerabiałem podwójnych agentów na potrójnych i tak dalej, aż za cholere nie wiedziałem, kto jest kim. Tylko że wtedy nikt nie odrzynał mi głowy. Nikt mi nie wysadzał w powietrze żony i dzieci, jak opalały się na Bali albo jak jechały do szkoły

## 72

w Madrycie czy w Londynie. Teraz zasady się zmieniły. A my, niestety, nie... - urwał i przeniósł się do innej części galeryjki, sygnalizując tym samym kolejną zmianę nastroju.

- Zresztą nawet po jedenastym września nasz ukochany *Va-terland*... o, przepraszam, nasz *Heimat* był nietykalny, no przecież na pewno! — wyrecytował z wybuchem gorzkiego śmiechu. - My, Niemcy, możemy dalej jeździć sobie, gdzie chcemy! Z gołym tyłkiem! Włos nam z głowy spaść nie może, bo jesteśmy tacy cudowni, tacy niemieccy, tacy nietykalni! W porządku, daliśmy schronienie paru islamskim fundamentalistom, terrorystom, trzech z nich zebrało się do kupy i rozwalilo WTC i Pentagon. I co z tego? Po to tu przyjechali, udało im się. Problem z głowy. Uderzyli w samo serce Wielkiego Szatana i przy okazji sami się zabili. Cholera jasna, myśmy byli dla nich punktem zbornym, nie celem! My nie mamy się czego bać! Więc paliliśmy świeczki za tych biednych Amerykanów. I modliliśmy się za tych biednych Amerykanów. I okazaliśmy ile wlezie nic nas nie kosztującej solidarności. Ale nie muszę nikomu z obecnych tłumaczyć, że jest w tym kraju dość dupków, którzy

wcale nie zmartwili się tym, że Forteca Ameryka dostała raz tym samym, czym wojuje, i że część tych dupków siedziała całkiem wysoko w Berlinie, i dalej siedzi. A jak zaczęła się wojna w Iraku, to my, porządni Niemcy, nie chcieliśmy mieć z nią nic do czynienia i przez to staliśmy się jeszcze bardziej nietykalni. Potem był Madryt. W porządku. Potem Londyn. W porządku. Ale nie Berlin, nie Monachium, nie Hamburg. My byliśmy na to, kurwa, za bardzo nietykalni.

Teraz wybrał sobie jeden kąć galeryjki i przemawiał do nich po przekątnej bardziej poufałym głosem.

— Tylko że mamy tu dwa maleńkie problemy. Właściwie problemiki. Pierwszy problemik jest taki, że Niemcy udostępniają Ameryce przepiękne bazy wojskowe, pozostałość po traktatach z czasów, kiedy należeliśmy do nich, bo nas pokonali. Pamiętacie ten piękny czarny transparent wywie-

## 73

szony na Bramie Brandenburskiej przez naszych wybranych w wolnych wyborach władców? "*Wir trauen* — nasze najgłębsze wyrazy współczucia". Nie znalazł się tam przez pomyłkę. A drugi problemik to nasze niezłomne, bezwzględne i płynące z poczucia winy poparcie, jakie udzielamy państwu Izrael. Popieraliśmy je przeciwko Egipcjanom, Syryjczykom i Palestyńczykom, przeciwko i Hamasowi, i Hezbollahowi. A kiedy Izrael zbombardował Liban do gołej ziemi, to my, Niemcy, poradziliśmy się własnego nieczystego sumienia i mówiliśmy tylko o tym, jak chronić ten dzielny mały Izrael. I wysłaliśmy naszych dzielnych chłopaczków w mundurach do Libanu, żeby tym się zajęli, czym na pewno



nie zaskarbiliśmy sobie sympatii Libańczyków i innych Arabów, bo według nich pośpieszyliśmy z pomocą miejscowemu chuliganowi, który rozrabia z pełnym przyzwoleniem i zachętą ze strony panów Busha, Blaira i paru innych dzielnych światowych mężów stanu, którzy z czystej skromności postarali się, żeby ich nazwiska nie znalazły się w tej złotej księdze.

— No i zaraz na naszych niemieckich torach kolejowych znaleziono parę libańskich bomb, które gdyby wybuchły, sprawiłyby, że Londyn i Madryt wyglądałyby jak pierwsze wprawki przed prawdziwym występem. Potem nawet nasi politycy uznali, że jest cena, którą przyjdzie zapłacić za publiczne pokazywanie Amerykanom środkowego palca i prywatne lizanie im dupy. Że niemieckie miasta to przyszłe ofiary. I tak jest do dziś.

Rozejrzał się po sali, wpatrując się po kolei w każdą twarz. Ręka Maximiliana już była w górze, bo z czymś się nie zgadzał. Podobnie stojąca obok niego Niki. Potem inni. To Bachmanna ucieszyło. Uśmiechnął się szeroko.

— W porządku, nawet nie musicie mówić. Chcecie mi powiedzieć, że jak zaczynali spiskować ci Libańczycy, co podłożyli bomby, to jeszcze nie wiedzieli, że ktoś znowu napadnie na ten ich Liban, tak? O to wam chodzi?

Ręce opadły. O to im chodziło.

**74**

- Że wkurzyli się o tych parę bardzo paskudnych rysuneków z prorokiem Mahometem w duńskiej prasie, tych, które

niemieckie gazety tu i ówdzie przedrukowały, bo im się wydawało, że to takie odważne i że w końcu jest swoboda słowa, tak?

Tak.

— To może ja się mylę?... Nie, ja się nie mylę! Mam w dupie, o co się wkurzyli. Ale liczy się to, że zagrożenie, z którym mamy do czynienia, nie rozróżnia między winą indywidualną a zbiorową. Nie mówi: "Ty jesteś dobry, ja jestem dobry, a ta Erna wcale nie jest dobra". Ono mówi: "Wszyscy jesteśmy bandą złych niewiernych, bluźnierców, morderców, cudzołóżników i nieprzyjaciół Boga, więc wszystkim nam należy się wpierdol". Dla takich ludzi i dla wszystkich innych, którzy podzielają to zdanie, a których my bardzo chcemy jak najszybciej znaleźć, istnieje albo półkula zachodnia, albo Islam. Pośrodku nie ma nic.

I wtedy przeszedł do sedna sprawy.

- Źródła, których my, świeżo ściągnięci do Hamburga pariasi, będziemy szukać, muszą jakoś zostać stworzone. One nawet jeszcze nie wiedzą, że istnieją, póki im nie powiemy. Same do nas nie przyjdą. My je znajdziemy. Będzie nas mało. Będziemy działać na ulicach. My robimy w detalu, nie w wielkich hurtowych wizjach. My nie mamy z góry ustalonego celu, do którego nam się przydadzą. Znajdziemy kogoś, popracujemy nad nim, zobaczymy, czy się nadaje, i wykorzystamy do tego, do czego się go da wykorzystać. Jego albo ją. Zabierzemy się za takich, do których nie dociera nikt. Za małych gostków po meczetach, co umieją trzy słowa po niemiecku. Zaprzyjaźnimy się z nimi

i z ich przyjaciółmi. I będziemy patrzeć, czy nie pojawi się jakiś spokojny przybysz, niewidzialny koczownik wędrujący nie wiadomo gdzie, którego przekazują sobie z domu do domu, z meczetu do meczetu.

— Przetrząśniemy wszystko, co zostało w archiwach *Herr* Arniego Mohra i jego specsłużb po drugiej stronie dziedzińca,

75

przełądniemy stare sprawy, które zaczęły się z fanfarami, a potem zdechły, kiedy figurant się przestraszył albo przeniósł do innego miasta, gdzie miejscowa placówka była tak debilna, że nie wiedziała, jak się za niego zabrać, albo nie chciała wiedzieć. Będziemy mieli gdzieś wrzaski naszych gospodarzy i znajdziemy tych starych figurantów. I znowu ich przebadamy. Bo teraz to my ustalamy reguły gry.

Na koniec miał jeszcze dla nich jedno ostrzeżenie, bardzo dla niego typowe, bo anarchistyczne.

— I bardzo proszę pamiętać, że jesteśmy nielegalni. Jak bardzo nielegalni, naprawdę nie mam pojęcia, bo w odróżnieniu od naszych szlachetnych kolegów po fachu nie jestem wielkim prawnikiem. Ale z tego co mi mówiono, nawet nie wolno nam podetrzeć sobie tyłka bez uprzedniej pisemnej zgody Sądu Najwyższego, Stolicy Apostolskiej, Połączonego Komitetu z Berlina i naszej ukochanej policji federalnej, która gównem wie, a nie jak się szpieguje, za to ma wszystkie uprawnienia, które słusznie zabrano służbom wywiadowczym, żebyśmy przez pomyłkę nie zrobili z siebie gestapo. A teraz do roboty. Muszę się napić.

\* \* \*

Całonocny bar nazywał się Hampelmann i znajdował się na wybrukowanej kocimi łbami bocznej uliczce niedaleko głównej hali dworca. Nad słabo oświetlonym wejściem dyndał żeliwny tytułowy pajacyk, tej nocy zaś - jak chyba każdej - miał zaszczyt gościć dżentelmena początkowo znanego grupie Giin-thera Bachmanna jako "stary gruby sukinsyn".

Teraz wiedzieli już, że dżentelmen nazywa się skromnie: Muller, ale wśród innych bywalców Hampelmanna występuje pod znacznie godniejszym przydomkiem Admirał. Admirał miał za sobą dziesięć lat niewoli sowieckiej, będącej nagrodą za wierną służbę na łodziach podwodnych hitlerowskiej Floty Północnej.

76

Odszukał go Karl, ten nawrócony ulicznik z Drezna, i przekazawszy przez telefon jego nazwisko i miejsce pobytu, trzymał przy nim milczącą straż przy sąsiednim stole. Jąkający się geniusz komputerowy Maximilian wyczarował skądś jego datę urodzenia, życiorys i policyjną kartotekę — wszystko w ciągu paru minut. A teraz po zadymionych schodach z cegły do położonego w piwnicy baru zstępował sam Bachmann. Gdy już zstąpił, ulicznik Karl minął go i zniknął w mroku. Była godzina trzecia w nocy.

W pierwszej chwili Bachmann mógł dostrzec tylko tych z obecnych, którzy siedzieli najbliżej snopu światła padającego ze schodów. Potem dopiero rozróżnił elektryczne świece, po jednej na stolik, i wreszcie zgromadzone wokół nich ludzkie oblicza. Dwaj wychudli mężczyźni w czarnych garniturach i krawatach grali w szachy. Stojąca przy barze samotna kobieta zaproponowała, by postawił jej drinka. Innym razem,

kochana, dziękuję, odpowiedział Bachmann. W osobnej wnęce czterej obnażeni do pasa chłopcy zabawiali się grą w bilard, czemu przyglądały się dwie dziewczyny o zubożniałych twarzach. Drugą wnękę zajmowały wypchane lisy, srebrne tarcze i spłowiałe miniaturowe chorągiewki ze skrzyżowanymi karabinami. A w trzeciej, obstawionej modelami okrętów wojennych w zakurzonych szklanych gablotach, innymi gablotkami prezentującymi węzły żeglarskie, podniszczone opaski marynarskich czapek i najróżniejsze zrobione w lepszych czasach fotografie marynarzy z łodzi podwodnych, siedziało trzech bardzo starych panów- przy stole, przy którym zmieściłoby się ich dwunastu. Dwaj byli szczupli i drobni i choćby z tego powodu zapewne ustępowali rangą trzeciemu, którego lśniąca łysa czaszka, barczysta pierś i brzuch zajmowały więcej miejsca niż pozostali towarzysze razem wzięci. Ale na pierwszy rzut oka po Admirale trudno było się domyślić tak wysokiej rangi. Wielkie dłonie leżały przed nim złączone nieruchomo na stole, jakby nie umiały pochwycić prześladających go wspomnień. Małe oczka, które dawno już zapadły się w pozbawioną zmarszczek głowę, patrzyły jakby w głąb.

77

Skłonieniem głowy skierowanym do wszystkich trzech Bachmann bez słowa usiadł u boku Admirala i wyciągnął z tylnej kieszeni spodni czarny portfelik, w którym miał swoje zdjęcie i adres pewnej półoficjalnej agencji z Kilonii, zajmującej się poszukiwaniem osób zaginionych — tyle tylko że nieistniejącej. Był to jeden z kilku dowodów tożsamości, które na wszelki wypadek nosił ze sobą na co dzień.

- Szukamy tego młodego rosyjskiego biedaka, na którego

natknął się pan na dworcu parę dni temu - wyjaśnił. - Młody, wysoki, głodny. Ale zachowuje się z godnością. Nosi taką mykę na głowie. Pamięta go pan?

Admirał ocknął się z zamyślenia na tyle, by przekreślić głowę i przyglądać się Bachmannowi, podczas gdy reszta jego ciała pozostała nieruchoma jak głaz.

- My, czyli kto? - zapytał wreszcie, obejrawszy najpierw skromną skórzaną kurtkę Bachmanna, jego koszulę, krawat i szczerze zatroskany wyraz twarzy, który niemal bez udawania był jego specjalnością.

- Chłopak jest chory - wyjaśnił Bachmann. - Boimy się, żeby sobie czegoś nie zrobił. Albo innym. Nasi lekarze bardzo się o niego martwią. Chcą do niego dotrzeć, zanim stanie się coś złego. Choć taki młody, ciężkie miał życie. Tak jak pan

- dodał.

Admirał jakby go nie słyszał.

- Pan alfons? - zapytał. Bachmann pokręcił głową.

- Glina?

- Jeżeli uda mi się do niego dotrzeć przed glinami, wyświadczę mu wielką przysługę — powiedział, a Admirał ciągle go sobie oglądał. — Panu też mogę wyświadczyć przysługę - dodał.

- Sto euro gotówką za wszystko, co pan o nim pamięta. I zaraz dam panu spokój, obiecuję.

Admirał uniósł wielką dłoń i w zamyśleniu otarłszy nią usta, podniósł się na całą wysokość, po czym nawet nie pa-

trząc na swych milczących towarzyszy, przeniósł się do sąsiedniej wnęki, która była pusta i pogrążona w niemal zupełnych ciemnościach.

Admirał jadł elegancko, używając mnóstwa papierowych serwetek, by zachować czystość palców, i obficie skrapiając wszystko sosem tabasco, który trzymał w kieszeni marynarki. Już przedtem Bachmann zamówił butelkę wódki. Admirał dorzucił do zamówienia chleb, marynowane ogórki, kiełbasę, solone śledzie i talerz sera tylżyckiego.

- To oni przyszli do mnie — powiedział wreszcie. -Kto?
- Ci ze schroniska. Wszyscy tam znają Admirała.
- A pan gdzie był?
- W schronisku, a gdzie?
- Spał pan tam?

Admirał uśmiechnął się krzywo, jakby sen był jakąś bardzo oryginalną czynnością.

- Mówię po rosyjsku. Od dziecka chowałem się w ham-burskich dokach, a po rosyjsku mówię lepiej niż po niemiecku. No, skąd mi się to wzięło?
- Z Syberii - podsunął Bachmann, a wielka głowa pokiwała w niemym potwierdzeniu.
- W schronisku nikt nie mówi po rosyjsku. Ale Admirał mówi. — Poczęstował się wielkim haustem wódki. - On chce zostać doktorem.
- Ten chłopak?  
- Tu, w Hamburgu. I ratować ludzkość. Przed kim? Oczywiście przed

ludzkością. To Tatar. Tak mówił. *Ein Mussulman*. Allah kazał mu przyjechać do Hamburga i studiować, żeby ratować ludzkość.

- A Allah się nie tłumaczył, czemu go wybrał?

79

- Żeby odpokutować za tych wszystkich biedaków, których pozarzynał jego ojciec.
- A mówił, co to byli za biedacy?
  - Rosjanie zabijają wszystkich, przyjacielu. Księży, dzieci, kobiety, wszystkich na tym zasranym świecie.
- A kogo tatuś zabijał? Innych muzułmanów?
- Tego mi nie powiedział.
  - A powiedział, kim był tatuś z zawodu? I w ogóle jak to się stało, że udało mu się zabić tylu tych biedaków?

Admirał pociągnął kolejny łyk wódki. I jeszcze jeden. I jeszcze sobie dolał do szklanki.

- Interesowało go, gdzie w Hamburgu urzędują bogaci bankierzy.

Kogoś tak jak Bachmann doświadczonego w przesłuchiowaniu innych nie może zdziwić żadna informacja, choćby najbardziej niewiarygodna.

- Co mu pan powiedział?
  - Zaśmiałem się. Jeszcze umiem. "A po co ci bankier? Musisz zrealizować czek? To może ja ci pomogę".

Bachmann też się zaśmiał. - I co on na to?

- "Czek? A co to jest?" A potem mnie zapytał, czy oni mieszkają u siebie w biurze czy też mają prywatne domy.



- A pan co na to?
  - "Słuchaj no" mówię mu, "grzeczny z siebie gość, w dodatku Allah powiedział ci, że masz zostać lekarzem. To lepiej przestań zadawać głupie pytania o bankierach, tylko chodź odpocząć do naszego zapchlonego schroniska. Prześpisz się na prawdziwym łóżku i jeszcze poznasz innych dobrych ludzi, którzy też chcą zbawiać świat".
  - I poszedł?
  - Wsadził mi w łapę pięćdziesiąt dolarów. Powalony za głodzony tatarski smarkacz daje staremu Sybirakowi świeżutki banknot pięćdziesięciodolarowy za kubek cienkiej zupki.

80

I zainkasowawszy również od Bachmanna, i napchawszy kieszenie wszystkim, co zostało na stole, łącznie z butelką wódki, Admirał powrócił do swych kompanów w sąsiedniej wnęce.

\* \* \*

Na kilka następnych dni Bachmann pograżył się w milczeniu. Bardzo sobie cenił te przerwy w kontaktach międzyludzkich i wtedy nawet Erna Frey nie próbowała mu ich przerywać. Również wiadomość, że Duńczycy aresztowali kierowcę ciężarówki pod zarzutem przemytu ludzi, z początku nie zrobiła na nim większego wrażenia:

- Jego szofera? - powtórzył. - Kierowcę ciężarówki, który podrzucił go na dworzec w Hamburgu? Tego szofera?
- Tak, tego - zirytowała się Erna Frey. - Jakies dwie godziny temu. Podesłałam ci, jak tylko przyszło, ale byłeś zbyt zajęty. Z Kopenhagi

do Berlina, do Komitetu, z Komitetu do nas. Całkiem ciekawe.

- Obywatel duński?
- Zgadza się.
- Duńskiego pochodzenia?
- Zgadza się.
- Ale przeszedł na islam?

- Żadne takie. Mógłbyś wreszcie zacząć czytać e-maile.

Luteranin, syn luteranina. Jedyne, co można mu zarzucić, to że jego brat jest w przestępczości zorganizowanej.

Wreszcie się zainteresował.

- Dwa tygodnie temu zły brat zadzwonił do dobrego brata i powiedział, że jest taki bogaty młodzieniec, który zgubił paszport i niedługo pojawi się w Kopenhadze jako pasażer pewnego statku handlowego ze Sztambułu.
- Bogaty? - wpadł jej w słowo Bachmann. - Jak bogaty?
- Stawka była taka: pięć tysięcy dolarów z góry za wywiezienie go z doków i drugie pięć za bezpieczne dowiezienie do Hamburga.

81

- A kto płacił?
- Sam młodzieniec.
  - Sam? Po dowiezieniu na miejsce? Z własnej kieszeni? Pięć tysięcy?
  - Na to wygląda. Dobry brat był tak pod kreską, że zgodził się jak głupi. Nie miał pojęcia, jak się pasażer nazywa, nie mówi po rosyjsku.
- A gdzie jest zły brat?
- Naturalnie też w areszcie. Trzymają ich osobno.

- I co mówi?
  - Trzęsie się ze strachu i woli siedzieć, niż żeby rosyjska mafia zabijała go przez cały tydzień.

- A jego szef z mafii to Rusek czy ruski muzułmanin?

- Moskiewski kontakt złego brata, przynajmniej z tego,

co zły brat mówi, to szanowany, rzutki, stuprocentowo rosyjski gangster z najwyższej półki ich przestępczości zorganizowanej.

Nienawidzi muzułmanów wszelkiej maści i najbardziej by się cie szył, gdyby się wszyscy potopili w Wołdze. Jego zlecenie dla brata kierowcy było przysługą dla innego kolegi. Kim jest czy też kim był ten kolega, o to nasz skromny duński bandzior nie pytał.

Rozparła się w fotelu i z przymkniętymi powiekami czekała na reakcję Bachmanna.

- A co na to Komitet? - zapytał.

- Komitet bredzi. Komitet zafiksował się na jednym lubiącym żyć niebezpiecznie imamie, obecnie zamieszkałym w Moskwie, który lubi podsylać pieniądze różnym podejrzanym muzułmańskim organizacjom dobroczynnym. Rosjanie wiedzą, czym się zajmuje, i on wie, że oni wiedzą. Dlaczego mu pozwalają, tego ludzkim umysłem nie rozgryziesz. Komitet jest przekonany, że imam to właśnie ten anonimowy przyjaciel szefa mafii. O ile nam wiadomo, żaden z nich nie zajmował się do tej pory finansowaniem wyjazdów na Zachód rosyjskich Czeczenów, żeby mogli iść na studia medyczne w Hamburgu. Aha, i jeszcze dał mu swój płaszcz.

-Kto?

- Dobry brat, który przywiózł naszego chłopaka do Hamburga, ulitował się nad nim i nie chciał, żeby się zaziębił na śmierć na chłodnej północy. Dlatego dał mu płaszcz. Żeby mu było ciepło. Długi czarny płaszcz. Ale mam dla ciebie jeszcze jedną perełkę.

-Jaką?

- *Herr* Igor z naprzeciwka ma supertajne źródło w gminie prawosławnej w Kolonii.

-No i?

-No i według nieustraszonego źródła Igora zamknięte za kratami klasztoru prawosławne zakonnice w pewnym miasteczku niedaleko Hamburga dały ostatnio schronienie młodemu muzułmaninowi z Rosji, który był zagłodzony na śmierć i lekko stuknięty.

-I bogaty?

•Nic nie wiadomo o stanie jego finansów.

•Ale był grzeczny?

-I to bardzo. Igor ma się dziś bardzo potajemnie spotkać z tym źródłem i omówić sprawę należności za resztę opowiadania.

•Igor to dupa, a jego opowiadanie to kupa gówna - oznajmił

Bachmann, zgarniając na jedną stertę wszystkie papiery z biurka i upychając je do starej, mocno podniszczonej skórzanej teczki, na którą nikt nigdy by się nie połakomił.

•A ty dokąd? — zapytała Erna Frey.

•Naprzeciw.

- A po co?
- Powiedzieć naszym dzielnym specsłużbom, że to nasza sprawa. I żeby trzymali od nas policję z daleka. Dla pewności. Bo gdyby jakimś niewyjaśnionym cudem policji udało się go znaleźć, to żeby z łaski swojej nie wysyłała tam od razu antyter-rorystów i nie wszczynała wojny, tylko żeby trzymała się z daleka i zaraz nas powiadomiła. Ja chcę, żeby ten chłopak robił to, po co przyjechał, tak długo, jak się da.
- Zapomniałeś kluczy - powiedziała Erna Frey.

#### 4

“Jeżeli nie przyjedzie pan kolejką, proszę nie podjeżdżać taksówką pod samą kawiarnię”.

Annabel Richter była równie bezkompromisowa, jeśli chodzi o strój, jaki miał włożyć Brue. “Dla mojego klienta mężczyzna w garniturze to policjant w cywilu. Bardzo proszę włożyć coś swobodniejszego”. W tej sytuacji zostawały tylko szare sportowe spodnie i sportowa marynarka, oczywiście też od Randalla z Glasgow, które wkładał, kiedy wybierał się do klubu golfowego, a do tego przeciwdeszczowy płaszcz *aquascutum* na wypadek kolejnej ulewy. W goście dobrej woli nie miał też krawata.

W mieście zapadł już względny mrok. Po wcześniejszej ulewie niebo stało się czyste. Od jeziora szła chłodna bryza, gdy wsiadał do taksówki i recytował kierowcy otrzymane od *Frau* Richter wskazówki. Znalazłszy się całkiem sam na chodniku w nieznanym mu biednej części miasta, czuł się przez chwilę bezradny, ale zaraz doszedł do siebie, zobaczył bowiem

tabliczkę z zapowiedzianą ulicą. Stoisko z owocami przed halowym sklepem spożywczym mieniło się czerwienią i zielenią; z sąsiedniej kebabiarni padało na całą ulicę białe światło. A wewnątrz, przy jasnopurpurowym stoliku w kącie, siedziała An-

## 84

nabel Richter. Miała przed sobą butelkę niegazowanej wody mineralnej i niedokończoną miseczkę z czymś, co Brue wziął w pierwszej chwili za kaszkę dla dzieci posypaną z wierzchu brązowym cukrem.

Przy sąsiednim stole czterech starszych panów grało w domino, przy innym ubrana w swe najlepsze rzeczy młoda para nerwowo się do siebie zalecała. Kurtka Annabel Richter wisiała teraz na krześle. Annabel miała na sobie workowaty sweter i tę samą zapiętą pod szyją bluzkę. Telefon komórkowy leżał na stole, plecak - u jej stóp. Siadając naprzeciw niej, wyczuł w jej włosach jakiś ciepły zapach.

- Może być? - zapytał.

Obrzuciła wzrokiem jego sportową marynarkę i spodnie.

- Czego dowiedział się pan ze swoich archiwów?
  - Że pewne rzeczy na razie się zgadzają, ale trzeba sprawdzać dalej.
- 1 to wszystko, co może mi pan powiedzieć?
- Na tym etapie, niestety, wszystko.
- To powiem panu parę rzeczy, których pan nie wie.
- Założę się, że jest ich więcej niż tylko parę.
  - Jest muzułmaninem. To po pierwsze. Praktykującym. Dlatego trudno mu się pogodzić, że jego sprawę prowadzi kobieta.
- Ale dla pani to chyba jeszcze trudniejsze?

- Prosił, żebym nakładała chustę na głowę. Nakładam. Prosił, żebym szanowała jego zwyczaje. Szanuję. Używa swojego muzułmańskiego imienia, Issa. Jak już panu mówiłam, mówi po rosyjsku; oprócz tego ze swymi gospodarzami porozumiewa się w łamanym języku tureckim.
- A kim są jego gospodarze, jeśli można wiedzieć?
- Turecka wdowa z synem. Jej mąż był kiedyś klientem Azylu Północ. Prawie udało nam się załatwić mu obywatelstwo, ale przedtem umarł. Teraz o to samo dla całej rodziny ubiega się syn, co oznacza, że trzeba zacząć wszystko od nowa i prowadzić

85

sprawę każdego członka rodziny z osobna, dlatego przestraszył się i zadzwonił do nas. Kochają Issę, ale chcą się go pozbyć. Boją się, że zostaną wyrzuceni z kraju za przyjęcie nielegalnego imigranta. Żadne argumenty do nich nie przemawiają, zresztą takie czasy, że mogą mieć rację. Poza tym mają już bilety lotnicze do Turcji na wesele córki, a nie ma mowy, by zostawili go samego w domu. Nie wiedzą, jak się pan nazywa. Issa wie, ale im nie powiedział i nie powie. Jest pan kimś, kto może pomóc Issie, to wszystko. Mogę tak o panu mówić?

- Wydaje mi się, że tak.
- Tylko: "wydaje"?
- Dobrze. Może tak pani o mnie mówić.
- Obiecałam im również, bo przecież musiałam!... że nie powie pan władzom, jak się nazywają.
- A po cóż miałbym mówić?

Ignorując jego próby, aby jej pomóc, sama naciągnęła kurtkę i przewiesiła plecak przez ramię. Gdy Brue szedł za nią do wyjścia, zauważył kręcącego się na zewnątrz wielkiego młodego osiłka. Idąc za nim w przyzwoitej odległości, skręcili w boczną uliczkę. Osiłek stawał się jakby większy, im bardziej się od nich oddalał. Przy aptece młody człowiek popatrzył szybko na wszystkie strony - na samochody, okna domów i dwie kobiety oglądające wystawę jubilera. Z wystawą tą sąsiedował z jednej strony salon ślubny, który u siebie prezentował manekiny idealnej młodej pary ze ślubnym bukietem ze sztucznych kwiatów; z drugiej grubo lakierowane drzwi z podświetlonym przyciskiem dzwonka.

Tuż przed przejściem przez jezdnię Annabel zatrzymała się, zrzuciła plecak na przedramię, wyciągnęła zeń chustę, nałożyła ją na głowę, po czym starannie zawiązała jej dwa końce w węzeł pod brodą. W świetle ulicznych latarni jej twarz zrobiła się nagle napięta i jakby starsza.

Osiłek otworzył kluczem drzwi, gestem popędził ich, by weszli do środka, i wyciągnął olbrzymią dłoń. Brue uścisnął ją,

86

ale się nie przedstawił. Starsza pani nazywała się Leila, była mała, krzepka i ubrana na przyjęcie gości — w chuście na głowie, butach na wysokich obcasach i garsonce z bluzką z żabotem. Popatrzyła na Brue, potem z niepewną miną uścisnęła jego dłoń, lecz ani na chwilę nie przestawała zerkać na syna. Idąc za nią do saloniku, Brue już wiedział, że znalazł się w domu, w którym zamieszkał strach.

\* \* \*



Tapeta była liliowa, tapicerka złota. Oparcia foteli miały koronkowe narzutki, a w szklanej podstawie stołowej lampy wirowały, łączyły się i rozłączały kulki plazmy. Leila usadziła Brue na istnym prezydenckim tronie. To był fotel męża, wyjaśniła, nerwowo skubiąc rąbek chusty. I dodała, że przez trzydzieści lat mąż nie siadał na niczym innym. Fotel był ozdobny, obrzydliwy i wyrafinowanie niewygodny. Brue grzecznie wyraził swój podziw. Miał coś takiego w swoim gabinecie - spadek po dziadku, też straszny w użytku. Już chciał o tym wspomnieć, ale się rozmyślił. Jestem tu jako ktoś, od kogo oczekuje się pomocy, nic więcej. Leila przygotowała talerzyki ze swego najlepszego serwisu z trójkącikami bakławy i pokrojonym na kromki ciastem cytrynowym. Brue przyjął kawałek ciasta i szklanę jabłkowej herbaty.

— Wspaniale — oznajmił zaraz po spróbowaniu, lecz najwyraźniej nikt go nie usłyszał.

Obie kobiety, jedna piękna, druga nie, za to obie ponure, zasiadły na pokrytej aksamitem kanapie. Melik stanął oparty plecami o drzwi. Issa zaraz zejdzie, powiedział, podnosząc wzrok w górę, ku sufitowi, i nasłuchując. Issa się przygotowuje. Jest zdenerwowany. Może się modli. Ale zejdzie.

- Ci policjanci ledwo doczekali, aż pani od nas wyjdzie  
- wybuchnęła Leila, najwyraźniej dając upust czemuś, co ją gnębiło od dłuższego czasu. - Zamknęłam za nią drzwi, odniosłam

## 87

talerze do kuchni, a pięć minut później już stali przed drzwiami i dzwonili. Jak mi pokazali legitymacje, zapisałam ich nazwiska, bo tak zawsze robił

mąż. Byli po cywilnemu. Tak było, Melik? Wcisnęła Tommyemu Brue notatnik do ręki. Sierżant jakiś tam, posterunkowy jakiś tam. Nie wiedząc, co z tym zrobić, wstał niezgrabnie i pokazał notatnik Annabel, która zwróciła go siedzącej obok niej Leili.

- Oczekali, aż mama zostanie sama w domu - dodał Melik od drzwi. - Byłem umówiony na basenie z drużyną. Sztafeta na dwieście metrów.

Brue zdobył się na kiwnięcie głową z nieudawanym zresztą współczuciem. Już dawno nie uczestniczył w zebraniu, którego sam nie prowadził.

-Jeden stary, drugi młody- skarżyła się dalej Leila. - Bogu dzięki, że akurat Issa siedział na strychu. Jak usłyszał dzwonek, podciągnął schodki i zamknął klapę. I do tej pory tam siedzi. Mówi, że mogą wrócić. Że niby to odchodzą, a potem wracają po człowieka i go deportują.

- Oni tylko robią, co do nich należy — powiedziała Annabel. — Policja teraz odwiedza wszystkich w społecznościach tureckich. To się u nich nazywa “współpraca w terenie”.

- Najpierw mówili, że chodzi o to, że syn jest w muzułmańskim klubie sportowym, potem, że o ślub córki w Turcji, ten co ma być za miesiąc, i czy jesteśmy pewni, że wolno nam potem wrócić do Niemiec. “No pewnie, że jesteśmy pewni!”, ja na to. A oni: “Chyba że pozwolenie na pobyt dostali państwo ze względów humanitarnych”.

Powiedziałam im, że to było dwadzieścia lat temu!

- Niepotrzebnie się pani przejmuje — powiedziała stanowczo Annabel.

- To naprawdę pożyteczne działania policji. Dzięki nim oddziela porządnym muzułmanów od paru takich, którzy chcą rozrabiać.

Proszę się uspokoić.

Czy ten chłopięcy głos nie jest odrobinę zbyt pewny siebie? Brue miał wrażenie, że tak.

88

— Powiedzieć panu coś śmiesznego? — zapytał Melik, choć najwyraźniej nie było mu do śmiechu. — Pan ma mu pomóc, więc może będzie lepiej, jak się pan dowie. Takiego muzułmani na jeszcze nie widziałem. Może i jest wierzący, ale ani nie myśli jak muzułmanin, ani nie zachowuje się jak muzułmanin.

Mama syknęła coś pod jego adresem po turecku, na próżno jednak.

— Jak był słaby, jak leżał w moim łóżku i dochodził do siebie... Czytałem mu kawałki z Koranu. Z egzemplarza ojca. Po turecku. Potem chciał sam sobie poczytać. Po turecku. Mówił, że na tyle zna język, że rozpozna święte słowa. No to idę do stolika, na którym trzymam Koran, zawsze otwarty, nie?, mówię *Bismillah*, jak mnie ojciec uczył, i robię tak, jakbym miał pocałować księgę, ale jej nie całuję, też mnie tego nauczył, bo nie całuje się, tylko dotyka czołem. No i daję mu ją do ręki. "Masz, Issa", mówię. "To Koran mojego ojca. Normalnie nie powinno się go czytać w łóżku, ale ty jesteś chory, więc pewnie ci wolno". Wracam godzinę później i gdzie widzę księgę? Na podłodze! Koran ojca leży na podłodze! Dla każdego porządnego muzułmanina, nie tylko dla mojego ojca, to nie do pomyślenia! Ale myślę sobie: dobra, nie gniewam się, jest chory, wypadł mu z ręki, nie utrzymał. Przebaczam mu. Trzeba być łagodnym. Tylko że jak w pierwszej

chwili krzyknąłem, on po prostu sięgnął po księgę i ją podniósł, nie obiema rękami, tylko jedną, i podał mi ją, jakby to był...

- długo szukał odpowiedniego porównania. - Jakby to była byle książka z księgarni! No kto tak robi? Nikt!... Wszystko jedno, czy jest Czechenem, Turkiem, Arabem, tak czy tak to mój brat, no nie? Kocham go, to prawdziwy bohater. Ale księga na podłogę?.. . Jedną ręką?... Bez modlitwy, bez niczego?...

Leila nie wytrzymała.

—Akimże ty jesteś, Melik, że tak obmawiasz brata? - ostro odezwała się do niego, również po niemiecku ze względu na resztę słuchaczy. — Całą noc puszczasz u siebie w pokoju ten wstrętny niemiecki rap! Jak myślisz, co by twój ojciec powiedział?

89

Brue usłyszał w holu ostrożne kroki na trzeszczących schodkach.

— A on wziął zdjęcie siostry, zabrał je do siebie — powiedział Melik. — Wziął i już. Jakby tata żył, musiałbym go zabić albo coś takiego. Wiem, że to mój brat, ale on jest taki dziwny.

Nad tym wszystkim zapanował dopiero chłopięcy głos Annabei Richter.

- Zapomniała pani, że miała pani dzisiaj piec - powiedziała do Leili, zerkając znacząco na drzwi z matowego szkła między kuchnią a salonikiem.

- To przez nich.

— To może teraz pani coś upiecze — zaproponowała spokojnie Annabei.

— W ten sposób sąsiedzi się przekonają, że nie ma pani nic do ukrycia. —

Odwróciła się do Melika, który przeniósł się teraz do okna. - To dobrze, że pilnujesz, czy nikt nie idzie. Bardzo cię proszę, pilnuj dalej. Jeżeli ktoś zadzwoni do drzwi, nie wolno go wpuścić, ktokolwiek to będzie. Powiedz, że masz ważne spotkanie ze sponsorami, dobrze?

- Dobrze.

- A gdyby zjawiała się znowu policja, to albo niech przyjdą kiedy indziej, albo ja z nimi porozmawiam.

- Poza tym on wcale nie jest prawdziwym Czeczenem. Tylko udaje — powiedział Melik.

Drzwi się otwarły i do pokoju weszła powolnym krokiem postać niemal tak wysoka jak Melik, ale o połowę drobniejsza. Brue wstał z bankierskim uśmiechem i wyciągniętą do powitania ręką. Kątem oka zauważył, że Annabei też wstała, lecz nie podeszła.

— Issa, to ten pan, z którym chciałeś się widzieć - powie działa klasyczną ruszczyzną. — Mam pewność, że jest tym, za kogo się podaje. Przyszedł specjalnie po to, żeby się z tobą dziś zobaczyć, i nikomu o tym spotkaniu nie powiedział. Mówi po

90

rosyjsku i musi ci zadać kilka ważnych pytań. Jesteśmy mu wszyscy bardzo wdzięczni i jestem pewna, że i dla własnego dobra, i dla dobra Leili i Melika zrobisz, co będzie od ciebie chciał. Ja będę się przysłuchiwać i upominać o twoje interesy, kiedy uznam za stosowne.

Issa dotarł tymczasem na środek złotego dywanu Leili i stanął z rękami po bokach, czekając na rozkazy. Gdy jednak nikt mu niczego nie rozkazał,

uniósł głowę, położył prawą dłoń na sercu i spojrzał na Tommyego Brue z uwielbieniem.

- Z całym szacunkiem dziękuję panu - powiedział cicho przez wargi, które mimo woli rozchyłały się w uśmiechu. — Jestem zaszczycony, proszę pana. Jest pan dobrym człowiekiem, tak mnie zapewniono. Widać to po pana twarzy i pana pięknym stroju. Czy ma pan też piękną limuzynę?

— To znaczy... No, mam mercedesa.

Czy dla ceremonii, czy dla ochrony Issa ubrał się na tę rozmowę w swój czarny płaszcz i miał też na ramieniu wielbłądzią torbę. Był ogolony. Dwa tygodnie matczynej opieki ze strony Leili zdążyły już wypełnić jego zapadłe policzki, co sprawiło, że - przynajmniej w oczach Brue - była w nim jakaś seraficzna wręcz nierzeczywistość. Co? Ten drobny przystojny chłopaczek był torturowany?

Przez chwilę Brue nie wierzył w nic, co do tej pory o nim słyszał. Promienny uśmiech, wyszukany, zdecydowanie zbyt kwiecisty sposób wystawiania się, wyraz fałszywej godności - wszystko to składało się na klasyczne cechy oszusta. Ale gdy zasiedli naprzeciw siebie za stołem, Brue dostrzegł krople potu na czole Issy, a popatrzawszy niżej, zauważył, że obie jego dłonie opadły na stół przegub w przegub, jakby czekając na kajdanki. Zobaczył piękny złoty łańcuszek i zwisający z niego złoty talizman w kształcie Koranu, chroniący przed złym losem. I wiedział już, że patrzy na kogoś, w kim zabito dziecko.

Jednakże zapanował nad uczuciami. Czy ma uważać się za kogoś gorszego tylko dlatego, że tamten był torturowany?

I z tego samego powodu przestać kierować się zdrowym rozsądkiem? W końcu chodzi o pewne zasady.

- A zatem witam - zaczął jowialnie swoją staranną, dobrze wyuczoną ruszczyzną, która w jego ustach brzmiała jakoś dziwnie podobnie jak w ustach Issy. — Domyślam się, że mamy mało czasu. Dlatego musimy działać szybko, ale skutecznie. Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?
- Zgadzam się, proszę pana. — Znowu ten uśmiech, potem szybkie spojrzenie na stojącego przy oknie Melika i spuszczenie wzroku, by nie patrzeć na Annabel, która zajęła miejsce w najdalszym kącie pokoju, siadła trochę do nich bokiem i na skromnie złożonych kolanach trzymała notatnik.
- A ty nie będziesz się do mnie zwracał ani po imieniu, ani po nazwisku — ciągnął Brue. — Zakładam, że na to też się zgadzasz. Czy tak?
- Zgadzam się, proszę pana — odpowiedział nadskakująco Issa. — Na wszystko, czego pan zażąda! Bardzo proszę, czy pozwoli mi pan wygłosić oświadczenie?
- Oczywiście.
- Będzie krótkie!
- Proszę bardzo.
  - Chcę tylko zostać studentem medycyny. Chcę żyć spokojnie i pomagać wszystkim ludziom dla większej chwały Allaha.
  - Hm... no tak... To bardzo pięknie i jestem pewny, że dojdziemy do tego - powiedział Brue i na znak swych dobrych intencji wyjął z jednej kieszeni oprawny w skórę notes, z drugiej zaś złoty długopis. -

Ale w tej chwili ustalmy pewne podstawowe fakty, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Zaczniemy od twojego imienia i nazwiska.

Najwyraźniej jednak Issa nie to chciał usłyszeć.

- Proszę pana!
- Słucham.
- Czy czytał pan dzieła wielkiego francuskiego myśliciela, Jeana-Paula Sartre'a?

92

- Niestety nie.
- Otóż ja jak Sartre odczuwam tęsknotę przyszłości. Kiedy będę miał przyszłość, nie będę miał przeszłości. Będę miał tylko Boga i własną przyszłość.

Brue czuł na sobie wzrok Annabel. Mimo że na nią nie patrzył, wiedział, że ona patrzy na niego. Przynajmniej tak mu się zdawało.

- Ale dziś musimy pomówić o teraźniejszości - odparł pośpiesznie. — Więc może podasz mi swoje pełne imiona i nazwisko? — Pióro już czekało, aby je zapisać.
- Salim - rzekł Issa, choć po chwili wahania.
- Masz jakieś inne imiona?
- Mahmud.
- A więc Issa Salim Mahmud?
- Tak, proszę pana.
- To imiona nadane ci przez kogoś czy sam je sobie nadałeś?
- Bóg mi je nadał, proszę pana.
- Oczywiście... - Brue uśmiechnął się do siebie. Trochę



po to, aby rozluźnić napięcie, trochę aby okazać, że panuje nad sytuacją. - W takim razie pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie, dobrze? Rozmawiamy po rosyjsku. Jesteś Rosjaninem. Czy zanim Bóg nadał ci te imiona, miałeś jeszcze jakieś inne, rosyjskie? A do tego jeszcze i rosyjskie otczestwo? Chciałbym też wiedzieć, jakie nazwisko figuruje w twojej metryce urodzenia.

Porozumiawszy się spuszczonego wzrokiem z Annabel, Issa sięgnął kościstą dłonią pod płaszcz, potem za koszulę i wyciągnął brudny irchowy woreczek. A z niego dwa wyblakłe wycinki z gazet, które podał przez stół rozmówcy.

- K arpo w... - rzekł w zamyśleniu Brue, kiedy je przeczytał. - A Karpow to kto? Ty masz na nazwisko Karpow? Dlaczego dajesz mi te dwa kawałki gazety?

- To bez znaczenia, proszę pana. Bardzo pana proszę. Nie mogę panu powiedzieć - wymamrotał Issa, potrząsając spoczoną głową.

## 93

- Ale dla mnie, niestety, to ma znaczenie - powiedział Brue na tyle łagodnie, na ile mógł sobie pozwolić bez utraty przewagi. - Niestety wielkie znaczenie. Czy chodzi o to, że pułkownik Grigorij Borysowicz Karpow jest lub był z tobą spokrewniony? O to chodzi? - Odwrócił się ku Annabel, do której i tak przez cały czas zwracał się w myśli. — To naprawdę bardzo trudna sprawa, *Frau Richter* - rzekł ze zniechęceniem po niemiecku, najpierw surowo, lecz zaraz instynk

townie złagodził ton. — Chyba oczywiste, że jeżeli pani klient chce się upomnieć o swoją własność, musi albo powiedzieć, kim jest, albo się wycofać. Musi zrozumieć, że bez tego ja nie mogę nic zrobić.

Nastąpiła chwila zamieszania, bo z kuchni Leila zawołała coś żałośnie po turecku. Melik jakoś ją uspokoił, też w tym języku.

- Issa - odezwała się Annabel, kiedy wszystko wróciło do poprzedniego stanu. -Jako prawniczka muszę stwierdzić, że choć to może być dla ciebie bardzo przykre, musisz postarać się odpowiedzieć na pytania tego pana.
  - Proszę, jak Bóg jest w niebie, ja chcę tylko żyć spokojnie
- powtórzył Issa zduszonym głosem.
- Musisz jednak odpowiedzieć na moje pytanie.
  - Logicznie rzecz ujmując, Karpow jest moim ojcem, proszę pana - przyznał wreszcie Issa z niewesołym uśmiechem na twarzy. - Zrobił wszystko, co natura przewidziała, by zapewnić sobie ten tytuł, to pewne. Ale ja nigdy nie byłem synem Karpo-wa. I teraz też nim nie jestem. Jeśli Bóg pozwoli, proszę pana, nigdy, do końca życia, nie będę synem pułkownika Grigorija Borysowicza Karpowa.
- Ale zdaje się przecież, że pułkownik Karpow nie żyje
- zauważył Brue bardziej brutalnie, niż zamierzał, wskazując dłonią wycinki leżące między nimi na stole.
- Nie żyje, proszę pana, i jeśli Bóg pozwolił, jest w piekle i zostanie tam na całą wieczność.

- A zanim zmarł... Albo inaczej. Kiedy się urodziłeś, jakie nadał ci imię poza otczestwem, które jak sędzę, brzmi Grigorijewicz?

Issa zwiesił głowę i kiwał nią chwilę na boki.

- Wybrał najczystsze — powiedział wreszcie, unosząc głowę i uśmiechając się porozumiewawczo.

- Najczystsze? W jakim sensie?

- Najczystsze ze wszystkich rosyjskich imion na świecie, najbardziej rosyjskie. Ja byłem jego Iwanem, proszę pana. Jego słodkim Iwankiem z Czeczenii.

Brue unikał przeciągania nieprzyjemnych sytuacji, postanowił więc zmienić temat.

- Z tego co wiem, przyjechałeś tu z Turcji. Przyjechałeś drogą, powiedzmy, nieoficjalną? — podsunął Brue takim beztroskim, wesołym tonem, jakby gawędził z kimś na cocktail party. Leila, wbrew instrukcjom Annabel, powróciła z części kuchennej.

- Byłem w tureckim więzieniu, proszę pana. - Już wcześniej rozpiął złotą bransoletę i trzymał ją w dłoni, poruszając nią w takt wypowiedzanych słów.

- A jak długo, jeśli można spytać?

- Dokładnie sto jednaście i pół dnia, proszę pana. Tureckie więzienie świetnie motywuje do rachowania czasu! — wykrzyknął Issa z chrapliwym obłąkańczym śmiechem. — Bo widzi pan, przed Turcją byłem w więzieniu w Rosji! Tak naprawdę to w trzech więzieniach łącznie przez osiemset czternaście dni i siedem godzin. Jeżeli pan chce, wyliczę panu moje więzienia według jakości - ciągnął jak w

amoku, a głos wznosił mu się w lirycznej niemal pasji. - Zapewniam pana, dobrze się na tym znam! Jedno więzienie cieszyło się takim powodzeniem, że musieli podzielić je na trzy części. Ależ tak! W jednej się spało, w drugiej było się torturowanym, a w trzeciej mieścił się szpital, żeby można dojść do siebie. Tortury odbywały się bardzo sprawnie, po torturach śpi się naprawdę dobrze, ale niestety,

95

szpital nie był już tak dobry. Można powiedzieć zresztą, że to wszystko najlepiej odzwierciedla obecne problemy naszego rosyjskiego państwa! Obsługa była świetnie wykwalifikowana w pozbawianiu snu, za to wyraźnie niedoszkolona w innych zabiegach medycznych. Proszę mi pozwolić uczynić pewne spostrzeżenie. Aby być dobrym oprawcą, trzeba koniecznie mieć w sobie dużo współczucia. Bez dobrego wyczulenia na cierpienie bliźnich nie można sięgnąć szczytów w tej pięknej sztuce. Ja natknąłem się na jednego, najwyżej dwóch prawdziwych artystów w tej dziedzinie.

Brue przez chwilę nic nie mówił na wypadek, gdyby Issa chciał jeszcze coś dodać, lecz ten z szeroko otwartymi oczyma czekał właśnie, co powie Brue. Tym razem jednak Leili udało się niechcący rozładować napięcie, bo zaniepokojona stanem emocjonalnym podnieconego Issy, choć nie rozumiejąc jego przyczyny, pośpieszyła do kuchni i przyniosła szklanekę czegoś na wzmocnienie, obrzuciwszy najpierw Brue, potem Annabel pełnym wyrzutu spojrzeniem.

- A czy można spytać, jak to się stało, że w ogóle trafiłeś do więzienia?  
- znów zaczął pytać Brue.

- Ależ tak, proszę pana! Niech pan pyta! Jak najbardziej! - krzyknął Issa, tym razem już z odwagą uczonego skazanego na stos. — Proszę pana, wystarczy być Czeczenem, to wystarczająca zbrodnia. My, Czeczeni, rodzimy się strasznie winni! Już za cara mieliśmy zbrodniczo płaskie nosy i przestępczo ciemne włosy i cerę. To z naszej strony ciągle naruszanie porządku społecznego, proszę pana!
- Ale twój nos, powiedziałbym, wcale nie jest płaski.
- Bardzo tego żałuję, proszę pana.
  - W każdym razie trafiłeś do Turcji, a potem z Turcji uciekłeś - podsunął uspokajająco Brue. - I dotarłeś aż do Hamburga. To chyba nie było takie łatwe, co?
  - Wola Allaha.
  - Ale przypuszczam, że trochę Mu pomogłeś.

96

- Sam pan wie najlepiej, że jeżeli ma się pieniądze, wszystko jest możliwe.
- No właśnie, tylko czy je pieniądze? - zapytał chytrze Brue, korzystając, że wreszcie pojawił się temat pieniędzy. — Bardzo jestem ciekaw, kto wyłożył pieniądze na te twoje brawurowe ucieczki?
- Powiem tak, proszę pana - rzekł Issa po długim namyśle, podczas którego Brue był prawie przekonany, że i te zasługi zostaną przypisane Allanowi. - Powiem, że zrobił to pewien człowiek, którego imię najprawdopodobniej brzmi Anatolij.
- Anatolij? - powtórzył Brue, gdy imię odbiło się już echem w jego

głowie. Echem z odległej przeszłości jego ojca.

- Właśnie tak, Anatolij, proszę pana. To Anatolij jest tym, który płaci za wszystko. Ale szczególnie za ucieczki. Czy pan zna tego człowieka? - wtrącił z nadzieją. - Czy to pana znajomy?

- Niestety nie.

- Bo dla Anatolija pieniądze są celem życia. I śmierci też, można powiedzieć.

Brue miał dalej drażyć temat, kiedy Melik odezwał się ze swego posterunku przy oknie.

- Ciągle tam są - mruknął po niemiecku, wyglądając zza zasłony. — Te dwie stare baby. Bizuteria już ich nie interesuje. Teraz jedna czyta ulotki na wystawie apteki, druga stoi w bramie i rozmawia przez komórkę. A na dziwki za brzydkie, nawet tutaj.
- To jakieś dwie zwyczajne kobiety - odparła surowo An-nabel, podszedłszy do okna i wyglądając na zewnątrz, podczas gdy Leila złożyła dłonie na wysokości twarzy i zamknęła oczy w niemej modlitwie. - Przesadzasz, Melik.

To jednak nie wystarczyło Issie, który zrozumiał, o czym mowa, już stał z paskiem torby przerzuconym przez pierś.

- Co tam widzicie? - zapytał piskliwie, obracając się ku An-nabel z oskarżycielskim wyrazem twarzy. - Znowu wasze KGB?

97

— To nic, Issa. Jeżeli będziesz miał kłopoty, zajmiemy się tobą. Po to tu jesteśmy.

Brue znów miał wrażenie, że chłopięcy głos trochę za bardzo sili się na nonszalancję.

\* \* \*

- A wracając do Anatolija... - zaczął od nowa Brue zdecydowanym głosem, gdy udało się przywrócić względny spokój, Annabel zaś wymogła na Leili, by zrobiła wszystkim świeżej jabłkowej herbaty. - Z tego co słyszę, musi być twoim wielkim przyjacielem.

— Proszę pana, rzeczywiście można powiedzieć, że Anatolij jest dobrym przyjacielem ludzi uwieczonych, co do tego nie ma dwóch zdań — zgodził się Issa z przesadną skwapliwością. - Tak się tylko nieszczęśliwie składa, że jest równocześnie przyjacielem gwałcicieli, morderców, bandytów i krzyżowców. Można powiedzieć, że Anatolij ma otwarty umysł w kwestii przyjaźni - dodał, ocierając dłonią pot z twarzy i z dość miernym skutkiem siląc się na uśmiech.

— Czy był też dobrym przyjacielem pułkownika Karpowa?

- Powiedziałbym, że Anatolij był najlepszym przyjacielem, jakiego mógł mieć taki morderca i gwałciciel, proszę pana. To dla Karpowa znajdował dla mnie miejsce w najlepszych szkołach Moskwy, kiedy wyrzucano mnie z kolejnych z powodów dyscyplinarnych.
- I to Anatolij opłacił twoją ucieczkę z więzienia? Zastanawiam się, dlaczego to zrobił. Czy w jakiś sposób zaskarbiłeś sobie jego wdzięczność?
- Karpow zapłacił.

- Zaraz, zaraz, przepraszam, dopiero co mówiłeś, że płacił Anatolij.
- To ja pana przepraszam! Bardzo przepraszam, że się źle wyraziłem! Słusznie mnie pan upomina. Mam nadzieję, że nie

98

wpisze mi pan tego do akt - ciągnął bez namysłu, tym razem ze swą prośbą zwracając się i do Annabel. — Płacił Karpow. To niezaprzeczalna prawda, proszę pana. Pieniędzmi, które dostał za wszystkie cenne złote ozdoby pozrywane z szyj i rąk zabitych w Czeczenii, to zgadza się całkowicie. Ale to Anatolij przekupywał zarządców i strażników więziennych. To Anatolij dał mi list polecający do szanownego pana. Anatolij to mądry i praktyczny doradca, który zawsze umie się dogadać z przekupnymi urzędnikami więziennymi, i to tak, żeby nie urazić ich zawodowej uczciwości.

- List polecający? - powtórzył Brue. - Nikt nie pokazał mi żadnego listu. - Odwrócił się do Annabel, lecz na próżno. Umiała równie dobrze jak on zachowywać kamienną twarz. Lepiej niż on.

— To mafijny list, proszę pana. Został napisany przez mafijnego adwokata Anatolija w sprawie śmierci pułkownika Grigorija Borysowicza Karpowa, byłego pułkownika Armii Czerwonej, mordercy i gwałciciela.

- Do kogo ten list?

- Do mnie, proszę pana.
- Masz go ze sobą?

- Zawsze noszę go na sercu. — Z powrotem nasunąwszy



bransoletę na rękę, jeszcze raz wyciągnął sakiewkę spod płaszcza i podał Tommyemu Brue wymięty list.

Nagłówek zawierał nazwę i adres prawniczej firmy z Moskwy wydrukowane w alfabecie łacińskim i rosyjskim. Sam list został napisany na maszynie po rosyjsku i rozpoczynał się słowami: "Mój drogi Isso". Nadawca z żalem zawiadamiał adresata o tym, że jego ojciec zmarł na wylew krwi do mózgu, otoczony przez swych ukochanych towarzyszy broni, i że został pochowany z honorami wojskowymi. Ani razu nie wspominał nazwiska Karpow— za to "Tommy Brue", "Brue Freres" oraz "Lipizzaner" napisane były wytłuszczonym drukiem, numer konta zaś dopisany u dołu atramentem. Podpisano: Anatolij. Bez nazwiska.

99

— A czy ten pan Anatolij powiedział ci, w jaki sposób mam ci pomóc? Ja albo mój bank?

Zza matowej szyby dobiegał hałaśliwy szcęk przygotowywanych przez Leilę szklanek i spodków.

— Mówił, że mnie pan ochroni. Że mnie pan otoczy opieką jak sam Anatolij. Że jest pan dobrym i możliwym człowiekiem, jednym z oligarchów w swoim pięknym mieście. Pan uczyni mnie studentem medycyny na tutejszym uniwersytecie. Dzięki pana wspaniałemu bankowi zostanę lekarzem, by służyć Bogu i ludzkości, i będę żył w spokoju zgodnie z przysięgą, którą zbrodniarzowi i mordercy Karpowowi złożył pana szanowny ojciec i która po jego śmierci przeszła z ojca na syna. Zakładam, że jest pan synem swego ojca.

Brue uśmiechnął się chytrze.

— Owszem. Rzeczywiście jestem synem własnego ojca w od różnieniu od ciebie — przyznał i został nagrodzony kolejnym przesadnie promiennym uśmiechem, podczas gdy niespokojne spojrzenie Issy pomknęło ku Annabel, spoczęło na niej, jakby oczarowane, a potem uciekło.

— Pana ojciec złożył wiele pięknych obietnic pułkownikowi Karpowowi! — wyrzucił z siebie Issa, znów zrywając się na równe nogi, bo po raz kolejny uległ obawie i podnieceniu. Zaczerpnął pośpiesznie haust powietrza, dziko wykrzywił twarz i przyjął chrapliwy, autokratyczny ton wyimaginowanego ojca Tommyego Brue: - Grigorij, mój przyjacielu! Gdy twój Iwanek zwróci się do mnie, mam nadzieję, że za wiele lat, mój bank potraktuje go jak własną rodzinę! — zawołał, wyrzucając w górę rękę i machając w powietrzu czubkami palców na znak świętej przysięgi. — A gdyby mnie zabrakło, wtedy mój syn Tommy uczyni zadość żądaniom twego Iwana. Ja ci to przysięgam. Daję ci moje osobiste słowo honoru, Grigorij, mój przyjacielu. I ja, i pan Lipizzaner. -Tu zaczął mówić swoim zwykłym głosem: — Takie były słowa pana szanownego ojca. Powtórzył mi je mafijny adwokat Anatolij,

100

który z niewyjaśnionej miłości do mego ojca był mi ratunkiem w wielu przeciwnościach — skończył, bo głos mu się załamał. Dyszał ciężko.

W napiętej ciszy, która nastąpiła, tym razem nie wytrzymał Melik.

—Niech pan uważa - ostrzegawczo i opryskliwie rzucił pod adresem Brue. - Jak go pan za bardzo przycisnie, będzie miał atak. — I na wypadek gdyby Brue nie do końca go zrozumiał, dodał: — Naprawdę niech pan uważa. To mój brat.

Kiedy Brue wreszcie się odezwał, mówił po niemiecku, kierując swe na pozór spokojne słowa nie do Issy, lecz do Annabel.

-A czy mamy gdzieś tę uroczystą przysięgę na piśmie, *Frau Richter*, czy musimy polegać wyłącznie na oświadczeniu pana Anatolija przekazanym nam przez pani klienta?

— Na piśmie mamy tylko nazwę banku i numer konta  
- odparła przez zęby.

Brue udał, że się zastanawia.

- Pozwól, Isso, że wyjaśnię ci, na czym polega nasz mały problem - zaproponował po rosyjsku, ze wszystkich głosów wrzeszczących w tej chwili wniebogłosy we własnej głowie wybierając ten, który najbardziej przypominał głos kogoś, kto spokojnie podlicza słupki. - Mamy jakiegoś Anatolija, który jak twierdzisz, jest czy był adwokatem twojego ojca. Mamy pułkownika Karpowa, który jak twierdzisz, jest twoim naturalnym ojcem, choć wyrzekasz się go pod każdym innym względem. Tylko że nie mamy ciebie. Rozumiesz? Ty nie masz żadnych dokumentów. Masz za to, jak sam mówiłeś, całkiem spory więzienny staż, co szczerze mówiąc, nie napawa bankiera szczególnym zaufaniem.
- Jestem muzułmaninem, proszę pana! — zaprotestował Issa, w poruszeniu podnosząc głos i znów spojrzeniem szukając

wsparcia u Annabel. - Jestem czeczeńskim dzikusiem! To wystarczy, żeby trafić do więzienia!

— Tylko że musisz jakoś mnie przekonać — nie ustępował Brue, ignorując groźny grymas na twarzy Melika. — Ja muszę wiedzieć, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie poufnych informacji na temat jednego z dobrych klientów mojego banku. Jeżeli pozwolisz, będę musiał trochę lepiej poznać twoją sytuację rodzinną, zaczynając tam, gdzie wszystko dobre i złe zaczyna się na tym świecie, czyli od twojej matki. — Zachowywał się teraz okrutnie, całkiem świadomie i celowo. Nie przejmował się już nawet groźnymi minami Melika, tak bardzo wytrąciła go z równowagi wykonana przez Issę groteskowa parodia Edwarda Amadeusa. - Kim jest albo była twoja szanowna matka? Czy masz jakieś rodzeństwo żyjące albo nie?

W pierwszej chwili Issa nie powiedział ani słowa. Jego wiotkie ciało nadal nachylało się nad stołem, opierając się na nim łokciami. Bransoletka zsunęła się do połowy wychudłego przedramienia, długie dłonie chroniły głowę i tak prawie niewidoczną zza uniesionego kołnierza czarnego płaszcza. Nagle z tego kołnierza wynurzyła się dziecinna twarz i w jednej chwili stała się twarzą mężczyzny.

- Moja matka nie żyje, proszę pana. Całkiem nie żyje. Całkiem, bo ona umierała wiele razy. Najpierw w dniu, w którym dzielni wojacy Karpowa porwali ją z wioski i zawieźli do koszar, żeby Karpow mógł ją pohańbić. Miała wtedy piętna

ście lat. Potem w dniu, w którym starsi jej plemienia uznali, że współuczestniczyła w swej hańbie, i nakazali jednemu z jej braci, aby ją zabił zgodnie z tradycją naszego narodu. Umierała każdego dnia, oczekując na moje urodzenie, świadoma, że gdy tylko wyda mnie na świat, sama będzie musiała się z nim rozstać, a jej dziecko trafi do wojskowego sierocińca dla dzieci innych zgwałconych czeczeńskich matek. Nie myliła się, przewidując własną śmierć, ale myliła się co do dalszych czynów

102

tego, który był przyczyną tej śmierci. Bo gdy pułk Karpowa odwołano do Moskwy, postanowił zabrać ze sobą chłopca. Jako zdobycz wojenną.

— Ile miałaś wtedy lat?

- Chłopiec miał wtedy siedem lat, proszę pana. Dość, by zapamiętać widok lasów, gór i rzek Czeczenii. I by wrócić do nich, kiedy tylko Bóg mu na to pozwoli. Chciałbym jeszcze coś powiedzieć, proszę pana.

— Proszę bardzo.

-Jest pan dobrym i ważnym człowiekiem, proszę pana. Jest pan uczciwym Anglikiem, nie rosyjskim barbarzyńcą. Czeczeni marzyli kiedyś, że sprowadzą do siebie angielską królową, żeby broniła ich przed rosyjskim tyranem. Przyjmę pana opiekę tak, jak pański szanowny ojciec obiecał Karpowowi, i boskim imieniem dziękuję panu z całego serca. Ale jeżeli chodzi o pieniądze Karpowa, to muszę niestety odmówić ich przyjęcia. Ani jednego euro, ani dolara, ani rubla, ani angielskiego funta. To pieniądze imperialistycznych złodziei, niewiernych, krzyżowców. To

pieniądze, które mnożyły się w lichwie, co jest niezgodne z naszym boskim prawem. Pieniądze te były konieczne, bym odbył tę niebezpieczną podróż, ale więcej ich nie tknę. Bardzo proszę o uzyskanie dla mnie paszportu niemieckiego i pozwolenia na pobyt, i żebym mógł studiować medycynę, i modlić się, i skromnie żyć. O to tylko pana proszę. Dziękuję panu.

Górna część jego ciała opadła w przód na stół, głowa skryła się między założonymi na nią rękoma. Z kuchni wypadła Leila, aby go pocieszyć, drżał bowiem cały i szlochał. Melik ustawił się przed Tommym Brue, jakby chciał ochronić Issę przed kolejnymi atakami. Annabel również stała, lecz zgodnie z muzułmańskim nakazem przyzwoitości nawet nie próbowała zbliżyć się do swego klienta.

- Ja też ci dziękuję, Isso - rzekł Brue po dłuższej chwili ciszy. — *Frau Richter*, czy mógłbym panią prosić na słówko? Na osobności?

103

\* \* \*

Stali o pół metra od siebie w pokoju Melika, tuż obok zwisającego z sufitu worka treningowego. Staliby twarzą w twarz, gdyby była trochę wyższa. Jej cętkowane złotem oczy patrzyły nieustępliwie zza okularów. Oddychała powoli, jakby z rozmysłem; zorientował się, że on też. Jedną ręką rozwiązała chustkę i odsłoniła twarz, jakby rzucała mu wyzwanie, by uderzył pierwszy. Ale była w niej cała nieustraszoność Georgie i tyle jej niedostępnego piękna, że chyba już wiedział, iż jest zgubiony.

• Czy pani o tym wszystkim wiedziała? — zapytał ostro głosem, którego

prawie nie znał.

- To nie pańska sprawa, tylko mojego klienta.

- Zgłasza się po pieniądze, ale ich nie chce. No i co ja mam zrobić? A teraz nie chce pieniędzy, tylko żebym się nim zaopiekował.

- No właśnie.

— Ja nie zajmuję się opiekowaniem. Jestem bankierem. Nie załatwiam wiz pobytowych. Nie załatwiam niemieckich paszportów ani wstępu na studia medyczne! - Gestykułował przy tym swobodnie, co rzadko mu się zdarzało: przy każdym "nie załatwiam" uderzał prawą pięścią w lewą dłoń.

- Mój klient uważa pana za osobę ważną - odparła natychmiast. - Uważa, że skoro jest pan właścicielem banku, na pewno rzadzi pan całym miastem. Pana ojciec i jego ojciec prowadzili razem podejrzane interesy. To sprawia, że jesteście braćmi. To oczywiste, że musi mu pan zapewnić opiekę.

- Mój ojciec z nikim nie robił podejrzanych interesów! — wybuchnął, lecz zaraz się opanował. — W porządku, zaangażowała się pani emocjonalnie, ja chyba też. I bardzo dobrze. Pani klient to postać tragiczna, a pani jest...

- Tylko kobietą?

- Sumienną prawniczką, która robi co w jej mocy dla swego klienta.

- On jest też pana klientem.

W każdej innej sytuacji Brue zaprzeczyłby energicznie, teraz się powstrzymał.

- Ten człowiek był torturowany i całkiem możliwe, że doznał pomieszania zmysłów - powiedział. — To, niestety, nie oznacza, że mówi prawdę. Kto może stwierdzić z pewnością, że nie przywłaszczył sobie rzeczy i tożsamości któregoś ze swych współwięźniów, by upomnieć się bezprawnie o coś, co należy się tamtemu?... Czy ja powiedziałem coś śmiesznego?

Uśmiechała się, lecz tylko dlatego, że właśnie zdobyła nad nim lekką przewagę.

- Właśnie pan przyznał, że jednak coś mu się należy.

- Skądże znowu! — oburzył się Brue. - Wręcz przeciwnie.

Powiedziałem, że całkiem możliwe, iż nic mu się nie należy! Poza tym należy mu się czy nie... Przecież on się wszystkiego zrzeka, więc co za różnica?

- Różnica jest taka, proszę pana, że mojego klienta by tutaj nie było, gdyby nie ten pana pierdolony bank.

Nastąpił chwiejny rozejm, podczas którego oboje zastanawiali się nad tak zaskakującym doborem słownictwa. Brue usiłował odpowiedzieć atakiem na atak, lecz nie czuł w sobie agresji, wręcz przeciwnie. Miał narastające wrażenie, że powoli przechodzi na jej stronę.

- *Frau* Richter...

- Słucham pana.

- Bez całkowicie nieodpartych dowodów nie przyznam, że mój bank... mój ojciec pomagał rosyjskim bandytom i bronił ich interesów.



- A co pan przyzna?

- Przede wszystkim pani klient musi upomnieć się o swoje.

105

—To wykluczone. Zostało mu pięćset dolarów z tego, co dał mu Anatolij, ale i tego nie tknie. Zamierza wręczyć je Leili, kiedy się od niej wyprowadzi.

—Jeżeli się nie upomni, nie będę miał żadnych podstaw do działania, a to oznacza, że cała nasza dyskusja staje się... akademicka. Więcej: bezsensowna.

Zastanawiała się nad tym, niedługo jednak.

— W porządku. Załóżmy, że się upomni. Co wtedy?

Wyczuwając, że chce go zbić z tropu, zawahał się.

- No cóż, po pierwsze musi oczywiście przedstawić mi jakieś minimalne podstawowe dowody.

- Minimalne, czyli jakie?

Brue improwizował. Chował się za przepisami, które ominięto, aby powstały konta lipizzanerów. To było wtedy, nie teraz, zapewniał sam siebie. A teraz mam sześćdziesiąt lat i ta sprawa dotyczy mnie, a nie zramolałego Edwarda Amadeusa.

- Oczywiście jakieś dowody tożsamości, zaczynając od metryki urodzenia.

- A skąd on je weźmie?

- Jeżeli się okaże, że sam ich nie załatwi, trzeba będzie poprosić o pomoc ambasadę rosyjską w Berlinie.

- A potem?

- Potem akt zgonu jego ojca i okazanie jego testamentu, oczywiście wraz z notarialnym oświadczeniem jego adwokata.

Nic nie powiedziała.

— Przecież chyba się pani nie spodziewa, że wystarczy mi parę wymiętych wycinków prasowych i ten w żaden sposób nie poświadczony list.

Nadal milczała.

— Taka byłaby normalna procedura — ciągnął odważnie, do skonale zdając sobie sprawę, że w tej sytuacji nie może być mowy o żadnej normalnej procedurze. — Po przedstawieniu odpowiednich dowodów radziłbym udać się z klientem do niemieckiego sądu i przeprowadzić urzędowe postępowanie spadkowe albo

106

postarać się o nakaz sądowy. Mój bank musi przestrzegać własnego statutu. A jednym z jego warunków jest przestrzeganie prawa kraju związkowego i Republiki Federalnej.

Kolejna denerwująca chwila milczenia, podczas której badawczo przyglądała się mu niewzruszonym wzrokiem.

- Czyli takie są reguły gry, tak? - zapytała.

- Na początek.

- A co by się stało, gdyby trochę je pan nagiął? Załóżmy, że przyleciał do pana pierwszą klasą elegancki rosyjski biznesmen w garniturze za tysiąc dolarów i zażądał wydania swoich pieniędzy. “Cześć, *mister Tommy*, to ja, chłopak Karpowa. Twój tata i mój pili razem

wódkę. Gdzie moja kasa?" Jak by się pan wtedy zachował?

- Dokładnie tak jak teraz — odparł z mocą, choć bez przekonania.

\* \* \*

Teraz Annabel Richter przegrywała, górą był Tommy Brue.

Zrezygnowana nieco złagodziła wyraz twarzy. Wzięła powolny, głęboki oddech.

- No dobrze. Proszę mi pomóc. Nie wiem, co mam robić. Może pan mi powie.
- Niech pani robi to, co pewnie zawsze. Musi się pani zdać na łaskę i niełaskę niemieckich władz i jakoś unormować tę sytuację. Z tego, co widzę, im szybciej, tym lepiej.
- A niby jak mam ją unormować? On jest młody, młodszy ode mnie, ale przypuśćmy, że jego sytuacji nie da się unormować od razu. Ile najlepszych lat życia mu jeszcze zmarnują?
- No cóż, to przecież pani żyje w tym świecie. Ja, na szczęście, nie.
- Oboje w nim żyjemy — obruszyła się. Jej twarz oblała się rumieńcem, który długo nie chciał zniknąć. - Tylko że pana po prostu to nie obchodzi. Chce pan usłyszeć najlepszą część tej historii? Pewnie pan nie chce, ale i tak panu powiem. Mówi

107

pan, żebym zabrała go do sądu, przeprowadziła postępowanie spadkowe.

Jeżeli to zrobię, to tak, jakbym go zabiła. Rozumie pan? Zabiła!

Przyjechał tu ze Szwecji. Ze Szwecji przez Danię do Hamburga. Jego

statek wcale nie miał zawijać do Szwecji, ale zawinął. Tak czasem bywa

ze statkami. Szwedzi go aresztowali. Po więzieniu i podróży w tych warunkach był w takim stanie, że nie wiedzieli, czy się podniesie. Jakimś cudem udało mu się uciec. Pieniądze się przydały, dlatego tak niechętnie o tym mówi. Ale zanim uciekł, szwedzka policja zrobiła mu zdjęcie i pobrała odciski palców. Wie pan, co to znaczy?

— Jeszcze nie.

Powoli odzyskiwała równowagę, choć z trudnością.

- To znaczy, że teraz jego odciski palców i zdjęcie są na każdej policyjnej stronie internetowej. To znaczy, że zgodnie z traktatem dublińskim z 1990 roku, który na pewno przeczytał pan od deski do deski, Niemcy nie mają wyjścia, tylko muszą go w trybie natychmiastowym odesłać do Szwecji. Bez procesu i bez prawa do odwołania. W Szwecji jest zbiegiem z aresztu i nielegalnym imigrantem, jest poszukiwany w Rosji i Turcji i jeszcze ma w aktach działalność muzułmańską. A deportują go nie Niemcy, tylko Szwedzi.
- Z tego co wiem, Szwedzi są bardzo humanitarni.

— A tak, pewnie. Szczególnie względem nielegalnych imigrantów. A on jest z ich punktu widzenia nielegalnym imigrantem, do tego jeszcze zbiegłym z więzienia terrorystą. Jeżeli Turcy zechcą go sprowadzić z powrotem do siebie, żeby odsiedział resztę wyroku, i, oczywiście, parę lat ekstra za wyjście za łapówkę, to Szwedzi prześlą go Turkom i nic ich już nie będzie obchodziło. W porządku, istnieje mniej więcej jedna szansa na tysiąc, że wstawi się za nim jakiś szwedzki święty, ale ja za bardzo nie wierzę w świętych. A kiedy Turcy się nim znudzą, prześlą go Rosjanom, którzy dołożą mu od siebie drugie tyle. Zresztą Turcy mogą uznać, że już się nim nacieszyli, i grzecznie podziękują, a w tym wypadku Szwedzi od

razu wyślą go Rosjanom. Tak czy inaczej czeka go dalsze więzie-

108

nie i dalsze tortury. Ile jeszcze wytrzyma? Czy pan mnie w ogóle słucha? Nie wiem, bo na tyle nie znam pana twarzy.

On sam też nie znał. Nie wiedział, jak powinna wyglądać ani jakie uczucia powinien nią wyrażać.

- Mówi pani tak, jakby nie było żadnej szansy na zwykły apel do ludzkich uczuć - zaprotestował słabo, podczas gdy ona wciąż patrzyła wprost w niego.

- W zeszłym roku miałam klienta imieniem Magomed. Był dwudziestotrzyletnim Czeczenem po torturach u Rosjan. Nic osobistego, nic wyszukanego, po prostu dużo go bili. Ale był miękki i młody, i trochę zwariowany, jak Issa. No więc proszę sobie wyobrazić, że bicie jakoś mu nie służyło. A może dostał o jeden raz za dużo?

Wystąpiliśmy o azyl, też graliśmy na współczucie. Uwielbiał chodzić tu do zoo, nic dziwnego, w Hamburgu jest pierwszorzędne. Bałam się o niego, więc Azyl Północ zebrał, ile się dało, i zatrudnił sławnego adwokata, który orzekł, że sprawa jest jasna i że nie ma czego się obawiać, ale że się jeszcze zastanowi. Bo w teorii Niemcy mają bardzo sztywne zasady, gdzie nie wolno im odsyłać ludzi. Więc czekaliśmy na wyrok i znowu wybieraliśmy się do zoo. A Magomed nie miał tak zapaprannej kartoteki jak Issa. Nie miał za sobą żadnej działalności islamskiej, nie był o nic podejrzany ani nie szukał go Interpol. O piątej rano wywlekli go z łóżka w schronisku i wsadzili do samolotu do Petersburga. Musieli go zakneblować. Potem już nikt o nim nie

słyszał. Ostatnie co słyszano, to jego krzyki. - Znów się zarumieniła, nie wiadomo dlaczego, i zaczerpnęła tchu.

- Na studiach wiele dyskutowaliśmy o tym, że prawo często przedkłada się ponad człowieka - mówiła dalej. - To smutna prawda w historii Niemiec: prawo nie chroni człowieka, tylko go niszczy. My tak traktowaliśmy Żydów, współczesna wersja amerykańska dopuszcza tortury i sankcjonowane przez państwo porwania. I ta choroba się szerzy. Ani pana kraj nie jest na nią odporny, ani mój. Ja nie chcę służyć takiemu prawu. Ja służę Issie Karpowowi. To on jest moim klientem. Bardzo mi przykro, jeżeli to dla pana żenujące bzdury.

109

Sama jednak sprawiała wrażenie zażenowanej, teraz bowiem była już czerwona jak burak.

- Na ile pani klient zdaje sobie sprawę z sytuacji? - zapytał Brue po dłuższym milczeniu.
  - Mam obowiązek mu powiedzieć, więc mu powiedziałam.
  - I jak to zniósł?
  - My możemy uważać, że to zła wiadomość, ale on wcale nie musi tak tego widzieć. Był zainteresowany, święcie jednak wierzy, że pan wszystko załatwi. Dom jest obserwowany, może pan nie zauważył. Ci troskliwi policjanci, którzy złożyli Leili miłą wizytę... Tak, tak, na pewno się o nas troszczą, jeszcze jak!
  - Myślałem, że ich pani zna.
    - My ich wszystkich znamy. Wiemy, o co im chodzi.
- Trochę po to, by uwolnić się od jej spojrzenia, a trochę, by

zyskać na czasie, Brue zrobił rundkę wokół pokoju.

- Mam pytanie do pani klienta - rzekł gotowy znów jej stawić czoło. - Zresztą może pani sama potrafi mi odpowiedzieć. Według zasad ustalonych dla obsługi domniemanego konta jego zmarłego ojca musi istnieć coś, co zostało określone jako instrument dostępu. Taki instrument miałby zasadnicze znaczenie, gdyby Issa jednak zdecydował się na kroki prawne względem tego rachunku.
- Czy to może być klucz?
- Może.
- Taki mały, z zębami z trzech stron?
- Całkiem możliwe.
- Zapytam go - powiedziała.

Czy się uśmiechnęła? Brue miał wrażenie, że przemknęła między nimi iskra porozumienia. Miał gorącą nadzieję, że się nie myli.

- Oczywiście tylko jeżeli się upomni o spadek - dodał surowo. — Tylko jeżeli uda się go do tego przekonać. W przeciwnym razie wracamy do punktu wyjścia.

110

- A czy to dużo pieniędzy?
- Jeżeli upomni się o nie i jeżeli wygra sprawę, na pewno pani powie ile - odpowiedział z kamienną twarzą.

Tu jednak ni stąd, ni zowąd albo przemówiło jego za dobre serce, albo zapomniał na chwilę, że jest twardym bankierem z dziada pradiada, spłynęło bowiem na niego przedziwne uczucie, że ktoś inny - ktoś całkiem rzeczywisty, spontaniczny i ludzki, ktoś, kto nie traktuje innych wyłącznie

jako element w obrachunku finansowym - przejął jego świadomość i mówi przez niego:

- A zanim cokolwiek się wyjaśni, jeżeli mogę zrobić coś sam... to znaczy, jeżeli w jakikolwiek sposób mogę być pomocny, całkiem szczerze, oczywiście w granicach rozsądku, z przyjemnością pomogę. Będę zachwycony. Będę to uważał za zaszczyt.

\* \* \*

Patrzyła na niego wzrokiem tak nieruchomym, że zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście powiedział to, co powiedział.

- Pomóc? W jaki sposób? — zapytała.

Teraz mógł już tylko brnąć dalej, i bardzo dobrze, bo właśnie brnął.

-W granicach rozsądku zrobię, co będę mógł. Zdaję się na panią. Całkowicie. Zakładam, że jest tak, jak on mówi. Przecież nie mam innego wyjścia.

- Oboje musimy tak zakładać - zniecierpliwiła się. — Pytam, co pan miał na myśli, mówiąc, że naprawdę chce nam pan pomóc.

Brue bynajmniej nie wiedział, co miał na myśli, lecz zauważył, że jej spojrzenie już go nie oskarża - przeciwnie, jego propozycja w jakiś sposób wyszła naprzeciw jej oczekiwaniom, nawet jeżeli dopiero zaczynała zdawać sobie z tego sprawę.

- Szczerze mówiąc, miałem na myśli pieniądze — rzekł z niejakim zażenowaniem.



- Czy na przykład mógłby pan zaoferować mu pożyczkę, jakąś zaliczkę na poczet przyszłej wypłaty?

Jego bankierska natura znów się na chwilę ujawniła.

- Ze strony banku? O, nie. Dopóki nie udowodni swojego prawa, dopóki nie zażąda wypłaty... Wykluczone.
- To o jakich pieniądzach pan mówił?
- Czy pani organizacja nie ma specjalnego funduszu na takie właśnie przypadki?
- Azyl Północ ma w tym momencie akurat tyle funduszy, że wystarczy na opłacenie mu przejazdu do najbliższego obozu deportacyjnego.
- A nie macie jakiegoś... jakiegoś lokalu... w którym można by go czasowo przechować?

- W którym policja nie znalazłaby go w pięć minut? Nie.

Brue wciąż się nie poddawał.

- A jeżeli naprawdę jest chory? Jeżeli powie, że jest chory? Przecież nikt nie będzie chciał deportować kogoś poważnie chorego.
- Jeżeli zacznie twierdzić, że jest chory, jak połowa ludzi w jego sytuacji i jak było w przypadku Magomeda, a lekarze uznają, że nie może teraz podróżować, będzie leczony w jakimś policyjnym szpitalu, dopóki na tyle nie wyzdrowieje, by można go odesłać. Jeszcze raz pana zapytam: jakie pieniądze miał pan na myśli?
- No cóż, suma zapewne zależałaby od konkretnej potrzeby - odparł Brue, znów grając rolę bankiera. - Jeżeli mogłaby pani podać mi jakieś szczegóły, co zamierza pani z tym zrobić...
- Nie mogę. Tajemnica zawodowa.

- Oczywiście. Ma pani rację. Jak najbardziej. Ale mówimy o... no cóż, o stosunkowo skromnej kwocie, byle miał na przeżycie...
- Nie takiej znowu skromnej...
- W tej sytuacji muszą to być moje pieniądze. Z moich osobistych zasobów. Wypłacone oczywiście pani klientowi. Za pani pośrednictwem, ale na jego użytek.

112

- Czy chce pan jakieś zabezpieczenie?
- Na miłość boską, ależ skąd! - Dlaczego tak się oburzył? - To całkowicie nieoficjalna pożyczka, co do której można mieć nadzieję, że zostanie kiedyś spłacona. A jeżeli nie, to trudno. Oczywiście wszystko zależy od tego, ile pani miała na myśli. Ale nie, nie chcę i nie potrzebuję żadnego zabezpieczenia.

W końcu udało mu się wysławić. A skoro już powiedział, co powiedział, zorientował się, że wierzy we własne słowa i że chętnie powiedziałby to jeszcze raz. I jeszcze raz, jeśli będzie trzeba.

Tym razem ona nie wiedziała, co powiedzieć.

— To może być... no... całkiem sporo.

-Tak, tak, ale wszystko zależy od tego, co znaczy "sporo". - Nie mógł się powstrzymać, by tego nie powiedzieć, w dodatku z bankierskim uśmiechem dającym do zrozumienia, że "sporo" znaczy dla niego coś zupełnie innego niż dla reszty śmiertelników.

- Jeżeli okaże się, że nie będzie potrzebował, zaraz panu zwrócę. Chyba mi pan wierzy?
- Ależ oczywiście. No to jaką sumę mamy na myśli?

Co tak obliczała? Na ile go można naciągnąć czy ile rzeczywiście potrzeba na to, co by chciała zrobić? I od jak dawna już o tym myślała? Odkąd tu weszli czy zaczęła dopiero wtedy, gdy on podsunął jej tę myśl?

— Jeżeli uda mi się go przekonać... Myślę, że musiałyby być co najmniej... trzydzieści tysięcy euro. - Kwotę wypowie działa jednym tchem, niewyraźnie, jakby w ten sposób chciała ją zmniejszyć.

Tommyemu Brue już i tak kręciło się w głowie, lecz nie dlatego, że obawiał się o pieniądze. Przecież nie miał do czynienia z podejrzanym przedsiębiorcą, klientem, który ciągle jest pod kreską, niewypłacalnym inwestorem czy z góry skazanym na porażkę geniuszem z szalonym pomysłem w głowie. Ten sza-

113

lony pomysł jest mojego autorstwa. A w ogóle ten mój pomysł wcale nie jest taki szalony.

- Kiedy chciałaby je pani dostać? — zapytał, nim zdążył się powstrzymać. Kolejne automatyczne pytanie.
- Bardzo szybko. W ciągu najwyżej kilku dni. Jego sprawy mogą potoczyć się błyskawicznie, a wtedy pieniądze będą bardzo potrzebne.
- W dodatku dziś piątek... Może więc załatwmy to od razu, żeby potem niepotrzebnie nie czekać? A ponieważ to, czego pani nie zużyje, i tak mi pani odda, może dorzucmy parę centów na zapas, dobrze? - Mówił jak o ich wspólnym przedsięwzięciu, bo zresztą tak właśnie mu się wydawało w tym jego obecnym odmiennym stanie świadomości.

Książeczkę czekową — wydaną przez wielki bank clearingowy - Brue

miał jak zawsze przy sobie. Ale gdzie się podziało jego pióro? Obmacał się po kieszeniach i przypomniał sobie, że zostawił je wraz z notesem w saloniku. Podała mu swoje i patrzyła, jak wypisuje czek dla Annabel Richter na sumę pięćdziesięciu tysięcy euro z datą dzisiejszą, piątkową. Na wizytówce, których zawsze miał kilka poukrywanych w kieszeniach marynarki od Randalla, wypisał jeszcze numer swojej komórki i - raz kozie śmierć! - bezpośredni numer do banku.

- Odezwie się pani do mnie, jak sądzę - dodał zażenowanym, niepewnym głosem, gdy zobaczył, że wciąż na niego patrzy. -1 bardzo proszę mówić mi po imieniu. Jestem Tommy.

Tymczasem w salonie Issa dał się przekonać, by usiadł na kanapie z odchyłoną do tyłu głową, a Leila zaraz położyła mu na czoło okład. Brue zabrał swoje złote pióro.

- Lepiej niech pan tu już nie przychodzi - mruzczał basem Melik, odprowadzając go do drzwi. — Lepiej niech pan zaraz zapomni, jaka to ulica. My nie pamiętamy pana, pan nas. Zgoda?
- Zgoda - powiedział Brue.

114

\* \* \*

- Von Essenowie kantują — oświadczyła Mitzi, odpinając szafirowe kolczyki i przypatrując się sobie w lustrze toaletki, podczas gdy Brue obserwował ją z łóżka. Dzięki wysokim nakładom finansowym i zabiegom modnego chirurga plastycznego w wieku pięćdziesięciu lat nadal była - albo prawie była - zachwycającą trzydziestodziewięciolatką.

- Stosują wszystkie stare sztuczki — ciągnęła, krytycznie przyglądając się ścięgom na swej szyi. - Palce do twarzy, palce na kartach, drapanie się w głowę, ziewanie, lustra...  
A jeszcze ta dziwka, ich pokojówka, wpycha wszystkim drinki i zagląda ludziom w karty, jeżeli tylko nie mizdrzy się do Bernharda.

Była druga nad razem. Czasem rozmawiali po niemiecku, czasem po angielsku, czasem, dla zabawy, w obu językach naraz. Dziś przyszła kolej na niemiecki, a raczej jego miękką wiedeńską wersję, którą posługiwała się Mitzi.

- Czyli przegraliście — domyślił się Brue.
- A poza tym u nich śmierdzi - dodała, nie zwracając uwagi na to, co powiedział. - I nic dziwnego, jak ktoś buduje dom na kanalizacji...  
Bernhard nie powinien był wychodzić królem. Jego zawsze ponosi. Gdyby wytrzymał, moglibyśmy wygrać tego robra. Mógłby wreszcie wydorosnąć.

Bernhard był jej regularnym partnerem; można podejrzewać, że nie tylko do brydza. Ale nic się na to nie poradzi, takie jest życie. Stary Westerheim utrafił w sedno, nazywając ją najlepszą Pierwszą Damą Hamburga.

- A ty długo dzisiaj pracowałeś? - zawołała Mitzi z łazienki.
- Dość długo.
- Biedaczek.

Kiedyś, pomyślał, naprawdę będzie cię interesowało, gdzie byłem i co robiłem. Nie, nie będzie. Nie zapytasz mnie o nic,

o co sama nie chciałabyś zostać zapytana. Mądrała z ciebie. Jesteś o wiele mądrzejsza ode mnie. Gdyby cię dopuścić do zarządzania bankiem, w parę lat wyszlibyśmy na swoje.

— Coś dziś jesteś ożywiony — powiedziała z przyganą w głosie, pojawiając się z powrotem, przebrana już w koszulę nocną.

— Nie tak jak zwykle w piątki. Jesteś zaczerwieniony i czymś zaaferowany. Brałeś coś na sen?

- Tak, ale nie działa.
  - Piłeś?
  - Parę szkockich.
  - Martwisz się czymś?
  
  - Ależ skąd. Wszystko jest w porządku.
    - To dobrze. Może po sześćdziesiątce już tak jest, że człowiek nie chce marnować czasu na sen.
  - Może.
- Zgasiła światło.
- Bernhard chce wziąć nas jutro swoim samolotem na Sylt, do tej swojej willi. Na lunch. Ma dwa wolne miejsca. Wybierzesz się?
  - Może być fajnie.

Tak, Mitzi, jestem zaczerwieniony i zaaferowany. Nie tak jak zwykle w piątek wieczorem. Właśnie wydałem pięćdziesiąt tysięcy własnych euro i uważam to za najlepszą inwestycję w całym swoim życiu, tylko muszę

jeszcze zrozumieć, dlaczego tak uważam. Żeby kupić tamtemu więcej czasu?... Co ona z nim zrobi?... Umieści go w apartamencie w hotelu Atlantic?...

W ten piątek do domu poszedłem na piechotę. Nie wezwałem taksówki ani samochodu służbowego. Byłem lżejszy o pięćdziesiąt tysięcy euro, dawno nie było mi tak przyjemnie. Czy ktoś mnie śledził? Nie sądzę. A nawet jeżeli, to na pewno nie w Eppendorfie, gdzie sam się zgubiłem.

116

Szedłem płaskimi, prostymi, bliźniaczo jedna do drugiej podobnymi ulicami, mózg nie miał najmniejszego zamiaru mówić mi, dokąd iść. Ale to nie był strach. I nie usiłowałem zgubić tych, co mnie śledzili, jeżeli w ogóle ktoś mnie śledził. Po prostu przestałem na chwilę korzystać z kompasu.

W ten piątkowy wieczór trzy razy trafiłem na to samo skrzyżowanie. Gdybym teraz na nim stanął, dalej nie wiedziałbym, w którą stronę skręcić.

Kiedy zastanawiam się nad swoim pozbawionym większych emocji życiem, co widzę? Same ucieczki. Cokolwiek się działo: kłopoty z kobietami, z bankiem, z Georgie, poczciwy Tommy zaraz brał nogi za pas. On przecież nigdy z nikim nie zaczynał, zawsze ktoś zaczepiał jego, zawsze zaczepiających było dwóch i to nie jego wina - taki już jest ten Tommy.

Za to ty, Annabel - jeżeli kiedyś będzie mi wolno tak się do ciebie zwracać - ty jesteś kompletnie inna, prawda? Ty idziesz na zderzenie, na czołowe. Ty żyjesz naprawdę i pewnie dlatego powtarzam sobie w myśli:

“Annabel, Annabel”, podczas gdy powinienem myśleć: “Edwardzie Amadeusie, ty kochany martwy wariacie, patrz, w jakie gówno mnie wpakowałeś!”.

W nic mnie nie wpakował. Jestem zadowolony. Jestem zadowolonym inwestorem. Nie wyprzedałem się, wręcz przeciwnie, kupiłem jeszcze więcej akcji. Te pięćdziesiąt tysięcy to mój bilet wstępu. Jestem twoim współnikiem niezależnie od tego, co planujesz. I proszę mi mówić po imieniu. Jestem Tommy.

\* \* \*

A kogo ty masz, Annabel? Z kim rozmawiasz - teraz, w tej chwili? Z kim dzielisz się sobą, kiedy opadasz na samo dno?

Z jednym z tych długowłosych wyszczekanych lewaków Georgie, bez pięćdziesięciu tysięcy przy duszy i bez wychowania?

A może z jakimś starszym bogatym światowcem, który potrafi cię zagadać, kiedy na chwilę zstępujesz z piedestału?

117

Wszyscy ojcowie są tacy sami, pomyślał, gdy pigułka nasenna wreszcie zaczęła działać. Mój był taki sam jak ojciec Issy. Dwaj współnicy w zbrodni, odjeżdżający wprost w zachodzące słońce na czarnych jak smoła lipizzanerach, które za nic nie chcą się wybielić.

A twój ojciec? Jaki on jest? Jaki jest prywatnie? Jeszcze jednym takim jak ja? Odrzucony, wyklęty przez ciebie - i sam sobie na to zasłużył? Może i kochany, tyle że na odległość ośmiu tysięcy mil? Ale on i tak jest częścią ciebie, doskonale to wyczuwam. Wyczuwam to w twojej pewności



siebie, w twojej lekkiej co prawda, wyczuwalnej jednak klasowej arogancji - wyczuwalnej nawet wtedy, gdy ratujesz wyklęty lud ziemi.

Issa, pomyślał. Ten jej znajda. To jej niemal na śmierć zamęczone dziecko. Jej czarny dzikus z Czeczenii, który jest tylko pół-Czeczenem, lecz upiera się, że jest nim w całości, nie w połowie, i równocześnie raz po raz częstuje mnie ironią jak ci brodaci rosyjscy emigranci, którzy niegdyś wałęsali się po Montparnasse, geniusze zasrani.

To Issa powinien łązić w kółko po Eppendorfie, nie ja.

## 5

Gunther Bachmann najpierw zezłościł się, a potem zaniepokoił, gdy w trybie pilnym wezwano go przed nalane oblicze *Herr* Arnolda Mohra, szefa specsłużb w Hamburgu. I to w niedzielne południe, gdy Mohr, ostentacyjnie praktykujący chrześcijanin, powinien pokazać się z rodziną w którymś z elegantszych kościołów miasta. Bachmann całą poprzednią noc przebijał się przez wszystkie akta, jakie Ernie Frey udało się zgromadzić na temat czeczeńskich dżihadystów. Erna, choć zwykle jej się to nie zdarzało, tym razem przedłożyła życie prywatne nad zawodowe i pojechała do Hanoweru na ślub siostrzenicy. Po ukończeniu lektury miał zamiar przelecieć się do Kopenhagi i napić piwa z ludźmi z duńskiego wywiadu, których lubił, i gdyby mu pozwolili, pogadać z kierowcą ciężarówki, owym dobrym bratem, który przewiózł Issę przez granicę do Hamburga i jeszcze podarował mu swój płaszcz. Nawet już zatelefonował do swojego łącznika: nie ma sprawy, Gunther, wyślemy po ciebie samochód na

lotnisko. Tymczasem musiał przechadzać się niespokojnie po swym gabinecie w stajni, a Erna Frey, wciąż jeszcze w weselnym stroju, siedziała w idealnej postawie za biurkiem i kończyła miesięczne zestawienie kosztów dla Berlina.

119

- Keller przyjechał - poinformowała go, nie podnosząc głowy znad papierów.

-Keller? Który Keller? - spytał zniecierpliwiony Bach-mann. - Hans Keller z Moskwy czy Paul Keller z Ammanu?

- Doktor Otto Keller, najbardziej specjalny człowiek służb specjalnych. Godzinę temu przyleciał z Kolonii. Jak wyjrzysz przez okno, będziesz mógł podziwiać jego helikopter, który zajął wszystkie miejsca na naszym parkingu.

Bachmann posłusznie wyjrzał i wydał z siebie okrzyk obrzydzenia.

- A czego ten znowu od nas chce? Znowu ktoś przejechał na czerwonym świetle? A może zabawiał się z własną mamusią?
- Zebranie jest ściśle tajne, bardzo robocze i okropnie pilne - odpowiedziała Erna Frey, spokojnie zajmując się swoją robotą. — Tyle tylko udało mi się z nich wyciągnąć.

Bachmann poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

- Znaleźli mojego chłopaka?
- Jeżeli masz na myśli Issę Karpowa, to chodzą plotki, że już prawie go mają.

Bachmann przyłożył w rozpaczycy dłoń do czoła.

- Ale przecież chyba go nie zdjęli? Arni przysięgał mi, że

policja niczego nie zrobi bez porozumienia ze mną. "To twoja sprawa, Günther. Twoja sprawa, stary, ale będziemy się razem naradzać". Taka była umowa. - Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, gorsza. - Tylko mi nie mów, że policja zdjęła go, żeby pokazać Arniemu, kto tu rządzi!

Erna Frey pozostała niewzruszona.

- Moje Głębokie Gardło w osobie bardzo złej tenisistki z bardzo niekompetentnej sekcji kontrwywiadu u Arniego zapewniło mnie, że specsłużby już prawie go mają. Tyle mi powiedziała. Jest na mnie wściekła, że ostatnio rozniosłam ją dwa razy po sześć zero, ale przynosi mi w nagrodę takie pło teczki ze stołówki. Potem mi mówi, żebym przypadkiem ci nie mówiła, więc, oczywiście, przypadkiem ci mówię - po-

120

wiedziała i choć on wciąż na nią patrzył, znów zajęła się rachunkami.

- Coś ty taka dziś zła? - rzucił do jej pleców. - Zwykle ja mam na to monopol.
- Nienawidzę ślubów. Uważam, że to ceremonia nienaturalna i uwłaczająca. Jak idę na ślub, zawsze widzę, że prowadzą pod ścianę kolejną porządną kobietę.
- A biednego pana młodego ci nie żal?
- Z mojego punktu widzenia właśnie biedny pan młody jest tą ścianą. Keller chce mieć na zebraniu tylko szefów. Będziesz ty, Mohr i Keller.
- Policjantów nie będzie?

- Nie mówili, że mają być.

Nieco uspokojony Bachmann wrócił do obserwacji dziedzińca.

- Czyli dwóch na jednego? Biali jak śnieg panowie ze spec-służb kontra jedna wyklęta czarna owca?

- No, tylko pamiętaj, że walczymy ze wspólnym wrogiem - zauważyła wesoło Erna. - Z sobą nawzajem.

Wstrząsnął nim jej sceptycyzm, tak bardzo bowiem przypominał jego własny.

- A ty idziesz ze mną — powiedział szybko.

- Nie wygłupiaj się. Ja nie cierpię Kellera, a on mnie. Tylko ci będę zawadzać i odzywać się nieproszona.

Nie przestawał jednak na nią patrzeć, toteż posłusznie wyłączyła komputer.

Bachmann miał słuszne powody do obaw. Z Berlina nadchodziły liczne plotki, niektóre kompletnie bzdurne, niektóre niepokojąco wiarygodne. Jedno było pewne: stare linie podziału między konkurencyjnymi służbami rzeczywiście zanikały, a Połączony Komitet, zamiast zgodnie z założeniami stać się grupą bezstron-

121

nych i bardzo mądrych doradców, targany był wewnętrznymi sprzecznościami. Ciągły konflikt pomiędzy tymi, którzy gotowi byli za wszelką cenę bronić swobód obywatelskich, a tymi, którzy chcieli je ograniczyć w imię bezpieczeństwa narodowego, zbliżał się do punktu krytycznego.

Na lewicy — o ile takie staroświeckie podziały polityczne jeszcze cokolwiek znaczyły - zasiadał prawdziwy dżentelmen, Micha-el Axelrod, przedstawiciel wywiadu zagranicznego. Axelrod był prawdziwym euroentuzjastą, arabistą i — z pewnymi zastrzeżeniami — guru Bachmanna; po stronie prawicowców arcykonserwatysta Dieter Burgdorf z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, rywal Axelroda do stanowiska *capo di tutti capi* służb specjalnych, gdy już pojawią się fundamenty nowych struktur; Burgdorf nie krył swej przyjaźni z waszyngtońskimi neokonserwatystami i był w całym środowisku niemieckiego wywiadu najzarliwszym orędownikiem większej integracji ze służbami amerykańskimi. Tymczasem przez najbliższe trzy miesiące ci dwaj ludzie o skrajnie rozbieżnych poglądach będą musieli dzielić się władzą i prowadzić politykę konsensusu. A wraz z narastaniem wrogości między obydwoma wódzami rosła też wrogość między dowodzonymi przez nich armiami, prześcigającymi się nawzajem w walce o uzyskanie prawdziwej lub choćby tylko wyimaginowanej przewagi. Ponieważ Burgdorf był pracownikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a Mohr z Kellerem — wywiadu wewnętrznego, logicznie można by domniemywać, że dwaj ostatni będą szukać wsparcia u przystojnego i bezwstydnie ambitnego Burgdorfa. A skoro znacznie mniej od nich sztywny, mimo że nieco starszy Axelrod reprezentował wywiad zagraniczny, Bachmann zaś był jego protegowanym i kolegą, na zdrowy rozum można by przypuszczać, że to on właśnie będzie wiernym wasalem Axelroda. Tylko że logika i zdrowy rozum miały mało do gadania w sytuacji tak niejasno wytyczonych granic, tak jeszcze niewyklarowanych linii podziału władzy w Berlinie - a zamęt potęgowała jeszcze obecność w tym równaniu policji federalnej.

I właśnie o tym, choć znacznie mniej eleganckim językiem, mówił Bachmann, gdy, przechodząc wraz z Erną Frey na drugą stronę dziedzińca, klął jak szewc. Na miejscu powitał ich Arni Mohr, który wyszedł im na spotkanie z podskakującą w rytm kroków młodzieńczą czupryną, wyciągniętymi na powitanie mięsistymi łapami i ruchliwymi oczyma świdrującymi, czy ktoś jeszcze ważniejszy nie wchodzi przez drzwi.

- Gunther, drogi przyjacielu! Jak to miło z twojej strony, że fatygujesz się w świętą niedzielę! *Frau* Frey, co za miła niespodzianka! Jaka dziś pani wystrojona! Natychmiast każę przygotować dla pani osobne kopie dokumentacji! - Tu zniżył głos, oczywiście ze względów bezpieczeństwa. — Ma się rozumieć, do zwrotu po naszym zebranku. Każdy komplet jest numerowany. Nie może opuścić tego budynku. Ależ nie, Gunther, ty przodem, bardzo proszę, jesteś tutaj gościem!

Doktor Otto Keller siedział samotnie za długim mahoniowym stołem konferencyjnym, pochylony nad pudłem z aktami, z niesmakiem badając jego zawartość koniuszkami swych długich bladych palców. Na widok wchodzącej trójki uniósł głowę, zauważył dodatkowego uczestnika zebrania - Ernę Frey wystrojoną na ślub - i powrócił do lektury. Drugie takie samo pudło czekało już przed fotelem przygotowanym dla Bachmanna. Zostało opieczętowane czarnym hasłem *FELIX*, co miało zapewne dać do zrozumienia, że niezależnie od wcześniejszych ustaleń Issa Karpow jest teraz dzieckiem Mohra, skoro to on je sobie tak ochrzcił — i skoro przy okazji nadał mu klauzulę tajności specjalnego znaczenia. Przez boczne

drzwi wsunęła się kobieta w czarnej spódnicy z trzecim pudłem dla Erny Frey i zaraz zniknęła. Usiadłszy ramię w ramię, Bachmann i Erna pracowicie zabrali się do przeglądania materiałów pod czujnym okiem Mohra i Kellera.

123

ZALECENIA (PILNE) :

Przeprowadzenie przez policję państwową i federalną oraz służby specjalne natychmiastowego i dogłębnego śledztwa w sprawie poszukiwanego międzynarodowym listem gończym zbiegłego fundamentalisty islamskiego, kryptonim *FELIX*, oraz osób z nim związanych, w celu przedstawienia mu zarzutów prokuratorskich. Mohr.

RAPORT NR 1

Sporządzony przez agenta [imię i nazwisko wyczerpione] hamburskiego Urzędu Ochrony:

Źródło to turecki lekarz, od niedawna zamieszkały w Hamburgu, gdzie prowadzi prywatną praktykę wśród ludności muzułmańskiej . Po przyjeździe do Niemiec źródło zobowiązało się względem agenta do dostarczania informacji dla Urzędu. Motywacja: uzyskanie pozytywnej opinii od władz państwowych. Wynagrodzenie: od każdej dostarczonej informacji. Zeznania źródła:

W ostatni piątek brałem udział w południowych modlitwach w meczecie Osmana, znanym ze swego

umiarkowanego stanowiska. Gdy wychodziłem z meczetu, podeszła do mnie nieznana mi przedtem Turczynka. Poprosiła o poufną rozmowę w niecierpiącej zwłoki sprawie, ale nie w moim gabinecie czy na ulicy. Opis: wiek około lat pięćdziesięciu pięciu, krępej budowy ciała, okryta obszerną szarą chustą, włosy prawdopodobnie blond, niespokojna.

Na półpiętrze prowadzących do meczetu schodów znajduje się pomieszczenie dla imamów i odwiedzających meczet ważnych osobistości. Było wolne. Znalazłszy się w środku, kobieta zaczęła dłuższą, choć nie do końca prawdziwą przemowę. Sądząc z akcentu, pochodzi ze wsi w północno-wschodniej części Turcji. Uważam, że jej opowieść zawierała pewne sprzeczności. Poza tym dużo płakała, zapewne w celu wzbudzenia we mnie współczucia. Odniosłem wrażenie, że jest osobą sprytną i że coś ukrywa.

Przedstawiona przez nią historia, w którą nie wierzę, brzmi następująco: w Hamburgu przebywa legalnie, ale nie posiada obywatelstwa niemieckiego. Mieszka u niej siostrzeniec, podobnie jak ona praktykujący muzułmanin. Jest chłopcem pobudliwym, który właśnie ukończył dwudziesty pierwszy rok życia. Występują u niego napady hysterii, wysoka gorączka i wymioty oraz napięcie umysłowe. Część tych zaburzeń jest wyni-



kiem trudnego dzieciństwa, podczas którego był wielokrotnie bity przez policję za działalność chuligańską i zamknięty w zakładzie leczenia więziennego, gdzie był źle traktowany. Mimo przyjmowania znacznych ilości pożywienia przez całą dobę jest nadal wychudzony i w bardzo silnym stresie; nocami chodzi po pokoju i mówi do siebie. Podczas napadów podniecenia nerwowego okazuje gniew i wykonuje groźne gesty, ale ona się go nie boi, bo ma syna, mistrza boksterskiego wagi ciężkiej . W fizycznej walce nikt jeszcze jej syna nie pokonał. Mimo to byłaby wdzięczna, gdybym przepisał jakiś środek uspokajający, by chłopiec mógł spać i odzyskać równowagę psychiczną. To dobry chłopak, który w przyszłości chce zostać lekarzem, tak jak ja.

Zaproponowałem, by przyprowadziła go do mnie do gabinetu, ale powiedziała, że to niemożliwe, bo po pierwsze, jest chory, po drugie, nie da się namówić na wizytę, a po trzecie, to zbyt ryzykowne i ona na to nie pozwoli. Te trzy różne wymówki wydały mi się sprzeczne i umocniły mnie w przekonaniu, że kobieta kłamie.

Zapytana przeze mnie, o jakie ryzyko chodzi, zdenerwowała się jeszcze bardziej . Powiedziała, że jej siostrzeniec nie ma prawa pobytu. Zresztą od pewnego momentu w tej rozmowie nie nazywała go już

"siostrzeńcem", tylko "gościem". Jej gość nie może wychodzić na ulicę, ponieważ naraziłby się na zatrzymanie, a ją i jej syna na deportację, bo jej mąż nie żyje i nie ma kto przekupić policji.

Gdy zaproponowałem, że mogę odbyć wizytę domową i zbadać chłopca u niej, odmówiła pod pretekstem, że i dla mnie byłoby to zbyt niebezpieczne zawodowo i że nie chce dodatkowo się narażać, podając mi swój adres.

Zapytana o rodziców chłopca odpowiedziała, że z tego co wie, oboje nie żyją. Najpierw ojciec zabił matkę, potem sam zginął śmiercią żołnierza. To również miało wpłynąć na stan chłopca. Kiedy zapytałem, skąd biorą się trudności w porozumieniu się z nim, odpowiedziała, że podczas swych napadów posługuje się wy-

łącznie językiem rosyjskim. Następnie wyjęła z torebki dwieście euro i usiłowała mi je wręczyć, bym wypisał receptę. Gdy odmówiłem przyjęcia pieniędzy i wypisania recepty, wydała okrzyk zniecierpliwienia i zbiegła w dół po schodach. Wypytałem o tę podejrzaną kobietę w meczecie, ale okazało się, że nikt jej nie zna. Jako zwolennik asymilacji i przeciwnik wszelkiej działalności terrorystycznej uważam za swój obowiązek poinformować władze o tym zajściu. Podejrzewam, że kobieta świadomie ukrywa u

siebie osobnika niebezpiecznego i prawdopodobnie o radykalnych poglądach.

- Na razie w porządku, Günther? — zapytał Mohr, chciwie wpatrując się w niego swymi zbyt małymi oczkami. - Rozumiesz, co się dzieje?
- Czy to cały raport? - zapytał Bachmann.
- Skrócony. Całość jest dłuższa.
- Mogę zobaczyć?
- Ochrona źródeł, Günther, ochrona źródeł.

Doktor Otto Keller sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał. Być może uważał, że nie jest do tego uprawniony. Jak wielu takich jak on był z wykształcenia i filozofii życiowej prawnikiem. A w życiu starał się do niczego nie zachęcać podwładnych, tylko stosować względem nich paragrafy - jedyną broń, jaką umiał się posługiwać.

## RAPORT NR 2

Wypis z raportu sporządzonego przez agenta [imię i nazwisko wyczernione] Federalnego Biura Kryminalnego na zlecenie Urzędu Ochrony:

Otrzymałem polecenie zidentyfikowania posiadającego zezwolenie na pobyt, ale

nie posiadającego obywatelstwa niemieckiego mistrza bokserkiego wagi ciężkiej pochodzenia tureckiego, którego ojciec nie żyje, a matka odpowiada podanemu przez źródło rysopisowi. W wyniku poszukiwań ustalono, że osobą tą może być Melik Oktay, lat dwadzieścia, zwany Dużym Melikiem. Jest on obecnym mistrzem wagi ciężkiej i kapitanem klubu sportowego o nazwie Tureckie Tygrysy. Na zdjęciach wywieszonych w sali gimnastycznej Muzułmańskiego Ośrodka Sportowego w Altonie Duży Melik występuje w spodenkach bokserkich z przyszytą czarną żałobną wstążką. Jest synem legalnych tureckich imigrantów Gula i Leili Melików. Gul Oktay zmarł w 2007 r. i został pochowany zgodnie z islamską tradycją na cmentarzu muzułmańskim w Hamburgu Bergedorfie. Melik i jego matka, wdowa, nadal zamieszkują własny dom przy Heidering 26 w Hamburgu.

ZAŁĄCZNIK:

OKTAY, Melik, ur. w 1987 w Hamburgu. Skrócony życiorys

W wieku lat trzynastu domniemany przywódca złożonego z cudzoziemców młodzieżowego gangu o nazwie Dzieci Czyngis-chana. Liczne bójkі uliczne z antycudzoziem-skim elementem w podobnym wieku.

Dwukrotnie zatrzymany, wypuszczony po pouczeniu. Ojciec chłopca zaproponował wpłatę kaucji na dalsze zachowanie syna, propozycja została odrzucona.

Podczas dyskusji na lekcji wychowawczej w szkole opowiedział się raz za usunięciem wojsk amerykańskich z tery-

torium wszystkich krajów muzułmańskich, w tym z Turcji i Arabii Saudyjskiej.

W wieku lat piętnastu przejściowo nie goli brody i nosi strój muzułmański.

W wieku lat szesnastu zwycięża w organizowanych przez muzułmańskie stowarzyszenia sportowe bokerskich i pływackich zawodach sportowych dla juniorów. Zostaje wybrany kapitanem swojego muzułmańskiego klubu. Goli brodę, powraca do zachodniego stroju. Zostaje perkusistą w muzułmańskim zespole rockowym.

Uczęszczanie do meczetu: Według niektórych doniesień pozostawał pod wpływem nauk sunnickiego imama w meczecie Abu Bakr na Viereckstrasse. Po deportacji imama do Syrii i zamknięciu meczetu w grudniu 2006 brak oznak wyznawania radykalnych i fundamentalistycznych poglądów islamskich.

•Oni zawsze tak się przechowują — wyjaśnił Mohr, gdy Bachmann

odłożył raport i już sięgał ręką po następny.

- Co robią? - zapytał szczerze zdumiony Bachmann.
- Jak dawniej komuniści. Najpierw przechodzą indoktrynację, szkolenie, zostają fanatykami. Potem zaczynają się przechowywać. Udają, że już wcale nie są fanatykami. Zostają ś p i o c h a m i - powiedział, jakby sam wymyślił ten termin. - Ten cały klub sportowy... Wiemy od bardzo wiarygodnego informatora, któremu udało się przeniknąć do jego struktur i który, mówiąc całkiem bez przesady, dostarcza nam pierwszorzędny materiał... Otóż ten klub sportowy, w którym tak podziwiają tego całego Oktaya, to według mojego informatora tylko przykrywka. Boks, zapasy, treningi, siłownia, gadanie o dziewczynach, pewnie. Może nawet nie zdradzają się z radykalnymi przekonaniem, jak są w większej grupie, bo wiedzą,

129

że ich pilnujemy. Ale jak w tajemnicy, po dwóch, po trzech, spotykają się gdzieś na kawie albo w domu u Oktayów, to już są fundamentalistami islamskimi. Wojującymi fundamentalistami. A od czasu do czasu, i wiemy to od tego samego doskonałego źródła, któryś z członków klubu, oczywiście starannie wyselekcjonowany, nagle znika. I gdzie się objawia? A w Afganistanie! W Pakistanie! W medresach! W obozach szkoleniowych! A jak wraca, już jest przeszkolony. Przeszkolony, ale ciągle śpioch. Proszę przeczytać resztę, *Frau Frey*. Bardzo proszę nie wydawać przedwczesnych sądów, póki pani wszystkiego nie przeczyta. Musimy zachować obiektywizm. Nie możemy kierować się uprzedzeniami.

— Wydawało mi się, że ustaliliśmy, że to moja sprawa, Arni  
— przypomniał Bachmann.

- Bo jest, Günther! Tak ustaliliśmy! To twoja sprawa!  
Dlatego właśnie tu jesteś, przyjacielu! Ale fakt, że to twoja sprawa, wcale nie oznacza, że my mamy oślepnąć i zatkać sobie uszy. My obserwujemy, słuchamy i nie przeszkadzamy. Rozumiesz?... Działamy równolegle. My tobie nie wchodzimy w drogę, ty nam. I dzielimy się tym, co wiemy. Ten Melik Oktay jedzie niedługo do Turcji na ślub. Przynajmniej teoretycznie. Oczywiście razem z mamusią. Sprawdziliśmy, ślub rzeczywiście się odbędzie. Ślub siostry. Nie ma dwóch zdań. Ale po ślubie albo przed? Ciekawe, gdzie on nam zniknie. Może tylko na parę dni, swoje zrobi jednak. A mamusia? Czym się będzie wtedy zajmować? Może poszuka jeszcze paru innych chłopców, żeby ich tu sprowadzić? W porządku, zgoda, to wszystko poszlaki, hipotezy. Tyle że nam płacą za domysły i hipotezy. Więc się domyślamy. Hipotetycznie, obiektywnie. I bez uprzedzeń.

### RAPORT NR 3

Operacja FELIX. Raport Grupy Zabezpieczenia  
Ulicznego hamburskiego Urzędu Ochrony  
Konstytucji.

130

Bachmann dawno już przekroczył swój próg gniewu i znajdował się teraz w stanie operacyjnego spokoju. Wszystko jedno - zawsze to jakieś

informacje. Zostały zebrane wbrew ustaleniom i przedstawione zbyt późno, by mógł je wykorzystać. No cóż, bywało, że on postępował tak samo względem innych. A tu w dodatku miał przed oczyma jakieś konkrety - tego zaś najbardziej mu dotąd brakowało.

Przypuszczalna data pierwszej obserwacji:  
siedemnaście dni temu. Mężczyzna odpowiadający rysopisowi FELIKSA został zauważony w okolicy największego meczetu w Hamburgu. Obraz z kamer telewizyjnej przemysłowej niewyraźny. Figurant przygląda się wiernym wchodzącym i wychodzącym z meczetu. Figurant wybiera idącą do samochodu parę w średnim wieku, idzie za nią w odległości dziesięciu metrów. Zapytany po persku, czego chce, odwraca się i ucieka. Para zidentyfikowała potem FELIKSA na podstawie zdjęcia z listu gończego. Dopisek agenta: Niewłaściwy meczet? Ten jest szyicki. Czy FELDC jest sunnita?  
Dopisek oficera dyżurnego: Podobna postać widziana była potem przed dwoma innymi meczetami, w obu przypadkach sunnickimi. Nie udało się uzyskać potwierdzenia, że chodzi o FELIKSA.

- Kogo ten chłopak szuka, do diabła? - mruknął głośno Bachmann do Erny Frey, która wyprzedziła go już o dobrych kilka stron. Bez odpowiedzi.

RAPORT NR 3 (CD.):



Melik Oktay jest tymczasowo zatrudniony w hurtowni owocowo-warzywnej swojego kuzyna. Pracuje również na pół etatu

131

w wytwórni świec stryja. Dyskretny wywiad przeprowadzony pod zmyślnym pretekstem ujawnił, że przez ostatnie dwa tygodnie był w pracy często nieobecny, podając następujące powody:

Przeziębienie.

Konieczność treningu przed nadchodzącymi zawodami bokserskimi.

Przyjazd niespodziewanego gościa, którego podejmuje w domu i któremu musi dotrzymywać towarzystwa.

Depresja matki. Według swych sąsiadów Leila Oktay w tym samym okresie zachowywała się niespokojnie. Opowiadała, że otrzymała od Allana cenny dar, nie mówiła jednak, co to takiego. Robi duże zakupy, ale nie wpuszcza nikogo do siebie, twierdząc, że zajmuje się chorym krewnym. Choć na co dzień nie interesuje się polityką, sąsiedzi twierdzą, że jest "skryta", "zamknięta w sobie", a według jednej osoby "radykałna, podstępna i żywi skrywane uczucia nienawiści do Zachodu".

- Zobacz dalej - zachęcił Mohr Bachmanna.

Bachmann wciąż usiłował ogarnąć sytuację. Mohr nawet go nie zapytał, tylko z własnej inicjatywy otoczył dom Oktayów pełną obserwacją. Posunął się nawet do tego, że poprosił wydział środowiskowy hamburskiej policji o złożenie tam wizyty dobrej woli w nadziei, że uda się zobaczyć tajemniczego gościa. Mohr złamał wszelkie zasady organizacji pracy wywiadowczej, ale trzeba przyznać, przynajmniej miał jakieś wyniki.

OPERACJA FELIX

RAPORT NR 4,

Dot. wieczoru 18 kwietnia (piątek).

132

Około godziny 20.40 figurant Melik Oktay opuścił swój dom przy Heidering 26. Figurant powrócił o 21.10. Piętnaście metrów za nim szła niska jasnowłosa kobieta w wieku ok. dwudziestu pięciu lat, niosąca duży plecak, zawartość nieznana (no pewnie, że nieznana, do cholery, pomyślał Bachmann). Towarzyszył jej silnej budowy mężczyzna w wieku między pięćdziesiąt pięć a sześćdziesiąt pięć lat, włosy ciemne, rodowity Niemiec albo Turek lub Arab o jasnej karnacji. Gdy Oktay otwierał frontowe drzwi domu, kobieta nałożyła chustkę, jak robią muzułmanki. Razem ze starszym mężczyzną przeszli przez jezdnię. Oboje

zostali wpuszczeni do domu przez Leilę, matkę Melika, ubraną w odświętną sukienkę.

- Są jakieś zdjęcia? - przerwał lekturę Bachmann.
- Grupa nie była przygotowana, Gunther! Skąd mieli wiedzieć? To był czysty przypadek! Dwie zmęczone dziewczyny, to była ich druga zmiana, na piechotę, dziewiąta wieczór, ciemno. Nikt im nie powiedział, że to będzie ich wielka noc.
- Czyli zdjęć nie ma. - I Bachmann czytał dalej:

Pięć minut po północy z domu nr 26 wyszedł sam mężczyzna. Ruszył ulicą i zniknął z pola obserwacji.

- Ktoś poszedł za nim do domu? - zapytał Bachmann, szybko zerkając na następną stronę.

—Ten gość był fantastycznie przeszkolony, Gunther, prawdziwy zawodowiec! - wyjaśnił podekscytowany Mohr. - Kluczył zaułkami, wracał się... Takiego nie da się śledzić pustymi ulicami o pierwszej w nocy. Mielśmy sześć samochodów, ale równie dobrze mogliśmy mieć dwadzieścia, i tak wszystkie zgu-

133

bił! - zakończył z dumą. - Poza tym nie chcieliśmy go spłoszyć, chyba to rozumiesz. Jak obiekt jest przeszkolony i wie, że może być śledzony, trzeba postępować ostrożnie. I taktownie.

RAPORT NR 4 (CD.):

02.30. Ożywiona wymiana zdań w domu pod nrem

26. Najgłośniej słychać głos Leili Oktay.  
Agenci nie słyszeli poszczególnych słów.  
Wymiana zdań odbywała się po turecku, niemiecku  
i w jeszcze jednym języku, prawdopodobnie  
słowiańskim. Co chwila odzywał się nieznany  
głos kobiecy, zapewne tłumaczący z jednego  
języka na drugi.

-I oni rzeczywiście to słyszeli? - zapytał Bachmann, wciąż czytając.

-Nowa grupa w furgonetce - powiedział z satysfakcją

Mohr. — Osobiście ich tam ściągnąłem. Nie było czasu zasto-  
sować mikrofonów kierunkowych, ale awanturę słyszeli.

O godzinie 4 rano z domu wyszła nieznana młoda  
kobieta w chuście na głowie i z plecakiem.  
Towarzyszył jej niewidziany przedtem przez  
agentów mężczyzna. Jego opis: prawie dwa metry  
wzrostu, czapka typu mycka, długi czarny  
płaszcz, wiek nieco ponad dwadzieścia lat,  
długie kroki, niespokojny, jasna torba na  
ramieniu. Drzwi zamknął za nimi Melik Oktay.  
Oboje zniknęli, idąc szybko bocznymi uliczkami.

•Czyli ich też zgubiliście - powiedział Bachmann.

•Tylko z początku, Gunther! I tylko na jakąś godzinę. Ale szybko się  
poprawiliśmy. Ci dwoje najpierw szli szybkim krokiem, trochę  
pojechali metrem, trochę taksówką, potem zno-

wu na nogach, typowe metody gubienia ogona. Tak jak przedtem ten duży gość.

- Co z telefonami?

- Zobacz na następnej stronie. Wszystko tam jest. Po lewej komórki, po prawej stacjonarne. Melik Oktay do Annabel Richter. Annabel Richter do Melika Oktaya. Łącznie dziewięć połączeń. Annabel Richter do Thomasa Brue. Thomas Brue do Annabel Richter. Trzy połączenia w jeden dzień. Właśnie w ten piątek. Na tym etapie mamy tylko billingi, bez rozmów. Rozmowy uda nam się może częściowo odzyskać, przynajmniej niektóre. Jutro, jeżeli doktor Keller pozwoli, złożymy zlecenie do wywiadu elektronicznego. Wszystko musi być do końca legalnie, to się rozumie samo przez się. Ale powiedz: co oni mieli w tych torbach i plecakach? Co oni mieli w tych torbach i plecakach, *Frau Frey*? Co te dwie podejrzane osoby odebrały z meliny u Oktayów, dokąd to coś zanieśli w środku nocy, w jakim celu?

- Co to za jedna, ta Richter? - zapytał Bachmann, unosząc wzrok znad tekstu.

- Prawniczka, Günther. Mówi po rosyjsku. Z bardzo dobrej rodziny. Pracuje w Azylu Północ, takiej hamburskiej fundacji. Trochę tam lewaków, ale nic poważnego. Idealiści. Pomoc w uzyskaniu azylu, pomoc nielegalnym imigrantom, pomoc w załatwieniu wiz pobytowych, wypełnianie podań, takie tam.

Najbardziej lekceważąco zabrzmiało to "takie tam".

- A Brue?

- Bankier. Brytyjczyk. Ale jest na miejscu tutaj, w Hamburgu.
- Co za bankier?
  - Bankowość prywatna. Tylko dla najlepszej klienteli. Armatorzy, wielki tonaż...
- Ktoś ma jakiś pomysł, co on tam robił?
  - Pojęcia nie mamy, Günther. Może niedługo go zapytamy. Oczywiście za zgodą doktora Kellera. Ten bank miał kie-

135

dyś jakieś kłopoty, ale w Wiedniu - dodał. - Na pierwszy rzut oka trochę dziwny gość. Gotowy?

- Na co?

Uniósłszy w górę palec wskazujący jak impresario, Mohr pogrzebał w teczce i wydobył z niej brązową kopertę. Z koperty wyciągnął parę zadrukowanych kartek. Bachmann spojrzał ukradkiem na Kellera, lecz ten wciąż zachowywał kamienną twarz. Erna zamknęła swój segregator i siedząc rozparta na fotelu, z trudem hamując gniew, wpatrywała się w podłogę.

—*From Russia with love* — oznajmił Mohr łamaną angielsz czyną, rozkładając kartki przed sobą. — Dopiero co przyszło z naszej sekcji przekładów. Pozwoli pani, *Frau Frey*?

— Pozwalam panu, *Herr Mohr*.

Zaczął czytać.

- “W roku 2003 państwowe organy bezpieczeństwa Rosji prowadziły śledztwo w sprawie niczym nie spowodowanych napadów zbrojnych, dokonywanych przez fanatycznych ban

dytów na stróżów prawa i porządku w okolicach Nalczyka, stolicy Republiki Kabardyjsko-Bałkarskiej" — zaintonował Mohr znaczącym głosem. Uniósł wzrok, by sprawdzić, czy wszyscy go słuchają. - "Przywódcą tej grupy przestępczej, składającej się wyłącznie z wywrotowych dżihadystów z sąsiedniej Czeczenii, okazał się niejaki Dombitow, lider miejscowego meczetu, znany ze swych radykalnie ekstremistycznych poglądów. W pamięci jego telefonu komórkowego znaleziono między innymi nazwisko i numer telefoniczny..." - pauza dla efektu - "figuranta FELIKSA..." — i teraz z wielkim naciskiem: — "wraz z nazwiskami i numerami innych członków zbrodniczego gangu. Dombitow zeznał w śledztwie, że wszystkie osoby z jego telefonu należą do grupy radykalnych salafistów przeprowadzających zamachy z użyciem" - kolejna pauza dla efektu - "materiałów wybuchowych domowej roboty, niskiej jakości, ale bardzo skutecznych".

136

Erna Frey lekko uniosła głowę.

- Torturowali ich - wyjaśniła celowo obojętnym głosem.

- Rozmawialiśmy z Amnesty International. My nie ignorujemy źródeł otwartych, *Herr* Mohr. Według świadków Amnesty bito ich i podłączano do nich elektrody. Najpierw torturowali tego Dombitowa, potem każdego, kogo wsypał, czyli każdego, kto chodził do niego do meczetu. Przeciwno żadnej z tych osób

nie było ani krztyny prawdziwych dowodów.

Mohr wyraźnie się zezłościł.

- Pani to czytała, *Frau Frey*?
- Tak, *Herr* Mohr.
  - Weszła pani w moje uprawnienia i kontaktowała się bezpośrednio z moimi tłumaczami, *Frau Frey*?
  - *Herr* Mohr, wczoraj wieczór jeden z naszych analityków ściągnął ten komunikat milicji rosyjskiej z Internetu.
- Pani zna rosyjski?

- Tak. *Herr* Bachmann również. Mohr już się opanował.

- W takim razie znacie już akta FELIKSA.

Tu wtrącił się zirytowany głos doktora Kellera:

- Proszę przeczytać. Skoro pan zaczął, niech pan doczyta.

Gdy Mohr powrócił do lektury, Bachmann wyciągnął nogę i lekko przydeptał stopę Erny. Ale ona odsunęła się i już wiedział, że nic i nikt jej nie powstrzyma.

- “Antypaństwowe poglądy i działalność terrorystyczna FELIKSA zostały potwierdzone przez jego współników, którzy powiedzieli, że był złym pasterzem” - czytał z uporem Mohr. - “Kryminalista FELIKS został w związku z tym umieszczony na czternaście miesięcy w areszcie śledczym pod dwoma zarzutami: atak na miejscowy posterunek milicji oraz podburzanie innych muzułmanów do popełniania czynów terrorystycznych. Przyznał się do obu tych zarzutów”.
- Bo go zmusili - powiedziała Erna Frey coraz bardziej złowrogim głosem.



- Czy pani chce dać do zrozumienia, że to wszystko to wyłącznie wymysły? —zapytał Mohr. —To pani nie wie, jak świetnie układa nam się robocza współpraca z Rosją w dziedzi nie przestępczości zorganizowanej i terroru?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, Mohr czytał dalej:

- “W roku 2005 przestępca FELDC, legitymujący się wówczas fałszywymi dokumentami na nazwisko Nogerow, został zatrzymany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w sprawie sabotażu rurociągu w okolicach Bugulmy w Republice Tatarstanu. Szybka akcja miejscowych organów wykryła obecność grupy antypaństwowych wykolej eńców, przebywających w fatalnych warunkach w samotnej szopie niedaleko miejsca przestępstwa”.
- Rurociąg był stary i przerdzewiały, jak prawie każdy rurociąg w Rosji — wyjaśniła Erna Frey tonem nadludzkiej cierpliwości. - Kierownik miejscowej pompowni był pijany, przekupił milicję, żeby napisała, że to sabotaż. Milicja zgarnęła pierwszą lepszą grupkę muzułmańskich biedaków i kazała im wskazać FELIKSA jako przywódcę. Według Human Rights Watch milicja umieściła pod podłogą cały skład materiałów wybuchowych, odnalazła je, po czym zwinęła całą grupę, torturowała każdego po kolei, a inni musieli patrzeć. Wytrzymywali najwyżej po dwa dni. Milicja zapytała FELIKSA, czy spróbuje pobić ten rekord. Spróbował, ale mu się nie udało.

Bachmann modlił się w duchu, żeby przestała, lecz Erną powodowało już tylko oburzenie i wściekłość:

- Ta stodoła nawet nie była niedaleko miejsca wybu

chu, *Herr* Mohr. Była na polu czterdzieści kilometrów drogi stamtąd, ci smarkacze nie mieli ani roweru, ani nawet pieniędzy na autobus, nie mówiąc już o samochodzie. To było w ramadan. Kiedy milicja się u nich zjawiała, grali w hokeja zwykłymi patykami, żeby się trochę rozgrzać i rozerwać, *Herr* Mohr.

138

\* \* \*

Teraz prowadzenie zebrania przejął doktor Otto Keller z Kolonii.

- Czyli pan nie zgadza się z tym raportem, Bachmann?
- Tak i nie.
- To z czym się pan zgadza?
- Że inni mogą się z nim zgodzić.
- Jacy inni?
- Ci, którzy chcą się z nim zgodzić.
  - A dla pana nie ma trzeciego wyjścia? Nie dopuszcza pan możliwości, że zarzuty przeciwko FELIKSOWI mogą być częściowo prawdziwe? Że na przykład jest dżihadystą, tak jak twierdzi raport?
  - Jeżeli zamierzają się nim posłużyć, to bardziej im na rękę, żeby był.
  - Aha, że niby zatwardziały dżihadystą chętniej pójdzie na współpracę? Czy to chciał pan powiedzieć, Bachmann? Za wiele sukcesów w tej dziedzinie to my na razie nie mamy.
  - Chciałem powiedzieć, że on wcale nie musi wiedzieć, że z nami współpracuje - odparł Bachmann, czując mocne ściskanie w gardle. -

Może byłoby lepiej, gdyby nie wiedział. Niech sobie idzie, gdzie chce, i robi swoje, my mu tylko pomożemy.

- To oczywiście czysta spekulacja.
- Na razie to, co mamy na tego całego FELIKSA, w ogóle nie trzyma się kupy. Ma pan nas2 raport na temat tak zwanego Admirala, którego poproszono, żeby się nim zajął na dworcu. Ma pan raport na temat kierowcy ciężarówki. Ucieczka tego chłopaka musiała kosztować majątek, a teraz on śpi sobie na ulicy? Jest Czeczenem, ale chyba tak jakoś nie do końca, bo gdyby był, toby zaraz szukał innych Czeczenów. Jest muzułmaninem, ale nie potrafi odróżnić meczetu sunnickiego od szyickiego. W ten sam wieczór odwiedzają go razem prawniczka, specjalistka od praw obywatelskich, i angielski bankier. I koniecznie musiał przyjechać akurat do Hamburga. Po co? Ma tu jakąś misję? Jaka?

139

Mohr tylko na to czekał.

—Misję! No właśnie! Misję, która polega na tym, że po nawiązaniu kontaktu z tą terrorystką i jej synem założy nam tu głęboko zakonspirowaną komórkę czystych jak śnieg dzihadystów. Tu, w Hamburgu! Jest zbiegłym z więzienia terrorystą, ukrywa się u tureckiego bandziora, który uczył się u fundamentalistycznego podjudzacza i najpierw nosił brodę, a potem ją zgolił i zaczął się zgrywać na Europejczyka. W środku nocy wymyka się od siebie z tą Niemką, niesie Bóg wie co w tej torbie, a pan chce go wykorzystywać jako nieświadome źródło

dło informacji?

Suchy głos Kellera zabrzmiał jak wyrok śmierci, gdy rozsądzał ich spór:

—Żaden odpowiedzialny funkcjonariusz służb bezpieczeństwa nie może ignorować tak wyraźnego zagrożenia po to tylko, by zaspokoić swe nieokreślone operacyjne ambicje. Uważam, że operacja poszukiwawcza, która doprowadzi do przykładowych zatrzymań, podziela zniechęcająco na sympatyków fundamentalizmu i przywróci zaufanie społeczeństwa do aparatu ścigania. Są sprawy, które muszą dać konkretne wyniki. Ta sprawa jest jedną z nich. Dlatego proponuję, by panowie odrzucili własne partykularne interesy, które do tej pory kierowały panami w tej sprawie, i przekazali ją policji federalnej, by ta mogła działać zgodnie ze swoimi konstytucyjnymi uprawnieniami.

- Czyli żeby go zatrzymała?
- Czyli żeby zrobiła to, do czego zobowiązuje ją prawo.

I dzięki czemu zarobisz parę plusików u tego twojego kumpla prawnicowca, tego całego Burgdorfa z Połączonego Komitetu, pomyślał z goryczą Bachmann. Byle tylko właśnie ciebie okrzyknięto supermózgiem wywiadu, który kieruje tą bandą głupków, policją federalną. I żeby mnie posłano na zieloną trawkę, bo to twoje drugie marzenie.

Ale przynajmniej raz udało mu się w porę ugryźć w język.

Erna Frey i Bachmann wracali ramię w ramię przez dziedziniec do swej skromnej siedziby w dawnych stajniach. W gabinecie Bachmann rzucił marynarke na poręcz kanapy i zatelefonował do Michaela Axelroda na jego szyfrowaną linię w Komitecie.

- Powiedz mu, że to wszystko przeze mnie - powiedziała Erna, opierając głowę na dłoniach.

Jednakże ku zdziwieniu obojga Axelrod przejął się chyba znacznie mniej, niż się spodziewali.

- Jedliście już? — zapytał swym zwykłym pogodnym tonem, kiedy wysłuchał opowieści Bachmanna. — Jak nie, to kupcie sobie po kanapce i nie ruszajcie się z miejsca.

Czekali, by odleciał helikopter Kellera, lecz odlot jakoś nie następował, co tylko jeszcze bardziej ich przygnębiło. Nie mieli też ochoty na kanapki. Szyfrowana linia odezwała się znowu dopiero po czwartej po południu.

- Macie dziesięć dni - powiedział Axelrod. — Jeżeli przez dziesięć dni nie znajdziecie dobrych argumentów, oni przystępują do realizacji. Tutaj tak to jest. I dziesięć dni, nie jedenaście czy ile tam. Powodzenia życzę.

## 6

Robię to dla mojego klienta Magomeda, powtarzała sobie, usiłując doprowadzić swój umysł do stanu jakiej takiej jasności.

I dla mojego klienta Issy.

Robię to, żeby przedkładać człowieka nad prawo.

Robię to dla siebie.

Robię to, bo bankier Brue dał mi pieniądze, a pieniądze podsunęły mi pomysł. Chociaż nie, nieprawda! Pomysł kiełkował w mojej głowie na długo przed otrzymaniem pieniędzy od Tommy'ego Brue. One tylko ostatecznie przeważyły szalę. Jak tylko usiadłam naprzeciw Issy i wysłuchałam jego opowieści, wiedziałam doskonale, że tu trzeba powstrzymać system, że mam przed sobą człowieka, którego nie da się uratować, mimo to muszę go ratować, a o sobie myśleć nie jako o prawniku, lecz o lekarzu, takim jak mój brat Hugo; i że muszę zapytać samą siebie, co by była ze mnie za niemiecka prawniczka, gdybym tego biedaka zostawiła w prawnym rynsztoku, żeby się w nim wykrwawił na śmierć jak Magomed.

Jeżeli tylko tak będę o tym myślała, starczy mi odwagi.

142

\* \* \*

Właśnie dniało. Ponure pasemka kruczoczarnych chmur snuły się po różowym miejskim niebie. Annabel szła przodem, Issa zaś zupełnie niezgodnie z muzułmańskim obyczajem szedł za nią w swym długim czarnym płaszczu; w jej wyobraźni oboje stanowili parę wiecznych emigrantów - ona z plecakiem, on z wielbłądzą torbą. W głowie wciąż dzwoniły jej słowa kłótni z ostatniej sceny w domu Leili.

Melik stoi bez słowa obok matki, Leila nagle dochodzi do wniosku, że nie ma pojęcia, dlaczego Issa się wyprowadza. Jej krzyki to żądania pomsty od nieba. Nie zdawała sobie sprawy, że on się wynosi! Dlaczego nikt jej tego nie powiedział? I gdzie to Annabel zabiera go o tej pogańskiej

porze? Do przyjaciół? Jakich przyjaciół? Gdyby wiedziała, to by mu choć przygotowała jedzenie na drogę! Issa jest jej synem, jej darem od Allaha, jej dom jest jego domem, może w nim zostać na zawsze!

Pięćset dolarów? Nawet ich nie tknie! Niczego nie robiła dla pieniędzy, tylko dla Allaha i z miłości do Issy. A w ogóle, na Allaha, skąd on ma tyle pieniędzy? Od tego bogatego Ruska, co tu był, ale sobie poszedł? Zresztą w dzisiejszych czasach nikt mu nie wyda nawet z pięćdziesięciu dolarów, bo na pewno fałszywe! A jeżeli Issa naprawdę chciał dać jej pieniądze, to dlaczego ukrywał się z nimi przez dwa tygodnie, zamiast od razu postawić sprawę jasno, jak mężczyzna?

W efekcie Melik, który sam tonie już we łzach, musi błagać Issę o przebaczenie i ślubować mu wierność do grobowej deski, na dowód czego obdarowuje go swym bezcennym nowiutkim muzułmańskim pagerem, który zastępuje azan, wołanie na modlitwę - prezent od ukochanego stryja.

- Bierz, drogi bracie. Jest twój, nigdy się z nim nie rozstawaj. Jest bezbłędny. Nigdy cię nie zawiedzie.

I podczas gdy Melik demonstruje zasadę działania - bo Issa nie zna się na takich gadżetach - Annabel zajmuje miejsce Me-

143

lika przy oknie i teraz ona obserwuje furgonetkę z mrożonkami zaparkowaną pięćdziesiąt metrów dalej przy krawężniku, furgonetkę, z której jeszcze nikt nie wysiadł. Właśnie dlatego, gdy tylko znaleźli się na ulicy, nie skręciła ani w lewo, ani w prawo, tylko tak, by z furgonetki ich widziano, przeszła w pierwszym lepszym miejscu przez jezdnię i poprowadziła Issę do najbliższego zaułka, z którego, jak się szczęśliwie

złożyło, przeszli przez wąską furtkę do szerszej równoległej ulicy, gdzie wciąż jeszcze było sporo samochodów i przystanek autobusowy. Z początku Issa był wręcz zeszywniały ze strachu, tak że Annabel musiała go holować za rękaw płaszcza - za rękaw, oczywiście, w żadnym razie nie za ramię, choćby przez materiał - żeby w ogóle za nią nadał.

- Czy wiesz, dokąd idziemy, Annabel?

- Pewnie, że wiem.

Tylko że będziemy szli ostrożnie. Nie pójdziemy najkrótszą drogą. Do najbliższej stacji metra mamy dziesięć minut piechotą.

- Issa, w metrze nie rozmawiamy ze sobą. Jak ktoś coś do ciebie powie, pokaż na usta i pokręć głową. - Widząc, że rozumie, pomyślała sobie: No tak, jestem dla niego kolejnym *mafioso* Anatolija, który organizuje mu kolejną ucieczkę.

Wagon był pełen gasterbeiterów, głównie biurowych sprzątaczy. Na polecenie Annabel Issa usiadł wśród nich i podobnie jak oni zwiesił głowę, Annabel zaś patrzyła w czarne okno na jego odbicie. Nie jesteście parą. Jesteście dwojgiem nieznanym, którzy przypadkowo jadą tym samym wagonem. I tak samo ma być w życiu. Tak musi zostać. Na każdym przystanku podnosił na nią wzrok, lecz zareagowała dopiero na czwartym. Na powierzchni ziemi, przed stacją, stał szereg kremowych taksówek. Ruszyła do pierwszej, otworzyła tylne drzwi, wsiadła i zostawiła je otwarte, by Issa wsiadł za nią. On jednak zniknął na chwilę ku jej przerażeniu i zaraz pojawił się z przodu na fotelu obok kierowcy, prawdopodobnie po to, by uniknąć wszelkie-



go fizycznego z nią kontaktu. Myckę zsunął tak nisko na czoło, że widziała tylko jego zmierzwioną głowę i skrywaną w jej wnętrzu tajemnicę. Pięćset metrów dalej, na skrzyżowaniu, zapłaciła kierowcy i znów poszli piechotą. Jeszcze czas, pomyślała, gdy pojawił się most i odwaga znów ją opuściła. Wystarczy, że przeprowadzę go na drugą stronę i oddam w ręce policji na najbliższym komisariacie, by zaskarbić sobie wdzięczność społeczeństwa i do śmierci żyć w hańbie.

Matka Annabel była sędzią okręgowym, jej ojciec - emerytowanym prawnikiem i niemieckim dyplomatą. Siostra, Heidi, wyszła za prokuratora. Tylko jej ukochanemu bratu Hugonowi udało się uniknąć prześladowającego rodzinę prawniczego powołania- po krótkim okresie prowadzenia ogólnej praktyki lekarskiej został znanym, choć nieco nieszablonowym psychiatrą. Twierdził, że on właśnie jest ostatnim prawdziwym freudystą na świecie.

Dla Annabel było wciąż niewyjaśnioną tajemnicą, jak to się stało, że ona, z natury najbardziej buntownicza z całej rodziny, również poszła na prawo. Żeby zrobić przyjemność rodzicom? Ależ skąd! Może wydawało się jej, że obierając ten sam co oni zawód potrafi wykazać im różnice w podejściu do niego, wyrwać stosowanie prawa z rąk możliwych i bezwzględnych tego świata i oddać je w służbę tym, którzy go najbardziej potrzebują? Ale jeśli tak, to te dziewiętnaście miesięcy spędzonych w pracy w Azylu powinno jej uświadomić, jak bardzo się myliła.

Wysiadując na rozprawach, które były tylko formalnością, przygryzając wargi, gdy słyszała, jak mrozące krew w żyłach losy jej klientów rozpatrują szeregowi urzędnicy, których cała wiedza o innych częściach

świata kończy się na dwutygodniowym urlopie na Ibizie, wiedziała jakby, że nadejdzie chwila - że pojawi się klient — kiedy złamie wszelkie zawodowe i prawne zasady, które musiała tak niechętnie stosować w życiu.

145

I miała rację. Nadszedł taki dzień. Taki klient się pojawił: Issa. Tylko że jeszcze przed Issą był Magomed i właśnie Mago-med - głupi, ufny, z maltretowany i niespecjalnie prawdomówny Magomed — nauczył ją, że nigdy więcej.

Nigdy więcej pędzenia na lotnisko o świcie ze świadomością, że jest już za późno; nigdy więcej samolotu do Petersburga czekającego na pasie startowym z otwartymi drzwiami; ani skępowanej postaci jej klienta wleczonego po schodkach do środka; ani rąk - czy naprawdę to widziała czy tylko jej się zdawało? - skutych rąk bezsilnie machających jej na pożegnanie z okna kabiny.

Więc niech nikt jej nie mówi, że w sprawie Issy podjęła impulsywną, podyktowaną nastrojem chwili decyzję. Podjęła ją już wtedy, na hamburskim lotnisku, gdy patrzyła, jak kibitka z Magomedem znika w nisko zwieszających się chmurach. Kiedy w zeszłym tygodniu zobaczyła Issę w domu Leili i wyciągnęła z niego jego historię, już wiedziała: to na niego czekałam od zawsze. Od sprawy Magomeda.

\* \* \*

Na początek zmusiła się, by zgodnie ze stosowanymi w rodzinie zasadami działania wyliczyć sobie wszystkie dane tej sprawy:

Od chwili przybycia do Szwecji Issa jest zgubiony.

Nie istnieją środki prawne, które mogłyby mu dać coś więcej niż tylko bardzo nikłą nadzieję na ratunek.

Ci dzielni biedacy, którzy go ukrywają, sami się narażają. Dłużej nie może u nich zostać.

Zaraz potem przeszła do spraw praktycznych: co w tej sytuacji, w tej rzeczywistości musi tak naprawdę zrobić Annabel Richter, absolwentka prawa na uniwersytetach w Tybindze i Berlinie, by wypełnić swój święty obowiązek względem klienta?

Jak najlepiej ukryć, przechować i nakarmić tego klienta  
- bo zgodnie z rodzinnymi zasadami fakt, iż można zrobić tyl  
ko trochę, nie jest rozgrzeszeniem, żeby nie zrobić nic.

146

“My, prawnicy, nie po to jesteśmy na świecie, by zachowywać się jak góry lodowe” - pouczał ją często ojciec. Właśnie on! “Do nas należy rozumieć własne uczucia i nad nimi panować”.

Masz rację, drogi tato. Ale czy przyszło ci kiedyś do głowy, że panując nad nimi, można je całkiem zniszczyć? Bo ile razy można powtarzać: “Tak mi przykro”, nim człowiekowi całkiem przestanie być przykro?

Poza tym - wybacz - co dokładnie rozumiesz pod słowem “panować”? Czy to oznacza: wynajdywać właściwe preteksty prawne, by robić coś złego? Bo jeśli tak, to czy nie tak właśnie postępowali nasi wspaniali niemieccy prawnicy podczas Wielkiej Historycznej Próżni, znanej również jako czasy hitlerowskie - przez te całe dwanaście lat, o których

jakoś tak mało dyskutujemy w gronie rodzinnym? No więc od tej chwili to ja będę panować nad moimi uczuciami. W życiu - jak chętnie mi przypominałeś za każdym razem, gdy w ten czy inny sposób wielce zgrzeszyłam przeciw tobie - wolno mi robić wszystko, pod warunkiem że jestem gotowa zapłacić za to pełną cenę. No więc jestem gotowa, kochany tato. Zapłacę pełną cenę. Nawet gdyby miał to być koniec mojej pięknej, choć krótkiej kariery - zapłacę.

A tak się akurat składa — dzięki przychyłnej Opatrzności, jeżeli w nią wierzymy — że chwilowo mam do dyspozycji dwa mieszkania: jedno, którego chcę się pozbyć jak najszybciej, i drugie, prawdziwą perełkę na samym nabrzeżu, które dopiero co, bo jakieś sześć tygodni temu, kupiłam sobie za resztę spadku po babci i w którym trwa w tej chwili piekielnie uciążliwy remont. I jakby tego było mało, Opatrzność, a może wyrzuty sumienia, a może nagły przypływ niespodziewanego miłosierdzia — nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać - sprawiły, że dostała pieniądze: pieniądze od Brue. Miała więc teraz nie tylko krótkoterminowy plan - awaryjny, o bardzo krótkim okresie wykonalności - lecz dzięki wspaniałomyślności bankiera również

147

plan nieco bardziej długoterminowy; plan, który da jej czas, by poszukać wyjścia z sytuacji; plan, który wykonany ostrożnie i z pomocą ukochanego brata, Hugona, jej pozwoli skutecznie ukryć Issę przed prześladowcami, Issie zaś przyjść do siebie.

“Odezwie się pani do mnie, jak sądzę”, powiedział wtedy Brue, jakby i jego też, tak jak Issę, miała przed czymś uratować.

Przed czym? Przed emocjonalną martwością? Czy Brue też czuje, że tonie? Że wystarczy, by ona wyciągnęła i ku niemu pomocną dłoń?

\* \* \*

Dotarli do domu. Obróciła się i zobaczyła, że Issa kuli się w mroku pod wielką rozłożystą lipą, otulając czarnym płaszczem nie tylko siebie, lecz i torbę.

- Co się stało?
- Wasze KGB... - wymamrotał.
- Gdzie?
  - Jechali za nami od taksówki. Najpierw dużym autem, potem małym. Jedna kobieta, jeden mężczyzna.
- To były zwykłe samochody, zupełnie przypadkowe.
- Miały radio.
  - W Niemczech wszystkie samochody mają radia. Niektóre mają też telefony. Daj spokój, Issa. I nie mów tak głośno. Pobudzisz wszystkich sąsiadów.

Rozglądnęła się na wszystkie strony, ale nie zobaczyła nic niezwykłego, zeszła więc po schodkach do drzwi frontowych, otworzyła je kluczem i skinęła, by wszedł pierwszy, lecz usunął się i uparł, by poszła przodem, i potem dopiero ruszył za nią w bezpiecznej odległości.

Opuszczała mieszkanie w pośpiechu. Małeńskie łóżko było niepościelone, poduszki pogniecione, na nich rzucona niedbale piżama. Szafa była podwójna, po lewej były jej rzeczy, po prawej Karstena. Karstena wyrzuciła z domu trzy miesiące temu,

ale dotąd nie odważył się po nie wrócić. A może wydawało mu się, że zostawiając je tutaj, nabywa prawo do powrotu. Mam go gdzieś. Skórzana kurtka dobrej marki, dżinsy od znanego projektanta, trzy koszule, para miękkich skórzanych mokasynów. Wyrzuciła to wszystko na łóżko.

- Czy to twojego męża, Annabel? — zapytał od drzwi Issa. -Nie.
- To przepraszam, czyje?
- Należały do kogoś, z kim byłam związana.
- To on nie żyje, Annabel?
  
- Rozstaliśmy się. - Zdążyła już pożałować, że kazała mu mówić do siebie po imieniu, chociaż zwykle tak właśnie postępowała z klientami, dzięki czemu zostawiali w spokoju jej nazwisko.
- Dlaczego się rozstaliście, Annabel?
- Bo nie pasowaliśmy do siebie.
  - Jak to: nie pasowaliście do siebie? Nie kochaliście się? Może byłaś dla niego zbyt surowa, Annabel. To możliwe. Ty potrafisz być bardzo surowa. Zauważyłem.

W pierwszej chwili nie wiedziała, czy ma roześmiać się w głos czy go zwymyślać. Kiedy jednak spojrzała na niego, by ułatwić sobie decyzję, w jego oczach dostrzegła tylko zdziwienie i strach i zaraz przypomniała sobie, że w świecie, z którego właśnie uciekł, nie ma miejsca na intymność. Uderzyła ją przy tym inna myśl, która ją równocześnie zawstydziła i wytrąciła z równowagi: że jest przecież pierwszą kobietą, z którą Issa jest sam na sam po wielu latach zamknięcia, i że znajdują się w jej sypialni we wczesnych godzinach rannych.

- Możesz mi podać tę torbę, Issa?

Robiąc wielki krok w tył, aby go przepuścić, pomyślała, czy nie powinna była przenieść swojej komórki do kieszeni żakietu, choć Bóg tylko raczy wiedzieć, do kogo miałyby zadzwonić, gdyby sprawy przybrały niebezpieczny obrót. Torba, również własność Karstena, tkwiła na szafie, zbierając kurz. Issa

149

zdział ją i położył na łóżku obok ubrania. Wrzuciła je do środka i poszła po zwinięty śpiwór, który trzymała zwykle na dnie szafki na pranie.

- Czy on też jest prawnikiem, tak jak ty, Annabel? Ten mężczyzna, z którym byłaś związana?
- Wszystko jedno, kim jest. To nie twoja sprawa, a poza tym już i tak nieaktualna.

Teraz ona robiła wszystko, by zachować między nim a sobą większą odległość. W kuchni był dla niej za wysoki, jego obecność zbyt przytłaczająca, choć trzymał się od niej jak najdalej. Wyciągnęła duży worek na śmieci i wrzucała do niego różne produkty, pytając przedtem, czy to jada: chleb pełnoziarnisty, Issa? Tak, Annabel. Zielona herbata? Ser? Jogurt z żywymi kulturami bakterii z modnego sklepu ze zdrową żywnością o dziesięć minut stąd rowerem, w którym z uporem robiła zakupy, mimo że bliżej miała do supermarketu? Tak, Annabel, mówił na wszystko.

- Mięsa nie mam, rozumiesz? Bo sama nie jem.

Mówiąc to, chciała powiedzieć: nic się tutaj nie dzieje.

Dzieje się tylko to, że się dla ciebie narażam. Jestem twoim prawnikiem i

nic więcej, robię to dla zasady, nie dla człowieka.

Bagaż musieli nieść aż do skrzyżowania. Tam dopiero pojawiła się taksówka, Annabel kazała kierowcy jechać na nabrzeże. A potem po raz drugi resztę drogi przebyli na piechotę.

\* \* \*

Nowe mieszkanie - wchodziło się do niego na czwarte piętro po skrzypiących drewnianych schodach — zajmowało poddasze starego magazynu portowego, według właściciela posesji jedynego budynku w mieście, wobec którego Anglicy byli tak mili, że zostawili go dla potomności, gdy resztę Hamburga obrócili bombami w proch i pył. Strych o wymiarach czternaście metrów na sześć przypominał wnętrze statku, miał żelazne podpory

150

i wychodzące na nabrzeże wielkie okno zwieńczone gotyckim łukiem; do tego wciśnięta w jeden kąt łazienka, w drugi - kuchnia. Pierwszy raz zobaczyła je w dzień otwarty, kiedy drzwiami i oknami walili tu mający na nie chrapkę młodzi bogacze z całego Hamburga, lecz właściciel właśnie do niej poczuł sympatię — choć w odróżnieniu od gospodarza poprzedniego mieszkania był gejem i wcale nie chciał się z nią przespać.

I stał się cud: jeszcze tego samego wieczoru mieszkanie stało się jej własnością, zadatkem na przyjemne życie bez Kar-stena, i przez ostatnie sześć tygodni starannie je dopieszczała

— zastanawiała się nad każdym przewodem elektrycznym, każdą



warstwą tynku i farby, każdą wymienianą klepką przegniłego parkietu, wieczorami zaś, po kolejnym wstrętnym dniu w sądzie, po kolejnej przegranej z władzami, pędziła tu na rowe rze po to tylko, by oparta łokciami o parapet stać w łuku okna i przyglądać się, jak zachodzi słońce, a portowe dźwigi, statki towarowe i promy mijają się nawzajem i łączą w jedną całość tak, jak powinni robić ludzie - z szacunkiem, nie wpadając na siebie - by patrzeć na uwijające się i ścigające mewy, i na dzieci szalejące na placu zabaw.

I chociaż była świadoma, że to chwilowy przyływ całkiem różowego optymizmu, gratulowała sobie tego, kim się stawała — kobietą, dla której powoli zaczynała istnieć już tylko praca i jej przybrana rodzinka w Azylu: Lisa, Maria, Andrć, Max, Horst i groźna Ursula, ich szefowa, wszyscy tak jak ona zdecydowali szlachetnie walczyć o ludzi przez życiowy przypadek z góry przeznaczonych na śmietnik.

Albo inaczej: zdecydowana była wracać do domu tak wyczerpana i pusta jak oczekujące na nią mieszkanie, ze świadomością, że choć przez cały dzień pracuje do upadłego, nocą zostanie sama. W każdym razie wszystko było lepsze niż Karsten.

Powoli wspinali się po schodach. Annabel szła pierwsza, na każdym piętrze stawiając na ziemi plastikową torbę i upewniając się, że Issa podąży za nią z torbą z ubraniami i śpiworem. Wola-

próbowała, gniewnie ją odpędzał, mimo że już na drugim piętrze przypominał stare chude dziecko, a na trzecim jego chrapliwe dyszenie odbijało się echem od ścian klatki schodowej.

Z początku niepokoił ją czyniony przez nich hałas, dopóki nie przypomniała sobie, że przecież to sobota, więc w całym budynku nie ma żywego ducha. Inne piętra zajmowały eleganckie biura *haute couture*, projektantów mebli i producentów specjałów dla smakoszy: świat, którego — jak mówiła sobie z przekonaniem — całkowicie się wyrzekła.

Issa zatrzymał się na półpiętrze, popatrzył za jej plecy i twarz mu zeszywniała ze strachu. Jej poddasze miało drzwi ze starego kutego żelaza wzmocnionego wielkimi śrubami, na potężną kłódkę można by zamykać Bastylię. Annabel podbiegła do Issy i tym razem bez zastanowienia chwyciła go za ramię. Wyrwał się natychmiast.

- Nie chcę cię zamknąć - powiedziała. — Chcę, żebyś mógł być na wolności, Issa.
- To nie wasze KGB?
- Nie. Tylko rób, co ci powiem.

Powoli pokręcił głową, po czym ze straszliwą pokorą pochylił się i krok za krokiem, lecz z takim wysiłkiem, jakby nogi miał skute kajdanami, ruszył za nią ostatnim ciągiem schodów. Na górze znów się zatrzymał, wciąż z tak samo spuszczoną głową i złączonymi stopami. Czekał, by otworzyła drzwi. Ale instynkt powiedział jej, by tego nie robić.

- Issa?

Milczał. Wyciągnęła prawą dłoń tak, że znalazła się wprost na linii jego wzroku, położyła na niej klucz i podała mu go tak, jak w dzieciństwie podawała koniowi marchewkę.

- Proszę. Ty otwórz. Nie jestem twoim strażnikiem. Bierz klucz i otwórz nam drzwi. Proszę.

Wydawało się jej, że minęło całe ludzkie życie, a on wciąż patrzył w dół na jej otwartą dłoń i na leżący w niej zardzewia-

152

ły klucz. Jednakże albo przyjąć go od niej było dla niego zbyt trudne, albo bał się zetknięcia z jej niczym nie osłoniętą skórą, bo nagle najpierw jego głowa, a potem cała górna połowa ciała odsunęła się od niej w odmownym geście. Annabel nie przyjęła do wiadomości tej odmowy.

- Chcesz, żebym ja otwarła? - zapytała ostro. - Proszę cię, Issa, muszę wiedzieć. Chcesz mi powiedzieć, że mam otworzyć drzwi? Pozwalasz mi? Proszę cię, Issa, odpowiedz. Jesteś moim klientem. Musisz mi wydawać polecenia. Issa, bo będziemy tu stali, marzli i męczyli się, póki nie każesz mi otworzyć tych drzwi. Słyszysz, Issa? A gdzie twoja bransoleta?

Trzymał ją w dłoni.

- Załóż ją z powrotem. Tu nic ci nie grozi. Założył.
- A teraz powiedz mi, żebym otwarła drzwi.
- Otwórz.

- Powiedz głośniej. Powiedz: Proszę cię, Annabel, otwórz drzwi.

- Proszę, otwórz drzwi. -Annabel.
- Annabel.

- A teraz patrz, otwieram, bo mnie o to prosiłeś. Proszę. Gotowe. Ja wejdę pierwsza, ty za mną. Nie jak w więzieniu.

Nie, proszę, nie zamykaj za sobą. Zamkniemy, dopiero jak będzie trzeba.

\* \* \*

Ostatni raz była tu trzy dni wcześniej. Rozglądnęła się szybko i zorientowała, że robotnicy pracują jednak szybciej, niż sądziła. Tynki były już prawie gotowe, zamówione płytki czekały pod ścianą, znaną przez jej mamę w Stuttgarcie staroświecką wannę zamontowano wraz z mosiężnymi kurkami zdobytymi przez Annabel na pchlim targu. Woda też już musiała być do-

153

prowadzona, inaczej robotnicy nie zostawiliby w zlewozmywaku brudnych kubków po kawie. Na środku podłogi leżał zawinięty w pęcherzykową folię zamówiony przez nią telefon i tylko czekał na podłączenie.

Tymczasem Issa odkrył gotyckie okno. Gdy stał w nim nieruchomo jak głaz i zwrócony do niej plecami patrzył w rozjaśniające się niebo, znów zrobił się wysoki.

-To tylko na parę dni, dopóki nie znajdę dla ciebie czegoś lepszego - zawołała do niego przez pokój swobodnym tonem.

- Musisz tu zostać dla własnego dobra. Będę ci przynosić książki i jedzenie i codziennie cię odwiedzać.

- Nie mogę latać? - zapytał, wciąż nie odrywając wzroku od nieba.
- Niestety nie. Ani wychodzić na zewnątrz. Dopiero jak będziemy cię mogli gdzieś przenieść.

- Ty i pan Tommy?
- Ja i pan Tommy.
- On też mnie odwiedzi?
- On sprawdza swoje papiery. To jego praca. Ani ja nie jestem bankierem, ani ty. Nie wszystko da się załatwić od razu. Musimy robić krok po kroku.
- Pan Tommy to ważny człowiek. Jak zostanie mianowany doktorem, zaproszę go na uroczystość. Ma dobre serce i mówi po rosyjsku jak jeden z Romanowów. Gdzie się tego nauczył?
- Zdaje się, że w Paryżu.
- Czy ty też tam uczyłaś się rosyjskiego, Annabel?

Tym razem przynajmniej nie wypytuje o Karstena. I przestał się pocić. I mówi spokojnie.

- Ja uczyłam się rosyjskiego w Moskwie - powiedziała.
- Annabel, to ty chodziłaś do szkoły w Moskwie? Bardzo ciekawe! Bo ja też chodziłem do szkoły w Moskwie. Co prawda bardzo krótko. A do której chodziłaś? Który numer? Może znam tę szkołę? Czy przyjmują tam uczniów z Czeczenii?

— Najwyraźniej ekscytowała go myśl, że może istnieć jakiś

154

związek między jego i jej światem, że mogą być kolegami ze szkoły.

- Moja nie miała żadnego numeru.
- Dlaczego, Annabel?
- Bo to była taka inna szkoła.
- A co to za szkoła, co nie ma numeru? Szkoła dla dzieci KGB?

- Nie, nic z tych rzeczy! To była prywatna szkoła. - I ze znużeniem słuchała własnego głosu, który opowiadał mu wszystko do końca. - To była prywatna szkoła dla dzieci zagranicznych urzędników mieszkających w Moskwie. Więc do niej chodziłam.

- To twój ojciec był zagranicznym urzędnikiem mieszkającym w Moskwie? Jakim urzędnikiem, Annabel?

Bardzo już chciała zmienić temat.

- Ja tylko mieszkałam u rodziny jednego dyplomaty.

Dlatego mogłam chodzić do tej prywatnej szkoły i tam nauczyłam się po rosyjsku.

To i tak więcej, niż chciałam ci powiedzieć, bo nawet ty nie wyciągniesz ze mnie tego, czego nie wiedzą również w Azylu: że mój ojciec był *attache* prawnym ambasady niemieckiej w Moskwie.

Coś przeraźliwie zapiszczało. Nie, to nie jej komórka. Wystraszyła się, że włączył się jakiś skomplikowany system alarmowy zamontowany przez robotników, zaczęła więc rozglądać się niespokojnie po pomieszczeniu, lecz źródłem dźwięku okazał się elektroniczny pager Issy, prezent od Melika, wzywający właściciela na pierwszą z codziennych modlitw.

On jednak w pierwszej chwili nie ruszył się od okna. Dlaczego? Czy wypatrywał prześladowców z KGB? Otóż nie — na podstawie miejsca świtania ustalał tylko, w którym kierunku leży Mekka, po chwili bowiem jego chude jak patyk ciało przygięło się do nagich desek podłogi.

- Teraz wyjdź z tego pokoju, Annabel - powiedział jeszcze.

Przeczekując w kuchni, uporządkowała ją trochę i rozpakowała plastikową torbę. Usiadłszy na stołku, jednym łokciem opierając się na stole dekoratorów, z policzkiem podtrzymywanym na pięści, zapadła w zamyślenie, w którym dokonała swoistego autoprzeniesienia - jak często w chwilach szczególnego znużenia wyobraziła sobie, że patrzy na kolekcję obrazów mistrzów flamandzkich, którą jej ojciec zgromadził w salonie rodzinnego majątku pod Fryburgiem.

— To kupił dziadek na licytacji w Monachium, kochanie - odpowiedziała jej mama, gdy Annabel, wówczas zbuntowana czternastolatka, rozpoczęła jednoosobowe śledztwo w sprawie pochodzenia tych dzieł sztuki. — Tak samo robi tata z tymi swoimi ikonami.

• Za ile?

• W przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze są na pewno warte całkiem sporo. Ale wtedy dziadek kupił je za bezcen.

• Kupił je na licytacji, ale kiedy? — nie ustępowała. - I od kogo? Do kogo należały, zanim dziadzio kupił je za bezcen na aukcji w Monachium?

— To może najlepiej spytaj tatę, kochanie, dobrze? — zaproponowała mama jakoś podejrzanie przymilnie jak na podejrzliwie ucho Annabel. - To jego ojciec, nie mój.

Kiedy jednak Annabel zapytała ojca, nagle zmienił się w kogoś, kogo w ogóle nie znała:

— Tamte czasy były, minęły — odpowiedział ostro i tak oficjalnym tonem, jakiego nigdy jeszcze w rozmowie z nią nie użył. - Dziadek miał nosa do dzieł sztuki, płacił tyle, ile były

warte. Poza tym to pewnie kopie. I ani się waży jeszcze raz za dawać mi to pytanie.

I nie zadała. Doskonale to pamiętała. Nigdy, na żadnym forum rodzinnym nie odważyła się spytać o to jeszcze raz - sama nie wiedziała, czy z miłości, ze strachu czy, co byłoby najgorsze,

156

z powodu poddania się rodzinnej dyscyplinie. I pomyśleć, że rodzice sami uważali się za radykałów! Za buntowników— przynajmniej do jakiegoś czasu: przecież w sześćdziesiątym ósmym wznosili barykady na demonstracjach studenckich, dźwigali transparenty z żądaniem, by Amerykanie opuścili Europę! “Wy, dzisiejsza młodzież, nie macie pojęcia, co to jest prawdziwa rewolucja!” - powtarzali jej ze śmiechem za każdym razem, gdy się zagalopowała w swym buncie.

Wyjęła z plecaka notes i w świetle padającym już przez okno w dachu zaczęła robić listę rzeczy do zrobienia. Z robienia list była w rodzinie znana równie dobrze jak z nieustępliwości. Bo raz była ospała, chaotyczna, całe zdezorganizowane życie nosząc w plecaku, by w jednej chwili zmienić się w typowo niemiecką organizatorkę, która robi listy rzeczy do załatwienia.

Mydło. Ręczniki. Więcej jedzenia.

Słodycze. Świeże mleko. Papier toaletowy.

Medyczne czasopisma po rosyjsku: skąd?

Mój magnetofon kasetowy. Muzyka klasyczna, żadnego łomotu.



I nie, nie kupię sobie tego zasranego iPoda, nie chcę być niewolnicą konsumpcjonizmu.

Niepełna, czy Issa jeszcze się nie modli, po cichu wsunęła się do wielkiego pokoju. Był pusty. Podbiegła do okna. Zamknięte, szyba nienaruszona. Gwałtownie obróciła się z powrotem i mając światło z tyłu, jeszcze raz rozejrzała się po pomieszczeniu.

Stał dwa metry nad nią na drabinie pozostawionej przez robotników. Niczym pomnik z czasów komunizmu trzymał

157

w jednej ręce wielkie nożyce, w drugiej zaś papierowy samolot, który wyciął sobie z rolki papieru leżącej u stóp drabiny.

- Kiedyś będę wielkim inżynierem od samolotów, jak Tu-polew — oświadczył, nie patrząc na nią w dół.
- To już nie lekarzem? - zawołała Annabel, jakby próbowała uspokoić kogoś, kto właśnie chce popełnić samobójstwo.
- Lekarzem też. A jak będę miał czas, to i prawnikiem. Bo ja chcę osiągnąć wszystkie Pięć Cnot. Słyszałaś o Pięciu Cnotach? Kto nie słyszał, ten nie jest kulturalny. Ja już mam dobre podstawy muzyki, literatury i fizyki. A może nawrócisz się na islam, ożenię się z tobą i zajmę się twoim wykształceniem? Ale nie patrz teraz tak surowo. Widzisz, Annabel?

I wysuwając swe długie ciało tak, że prawie zaprzeczał prawu ciężenia, delikatnie położył swój samolot na nieruchomym powietrzu.

To zwykły, normalny klient, powtarzała do siebie ze złością, gdy

zamykała za sobą drzwi i zakładała na nie starą kłódkę.

Prawda - klient specjalnej troski. Klient, który wymaga działań nieszablonowych, może nawet nielegalnych. Ale mimo wszystko klient. Zresztą zaraz zajmę się też załatwieniem mu odpowiedniej opieki lekarskiej.

Issa jest przypadkiem. Przypadkiem prawnym, przegródką w szafce na akta. Tak, i w dodatku pacjentem. Jest chorym dzieckiem, które przeżyło wiele wstrząsów, lecz nie przeżyło dzieciństwa, a ja jestem jego prawniczką, jego niańką i jedynym łącznikiem ze światem.

Jest dzieckiem, które o cierpieniu, niewoli i wszystkim, co w życiu najgorsze, wie więcej, niż ja kiedykolwiek się dowiem. Jest dumny i bezbronny i najczęściej to, co mówi, nie ma żadnego związku z tym, co myśli.

158

Chce zrobić mi przyjemność, tyle że nie wie jak. Mówi nawet właściwe słowa, ale nie jest tym, który powinien je wypowiadać:

Wyjdź za mnie, Annabel. Widzisz mój papierowy samolot, Annabel? Nawróć się na islam, Annabel. Nie bądź taka surowa, Annabel. Chcę zostać adwokatem, lekarzem i wielkim inżynierem lotniczym, i jeszcze coś, zanim odeślą mnie do Szwecji, skąd przekażą mnie już prosto do gułagu, Annabel. Wyjdź z pokoju, Annabel.

A na zewnątrz świt zmienił się teraz we wczesny ranek. Weszła po schodkach na chodnik ciągnący się wzdłuż muru nabrzeża. Przez ostatnie tygodnie, czekając, by powstało jej nowe mieszkanie, często tu spacerowała, notując w pamięci sklepy, do których będzie chodzić, rybne

bary, w których będzie spotykać się z przyjaciółmi, i wymyślając najróżniejsze drogi do pracy: jednego dnia pojedzie na rowerze całą drogę, innego wsiądzie z nim na prom, na trzecim przystanku wsiądzie, dalej pojedzie na rowerze. Ale teraz mogła myśleć tylko o słowach, które Issa powiedział jej na pożegnanie, gdy już przygotowała go na to, że znowu zostanie zamknięty:

- Jeżeli zasnę, wrócę do więzienia, Annabel.

\* \* \*

Wróciwszy do starego mieszkania, Annabel poruszała się z tą wystudiowaną precyzją, z której tak chętnie żartowano w gronie rodzinnym. Dotąd bała się, lecz nie chciała się do tego przed sobą przyznać. Teraz wreszcie mogła świętować własne zwycięstwo nad strachem.

Najpierw wzięła długi prysznic, który obiecywała sobie przez całą poprzednią dobę, i przy okazji starannie umyła włosy. Wyczerpanie sprzed godziny ustąpiło pragnieniu działania.

Po kąpieli przebrała się na rower: elastyczne szorty z lycry po kolana, adidas, lekka bluzka, bo dzień zapowiadał się gorą-

159

cy, pikowana kamizelka i czekające już na bambusowym stoliku przy drzwiach kask i skórzane rękawiczki. Nigdy nie miała dość wysiłku fizycznego. Była przeświadczona, że bez niego wystarczy tydzień, by pokryć się zwałami tłuszczu. Potem wysłała do wszystkich swoich robotników i dostawców ten sam ważny e-mail: "Szanowni państwo,

bardzo przepraszam, ale w nowym mieszkaniu nie można prowadzić żadnych prac aż do odwołania, wystąpiły nieprzewidziane komplikacje prawne z umową, wszystko wyjaśni się za parę dni. Wynikłe z tego straty oczywiście pokryję. *Tschüss, Annabel Richter*".

A do leżącej pod ręką listy zakupów dopisała "nowa kłódka", bo zdarza się, że ludzie nie przeczytają e-maili z całego weekendu przed pójściem do pracy w poniedziałek.

Odezwała się jej komórka. Ósma rano. Bo co sobotę, punktualnie o ósmej rano - nawet jeżeli na ten dzień przypadało jakieś święto państwowe - *Frau* doktor Richter telefonowała do swej córki Annabel. W niedziele dzwoniła do siostry Annabel, Heidi, Heidi bowiem była starsza. A rodzinna etyka nie przewidywała możliwości, że którakolwiek z córek mogłaby chcieć dłużej sobie poleżeć lub pokochać się w sobotni, niedzielny czy jakikolwiek inny poranek.

Każda rozmowa musiała zacząć się od mamy orędzia o stanie państwa. Zanim zdążyła się odezwać, Annabel już się uśmiechała.

- Stara plotkara ze mnie, ale Heidi się wydaje, że chyba znowu jest w ciąży, na pewno będzie wiedziała we wtorek. A ty do wtorku nic nie wiesz, Annabel, zrozumiano?
- Rozumiem, mamó, i wiem, jaka jesteś szczęśliwa. To będzie twoje czwarte wnuczę, a ty dalej jesteś dzieckiem!
- Oczywiście jak ogłoszą oficjalnie, ty też będziesz mogła jej pogratulować.

Annabel powstrzymała się przed poinformowaniem mamy, że tak naprawdę Heidi jest wściekła i tylko błagania jej męża sprawiły, że postanowiła nie przerywać ciąży.

—A Hugonowi zaproponowali stanowisko na wydziale psychologii człowieka wielkiego szpitala uniwersyteckiego w Kolonii, tylko że on mówi, że nie jest pewny, czy oni tam są prawdziwymi freudystami, więc chyba się nie zdecyduje. Szczerze mówiąc, jego głupota czasem mnie przeraża.

- Ale może jednak trafi do Kolonii - powiedziała Anna-bel i znów nie dodała, że rozmawia z Hugonem przez telefon średnio trzy razy na tydzień i doskonale wie, jakie są jego plany: a mianowicie, że będzie tkwił w Berlinie, póki jego burzliwy romans ze starszą od niego o dziesięć lat mężatką nie umrze śmiercią naturalną, nie skończy się piekielną awanturą lub nie zajdą obie te okoliczności, co w przypadku Hugona było wręcz normą.
- A tata zgodził się wygłosić wykład inauguracyjny na jakiejś międzynarodowej konferencji prawniczej w Turynie. Jak go znam, pewnie zaczął go pisać i do września nie odezwie się do mnie nawet słowem. Pogodziłaś się już z Karstenem?
- Pracujemy nad tym.
- To dobrze.  
Krótka chwila milczenia.
- Jak badania, mamó? - zapytała Annabel.
  - Kompletna bzdura, jak zwykle, kochanie. Kiedy mi mówią, że wyniki są negatywne, zaraz popadam w przygnębienie, bo z natury jestem optymistką. Potem muszę sobie to wszystko wytłumaczyć na odwrót.
- Czyli były negatywne?
  - Był jeden drobny pozytywny, ale utonął w odmętach tych wszystkich

negatywów.

- Który wynik był pozytywny?
- Coś tam z tą głupią wątroba.
- Mówiłaś tacie?
  - Przecież to mężczyzna, kochanie. Albo mi powie, żebym wypła sobie na to kieliszek wina, albo zaraz będzie myślał, że umieram. No, idź już na rower.

161

\* \* \*

Teraz czas na realizację mojego genialnego planu.

W życiu Hugona panował teraz - jak zawsze — piekielny zamęt. Mąż jego lubej był jakimś wędrownym biznesmenem, który miał paskudny zwyczaj wracać do domu na weekend. Z tego powodu Hugo spędzał soboty i niedziele na dyżurze w szpitalu — w dzień na oddziale, w nocy pod telefonem w pokoju gościnnym przy klinice. Cała sztuka polegała więc na tym, by złapać go rano między ósmą, kiedy kończył się nocny dyżur, a dziesiątą, kiedy zaczynał obchód. Teraz była ósma dwadzieścia, a więc idealna pora. Ze względów bezpieczeństwa musiała skorzystać z automatu telefonicznego, a dla własnego spokoju

- w jakimś znajomym miejscu. Wybrała dawny pałacyk myśliwski, obecnie zamieniony na kawiarnię, w parku w Blankenese
- zwykle piętnaście minut szybkiego pedałowania. Tym razem dystans ten przebyła w dwanaście minut, po czym musiała zamówić herbatę ziołową i chwilę posiedzieć nad filiżanką, nim udało się jej złapać dech. W

korytarzyku prowadzącym do toalety stała staroświecka czerwona angielska budka telefoniczna. W barze rozmieniła pieniądze.

Z Hugonem jak zwykle to się przekomarzali, to mówili serio. Być może dlatego, że sprawa była tak poważna, trochę przesadziła z przekomarzaniem.

—Hugo, mam koszmarne klienta - zaczęła. - Bardzo inteligentny, ale psychiczny wrak. Mówi tylko po rosyjsku. Musi dość do siebie i w ogóle ktoś musi go zbadać. Jego sytuacja osobista jest ciężka i nie nadaje się do opisu przez telefon. Jestem pewna, że ty sam pierwszy byś uznał, jak bardzo wymaga leczenia - dodała, starając się, żeby nie brzmiało to jak prośba.

Jednakże odwołanie się do współczucia Hugona było błędem.

—Uznałbym? To się jeszcze okaże. A jakie niby są te jego objawy? - zapytał ostrym i całkiem już służbowym tonem.

Miała je spisane na kartce.

162

- Ma urojenia. Raz myśli, że jest panem świata, kiedy indziej trzęsie się jak myszka.

- Wszyscy tak mamy. Co to za jeden? Polityk?

Roześmiała się głośno, lecz miała nieprzyjemne wrażenie, że Hugo wcale nie żartuje.

- Nieprzewidywalne napady gniewu, potem robi się pokorny i uległy, a potem znowu chce być całkowicie niezależny. Czy to się trzyma kupy? Nie jestem lekarką, Hugo. W rzeczywistości jest jeszcze gorzej, niż mówię. On naprawdę potrzebuje pomocy. I to zaraz, jak

najszybciej. Tylko w całkowitej dyskrecji. Nie ma takiego szpitala?  
Musiał być.

- Dobrego nie ma. Przynajmniej ja nie znam. Takiego, który by się nadał. Facet jest niebezpieczny?

- A może być niebezpieczny?

- No, widziałaś jakieś oznaki agresji czy nie?

—Włącza sobie muzykę. Godzinami siedzi i gapi się w okno. Puszczając samoloty z papieru. To mi na agresję nie wygląda.

- A wysoko to okno?

- Hugo, przestań się wygłupiać!

- Patrzy na ciebie dziwnie? Pytam się. To poważne pytanie.

- Nie patrzy. Odwraca wzrok. Przez większość czasu odwraca ode mnie wzrok. - Oprzytomniała. - No dobrze, nie musi to być pierwszorzędny szpital. Tylko taki, żeby go przyjęli, pilnowali, nie zadawali za dużo pytań i po prostu dali mu święty spokój, pomogli przyjść do siebie.

I tak już za dużo powiedziała.

- Ma pieniądze? - zapytał Hugo.

- Tak. Mnóstwo. Dowolną sumę.

- A skąd ma tyle?

- Od tych wszystkich bogatych mężatek, z którymi sypia.

- Bardzo śmieszne... A wydaje bez opamiętania? Kupuje rolls-royce'y i perłowe naszyjniki?

- Tak naprawdę nie wie, że ma pieniądze - odpowiedziała, lecz powoli zaczęła tracić nadzieję. - Ale ma. Jest w porząd-



ku. To znaczy finansowo. Może liczyć na różnych ludzi. Jezu, Hugo, czy ty zawsze musisz wszystko utrudniać?

- Zna tylko rosyjski?
- Już ci mówiłam.
- I bzykasz się z nim? -Nie!
- A zamierzasz?
- Hugo, błagam, choć raz bądź poważny!
- Jestem poważny. Dlatego się złościś.

• Słuchaj, trzeba mi tylko... jemu trzeba tylko... No, krótko mówiąc, chodzi o to, czy dałoby się umieścić go gdzieś szybko, powiedzmy w ciągu tygodnia, nawet gdyby miejsce nie było idealne. Wystarczy, jeżeli będzie takie sobie i bardzo dyskretne. Nawet ludzie ode mnie, z Azylu, nie wiedzą o tej rozmowie. Bo chodzi aż o taką dyskrecję.

• Gdzie teraz jesteś?

• W budce telefonicznej. Komórka mi padła.

• Teraz mamy weekend, jeżeli nie zauważyłaś. - Czekala. - A w poniedziałek przez cały dzień jestem na zebraniu. Zadzwoń do mnie na komórkę w poniedziałek wieczór, tak koło dziewiątej. Annabel...

-Co?

-Nic. Poszukam czegoś. Zadzwoń.

7

- *Frau Elli...* - zaczął wesoło Brue.

Wycieczka na Syk i obiad w nadmorskiej posiadłości Bernharda odbyły się zgodnie z przewidywaniami, czyli w typowym mieszanym towarzystwie sklerotycznych bogaczy i zblazowanej młodzieży. Były homary i szampan, i spacer po wydmach, podczas którego Brue wielokrotnie spoglądał na swoją komórkę, czy przypadkiem nie przegapił telefonu od Annabel Richter, ale niestety, na próżno. Gdy nadszedł wieczór, deszcz i mgła jak zwykle spowodowały zamknięcie miejscowego lądowiska, zmuszając państwa Brue do nocowania w domku dla gości, co z kolei doprowadziło do sceny, w której nabuzowana koką żona Bernharda, Hildegard, przesadnie przeproszała Mitzi, że nie może zaoferować jej noclegu bardziej odpowiadającego jej gustom. Mogło dojść do dzikiej awantury, lecz zręczny Brue jak zawsze rozładował sytuację. W niedzielę grał w golfa jak noga, przegrał tysiąc euro; jakby tego było mało, jeszcze musiał jeść kluski wątrobiane i pić obstlera z bogatym podstarzałym armatorem. Teraz nadszedł wreszcie poniedziałek, było już po cotygodniowym zebraniu kierownictwa banku o dziewiątej rano i Brue poprosił grzecznie *Frau* Ellenberger, by z łaski swojej

165

została jeszcze na chwilę, jeśli ma trochę czasu - planował to przez cały weekend.

- *Frau* Elli, ośmielam się zanieść do pani taką małą prośbę — zaczął przesadnie ugrzecznioną angielszczyzną.
- Ależ, *mister* Tommy, spełnię każdą... Cokolwiek pan rozkaże - odpowiedziała w tym samym stylu.

Ten idiotyczny rytuał, praktykowany od ćwierćwiecza, najpierw

jeszcze w Wiedniu przez Brue ojca, teraz zaś przez syna, miał prawdopodobnie służyć utrwalaniu pięknej tradycji rodzinnej banku Freres.

— Gdybym rzucił przy pani nazwisko K a r p o w, *Frau Elli*, Grigorij Borysowicz Karpow, i gdybym dodał jeszcze słowo l i - p i z z a n e r, to jak by pani zareagowała?

Żarty skończyły się na długo, nim dopowiedział to pytanie.

- Myślę, że bym posmutniała, *Herr Tommy* - odpowiedziała już po niemiecku.

- A dlaczego by pani posmutniała? Że już nie jesteśmy w Wiedniu? Że tęskni pani za tym ślicznym mieszkankiem przy Operngasse, które tak kochała pani mama?

- Nie. Ze względu na pana ojca.

- I może na to, o co musiał panią prosić w sprawie lipiz-zanerów?

— Cała sprawa kont lipicańskich nie była czysta - odpowiedziała, nie podnosząc wzroku.

Rozmowę tę powinni byli odbyć siedem lat temu, tylko że Brue nigdy nie był zwolennikiem niepotrzebnego grzebania się w przeszłości - tym bardziej że wiedział dość dobrze, co w niej znajdzie.

— Mimo to jednak pani bardzo lojalnie nadal je prowadziła - stwierdził łagodnie.

-Ja wcale ich nie prowadziłam, *Herr Tommy*. Ja zrobiłam wszystko, by jak najmniej wiedzieć o nich i o tym, jak są prowadzone. Tym zajmował się zarządzający funduszem z Liech-

tensteinu. To jego dziedzina i jak mi się zdaje, jego główne źródło utrzymania, niezależnie od tego, jakie można mieć zdanie o etyce tego całego przedsięwzięcia. Ja zrobiłam tylko to, do czego zobowiązałam się obietnicą względem pana ojca.

— A z tego co wiem, chodziło o wyczyszczenie akt dawnych i obecnych właścicieli rachunków lipicańskich.

-Tak.

— I podobnie postąpiła pani w przypadku Karpowa?

-Tak.

— W takim razie papiery w tych aktach... - uniósł je do góry. — Te papiery to wszystko, co nam zostało?

-Tak.

- I nie ma ich nigdzie na świecie? Ani w lochu, ani w skarbcu w Glasgow, ani tu, w Hamburgu?
- Nie ma - powiedziała dobitnie, chociaż po króciutkiej pauzie, która nie umknęła uwadze Brue.
- A czy niezależnie od tego, czy papiery są czy ich nie ma, pamięta pani cokolwiek na temat tego Karpowa? Coś z tamtych czasów? Coś, co na jego temat mówił czy nie mówił mój ojciec?

— Pana ojciec traktował konto Karpowa...

-Jak?

- Z szacunkiem, *Hen Tommy* - odpowiedziała, oblewając się rumieńcem.
- Ojciec szanował chyba wszystkich klientów, prawda?
- Pański ojciec mówił o Karpowie, że to człowiek, któremu należy wybaczyć wszystkie grzechy, i to nawet na zapas. Dla innych

klientów nie zawsze był tak pobłażliwy.

- A czy mówił, dlaczego trzeba mu je wybaczyć?
- Karpow był przypadkiem szczególnym. Wszystkie lipiz-zanery były szczególnymi przypadkami, ale Karpow najszcze-gólniejszym.  
— A mówił, co to za grzechy trzeba mu wybaczyć na zapas?  
-Nie.

167

- A czy nie sugerował czasem, że... jak by to powiedzieć?... że w grę wchodziło tam nieuporządkowane życie uczuciowe? Jakieś nieślubne dzieci to tu, to tam, i tym podobne?
- Coś w tym rodzaju.
- Ale bez szczegółów? Na przykład nie było mowy o ukochanym, choć nieślubnym synu, który pewnego pięknego dnia miał przyjść tu z ulicy i nam się objawić?
- W przypadku lipizzanerów była mowa o najróżniejszych możliwościach. Niestety nie ręczę, że pamiętam wszystkie szczegóły.
- A teraz Anatolij... Czy powinienem znać imię Anatolij? Może już je gdzieś słyszałem? W takim kontekście, że Anatolij coś załatwi, czy coś takiego?
- Rzeczywiście był chyba pośrednik, który nazywał się Anatolij — przyznała niechętnie *Frau Elli*.
- A pośredniczył między...?
  - Między panem Edwardem a pułkownikiem Karpo-wem. Albo pod

nieobecność pana Karpowa, albo w jego zastępstwie.

- Jako adwokat Karpowa?

- Jako... - zawahała się. - Jako jego agent. Pan Anatolij nie ograniczał się do usług prawnych.

- A bezprawne też świadczył? — zapytał Brue, ale nie doczekawszy się reakcji na ten dowcip, wykonał typową dla siebie rundkę po gabinecie. - A gdybym chciał pani oszczędzić zachodu z otwieraniem lochu, czy potrafiłaby mi pani powiedzieć, tak bardzo ogólnie i całkowicie nieoficjalnie, jaki udział w funduszu z Liechtensteinu należy do rachunku Karpowa?

- Każdy właściciel rachunku lipicańskiego miał tyle udziałów, ile wynikało z wysokości zainwestowanych przezeń środków.

- To oczywiste.

- Jeżeli właściciel tego czy innego rachunku uznawał

w pewnym momencie za stosowne zwiększyć inwestycje, to oczywiście otrzymywał też większe udziały.

168

- To też brzmi logicznie.

- Pułkownik Karpow był jednym z pierwszych i najbogatszych lipizzanerów. Pański ojciec nazywał go członkiem założycielem. W ciągu czterech lat jego inwestycje wzrosły czterokrotnie.

- Karpow tyle wpłacał?

- Tyle przelewów przychodziło na jego konto. Nie wiadomo, czy sam Karpow dokonywał tych wpłat czy kto inny w jego imieniu. Blankiety były niszczone natychmiast po dokonaniu transakcji.

- Przez panią?
- Przez pani ojca.
  - A nie było żadnych wpłat w gotówce? Przysłowiowych banknotów w walizce? W starym stylu? Jeszcze w Wiedniu?
- Nie w mojej obecności.
- A nie w pani obecności?
  - Od czasu do czasu na rachunku pojawiały się pewne kwoty wpłacone w gotówce.
- Przez samego Karpowa?
- Mam wrażenie, że tak.
- I przez osoby trzecie?
- Możliwe.
- Takie jak ów Anatolij?
  - Wpłacający nie musieli przedstawiać żadnego dokumentu tożsamości. Wpłacano gotówkę, wskazywano rachunek beneficjenta i wydawano pokwitowanie na dowolne nazwisko, pod którym przedstawiał się wpłacający.

Kolejna rundka po pokoju, podczas której Brue zastanawiał się nad użytą przez *Frau Elli* bezosobową formą czasownika.

- A jak pani myśli, kiedy po raz ostatni na konto Karpowa wpłynęły jakiegokolwiek środki?
- Z tego co wiem, środki wpływają nadal, do dziś.
- Dosłownie do dziś czy tylko, powiedzmy, do niedawna?
- Tego nie wiem, *Herr Tommy*.

Albo nie powiem, pomyślał Brue.

- A jaka była mniej więcej ogólna wartość funduszu z Liechtensteinu w momencie naszej przeprowadzki z Wiednia? Czyli bez podziału na poszczególnych udziałowców?

- Kiedy przenosiliśmy się z Wiednia, udziałowiec był już tylko jeden, *Herr Tommy*. Właśnie pułkownik Karpow. Inni poodpadali po kolei.

- Naprawdę? A jak to się stało?

- Tego nie wiem, //frTommy. Mogę się tylko domyślać, że inne lipizzanery były albo wykupywane przez Karpowa, albo umierały śmiercią naturalną.

- A może nienaturalną też?

- Tyle tylko mogę powiedzieć, *Herr Tommy*.

- To proszę mi podać orientacyjną sumę. Tak z głowy

- nalegał Brue.

—Ja nie mogę się wypowiadać w imieniu zarządzającego funduszem, *Herr Tommy*. To nie leży w moich kompetencjach.

- Bo widzi pani, telefonowała do mnie niejaka *Frau Richter* - wyjaśnił Brue tonem kogoś, kto nie chce mieć przed bliźnimi żadnych tajemnic. - Prawniczka. Pewnie natrafiła pani na wiadomość od niej, kiedy przesłuchiwała pani, co się nagrało przez weekend.

- Rzeczywiście, *Herr Tommy*.

- Zaczęła zadawać pytania w sprawie... jakiegoś jej klienta. .. który miałby jakoby być też naszym klientem. I zadawała je dość natarczywie.

- Zauważyłam, *Herr Tommy*.



Już podjął decyzję. W porządku. Ona coś wie, lecz nie chce powiedzieć. I ma już swoje lata. Poza tym zawsze nabierała wody w usta, kiedy chodziło o lipizzanery. Ale teraz musi przeciągnąć ją na swoją stronę, opowiedzieć jej wszystko, przekonać ją. Bo jeżeli nie może zaufać *Frau Elli*, to komu, na miłość boską?

-*Frau Elli*...

170

-Tak?

- Myślę, że będzie bardzo miło, jeżeli odbędziemy ze sobą szczerą rozmowę o... powiedzmy... o tym, czym but jest, łódź i lak...

Uśmiechnął się i urwał, czekając, by dokończyła jeden ze swych ulubionych cytatów z Lewisa Carrolla. Na próżno.

- Dlatego proponuję — dodał jak ktoś, kto właśnie wpadł na fantastyczny pomysł — by pani przyniosła wielki dzbanek swojej wspaniałej wiedeńskiej kawy, domowe ciasteczka wielkanocne pani mamy i dwie filiżanki. A przy okazji proszę powiedzieć w centrali, że jestem zajęty, i pani też.

Ale zaproponowane przez Brue *tete-a-tete* nie przyniosło spodziewanych wyników. *Frau Ellenberger* co prawda wróciła po chwili z kawą - choć zaparzenie jej trwało znacznie dłużej, niż się spodziewał - i była jak zawsze uosobieniem uprzejmości. Kiedy trzeba było się uśmiechać, uśmiechała się, ciasteczka wielkanocne jej mamy były przepyszne - lecz gdy tylko Brue spróbował trochę więcej wyciągnąć z niej na temat pułkownika Karpowa, wstała i patrząc przed siebie jak

dziecko na szkolnym występie, wygłosiła oficjalne oświadczenie:

- *Herr* Brue, z przykrością muszę pana poinformować, że według mojej najlepszej wiedzy konta lipicańskie przekraczają wszelkie granice legalności. Z uwagi na niskie stanowisko, jakie zajmowałam wówczas w banku, i na polecenia, które wykonywałam dla pana świętej pamięci ojca, muszę odmówić dalszej rozmowy z panem na ten temat.
- Oczywiście, oczywiście — powiedział niedbale Brue, który tym właśnie najbardziej się szczycił, że umie robić dobrą minę do złej gry.
  - Całkowicie panią rozumiem i przyjmuję to do wiadomości, *Frau* Elli. Bank i tak wiele pani zawdzięcza.
  - Poza tym telefonował pan Foreman - dodała już od drzwi, gdy Brue rzucił się za nią, by pomóc jej nieść tacę.

Dlaczego mówi zwrócona do niego plecami? Dlaczego kark jej poczerwieniał jak burak?

171

- Znowu? O co chodzi?
  - Chciał potwierdzić, że jest z panem umówiony na dzisiejszy lunch.
- Przecież już to potwierdził w piątek, na miłość boską!
  - Pytał, czy nie jest pan na jakiejś specjalnej diecie. Zdaje się, że *La Scala* specjalizuje się w rybach.
  - Wiem, że specjalizuje się w rybach. Jadam tam przynajmniej raz w miesiącu. Ale kolację, nie lunch, i wiem dobrze, że w południe mają zamknięte.
  - Zdaje się, że Foreman przekonał szefa. I będzie ze swoim

wspólnikiem, panem Lanternem.

- Ze swoim promyczkiem światła - dorzucił zachwycony własnym dowcipem Brue, czyniąc aluzję do nazwiska "Lan-tern .

Ona jednak wciąż unikała jego wzroku, jakby był bazyliiszkiem, Brue zaś zastanawiał się, co to za człowiek, któremu udało się namówić Maria, właściciela La Scali, by otworzył swój — maleńki co prawda - lokal w południe, i to w poniedziałek.

*Frau Ellenberger* wreszcie przemogła się i raczyła odwrócić do niego:

- Pan Foreman ma bardzo dobre referencje, //ifrrTommy. Z najlepszych banków w City. Przylatuje z Londynu specjalnie do pana.
- Razem z tym swoim promyczkiem?
- Pan Lantern przyjedzie osobno z Berlina, bo tam, zdaje się, pracuje. Zaproponowali wspólny lunch, ale bez zobowiązań z którejkolwiek strony. Ich przedsięwzięcie jest poważne i wymaga porządnego przygotowania i analizy.
- A od kiedy ja o tym wiem?

— Dokładnie od tygodnia, *Herr Tommy* Rozmawialiśmy o tym o tej samej porze w zeszły poniedziałek. Bardzo panu dziękuję.

Za co ona mi dziękuje? pomyślał Brue. I dodał na głos:

— Czy to świat zwariował czy tylko ja, *Frau Elli*?

172

— Tak samo mawiał pana ojciec, *Herr Tommy* - odpowiedziała niewinnie *Frau Ellenberger*, Brue zaś znów zaczął myśleć o Annabel: tej pełnej życia, niezależnej młodej kobiecie

na rowerze, której tożsamości nie określały wyłącznie okazje towarzyskie.

\* \* \*

Ku jego zdziwieniu i uldze panowie Foreman i Lantern okazali się całkiem zabawnymi kompanami przy stole. Jeszcze nim on sam pojawił się w La Scali, udało im się tak zauroczyć Maria, że dał im ulubiony stolik Brue, ten przy oknie, i zdradził im, które to białe wino toskańskie Brue lubi najbardziej, żeby zdążyło odpowiednio się schłodzić na jego przyjście. I rzeczywiście spoczywało teraz, już otwarte, w wiaderku z lodem.

Brue zastanawiał się potem, skąd dowiedzieli się również, że La Scala to jego ulubiona knajpka, ale uznał, że skoro cały bankierski Hamburg wie, że tam jada, więc zapewne musieli wiedzieć i oni. A może i tę informację Foreman wy dobył wdzięcząc się, na przykład, do *Frau Ellenberger* - bo wdzięku miał Foreman na kilogramy. Każdemu zdarza się czasem spotkać pokrewną duszę i natychmiast poczuć do niej sympatię. A Foreman był wzrostu Brue i w wieku Brue; przypominał go nawet kształtem głowy. Odziany od stóp do głów w najlepszy angielski tweed - w najlepszym patrycjuszowskim stylu, który zawsze tak bardzo podziwiał Brue - miał wesołe oczy i uśmiech tak rozbajający, że aż zaraźliwy. I poufały niski głos, który nauczył się już brać świat takim, jaki jest.

— Tommy Brue! Brawo, drogi panie, brawo, świetnieśmy się spisali — zamruczał, wstając z miejsca na widok wchodzącego przez drzwi Brue. - Przedstawiam panu lana Lanterna, moje go współnika w zbrodni. Ale może od razu przejdziemy na ty?

Mogę do pana mówić Tommy? Ja, niestety, też jestem Edward, jak pana tatuś szanowny. Ale mów mi po prostu Ted. Pana ta-

173

tuś w życiu by na to nie poszedł, no nie? On był Edward, i już. Żadnych zdrobnień.

- A najlepiej, na wszelki wypadek, s i r Edward - odparł Brue ku powszechnej radości.

Czy już wtedy zwrócił bacniejszą uwagę na wzmiankę o ojcu, która sugerowała jakąś zażyłość? Czy zarejestrował to gdzieś głęboko w sobie, czyli tam, gdzie Brue nigdy nie dawał się wytrącić z równowagi — przynajmniej do ostatniego piątkowego wieczoru? Chyba nie. Edward Amadeus, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, był legendą za życia i nadal nią pozostawał. Brue zdążył się przyzwyczaić, że ludzie mówią o nim tak, jakby naprawdę go znali, i uznawał to za komplement.

Równie pozytywne pierwsze wrażenie wywarł na nim Lantern. W dzisiejszych czasach młodzi Anglicy — na podstawie dość ograniczonego doświadczenia Brue z tym gatunkiem człowieka — raczej nie są tacy jak Lantern: drobny, zgrabny i starannie ubrany w grafitowy garnitur o spadzistych ramionach, z marynarką zapiętą na jeden guzik, dokładnie w stylu młodego, świetnie zapowiadającego się biznesmena, jakim kiedyś był sam Brue. Ciemnoblond włosy obcięte miał krótko, po wojskowemu. Mówił cicho, z namysłem, i był wprost ujmująco uprzejmy. Ale podobnie jak od Foremana emanowała z niego spokojna pewność siebie, od razu dająca do zrozumienia, że jest panem samego siebie. Miał też akcent, który Brue zdążył nauczyć się nazywać bezklasowym i który mile potraçał

w nim demokratyczne struny.

- Ian, naprawdę miło z waszej strony, że pomyśleliście o nas — powiedział serdecznie, by od razu nawiązać nić porozumienia. - W naszych czasach prywatne banki czują się trochę na marginesie, na który powolutku spychają nas te wszystkie wielkie molochy.
- Poznać cię, Tommy, to wielki zaszczyt dla mnie. Mówię szczerze - odparł Lantern, obdarzając Brue drugim już sports-meńskim uściskiem ręki, jakby nie mógł znieść myśli, że musi

174

puścić jego dłoń. - Aleśmy się o tobie nasłuchali historii, no nie, Ted? A wszystkie pochlebne, co do jednej.

- Co do jedniuteńkiej - potwierdził żartobliwie Foreman, po czym usiedli, a Mario przybiegł z olbrzymim okoniem, przysięgając, że został zabity właśnie na ich cześć, i po licznych przekomarzaniach uzgodniono, że zostanie upieczony w morskiej soli. A może na poczekaniu troszeczkę małży w sosie czosnkowym?

My płacimy, uparli się tamci dwaj.

Nie, nie, absolutnie, ja, protestował Brue. Jak ktoś jest bankierem, musi płacić.

Został jednak przegłosowany. Poza tym to był ich pomysł. W tej sytuacji Brue zrobił dokładnie to, czego od niego oczekiwano, mianowicie wygodnie rozparł się w fotelu i nastawił na miłe spędzenie czasu, doskonale wiedząc, że według wszelkiego prawdopodobieństwa panowie Foreman i Lantern planują go oskubać, jak większość ludzi, z którymi

prowadził interesy. Świetnie, niech próbują. Jeżeli są drapieżnikami, to przynajmniej bardzo ucywilizowanymi, co niestety wcale nie jest regułą. Po bardzo nieprzyjemnym weekendzie i braku wiadomości od Annabel - nie mówiąc już o niezbyt udanej dziwnej rozmowie z *Frau Elli* — nie miał powodu być nadmiernie wymagający.

A poza tym, niech to diabli, przecież to Anglosasi. Żyjąc i pracując poza krajem, mocno do niego tęsknił. Osiem ponurych lat spędzonych w szkockiej szkole z internatem wytworzyło w nim pustkę, której nie mogło wypełnić najdłuższe nawet życie na obczyźnie: i prawdopodobnie właśnie dlatego od początku tak świetnie rozumiał się z Foremanem, podczas gdy mały Lantern, jak zachwycony elf, przerzucał swój pełen szacunku uśmiech z jednego z głównych rozmówców na drugiego.

- Ian nie pije, niestety- powiedział Foreman, przepraszając za to, że jego kolega nawet nie tknął wina nalanego mu przez Maria. - On jest z nowej szkoły. Zupełnie nie to co my, stare pierdoły. Zdrowie starych pierdoł! Nasze zdrowie!

175

I zdrowie również Annabel Richter, która co chwila, ilekroć ma na to ochotę, rozbija się po mojej głowie na swoim rowerze.

\* \* \*

Później Brue usiłował za wszelką cenę przypomnieć sobie, o czym rozmawiali tak strasznie długo, nim padł ten grom z jasnego nieba. Poobgadywali wspólnych znajomych w Londynie i Brue chyba - choć nie na pewno — zorientował się, że ich wspólni znajomi znają Foremana

znacznie lepiej niż Fore-man owych wspólnych znajomych. Ale nawet jeśli się zorientował, wcale się tym nie przejął, bo przecież zawsze tak robią ludzie, którzy wszędzie szukają znajomości. Nie było w tym nic złowróżbnego. Powiedział, że powinni chyba przejść do interesów, mimo że ani jeden, ani drugi z rozmówców nie miał na to szczególnej ochoty. On sam z kolei wygłosił zwykły zestaw frazesów na temat uczciwości i dobrej sytuacji finansowej Freres, po czym z obowiązku pogdybał trochę na temat kondycji Wall Street, no bo ta sprawa z kredytami hipotecznymi - bank Freres, dzięki Bogu, zawsze podchodził do tego bardzo ostrożnie! — trochę zaś o tym, czy wzrost cen surowców spowoduje na światowych rynkach wzrost zainteresowania aktywami miękkimi; czy azjatycka bańka znowu się nadmie czy zostanie taka, jaka jest; wreszcie czy boom na rynku wewnętrznym w Chinach zmusi wszystkich do poszukiwania gdzie indziej taniej siły roboczej. Były to tematy, które Brue znał dość dobrze z lektury czasopism finansowych, lecz nie miał tak naprawdę własnego zdania, dzięki czemu mógł sobie pozwolić na dalsze rozmyślenia o Annabel Richter bez wzbudzania podejrzliwości u słuchaczy.

Potem zgadało się o Arabach. Brue nie mógł sobie przypomnieć, który z dwóch wspólników zaczął o tym mówić. Czy Ted pamiętający, że ojciec Brue był jednym z pierwszych brytyjskich bankierów, któremu udało się z powrotem przyciągnąć arab-

176

skich inwestorów obrażonych na Anglię po tej awanturze z 1956 roku? A może łąn? Mniejsza z tym - w każdym razie jeden wystawił króliczka, a drugi zaczął go gonić. Tak, to rzeczywiście prawda, przyznał ostrożnie



Brue, że paru pomniejszych członków saudyjskiej i kuwejckiej rodziny królewskiej ma rachunki w banku Freres, choć sam Brue, który zawsze bardziej interesował się Europą, nigdy do końca nie podzielał ojcowskiego entuzjazmu dla tego rynku.

- Ale obyło się większych zadrażnień? - zapytał z troską

Foreman. — Nie było żadnych zatargów, nic takiego?

Broń Boże, nie, broń Boże, odpowiedział Brue. Pełna kultura. Jedni klienci pomarli, inni się przenieśli, jeszcze inni zostali. Prawda jest taka, że bogaci Arabowie lubią te banki, które lubią inni bogaci Arabowie, a w dzisiejszych czasach bank Freres nie czuje się na siłach oferować wachlarza usług wystarczająco szerokiego, by w pełni zadowalał takich klientów.

Ta odpowiedź na chwilę jakby ich usatysfakcjonowała. Z perspektywy czasu można było mieć wrażenie, że to pytanie widniało na liście tych, które planowali mu zadać, i dlatego w ten dość w sumie sztuczny sposób przemycili je do rozmowy. I może właśnie dlatego, że podświadomie to wyczuł, trochę poniewczasie zainteresował się nimi.

—Może teraz opowiecie coś o sobie? Naszą reputację znacie, inaczej by was tu nie było. W jaki sposób możemy wam służyć? Albo, jak często mawiamy, co takiego możemy dla was zrobić, czego nie mogą wam zaoferować wielkie banki? Bo przecież nie byłoby was tutaj, gdyby nie mój skromny bank.

Foreman przestał jeść i otarł usta serwetą, równocześnie rozglądając się po pustych stolikach, jakby od nich spodziewał się odpowiedzi. Potem popatrzył na Lanterna, który z kolei sprawiał wrażenie, jakby niczego nie usłyszał i nadal przeprowadzał na swym okoniu skomplikowaną operację

chirurgiczną, kładąc skórkę na jednej krawędzi talerza, ości na drugiej, a małą piramidkę mięsa — na środku.

177

- Czy bardzo ci będzie przykro, jeżeli poproszę, żebyś wyłączył to na chwilę? — zapytał cicho Foreman. — Szczerze mówiąc, cholernie mnie denerwuje.

Brue zorientował się, że Foreman mówi o jego komórce, którą położył obok talerza na wypadek, gdyby dzwoniła An-nabel. Ochłonawszy z chwilowego zdziwienia, wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni, a Foreman już pochylał się ku niemu przez stół.

- A teraz jeszcze na chwilę zamknij buzię na kłódkę i słuchaj - powiedział konfidencjonalnym szeptem. - Jesteśmy z brytyjskiego wywiadu, rozumiesz? Jesteśmy szpicle, Ian robi w ambasadzie w Berlinie, ja w Londynie. Nasze nazwiska są w porządku. Jak masz jakieś ale, sprawdź u ambasadora, u którego robi Ian. Moja działka to Rosja. Od dwudziestu ośmiu lat, niech mnie Bóg ma w swojej opiece. Właśnie dlatego poznałem twojego szacownego ojca, świętej pamięci Edwarda Amadeusa. W tamtych czasach nazywałem się Findlay, przynajmniej w kontaktach z nim. A może twój stary wspominał ci coś o mnie od czasu do czasu?

- Niestety nie.

- Bardzo dobrze. To cały Edward Amadeus. Do końca nie puścił pary z gęby. No, krótko mówiąc, właśnie ja załatwiłem mu ten order.

\* \* \*

Brue miał pełne prawo spodziewać się, że Foreman zrobi w tym momencie pauzę, by pozwolić na zadanie kilku wyjaśniających pytań z tysiąca, które natychmiast zaczęły kłębić mu się w głowie, ale Foreman wcale nie miał takiego zamiaru. Raz przełamawszy opór, parł naprzód, by ugruntować swoje zwycięstwo. Teraz co prawda siedział już wygodnie rozparty w fotelu, z dobrotliwym, niemal idyllicznym wyrazem swej steranej życiem twarzy, ze złączonymi czubkami palców, na pierwszy rzut oka

178

niczym nie różniąc się od kogoś, kto przy stole dzieli się swymi poglądami na temat tego, co dzieje się na świecie. Jego głos, dostrojony na bliski dystans, nabrał teraz lekkiego i nie wiedzieć czemu szczęśliwego tonu. Płynąca z kuchni cicha muzyka — o ile Brue się nie mylił, grana na lutni - skutecznie zagłuszała jego słowa już na krok od stołu. A swymi słowami Foreman odmalowywał obraz czasów, które przeminęły tak, jak przeminął ojciec Tommy'ego Brue, choć w odróżnieniu od niego nie mogły spokojnie spocząć w grobie: czasów ostatnich lat zimnej wojny, kiedy sowiecki rycerz zdychał we własnej zbroi, a po całej Rosji niósł się smród zgnilizny.

Nie była to opowieść o dzielnych lojalnych Rosjanach, którzy dla niego szpiegowali, o ich ideałach i szlachetnych pobudkach. Jak ktoś chciał sprawić, żeby ważny ruski komuch narażał się dla kapitalizmu, to możesz mi wierzyć, Tommy, trzeba było zaproponować mu to, na czym opiera się kapitalizm: forszę. Kupę forsy.

Tylko że nie można było oferować samych pieniędzy, bo dopóki dla

nas pracował, nie mógł ich wydawać, nie mógł się z nimi obnosić, nie mógł dzielić się nimi z dziećmi, z żoną czy z kochanką. A jeżeli próbował, to znaczy, że był głupi i słusznie mu się należało, żeby go złapano - i najczęściej rzeczywiście go łapano. Dlatego takiemu przyszłemu szpiegowi należało zaoferować cały pakiet.

A głównym elementem tego pakietu był rozsądny, elastyczny w swych zasadach zachodni bank z tradycjami, bo wiesz równie dobrze jak ja, że Ruscy kochają się w tradycji. Innym ważnym elementem był pewny system przekazywania tej ciężko zarobionej forsy spadkobiercom i pełnomocnikom bez zwykle wymaganych w takich przypadkach formalności: umów notarialnych, podatku spadkowego, jawności kont i nieprzyjemnych pytań o pochodzenie forsy, no zresztą, Tommy, sam lepiej wiesz, o czym mówię.

- Czyli stary numer: jajko czy kura? — ciągnął tym samym przymilnym tonem, podczas gdy Brue rozpaczliwie usiłował ze-

179

brać myśli. — W tym wypadku najpierw było jajko. I to złote. Przychodzi do nas pułkownik Armii Czerwonej, który wyczuł pismo nosem i postanowił sprzedać swój towar, zanim nadejdzie wielki krach. Rozumuje tak, jak wy rozumujecie. Cena akcji ZSRR SA spada, więc chce się wyzbyć swoich udziałów, dopóki jeszcze ktoś je w ogóle kupuje. A ma co sprzedawać. Ma też ciekawych kolegów, których chce nam przedstawić. Goście myślą dokładnie tak jak on, czyli za twardą walutę każdy sprzedałby własną matkę. Powiedzmy, że nazywał się Władimir, może być? - zaproponował.

A ja będę go nazywał Grigorij Borysowicz Karpow, pomyślał Brue. I ja, i Annabel. Przeżył wstrząs w pierwszej chwili, lecz teraz ogarnął go niespodziewany spokój.

- Władimir był świnią, ale naszą świnią. Nie ma takiego przysłowia?... Wszystko jedno. Chytry jak lis, przekupny jak dziwka, ale z pierwszorzędnym dostępem do tajemnic wojskowych. A w naszej pracy to przepis na prawdziwą miłość. Był członkiem trzech komitetów w wywiadzie, służył już w ruskich siłach specjalnych i na Kubie, i w Afryce, i w Afganistanie, i w Czeczenii i robił tam wszystkie interesy, jakie tylko potrafisz sobie wyobrazić, i takie, co nie potrafisz. Znał każdego skorumpowanego towarzysza oficera, wiedział, który towarzysz robi jakie numery, jak którego nastraszyć i jak kupić. Prowadził mafię w Armii Czerwonej już na pięć lat wcześniej, nim ktokolwiek poza Rosją wiedział, że mają tam mafię: krew, ropa, diamenty, heroina z Afganistanu, dostawa na miejsce ruskimi samolotami transportowymi... Jak mu jednostkę rozpuścili do cywila, Władimir kazał chłopcom poprzebierać się w garnitury od Armaniego, ale zachować broń. No bo jak inaczej dogadać się z konkurencją?

Brue zachowywał się tak, jak już zdążył sobie postanowić: nic nie mówić, robić wrażenie, że słucha uważnie, lecz bez specjalnego zainteresowania. A w duchu zastanawiał się usilnie, dlaczego Foreman mu to wszystko mówi, i to z takimi szcze-

180

gółami, i dlaczego promieniuje od niego taka przyjaźń, jakby byli już we trzech związani wspólnym, a przecież jeszcze nawet nie ujawnionym

przedsięwzięciem.

— Problem nasz polegał na tym, zresztą nie pierwszy i na pewno nie ostatni raz w tej branży, że aby Władimir był z nas zadowolony, musieliśmy nie tylko założyć mu konto i wpłacać pieniążki, ale jeszcze je wyprać.

Brue zdążył już na tyle poznać Foremana, że aż się zdziwił, gdy ten nagle uznał, że musi się z tego wytłumaczyć.

- No bo przecież jeżeli nie my, to wzięliby się za niego Amerykanie i jak zwykle wszystko by spieprzyli. Dlatego jak przyszło co do czego, zawarliśmy z twoim tatusiem taki cichy układ. Władimir lubił Wiedeń. Był tam parę razy w delegacji, lubił walca, tamtejsze burdele i wienerschnitzle. Nie było więc lepszego miejsca niż kochany stary Wiedeń, żeby jeździć tam od czasu do czasu w odwiedziny do swoich pieniędzy. A twój tata... że tak powiem, aż się palił do współpracy. Dosłownie. To jedna z zabawniejszych rzeczy w tej branży: im kto jest publicznie bardziej szanowany, tym chętniej leci i merda ogonem, jak gwizdnie na niego byle szpieg. Wystarczyło, że wspomnieliśmy o pomysle z lipizzanerami. Od razu go wzięło. Jakbyśmy nie pilnowali, cały bank zamieniłby w placówkę wywiadu. I w sumie obaj mamy nadzieję, że jak wyjaśnimy ci, na czym polega nasz mały problem, zachowasz się tak samo. Dobrze mówię, łan? Oczywiście nie zamierzamy zakładać nowej placówki. - Tu obaj panowie roześmieli się serdecznie. — Dzięki Bogu nie o to chodzi! Raczej... jak by to powiedzieć... chodzi nam o to, żebyś od czasu do czasu podał nam pomocną dłoń.
- Liczymy na ciebie, Tommy - potwierdził Lantern swym miękkim

północnym akcentem i z przymilnym, gotowym na każde zawołanie uśmiechem.

I znów Foreman miał pełne prawo zrobić przerwę w swej opowieści, lecz właśnie zbliżał się do najciekawszego miejsca i nie chciał dopuścić, żeby teraz ktoś wpadł mu w słowo. W po-

181

blizu mignął im Mario z kartą deserów. Brue też coś mignęło przed oczyma - widok ojca, który za zamkniętymi drzwiami swego niedostępnego gabinetu w Wiedniu zawzięcie opisuje w raporcie ostatnią z całej serii awantur na temat rachunków lipicańskich. A ja teraz od tych tutaj się dowiaduję, że byłeś angielskim szpiegiem. Że sprzedałeś bank Freres za brytyjski medal. Szkoda, że nie potrafiłeś sam mi tego powiedzieć.

\* \* \*

Foreman opowiadał tymczasem, że ostatnim przydziałem Władimira była Czeczenia. I że jeżeli Brue zbierze do kupy wszystko, co słyszał o tym piekle, i pomnoży to przez dziesięć, dopiero wtedy mniej więcej będzie wiedział, jak tam jest naprawdę: Ruscy robią ogólną rozwałkę, Czeczeni odpłacają się pięknym za nadobne, jak tylko im się uda.

- Ale dla Władimira i jego koleśki to była jedna wielka, genialna impreza - wyznał tym samym konfidencyjnym tonem, jakby całą historię skrywał w sobie przez dziesięć lat i dopiero obecność Brue sprawiła, że postanowił ją opowiedzieć. - Mordowanie, picie, gwałty, rabunek... Nakraść ropy, ile się da, potem sprzedać ją temu, kto da więcej. A potem

nałapać tubylców i rozstrzelać ich w odwecie za własne wyczyny. A potem jeszcze dostać za to awans. - Tym razem Foreman zrobił pauzę, lecz tylko po to, by zasygnalizować nowy wątek swego opowiadania. — W każdym razie takie mamy tło, Tommy. No i wyobraź sobie, Tommy, co się stało: Władimir się zakochał. Żony miał na całym świecie, ale ta z jakiegoś powodu szczególnie zalażała mu za skórę. Jakaś piękna Czeczenka. Porwał ją, wsadził do swojej oficerskiej kwatery w Groźnym i nagle zakochał się w niej na całego. A ona w nim. Albo przynajmniej tak mu się zdawało. Przyznaję, miłość jakoś nie pasuje do Władimira, w każdym razie nie w tym znaczeniu tego słowa, do którego my jesteśmy przyzwyczajeni. Ale dla Władimira to była wreszcie ta wielka, prawdziwa miłość.

182

Przynajmniej tak mi mówił. Po pijanemu. W Moskwie. Kiedy przyjechał z frontu czeczeńskiego na zasłużoną przepustkę.

Teraz Foreman stał się jakby postacią we własnej opowieści. Twarz mu złagodniała, poufały głos również. A do kręgu swej dziwnej czułości zapraszał Brue, ten zaś wciągał w nią Annabel razem z jej rowerem.

— W naszej branży, Tommy, jak się starzejemy, czasem zdarzają nam się takie rzeczy, że dalibyśmy się oślepić, byle móc komuś o tym opowiedzieć, a nie możemy. Założę się, że w twoim świecie też jest podobnie.

Brue zdobył się tylko na zdawkową odpowiedź.

- Siedzisz ze swoim agentem w jakiejś śmierdzącej moskiewskiej melinie jak z Orwella. Masz przykrycie dyplomatyczne, cały dzień ci zajęło, żeby się tam dostać i nikt cię nie



przyuważył. Masz najwyżej godzinę i cały czas nasłuchujesz, czy ktoś nie idzie po schodach. Agent wyklada na stół mikrofilm, ty próbujesz równocześnie wydobyć z niego, ile się da. "A dlaczego generał Iksiński ci to powiedział?... A teraz gadaj mi o bazie rakietowej w Ygrek... Odpowiada ci nasz nowy system kontaktowy?" Ale agent nie słucha, łązy mu ciekłą po ryju, chce ci tylko w kółko opowiadać, jak zgwałcił taką jedną śliczną dziewczynę. A teraz, klnie się na wszystkie świętości, ona go kocha i urodzi mu dziecko, a on jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie miał pojęcia, że spotka go coś takiego. No to się cieszysz razem z nim, pijesz jej zdrowie. Zdrowie Jeleny czy jak jej tam. A teraz zdrowie dzidziusia, niech go Bozia błogosławi. Tak to jest w tej branży: niby szpieg, ale przede wszystkim niańka. Mnie na przykład zostało do emerytury siedem miesięcy. Pan Bóg raczy wiedzieć, co potem ze sobą zrobię. Prywatne firmy ochroniarskie pchają mi się drzwiami i oknami, ale ja chyba wolę sobie rozmyślać o dawnych czasach — dodał rozbrajająco i uśmiechnął się smutno.

Z poczucia obowiązku Brue usiłował odwdzińczyć się takim samym uśmiechem.

183

-Taki właśnie był Władimir, jak się zakochał - ciągnął swe opowiadanie Foreman, już weselej. - A z wielką miłością tak już jest, że nie trwa wiecznie. Jak tylko dziewczyna urodziła chłopca, rodzina wysłała jednego z jej braciszków, żeby zakradł się

do koszar i zabił ją. Władimir nie posiadał się z rozpaczy, i nic dziwnego. Kiedy jego jednostkę odesłano do Moskwy i rozwiązano, zabrał dzieciaka ze sobą. Prawowita małżonka z Moskwy nie była tym szczególnie zachwycona. Powiedziała mu, że wcale jej się nie podoba, że przywozi jej do domu czarnego bękartą. Ale Władimir nie wyrzekł się chłopaka. Kochał tego, którego dała mu miłość jego życia, zrobił go dziedzicem swojej zbójeckiej fortuny i nic nie mogło tego zmienić.

Czy to koniec tej opowieści? Brwi Foremana uniosły się, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: tak już jest na tym świecie, co robić?

- No i? - zapytał Brue.

- No i teraz, Tommy, koło historii wykonało pełny obrót. Czasy się zmieniły, syn Władimira wszedł w wiek męski i właśnie wyruszył w drogę, by odwiedzić syna Edwarda Amadeusa i upomnieć się o swoją własność.

\* \* \*

Tym razem Brue nie dał się od razu przekonać i tego chyba się nie spodziewali. Zaczynał wczuwać się w rolę, choć nie wiedział jeszcze, co to za rola.

- Bardzo przepraszam - zaczął, wykonawszy najpierw, dla zastanowienia, typowo bankierską pauzę. - Nie chcę psuć wam zabawy, ale jestem całkiem pewny, że gdybym teraz wrócił do banku, wyciągnął akta lipizzanerów i ustalił, który klient naj bardziej pasuje do takiego opisu i ustanowionych przez niego zasad dziedziczenia konta...

Nie musiał mówić więcej. Foreman sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej białą kopertę. Koperta przypomnia-

184

ła Tommyemu białe pudełka z owiniętymi w folię kawałkami tortu weselnego, które jego córka, Georgie, rozesłała znajomym nieobecnym na weselu - weselu rozpoczynającym jej bardzo krótki związek z pięćdziesięcioletnim artystą imieniem Miliard. Wewnątrz koperty znajdowała się kartka z wypisanym długopisem nazwiskiem KARPOW. A na drugiej stronie widniało nazwisko Lipizzaner.

- Mówi ci to coś? - dopytywał się Foreman.
- To nazwisko?
- No właśnie. Nie konia, tylko faceta.

Brue jednak ani myślał pozwolić, żeby go ponaglano. Narastał w nim jakiś przekorny upór, który w dodatku wykraczał daleko poza bankierski obowiązek dyskrecji. I poza sporadyczne napady szkockiej zawziętości, które pojawiały się u niego bez uprzedzenia i które zawsze usiłował hamować. Upór był wielowątkowy i pewnie za jakiś czas udałoby mu się porozdzielać te wątki, ale wiedział, że jest w nie jakoś wpleciona Annabel Richter, że potrzebuje jego ochrony, co z kolei znaczyło, że Issa też. Tymczasem postanowił zareagować w sposób dla niego najłatwiejszy. Najeży się - ulubione powiedzenie Edwarda Amadeusa. Skuli się i wystawi kolce. Powie im najmniej, jak się da, niech sami dopowiadają resztę.

- Musiałbym porozumieć się z moim głównym kasjerem. Lipizzanery to w naszym banku bardzo odrębna dziedzina— powiedział. — Tak sobie życzył mój ojciec.

- Nie musisz mi mówić! - zawołał Foreman. - Przysłowiowy grób to gaduła w porównaniu z twoim starym! Dokładnie to samo mówiłem łanowi, zanim przyszedłeś. No nie, łan?
- Słowo w słowo, Tommy. Jak bum-cyk-cyk - powiedział mały Lantern, uśmiechając się ślicznie.
- To może wy wiecie więcej niż ja - podsunął Brue. - Bo lipizzanery to dla mnie trochę szara strefa. I od dwudziestu lat są mi solą w oku.

W odróżnieniu od Foremana Lantern nie przechylił się przez stół, by zwierzać się Tommyemu, lecz jego głos z północ-

185

nym akcentem potrafił równie dobrze jak głos kolegi utrzymywać się poniżej poziomu muzyki.

- Tommy, wytłumacz nam, jak to działa. Gdyby ten chłopak albo ktoś wysłany przez niego i wyposażony w odpowiednie hasło czy numer zjawił się w banku... Rozumiesz?
- No, słucham dalej. - A razem z nim słuchała Annabel, i to bardzo uważnie.

-1 gdyby taka osoba zażądała wypłaty z jednego z tych li-picańskich kont... na przykład gdyby chciała wyczyścić je do końca... to w którym momencie byś się o tym dowiedział? Od razu? Parę dni później? Jak to jest?

Najeżony Brue tak długo pozostawiał pytanie bez odpowiedzi, że Lantern miał pełne prawo zastanawiać się, czy w ogóle został zrozumiany.

- Po pierwsze, trzeba by założyć, że chciałby się umówić i powiedzieć, o co mu chodzi - powiedział ostrożnie.

- A jeśli tak, to co dalej?
- W takim wypadku moja główna sekretarka, *Frau Ellen-berger*, natychmiast by mnie poinformowała, i to z dużym wyprzedzeniem. I gdyby wszystko poszło dobrze, zgodziłbym się na spotkanie. Gdyby istniał jakiś element osobisty... Nie wiem, czy to ma znaczenie w tej sprawie, ale założmy na razie, że ma... Że na przykład jego ojciec znał mojego ojca, i gdyby ten ktoś to powiedział, wtedy oczywiście mógłby zostać przyjęty trochę cieplej. Bank Freres bardzo sobie ceni takie tradycje. - Odczekał chwilę, by to wywarło zamierzony efekt. — Gdyby jednak ten ktoś przyszedł nieumówiony, a ja byłbym na zebraniu albo poza gabinetem, to możliwe, choć mało prawdopodobne, że cała transakcja doszłaby do skutku bez mojej wiedzy. Tylko że byłby to bardzo niepomyślny obrót sprawy, a ja bardzo bym tego żałował.

I Brue zrobił tak zmartwioną minę, jakby już zaczynał żałować.

— Lipizzanery to oczywiście kategoria sama w sobie - ciągnął z dezaprobatą. — I szczerze mówiąc, bardzo kłopotliwa.

186

Jeżeli w ogóle o nich czasem myślimy, to chyba z czasem przyzwyczajaliśmy się uważać konta tych, którzy jeszcze z nami zostali, za wygasłe albo zawieszane. Nie ma bezpośredniego kontaktu z klientami, wszystkie dokumenty i wykazy trzymane są w banku i tak dalej - dodał z pogardą.

Foreman i Lantern wymienili spojrzenia, najwyraźniej niepewni, o czym mówić dalej i jak daleko się posunąć. Ku lekkiemu zdziwieniu Brue

pierwszy zdecydował się odezwać Lantern.

- Bo widzisz, Tommy, my musimy jak najszybciej pogadać z tym chłopakiem - wyjaśnił i jego mruczący głos z midlandz-kim akcentem przycichł jeszcze bardziej. - Musimy z nim porozmawiać jak najszybciej i jak najdyskretniej. Bez świadków i jak tylko się pojawi. Zanim pomówi z kimkolwiek innym. Tylko że to musi wypaść naturalnie. Przede wszystkim nie chcemy, żeby sobie pomyślał, że ktoś zagląda przez okno i wypatruje go albo że personel banku został w ten czy inny sposób uprzedzony, albo że ktoś ma względem niego jakieś plany, czy to w banku, czy poza nim. Bo to by wszystko nam popsuło na amen, no nie, Ted?
- Absolutnie - potwierdził Foreman w nowej roli drugich skrzypiec.
- Wchodzi sobie do środka, przedstawia się, przyjmuje go ten ktoś, kto normalnie by go przyjmował. Mówi, po co przyszedł, zaczyna załatwiać sprawę, a jak ją załatwia, ty przyciskasz guziczek, u nas dzwoni. W tej chwili tylko tyle od ciebie chcemy - powiedział Lantern.

- Przyciskam guziczek, to znaczy...

Znowu Foreman jako adiutant Lanterna:

- Dzwonisz na numer lana do Berlina. Od razu. Jeszcze zanim uściśniesz chłopakowi łapkę albo zanim przyprowadzą ci go po schodach na kawusię do gabinetu. "Jest chłopak". Wystarczy, że to powiesz, łan zajmie się resztą. Ma swoich ludzi. I kogoś przy telefonie przez całą dobę.

- Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu - przytaknął Lantern, podając Brue przez stół swoją wizytówkę.

Biało-czarny królewski niemal herb. Ambasada Wielkiej Brytanii w Berlinie, Ian K. Lantern, radca ds. obrony. Cały słupek numerów telefonicznych. Jeden z nich podkreślony niebieskim długopisem i zaznaczony gwiazdką. Skąd wiedzą, że gabinet mam na piętrze? Czy tak samo jak Annabel przejechali się pod moim oknem na rowerach? Unikając kontaktu wzrokowego ze swymi rozmówcami, Brue wsunął wizytówkę Lanternu do kieszeni obok kartki z napisami "Karpow" i "Li-pizzaner".

- Czyli proponujecie taki scenariusz — podsumował. - Poprawcie mnie, jeżeli się mylę. W moim banku pojawia się całkiem nowy klient. Jest synem innego, ważnego, ale nieżyjącego już klienta. Zgłasza się pono, na pewno po jakąś sporą sumę pieniędzy. A ja zamiast poinformować go, co normalnie bym zrobił w takiej sytuacji, jak najlepiej mogę zająć się jego majątkiem i pomóc mu go zainwestować, mam wydać go w wasze ręce, nawet nie pytając o zgodę...
- Mylisz się, Tommy - wtrącił się Lantern. Uśmiech pozostał bez zmian. - W jakim sensie?
- Nie zamiast. Oprócz. Chcemy, żebyś zrobił i jedno, i drugie. Najpierw daj nam xnać, a potem xachowuj się jakby nigdy nic. On nie wie, że nam powiedziałaś. Życie toczy się dalej.
- Czyli mam oszukiwać?
- Nazywaj to, jak chcesz. - Jak długo?

- Niestety, Tommy, to już nasza sprawa.

Być może Lantern powiedział to ostrzej, niż zamierzał, albo też Foremanowi, jako starszemu, tylko się tak wydawało - w każdym razie uznał, że trzeba szybko zatrzeć to wrażenie.

188

- Tommy, łan musi po prostu odbyć bardzo poufną i bardzo pożyteczną rozmowę z tym chłopakiem. Przez ciebie włos z głowy twojemu klientowi nie spadnie. Gdybyśmy mogli ci opowiedzieć wszystko, sam byś uznał, że wyciągamy ku niemu bardzo pomocną dłoń.

“On tonie. Wystarczy, że wyciągnie pan do niego rękę” — powtórzył jak echo chłopięcy głos.

- Mimo wszystko musicie przyznać, że bardzo wiele żąda cie ode mnie jako od bankiera — upierał się Brue.

Tamci porozumieli się wzrokiem. Tym razem zadanie odpowiedzenia mu spadło na Foremana.

- W takim razie powiedzmy sobie, że to stara, nieprzyjemna historia, którą trzeba jakoś wyprostować, Tommy. Czy to ci odpowiada? Że po jednym z twoich zmarłych klientów zostało parę niezłatwionych przykrych spraw...

- I jeżeli ich nie załatwimy, mogą kiedyś' bardzo nieprzyjemnie odbić się czkawką. Nam w s z y s t k i m - poparł go skwapliwie Lantern. Niezłatwione przykre sprawy odbijają się czkawką?

- Nam wszystkim?- powtórzył Brue.

Rzuciwszy kolejne spojrzenie w stronę Lantern, Foreman ze



znużeniem wzruszył ramionami na znak, że skoro powiedział już tyle, może powiedzieć wszystko do końca, a potem niech się dzieje, co chce.

- Nie jestem pewny, czy mam prawo ci to mówić, Tommy, ale już powiem. Londyn mocno się zastanawia, co będzie dalej z twoim bankiem, jeżeli tego nie załatwimy. Jeżeli wiesz, co mam na myśli...

Lantern pośpieszył z osobistym zapewnieniem.

- Robimy absolutnie wszystko, co się da, Tommy. Na najwyższym szczeblu.
- Tak wysokim, że wyżej się nie da — przytaknął Foreman.

- I jeszcze tylko jedna sprawa, Tommy - wtrącił Lantern, trochę jakby tonem ostrzeżenia. - Nie można wykluczyć, że

189

wokół ciebie zaczną węszyć różni dziwni Niemcy. Gdyby tak się stało, znowu prosimy, żebyś natychmiast do nas dzwonił, a my już to załatwimy. Raz-dwa. Pod warunkiem, że dasz nam taką szansę.

- A czegoż by Niemcy ode mnie chcieli? - zapytał Brue, myśląc równocześnie, że jedna Niemka nawet już węszy, ale chyba nie o kogoś takiego im chodziło.

— Może nie są zachwyceni, że brytyjski bankier prowadzi na ich terenie podejrzaną rachunków bankowych? - podsunął Lantern, ślicznie unosząc w górę swoje młode brwi.

W taksówce Brue sprawdził komórkę, a potem zatelefonował do *Frau Ellenberger*. Nie, ta pani nie dzwoniła, *HerrTom-my*. Na pana bezpośrednią linię też nie.

\* \* \*

Miał takie miejsce, które bardzo sobie cenił. Publiczne, lecz równocześnie dające mu poczucie prywatności. Miejsce, w którym chronił się, gdy życie zaczynało zbytnio mu doskwierać. Miejszem tym było małe muzeum poświęcone twórczości rzeźbiarza Ernsta Barlacha. Brue nie był znawcą sztuki, o Barlachu słyszał tylko, ale niczego więcej nie wiedział, aż do pewnego dnia dwa lata temu, kiedy Georgie powiadomiła go głuchym głosem przez telefon z drugiej strony Atlantyku, że jej sześcioldniowy synek nie żyje. Po tej wieści Brue wyszedł na ulicę, zatrzymał pierwszą przejeżdżającą taksówkę i kazał się wieźć staremu kierowcy — Chorwatowi, sądząc po nazwisku na licencji - w jakieś spokojne miejsce, obojętne jakie. Po półgodzinie, nie zamieniwszy już ze sobą ani słowa, zajechali pod niski budynek z cegły na końcu wielkiego parku. Przez krótką nieprzyjemną chwilę Brue myślał, że przywieziono go do krematorium, lecz przy wejściu kasjerka sprzedawała bilety, kupił więc bilet i znalazł się na wyłożonym lśniącymi płytami dziedzińcu, zamieszkanym wyłącznie przez mityczne postacie z jakiegoś dziwnego świata.

190

Jedna, w habicie mnicha, jakby unosiła się w powietrzu. Druga zatopiła się w przygnębieniu, trzecia w medytacji lub rozpacz. Inna krzyczała, nie wiadomo, czy z bólu czy z rozkoszy. Brue wszakże jedno wiedział: każda z tych postaci jest równie samotna jak on, każda chce coś powiedzieć, lecz nikt jej nie słucha, każda szuka pocieszenia, ale go nie znajduje - i to właśnie było dla niego jakimś pocieszeniem.

A wszystkie razem łączyły się w przesłaniu, które Bariach chciał przekazać światu — głęboko zadumane miłosierdzie dla ludzkiego cierpienia. I właśnie dlatego od tamtego dnia Brue powracał tam może z dziesięć razy: albo gdy nachodziło go chwilowe zwątpienie - czyli "czarny pies", jak nazywał ten stan Edward Amadeus - albo gdy w banku zdarzyło się coś naprawdę złego, albo gdy na przykład Mitzi powiedziała mu niemal wprost, że nie potrafi sprostać jej wysokim wymaganiom w łóżku - zresztą tego akurat był w sumie świadomy, choć oczywiście wolałby jednak nie usłyszeć. Tylko że nigdy dotąd nie pojawiał się tu w takim stanie niepewności i spóźnionego gniewu.

\* \* \*

Byłem jej wierny, mówił postaciom Barlacha. Stanałem po jej stronie i kłamałem. Tak jak tamci - nie mówiąc całej prawdy. W ich kłamstwach opuszczeń było tyle, że kiedy przestali je wypowiadać, słyszałem już tylko same kłamstwa. Takie kłamstwa szpiegów, nie wyrażone na głos, ale widoczne jak na dłoni w tych właśnie niedopowiedzeniach, jak bańki powietrza w wodzie.

Kłamali, że Issa nigdy nie był i nie jest muzułmaninem. Że Issa nigdy nie działał w Czeczenii. Kłamali, że on w ogóle nigdzie z nikim nie działał.

Kłamali, że Issa jest zwykłym, przeciętnym synem szpiega, zupełnie jak ja, i że zaraz zgłosi się, by upomnieć się u mnie o swój brudny spadek.

A już na pewno nie torturowano go, nie więziono ani nie uciekł z

więzienia, skądże znowu!

I w żaden sposób nie ma nic wspólnego z rzekomym islamskim terrorystą zbiegłym z aresztu, poszukiwanym przez Szwedów i wymienianym na stronach internetowych wszystkich policji w Europie - w tym, jak można przypuszczać, na stronie internetowej wszechwiedzącej brytyjskiej Secret Service.

To wszystko nieprawda! Kłopoty Issy, jeżeli on w ogóle ma jakieś kłopoty, to zabagniona przeszłość, właściwie nie wiadomo co. Jakies tam stare sprawy, których ojcowie nie zdążyli zakończyć, przez co w jakiś nieokreślony sposób obaj, on i ja, stajemy się współwinni.

Na szczęście jeżeli zrobię, co mi każą panowie Foreman i Lantern za poduszczeniem tego ich "najwyższego szczebla", uratują mnie. Przy okazji od Niemców też. I od Niemek.

\* \* \*

Brue już nie zmagał się z sobą, gdy żegnał się z Barlachem i wchodził do rozświetlonego słońcem parku. Szedł prosto przed siebie. Wzbierał w nim barlachowski okrzyk i bólu, i rozkoszy, bo właśnie zaczynał rozumieć własne uczucia. Już od pierwszego spotkania w Atlanticu, całe wieki temu, Annabel Richter stała się dla niego przewodnią czy wręcz moralną siłą. Od tamtej chwili niczego nie widział, o niczym nie myślał, by nie odnosić tego natychmiast do niej: czy tak ma postąpić? czy Annabel by się to spodobało?

W pierwszej chwili czuł się trochę jak bezsilna ofiara wrogiego przejęcia spółki na giełdzie. Potem szydził z siebie: proszę, sześćdziesięcioletni chłopczyk nie może sobie poradzić ze spadającym

poziomem testosteronu. Przerazające słowo miłość ani na chwilę nie zagościło w dialogu, który prowadził ze sobą. To Georgie ciągle się w kimś kochała. Tylko że ta jej odmiana miłości — lepkie pocałunki, wieczne wyznania - to dobre dla

192

innych, szczerze mówiąc. On dawno przestał udawać; czasem się zastanawiał, czy inni też, lecz w końcu to ich sprawa. Ale jeżeli w życiu człowieka pojawia się osoba o połowę młodsza i od razu mianuje się przewodniczką moralną, to ten człowiek musi zainteresować się i słuchać, nie ma wyjścia. A jeżeli tak się składa, że osoba ta jest równocześnie najbardziej pociągającą i najbardziej interesującą kobietą, i najbardziej niemożliwą miłością w całym jego życiu, to tym bardziej.

A seks? Już żeniąc się z Mitzi, zdawał sobie sprawę, że to będzie nierówna walka, że to dla niego za wysoka kategoria wagowa. Nie miał do niej żalu, ona do niego też nie, przynajmniej tak mu się zdawało. Gdyby trochę go przycisnąć, powiedziałyby zapewne, że przyjęła go takim, jaki był, i kazała sobie za to płacić, i słusznie — w końcu trudno ją winić, że ma potrzeby, których on nie jest w stanie zaspokoić.

Teraz wreszcie mógł zrozumieć siebie. On sam nie wiedział dotąd, czego potrzebuje. Zainwestował samego siebie na niewłaściwym rynku. Przez cały czas nie chodziło mu o kopulację, tylko właśnie o to coś. Było to dla niego doniosłe i dość zdumiewające odkrycie. Tu nie chodziło o spadek poziomu testosteronu, tylko oto, a tym czymś była właśnie Annabel.

I właśnie bardziej ze względu na to niż na cokolwiek innego skłamał

panom Lanternowi i Foremanowi. Mówili o jego ojcu, jakby był ich własnością. Usiłowali zastraszyć syna imieniem ojca i wydawało im się, że syn też zaraz będzie do nich należał. Znaleźli się zbyt blisko spraw, które miały należeć tylko do niego i do Annabel, bliżej więc już ich nie dopuścił. Tym samym świadomie i z rozmysłem znalazł się w tej samej co ona strefie zagrożenia i odtąd miał ją z nią dzielić. W efekcie jego własne życie nagle stało się ciekawe i cenne. I za to dziękował jej teraz z całego serca.

193

- A podobno bank Brue Freres upada. Tak słyszałam - zauważyła Mitzi.

Był wieczór tego samego dnia. Siedzieli na werandzie i podziwiali własny ogród. Brue sączył stary calvados, prezent od klienta z Francji.

\* - Naprawdę upadamy? - zapytał niedbale. - Nie wiedziałem. A od kogo słyszałaś, jeśli można wiedzieć?

- Od Bernharda, który słyszał to od twojego geriatrycznego przyjaciela Hauga von Westerheima, a ten podobno przecież wie, co mówi. To prawda?
- Jeszcze nie. W każdym razie ja nic nie słyszałem.
- To może tylko ty upadasz?
- Też nie zauważyłem. Bo co?
- Bo jakbyś zaczynał wysyłać sprzeczne sygnały. Raz podskakujesz jak wesóły piesek, raz wszystkich wokoło nienawidzisz. Kobieta, Tommy? Miałam wrażenie, że te sprawy przestały cię interesować. Nawet jak na reguły uprawianej — i nieuprawianej - przez nich gry

pytanie było wyjątkowo bezpośrednie, Brue pozwolił sobie zatem na wyjątkowo długą chwilę namysłu, nim odpowiedział.

- Nie kobieta, tylko mężczyzna — uściślił, w myślach kryjąc się za postacią Issy; na co Mitzi przywołała na twarz domyślny uśmiech i powróciła do czytanej książki.

## 8

Budynek nie sprawiał wrażenia, że ktokolwiek może znaleźć w nim schronienie - przynajmniej nie z zewnątrz. Był to zbiedniały i pełen wyrzutów sumienia kolaborant z czasów hitlerowskich wciśnięty w kąć ruchliwego skrzyżowania i otoczony krzykliwymi reklamami papierosów. Graffiti na jego smętnych murach przedstawiały tropikalne zachody słońca albo krzyczały na całe gardło wulgaryzmami. Z jednej strony przycupnęła maleńka kawiarenka pod szyldem Azyl, z drugiej afirykańsko-azjatycki lumpeks. Za to wewnątrz panował pośpiech, skuteczność w działaniu i pełen determinacji optymizm.

Tak to wyglądało w ten słoneczny, wiosenny poniedziałkowy poranek, gdy Annabel, całą siłą woli usiłując nie dać poznać po sobie, że wydarzyło się coś szczególnego, wtargała swój rower po schodach na jego zwykłe miejsce w sieni, przywiązała go łańcuchem do rury kanalizacyjnej i ruszyła szlakiem wymalowanych lśniąca farbą strzałek - w górę po wyłożonych płytkami schodach, gdzie szybko pomachała ręką, choć i tak musiała jak zwykle odczekać swoje, aż Wangaza, recepcjonistka, dostrzegła ją przez szklane drzwi i przycisnęła guzik, który otwierał

zamek; potem przez hol, w którym mijała kolejki mężczyzn w brązo-

195

wych garniturach i kobiet w hidżabach, i dzieci o podkrążonych oczach, bawiące się klockami w przeszklonym kąciku dla maluchów, karmiące sałatą żółwią rodzinę albo z nadzieją wtykające palce w siatkę klatki z królikami - co tu dziś tak cicho? czy może zawsze tak jest? — i wreszcie do głównej sali, gdzie Lisa i Maria, etatowe arabistki Azylu, już siedziały czoło w czoło z pierwszymi klientami tego dnia; szybkie “cześć” i uśmiech pod adresem ich obu, teraz w korytarz prawników, który w snopach porannego światła wyglądał bardziej na drogę do raju - dlaczego drzwi gabinetu Ursuli już są zamknięte, mimo że to dopiero poniedziałek? dlaczego pali się nad nimi czerwone światło, oznaczające, żeby nie wchodzić? Przecież Ursula szczyli się tym, że jej drzwi otwarte są dla każdego i zawsze pilnuje, by inni szli za jej przykładem! — i wreszcie jej pokój, w którym zdjęła plecak, rzuciła go na podłogę, jakby zrzucała brzemień win z piersi, siadła za biurkiem, zamknęła oczy i na chwilę oparła głowę na dłoniach, nim poszukała schronienia w komputerze, wpatrzona w jego ekran niewidzącymi oczyma.

W tej nagłej ciszy własnego gabinetu, tego samego, w którym odebrała przełączony przez Ursulę telefon od Melika z prośbą o przyjście do mówiącego po rosyjsku przyjaciela, który rozpaczliwie potrzebuje pomocy, jeszcze raz wspominała wydarzenia ostatniego weekendu, jakby zawarło się w nim całe jej życie.

Ale poszczególne fragmenty wciąż nie chciały ułożyć się w całość.



Przez te dwa dni i dwie noce była u niego pięć razy - pięć czy sześć? A może siedem, jeżeli liczyć to, że go tam zaprowadziła? Potem wróciła w sobotę wieczór. W niedzielę dwa razy. I jeszcze raz dziś o świcie, kiedy przeszkodziła mu w modlitwie. Ile to razem?

Gdyby jednak zapytać ją, ile dokładnie godzin z nim spędziła, kazać jej ułożyć je w jakimś racjonalnym porządku

196

— o czym rozmawiali, balansując każde na swojej linii, kiedy śmiali się, a kiedy kryli w swych przeciwległych kątach — wszystko zaraz stapiało się w całość, wydarzenia zaczynały zamieniać się miejscami.

Czy to na sobotnią kolację gotowali razem zupę ziemniaczano-cebulową - po ciemku, na palniku kempingowym, jak dzieci na obozie?

- Czemu ty nie włączasz światła, Annabel? Jesteś w Czeczenii i myślisz, że będzie nalot? Czy dziś w nocy zabroniono zapalać światła? W takim razie cały Hamburg powinien dostać mandat.
- Po prostu lepiej niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi.
- Czasem ciemność bardziej zwraca uwagę niż światło

— stwierdził po dłuższym namyśle.

Nie było dla niego nic, co nie miałoby jakiegoś znaczenia

— znaczenia z jego świata, nie z jej. Nic, co by nie nabrało tego głębokiego znaczenia wielkim kosztem, w obliczu rozpaczy.

Czy to w niedzielę rano przyniosła mu rosyjskie gazety, kupione w kiosku na dworcu, czy może po południu? Pamiętała, że na dworzec pojechała rowerem i wydała tam całą fortunę na *Ogoniok*, *Nowyj Mir* i

*Kommiersanta*, po czym wróciła jeszcze po kwiaty z dworcowego straganu. Najpierw chciała kupić begonię w doniczce, żeby mógł ją podlewać, ale przypomniawszy sobie, jakie ma względem niego plany, uznała, że lepsze będą kwiaty cięte. Tylko jakie? Czy róże mogłyby zostać odczytane jako wyznanie miłości? Broń Boże. W końcu wybrała tulipany, po czym okazało się, że nie mieszczą się do skrzynki na kierownicy roweru, przez co w końcu przez całą drogę na nabrzeże wiozła je w jednej ręce jak znicz olimpijski — tylko po to, by zobaczyć na miejscu, że obsypała się połowa płatków.

Albo znów siedzieli przedzieleni całą długością poddasza, słuchając Czajkowskiego, on zaś nagle się zerwał, wyłączył magnetofon i powrócił na swoje miejsce na skrzyni pod gotyckim

197

łukiem, by ściskając w dłoni złotą bransoletę, wygłosić jej bohaterski wiersz po czeczeńsku o górach, rzekach, lasach i odrzuconej miłości szlachetnego czeczeńskiego myśliwego - niektóre fragmenty tłumaczył jej na rosyjski, kiedy miał ochotę lub, jak podejrzewała, kiedy sam je rozumiał — czy było to zeszłego wieczoru czy w sobotę?

Kiedy indziej - kiedy? - opisywał jej, jakby od niechcienia, jak wlokąc go z celi do celi bili go dwaj mężczyźni, których uparcie nazywał "Japończykami", choć nie wiedziała, czy rzeczywiście takiej byli narodowości czy były to po prostu więzienne pseudonimy, i choć nie powiedział jasno, czy bicie odbywało się w Rosji czy w Turcji.

Niezależnie od tego, kiedy to było, wtedy właśnie była najbardziej skłonna zakochać się w nim - kiedy bliskość na tak wielką skalę stała się

aktem zdumiewającej dobroci — i reagowała na jego słowa całą sobą: jemu się wszystko należy, on poniża się, abym go uzdrowiła, co ja mogę dać mu w zamian? Ale gdy tylko pojawiła się obawa, że zaczyna poznawać odpowiedź na to pytanie, poczuła, że odsuwa się od niego instynktownie, bo pójść dalej tą drogą znaczyło sprzeniewierzyć się obietnicy danej samej sobie: by nad prawo przedkładać jego życie - a nie jego miłość.

Poza tym pamiętała dobrze, że były takie chwile, gdy nie mówił nic albo prawie nic - jak ktoś, kto wiele czasu spędził w samotności. Jego milczenie nie było jednak męczące. Przyjmowała je wręcz jako komplement, jako dalszy akt zawierzenia. A kiedy się kończyło, stawał się tak gadatliwy, że byli jak dwoje przyjaciół, którzy dawno się nie widzieli, więc ona też potrafiła się rozgadać, opowiadała o Heidi i jej trojgu dzieciach, o Hugonie, wspaniałym lekarzu, z którego jest tak dumna - o nim Issa mógł słuchać w nieskończoność — i nawet o tym, że jej matka ma raka.

Ale ani razu nie wspomniała o ojcu. Lepiej nie pytać z jakiego powodu. Może dlatego, że kiedyś był tym *attache* praw-

198

nym ambasady w Moskwie. A może czuła na sobie długi cień pułkownika Karpowa. A może po prostu wiedziała już, że swoim życiem rządzi teraz sama, a nie jej ojciec.

Tylko że była przede wszystkim adwokatem Issy, a nie tylko jego aniołem stróżem. Ileż to razy tłumaczyła mu, błagała go, wręcz żądała od niego, by oficjalnie upomniał się o przynależny mu spadek - wciąż na

próżno. Wolała nie myśleć, co ten spadek tak naprawdę dla niego oznacza. Nikt jednak nie mógł wątpić, że jeżeli wartość spadku jest rzeczywiście tak wielka, jak zdawał się ją przedstawiać Brue, nagle i niespodziewanie otworzą się przed Issą wszystkie drzwi. Słyszała przecież o wielu przypadkach - czasem poszeptywano o nich tu, w Azylu — bogatych Arabów i Azjatów o bardzo nieczystych hipotekach, którzy mimo to zostali potraktowani bardzo łagodnie właśnie dlatego, że mieli w Niemczech piękną posiadłość albo jeszcze piękniejszy rachunek bankowy.

Daj mu najpierw dojść do siebie, powtarzała sobie. Kiedy się uspokoi, wzmocni, wtedy do tego wrócisz. Poczekaj, niech mu najpierw pomoże Hugo.

A Brue? Intuicyjnie, ale i bardzo realistycznie odgadywała, kim tak naprawdę jest: samotnym bogatym człowiekiem, który pod koniec życia nagle zaczął poszukiwać godnej miłości.

Zadzwoił telefon na jej biurku. Wewnętrzny. Od Ursuli.

- Annabel, poniedziałkowe zebranie przesuwamy dziś na drugą.

Odpowiada ci?

- W porządku.

Wcale nie w porządku. W rzeczowym tonie Ursuli brzmiało ostrzeżenie. Ktoś jest u niej w gabinecie. Rzeczowy ton był na użytek tego kogoś.

- Przyszedł *Herr* Werner.
- Werner?

- Z Urzędu Ochrony Konstytucji. Chciałby zadać ci parę pytań na temat jednego z twoich klientów.
- Nic z tego. Jestem prawniczką. Jemu nie wolno pytać, mnie odpowiadać. On chyba przecież zna prawo równie dobrze jak ty czy ja. - A gdy Ursula nie odpowiedziała, dodała: - A właściwie o którego klienta mu chodzi?

Stoi nad nią, pomyślała. Słucha wszystkiego, o czym mówimy.

- *Herr* Werner przyszedł z *Herr* Dinkelmanem, Annabel, też z Urzędu. To poważna sprawa i obu panom bardzo zależy, żeby pilnie porozmawiać z tobą na temat "ich obaw, że może dojść do poważnego zakłócenia porządku publicznego".

Cytuje ich słowa, celowo tak mi je powtarza.

*Herr* Werner nie miał jeszcze trzydziestki, był zażywny, o małych wodnistych oczkach, popielatoblond brwiach i lśniącej bladej cerze tłuściocha. Gdy Annabel weszła do pokoju, Ursula siedziała za biurkiem a *Herr* Werner stał za nią, dokładnie tak, jak przed chwilą wyobraziła to sobie Annabel, z odchyłoną w tył głową i rozkazująco wygiętymi w dół wargami, i od razu dokonał na Annabel dokładnej wzrokowej rewizji osobistej: twarz, biust, uda, nogi i z powrotem twarz. Dokonawszy tych oględzin, wykonał sztywno krok w przód, chwycił jej dłoń i pochylił się nad nią w ćwierćukłonie.

- Szanowna pani, nazywam się Werner. Jestem jednym z tych ludzi, którym płaci się za to, by porządni obywatele nie mieccy mogli spokojnie spać w nocy. Zgodnie z prawem mój Urząd ma pewne zadania, ale bez uprawnień wykonawczych.

Jesteśmy urzędnikami, nie policjantami. Pani jest prawniczką, więc wie to pani doskonale. Pozwoli pani sobie przedstawić *Herr* Dinkelmanna z naszego działu koordynacji - dodał, wypuszczając wreszcie jej dłoń.

200

*Herr* Dinkelmann z działu koordynacji nie był w pierwszej chwili widoczny - siedział bowiem w kącie za biurkiem Ursuli i dopiero teraz się stamtąd wyłonił. Był po czterdziestce, miał jasnoblonde włosy i kwadratową sylwetkę i patrzył tak przeprasząco, jakby sam chciał dać do zrozumienia, że jego najlepsze dni dawno już minęły. Zresztą jego strój też zdawał się o tym świadczyć: miał na sobie pomiętą płócienną kurtkę staromodnego kroju i równie chyba stary krawat w szkocką kratę.

- K o o r d y n a c j i ? - powtórzyła Annabel, rzucając ukradkowe spojrzenie Ursuli. - A co takiego pan koordynuje, jeśli można wiedzieć? A może nie można?

Uśmiech Ursuli nie był zbyt entuzjastyczny, za to szybki uśmiech *Herr* Dinkelmanna - wręcz cudowny, bo rozlał mu się po policzkach jak u klauna.

- Droga pani, gdyby nie ja, nieskoordynowany świat rozsypałby się w jednej chwili - powiedział wesoło, trzymając jej dłoń w swojej nieco dłużej, niżby wypadało.

\* \* \*

Usiedli we czwórkę wokół niskiego sosnowego stołu. Honory domu czyniła niebieskooka, wyprostowana jak struna Ursula o przedwcześnie

posiwiących, związanych w kok włosach. Fotele u Ursuli były tak głębokie i tak miękkie, że wprost nie dało się wyglądać w nich pompatycznie, a na każdym leżała w dodatku ręcznie wyszywana poduszka. Robótki ręczne to mój sposób na złość, zwierzyła się kiedyś Ursula podczas jednej z ich licznych pogaduszek. Na stole stał potężnych rozmiarów termos z kawą, mleko, cukier, kubki i cała gama wód mineralnych, bo Ursula, podobnie jak Annabel, była prawdziwą koneserką wody. A dokładnie pośrodku między termosem i tacą z wodami leżało lśniące zdjęcie Issy w trzech ujęciach: *en face* i z obydwu profili.

Annabel nie od razu się zorientowała, że tylko ona patrzy na zdjęcie Issy. Cała reszta patrzyła na Annabel: Werner z zawodo-

201

wym sprytem, Dinkelmann ze swym klaunowskim uśmiechem, Ursula zaś z wystudiowanym spokojem, jak zawsze w niebezpiecznych chwilach.

— Czy poznajesz tego człowieka, Annabel? — zapytała.

- Jako adwokat nie musisz nic tym panom mówić, jeśli sama nie jesteś przedmiotem śledztwa. Obie doskonale o tym wiemy.

—My też, *Frau Meyer*, my też! — zawołał z wdzięcznością *Herr Werner*. — Od pierwszego dnia szkolenia! Adwokat jest tabu. Nie wolno go tknąć nawet kwiatem. Szczególnie jeśli chodzi o panie! - Zachwycił się własną aluzją. - I nie zapominamy o tym, że panią też, *Frau Richter*, obowiązuje tajemnica zawodo-  
dowa względem swego klienta. I szanujemy to jak najbardziej.  
Prawda, Dinkelmann?

Uśmiech klauna potaknął nieśmiało, że oczywiście, jak najbardziej.

—I namawianie *Frau Richter*, by pogwałciła tajemnicę za wodową swego klienta, byłoby z naszej strony działaniem całkownie nielegalnym. Dla pani zresztą też, *Frau Meyer*. Nawet pani nie wolno jej do tego namawiać! Chyba że *Frau Richter* sama stałaby się przedmiotem śledztwa, a przecież tak nie jest. Przynajmniej na razie. Jest prawniczką, obywatelką Niemiec, zakładamy, że obywatelką lojalną, w końcu pochodzi z szanowanej rodziny prawniczej. Ktoś taki nie staje się przedmiotem śledztwa, chyba że zachodzą jakieś bardzo szczególne okoliczności. To wypływa z ducha naszej konstytucji, którą właśnie my chronimy. I jej ducha, i literę. Więc, oczywiście, to wiemy.

Długo to trwało, ale wreszcie skończył. I czekał, nie przestając jej się przyglądać. Podobnie jak reszta obecnych, choć uśmiechał się tylko Dinkelmann.

— Prawdę mówiąc, rzeczywiście poznaję tego człowieka — przyznała Annabel, lecz po dłuższej chwili, by dać do zrozumienia, że traktuje sprawę profesjonalnie. - To jeden z naszych klientów. Od niedawna. - To do Ursuli, i tylko do niej. - Nie znasz go, ale sama go do mnie skierowałaś, bo mówi po rosyj-

202

sku. - Spokojnie podniosła jedno ze zdjęć, udała, że chce mu się przyglądać dokładniej, i z powrotem odłożyła je na stół.

—To proszę nam powiedzieć, *Frau Richter*, jak on się nazywa. - Werner wyrecytował jej to wprost do lewego ucha. — Nie nalegamy. Bo może musi pani zachować w tajemnicy nawet jego imię i nazwisko. Jeżeli tak,



nie naciskamy na panią. Tylko że możemy mieć tu do czynienia z poważnym zakłóceniem porządku publicznego. Ale jak nie, to trudno.

- Nazywa się Issa Karpow. Przynajmniej tak twierdzi. - Wciąż uparcie i ostentacyjnie do Ursuli. - Jest pół Rosjaninem, pół Czeczenem. Przynajmniej tak mówi. Są tacy klienci, że nigdy nie wiadomo, zresztą i panowie, i my wiemy to aż za dobrze.
  - No, my wiemy, *Frau Richter!* — zaprzeczył Werner z niespodziewaną werwą. - Wiemy, że Issa Karpow jest rosyjskim fundamentalistą islamskim, wielokrotnie karany za akcje zbrojne. W Niemczech znalazł się nielegalnie, przemycony tu przez innych zbrodniarzy, być może też fundamentalistów islamskich, i w naszym kraju nie ma żadnych praw.
  - Przecież każdy ma jakieś prawa - wtrąciła Annabel tonem łagodnej perswazji.
  - Nie w tej sytuacji, droga pani, nie w tej sytuacji.
  - Ale pan Karpow skontaktował się z Azylem Północ po to właśnie, by uregulować swoją sytuację - upierała się Annabel.
- Werner zaśmiał się sztucznie.
- Mój Boże! To klient pani nie powiedział, że kiedy dopłynął do Góteborga, zbiegł z aresztu, żeby nielegalnie dostać się do Niemiec? I że to samo powtórzyło się w Kopenhadze? Już po jego ucieczce z Turcji, a przedtem z Rosji?
  - To co mój klient mi powiedział, *Herr Werner*, to sprawa między nim a mną i bez jego upoważnienia nie wolno mi niczego ujawniać osobom trzecim.

Ursula nadała swojej twarzy jak najbardziej nieprzenikniony wyraz.

Siedzący obok niej *Herr Dinkelman* w zamyśleniu

203

przesuwał tłustymi palcami po wargach i przyglądał się Anna-bel z ojcowskim uśmiechem.

- Droga pani - podjął na nowo Werner tonem sugerującym, że jego cierpliwość powoli się kończy. — My pilnie poszukujemy niebezpiecznego zbiega, fundamentalisty islamskiego. Jest człowiekiem podejrzanym o działalność terrorystyczną, gotowym na wszystko. My mamy za zadanie chronić przed nim społeczeństwo. Panią też, *Frau Richter*. Jest pani kobietą stanu wolnego, bezbronną i w dodatku bardzo atrakcyjną, jeśli wolno mi to powiedzieć. Dlatego prosimy i panią, i *Frau Meyer*, by pomogły nam panie w wypełnieniu tego zadania. Proszę nam powiedzieć, gdzie możemy znaleźć tego człowieka. I drugie pytanie, choć może powinno być pierwsze: kiedy widziała go pani ostatni raz? Ale oczywiście tylko jeżeli chce nam pani odpowiedzieć. Bo może wcale pani nie przeszkadza, że chroni pani terrorystę albo że może dopuścić do poważnego zakłócenia porządku publicznego.

Annabel już zwróciła się w stronę Ursuli, aby się jej poradzić, czy to pytanie jest właściwe, lecz kolejna zwłoka okazała się nie do zniesienia dla *Hen Wernera*.

- Nie musi pani pytać przełożonej! Ja zadam dokładniejsze pytanie, a pani się zastanowi, co może odpowiedzieć, mając na uwadze dobro swojego klienta. Nikt pani nie zmusza.

Przecież pytam przy świadkach. Co pani zrobiła z Issą Karpowem po wyjściu z domu pani Leili Oktay w sobotę o czwartej rano?

\* \* \*

A więc wiedzą.

Wiedzą trochę, ale nie wszystko.

Wiedzą, co robili, lecz nie znają szczegółów. A przynajmniej taką wersję musi sama przyjąć. Bo gdyby znali szczegóły, Issa już by leciał samolotem do Petersburga, dokładnie tak jak

204

Magomed, pomachawszy jej na pożegnanie skutymi dłońmi przez okno kabiny.

- *Frau* Richter, pytam panią jeszcze raz. Co zrobiła pani z Issą Karpowem po opuszczeniu domu Oktayów?
- Odprowadziłam go.
- Na piechotę?
- Na piechotę.
- O czwartej nad ranem? Zawsze tak pani klientów odprowadza? Po nocy, o świcie? Czy to należy do praktyki atrakcyjnej młodej prawniczki? Jeżeli to pytanie znowu narusza pani tajemnicę zawodową, od razu je wycofuję. Zablokuje nam pani śledztwo, ale trudno. Znajdziemy go, nawet jeżeli będzie już za późno.
- Nasza rozmowa przeciągnęła się do późna w noc, co nierzadko się zdarza z klientami z Bliskiego Wschodu albo z Azji - powiedziała

Annabel po odpowiednio długim namyśle. - Oktayowie zaczęli się bać. Pan Karpow nie chciał dłużej nadużywać ich gościnności. To bardzo wrażliwy człowiek. Zorientował się, że jego nieuregulowany status prawny zaczyna ich niepokoić. Poza tym oni niedługo wyjeżdżają na wakacje do Turcji.

Wciąż kierowała swe odpowiedzi pod adresem Ursuli, a nie Wenera. Wypowiadała się prostymi zdaniami, jakby chciała, by Ursula skontrolowała je każde po kolei. Ursula zaś patrzyła przed siebie spod przymkniętych powiek z miną sfinksa, podczas gdy siedzący przy niej zrelaksowany *Herr Dinkelman* nie tracił z ust swego czułego uśmiechu.

- Bardzo proszę dokładnie opisać drogę, jaką wtedy państwo przebyli! I środki komunikacji. Muszę panią ostrzec, że grozi pani niebezpieczeństwo, nie tylko ze strony Issy Karpo-wa. Nie jesteśmy z policji, ale mamy swoje obowiązki. Proszę mówić.
- Doszliśmy na piechotę do stacji Eppendorfer Baum, potem pojechaliśmy metrem.

205

-A dokąd? Proszę opowiadać od początku do końca, a nie tak po kawałku.

- Mój klient był zdenerwowany, źle się czuł w metrze. Po czterech przystankach przesiedliśmy się do taksówki.
- A teraz znowu taksówka? I znowu tak po kawałku? Czy pani zawsze tak skąpo wydziela fakty, jakby to były złote monety? Dokąd więc pojechali państwo tą taksówką?
- Z początku nie określiliśmy kierunku.

- Chyba pani żartuje! Podała pani kierowcy adres: skrzyżowanie niecały kilometr od konsulatu amerykańskiego?... Jak może pani mówić, że nie określiła kierunku, skoro podała go pani kierowcy?
- To bardzo proste, proszę pana. Jeżeli na chwilę spróbuje pan wczuć się w stan umysłowy wielu naszych klientów, zorientuje się pan, że takie rzeczy są na porządku dziennym. - Szło jej świetnie. Ani jednego niewłaściwego słowa. Ani jednego potknięcia. Znacznie lepiej nawet niż podczas zawodów adwokackiego zakłamania, jakie urządzali sobie w gronie rodzinnym. — Pan Karpow miał na myśli pewien kierunek, ale też miał powody, żeby mi go nie wyjawić. Z tego skrzyżowania rozchodzi się kilka ulic. Poza tym było mi to bardzo na rękę, bo tak się składa, że mieszkam całkiem niedaleko.
- Ale nie podjechała pani taksówką pod sam dom! A dlaczego? On mógł dalej pójść na piechotę, a pani byłaby już w domu. A może natrafiliśmy właśnie na kolejną nieusuwalną przeszkodę w pani opowiadaniu?
- Ma pan rację. Przecież to oczywiste, że nie podjechałam taksówką pod sam dom. - To już powiedziała do Wenera, rzuciła mu prosto w twarz.
- A to dlaczego?
- Bo może wcale nie poszłam do siebie.
- Jak to?
- Bo może nie lubię zdradzać klientom, gdzie mieszkam? A może postanowiłam udać się do mieszkania jednego z moich

licznych kochanków? - I dodała w myśli: Na pewno strasznie chciałbyś być jednym z nich.

- Ale taksówkę pani zwolniła.

- Owszem.

- I poszła pani piechotą. A nam nie wolno zapytać, dokąd pani poszła.

- Zgadza się.

- Czyli Karpow musiał pójść z panią! Przecież nie zostawia się tak ładnej kobiety jak pani samej na ulicy o wpół do piątej rano! To człowiek wrażliwy i wcale nie niebezpieczny. Sama pani tak powiedziała, prawda?

-Nie.

- Co: nie?

- Nie poszedł ze mną.

- Czyli poszedł, ale w innym kierunku!

- Zgadza się. W kierunku północnym. I zaraz straciłam go z oczu.

- Najprawdopodobniej skręcił w jakąś przecznicę. Bardziej zależało mi na tym, żeby za mną nie poszedł, niż żeby obserwować, dokąd idzie.

- A potem?

- Co: potem?

- Od tej pory go pani nie widziała? Nie miała pani z nim kontaktu?

-Nie.

- Nawet za pośrednictwem osób trzecich?

-Nie.

- Ale oczywiście dał pani numer telefonu? I adres?... Wydaje mi się, że przerażony nielegalny imigrant nie dostaje uzdolnionej młodej

opiekunki po to tylko, żeby nazajutrz z niej zrezygnować.

- Nie podał mi ani numeru telefonu, ani adresu, proszę pana. Do tego też jesteśmy przyzwyczajeni. On ma numer telefonu Azylu.

Oczywiście mam nadzieję, że jeszcze się ze mną skontaktuje, ale nie mogę za to ręczyć. - Jeszcze raz chciała, by

207

Ursula poparła ją milcząco, lecz ta zdobyła się tylko na ledwo zauważalne skinienie głową. — Tak się u nas pracuje. Klienci prowadzą własne życie, często znikają na jakiś czas. Bo potrzebują czasu, żeby porozmawiać z towarzyszami niedoli, pomodlić się, przyjść do siebie albo się ukryć.

Może pan Karpow ma żonę i rodzinę, która też tu jest? Rzadko mówią nam wszystko. Może on też ma przyjaciół, rodaków, może Rosjan, a może Czeczenów? A może oddał się pod opiekę jakiejś religijnej wspólnoty? Nie wiemy. Czasem wracają następnego dnia, czasem za pół roku, czasem nie wracają nigdy.

*Herr Werner* wciąż zastanawiał się, jak przeprowadzić swój kontratak, gdy do rozmowy postanowił się włączyć jego milczący dotąd kolega.

\* \* \*

- A co nam pani powie o tym drugim facecie? O tym, który też był u tych Turków w piątek wieczór? - zapytał *Herr Din-kelmann* wesołym tonem człowieka, który lubi się zabawić. - Duży poważny gość, elegancki. W moim wieku, nawet starszy. Czy on też jest adwokatem Karpowa?

Annabel przypomniała sobie swojego profesora z Tybingi i to co mówił o sztuce przesłuchiwania. Ciągle powtarzał, że nie należy nigdy

lekceważyć milczenia świadka. Milczenie może być wymowne, pełne winy albo zdumienia, i może być też milczenie twórcze. Cała sztuka polega na tym, by wiedzieć, na który z tych sposobów milczy świadek. Tym razem to ona milczała.

—Czy na tym polega pana koordynowanie, *Herr Dinkelmann*? - zapytała, robiąc zalotną minkę, a równocześnie rozpaczliwie usiłowała zebrać myśli.

Znów ten sam uśmiech klauna, usta wygięte w idealny łuk.

- Proszę ze mną nie flirtować, *Frau Richter*, bo ja łatwo się płoszę. Proszę mi po prostu powiedzieć, kto to jest? Przyprowa dziła go pani ze sobą, siedział tam parę godzin, a potem zostawiła

208

pani biedaka samego. Łaził po całym mieście, jakby coś zgubił. Czego szukał? — Zwrócił się po pomoc do Ursuli. - W całej tej sprawie wszyscy strasznie chętnie chodzą na piechotę, proszę pani. Aż sam się zmęczyłem. - I znów do Annabel, już spokojniej: - No, naprawdę mi wystarczy, że mi pani powie, kto to jest. Nazwisko. Byle jakie. Może je pani wymyślić.

Annabel jednak zdążyła przybrać wyraz twarzy swego ojca - ten, który znaczył, że nie wróci już do tego tematu.

- Mój klient ma tu, w Hamburgu, potencjalnego opiekuna. Jest to człowiek na stanowisku, który na razie pragnie zachować anonimowość. Przystąpiłam na ten warunek.
- To my też przystaniemy. Czy on coś mówił czy tylko siedział i patrzył? Ten anonimowy dobroczyńca?
- Z kim miał mówić?



- Z pani chłopakiem. Z Issą. Albo z panią.
- To nie jest mój chłopak.
  - Pytam, czy anonimowy dobroczyńca pani klienta uczestniczył rozmowie. Nie pytam o jej temat. Pytam, czy brał w niej udział? A może jest głuchoniemy?
- Brał udział.
  - A więc rozmowa była trójstronna: pani, dobroczyńca, Issa. To może mi pani powiedzieć. Nie łamie pani żadnych zasad. No więc siedzieliście tam sobie we trójkę i gadaliście. Wystarczy, że mi pani odpowie tak lub nie.
- No... tak. - A do tego wzruszenie ramion.
  - Taka swobodna wymiana myśli. Na pewno omawiali państwo pewne sprawy, których pani nie może ujawnić. Ale omawiali je państwo w sposób swobodny i nieskrępowany. Tak?
- Nie rozumiem, co usiłuje mi pan wmówić.
  - Nie musi pani rozumieć. Proszę mi tylko odpowiedzieć: czy rzeczywiście odbyli państwo swobodną i niczym nieskrępowaną wymianę myśli, płynną, bez żadnych przeszkód?
- Co za głupie pytanie.
- Tak, ma pani rację. Odbyli ją państwo?

209

-Tak.

- Czyli on też mówi po rosyjsku. Tak jak pani.
- Tego nie powiedziałam.
  - Rzeczywiście pani nie powiedziała. Ktoś musiał to powiedzieć za

panią. Jest pani naprawdę godna podziwu. Pani klient ma szczęście, że znalazł takiego obrońcę.

*Herr* Werner zdobył się na ostatni wysiłek, by ratować swoją dominującą pozycję.

- Czyli tam poszedł ten pani Issa Karpow, kiedy zostawiła go pani o wpół do piątej rano! — zawołał. - Do tego anonimowego dobroczyńcy! A może nawet sponsora terrorystów! Zostawiła go pani na skrzyżowaniu w bogatej dzielnicy miasta i jak tylko pani sobie poszła, on ruszył do domu swego dobroczyńcy. Myśli pani, że to sensowna hipoteza?
- Równie sensowna czy bezsensowna jak każda inna, proszę pana - odparła Annabel.

I dość niespodziewanie okazało się, że to dobroduszny i staroświecki *Herr* Dinkelman, a nie jego dziarski młodszy przełożony uznał, że już dość zabrali czasu *Frau* Meyer i *Frau* Richter.

\* \* \*

- Annabel?

Zostały same.

• Słucham.

- Może będzie lepiej, jeżeli dasz sobie dziś spokój z popołudniowym zebraniem. Coś mi się zdaje, że masz co innego do roboty. A może chcesz mi jeszcze coś powiedzieć o tym naszym zaginionym kliencie?

Annabel nie chciała.

- Dobrze. Żyjemy w świecie półśrodków. My nie mamy idealnych rozwiązań, choć ciągle mówimy, że mamy. Coś mi

się zdaje, że już kiedyś odbyliśmy taką rozmowę.

210

Odbyły. O Magomedzie. Gdy Annabel przyprowadziła do niej marsz protestacyjny całego personelu, Ursula powiedziała jej, że nie można oczekiwać po instytucji, że będzie realizowała prywatne utopie.

To nie panika. Annabel nie ulegała panice. Nie miała takiego zwyczaju. Ona tylko reagowała na niebezpieczeństwo, które właśnie się objawiało.

Z Azylu popedałowała w pełnym pędzie do stacji benzynowej na skraju miasta, co chwila spoglądając w dwa identyczne lusterka zamontowane na kierownicy, szukając oznak, że ją ktoś śledzi. Nie miała pojęcia, jakie by to miały być oznaki.

Przy kasie rozmieniła trochę pieniędzy na drobne. Wykręciła numer komórki Hugona. Odezwała się automatyczna sekretarka, lecz właśnie tego się spodziewała.

Zatelefonowała na informację i poprosiła o numer szpitala, w którym pracował.

Hugo mówił jej, że w poniedziałek przez cały dzień będzie na zebraniu. "Zadzwoń w poniedziałek wieczór". Ale teraz okazało się, że w poniedziałek wieczór będzie za późno. Przypomniała sobie, że zebranie miało być o przebudowie psychiatrycznego skrzydła szpitala. Najpierw połączyła się z telefonistką w centrali, która po ciężkich negocjacjach przełączyła ją w końcu do sekretarki dyrektora szpitala. Przedstawiła się, że jest siostrą doktora Hugona Richtera, telefonuje w ważnej sprawie rodzinnej i bardzo prosi, aby na momencik zawołać go do telefonu.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego, Annabel.
  - Hugo, klient mi się posypał. Muszę mieć dla niego tę klinikę. Już. Serio.
  - A która godzina?
- Hugo, jedyny lekarz na świecie bez zegarka.
- Wpół do jedenastej. Przed południem.

211

— Zadzwoń do ciebie po lunchu. O wpół do pierwszej.

Na komórkę. Działa czy ciągle jej nie naładowałaś?

Chciała mu przerwać: "nie, nie na komórkę", ale powiedziała tylko:

— Dzięki Hugo, naprawdę bardzo ci dziękuję... Tak, komórka już mi działa - dodała.

Przed warsztatem przy stacji dwie kobiety majstrowały przy poobijanej żółtej furgonetce. Nie przejęła się nimi, furgonetki *Herr* Wenera na pewno byłyby nieskazitelne. Dla zabicia czasu pojechała na swój ulubiony targ. Kupiła mu marynowanych śledzi, które tak lubi, zwykłą ciemną organiczną czekoladę i ementaler na ostatni wieczór, jaki miała gorącą nadzieję spędzić z nim we własnym mieszkaniu. I swoją ulubioną niegazowaną wodę, która teraz była i jego ulubioną.

Hugo zatelefonował punktualnie o wpół do pierwszej. Wiedziała, że tak będzie, choć nie miał zegarka. Siedziała już wtedy na ławce w parku, rower stał oparty o latarnię. Zaczął napastliwie. Ucieszyła się, bo mógł to być dobry znak.

— I co, to ja niby mam być lekarzem, który go tam skieruje? Mam się podpisać, nie wiedząc nawet, jak się nazywa? Bo jeśli

tak, to nie ma mowy. A poza tym wcale nie trzeba skierowania - dodał, zanim zdążyła odpowiedzieć. - Mają tam na pewno jakiegoś rzeźnika, co mu zmierzy tętno i zaordynuje tysiąc euro dziennie. Mamy dwie możliwości. I tu, i tam zapłaci jak za zboże.

Pierwszy ośrodek znajdował się w Kónigswinter. Tę możliwość odrzuciła - za daleko. Ale drugi był idealny: znajdował się na dawnej farmie pod Husum, zaledwie dwie godziny pociągiem na północ od Hamburga.

— Masz poprosić doktora Fischera. I od razu zatkać sobie nos. Zapisz numer... I nie dziękuj. Mam tylko nadzieję, że jest tego wart.

— Jest - powiedziała i wystukała podany numer telefonu.

Doktor Fischer natychmiast zorientował się w sytuacji.

212

Natychmiast zorientował się, że Annabel mówi w imieniu bliskiego znajomego, lecz nie dopytywał się o szczegóły tej znajomości.

Natychmiast zorientował się, że ona nie chce za wiele powiedzieć przez telefon, i oczywiście nie miał nic przeciwko temu.

Orientował się też, że bezimienny pacjent mówi tylko po rosyjsku, ale nie spodziewał się z tego powodu żadnych kłopotów, bo miał u siebie niejedną pielęgniarkę pochodzącą z któregoś z krajów, które nazywał eufemistycznie "Wschodem". Orientował się, że pacjent nie jest agresywny, tylko doznał wstrząsu psychicznego w wyniku nieszczęśliwego splotu okoliczności, które najlepiej omówić dopiero w

cztery oczy.

Zgodził się z nią, że połączenie całkowitego wypoczynku, obfitego pożywienia i kontrolowanych spacerów może wystarczyć do osiągnięcia wyleczenia. Oczywiście odpowiednie decyzje zostaną podjęte po dokładniejszym zapoznaniu się z przypadkiem.

A że chodzi o pośpiech, zaproponował niezobowiązujące spotkanie między pacjentem, lekarzem i konsultantem.

Ależ oczywiście, może być jutro po południu, więc może na przykład o szesnastej? A więc jutro punktualnie o szesnastej.

I jeszcze kilka szczegółów. Czy pacjent jest w takim stanie, że może podróżować samodzielnie, czy może wymaga opieki? Nasz ośrodek służy dobrze przeszkolonymi opiekunami i odpowiednimi środkami komunikacji, oczywiście za dodatkową opłatą.

Pan doktor doskonale rozumie, że Annabel chciałaby poznać orientacyjną wysokość podstawowych opłat, które nawet bez opieki specjalistycznej mogą osiągać całkiem poważne sumy. Ale dzięki Tommyemu Brue mogła powiedzieć, że dobrze, że na szczęście jej chorego znajomego stać na wpłacenie z góry znacznej kwoty.

A więc do szesnastej, *Frau* Richter, kiedy to, mam nadzieję, uda nam się załatwić wszystkie konieczne formalności. Jeszcze

213

poproszę o podanie pani imienia... I adresu... A zawód? I w tej chwili rozmawia z nim przez własny telefon komórkowy?

\* \* \*

Przyniosła mu szachy po babci, prawdziwe cacko. Żałowała, że wcześniej o tym nie pomyślała. Bo dla niego był to prawdziwy sport wyczynowy. Przed każdym posunięciem siedział nieruchomo w tym samym miejscu, w którym jak się domyślała, spędzał cały dzień, kiedy jej nie było: na ceglany obramowaniu gotyckiego okna, z podciągniętymi pod brodę długimi nogami, obejmując je swymi cienkimi dłońmi filozofa. Potem nagle rzucał się w przód, przestawiał figurę, z powrotem zrywał się na nogi i uciekał na drugi koniec poddasza, gdzie puszczał papierowe samoloty i wywijał piruety do wtóru Czajkowskiego, podczas gdy ona zastanawiała się nad własnym ruchem. Muzyka, zapewniał ją, nie narusza prawa islamskiego, jeśli tylko nie przeszkadza w modlitwie. Jego wypowiedzi na temat religii przypominały bardziej wyuczoną na pamięć lekcję niż akty wiary.

- Issa, załatwiłam ci od jutra nowe miejsce - powiedziała w chwili, gdy nastrój wydał się jej odpowiednio swobodny.  
— Lepsze, wygodniejsze, w którym będą się tobą lepiej opiekować. Tam są dobrzy lekarze, dobre jedzenie i wszystkie grzeszne zachodnie luksusy.

Muzyka urwała się, ustał też szelest tanecznych kroków.

- Żeby mnie ukryć, Annabel?
  - Tak. Na chwilę.
    - A ty też tam będziesz? - I równocześnie jego dłoń zaczęła szukać bransoletki po matce.
    - Będę cię odwiedzać. Często. Zawiozę cię tam i będę cię odwiedzać, kiedy tylko będę mogła. To nie tak daleko. Dwie godziny pociągiem.
- Powiedziała to niedbale, tak jak sobie zaplanowała.

- A Leila i Melik też przyjadą?

214

- Raczej nie. Dopiero potem, jak już będziesz tu legalnie.
- Czy miejsce, gdzie chcesz mnie ukryć, to więzienie, An-nabel?
- Nie, nie więzienie! - Natychmiast się uspokoiła. - To takie miejsce, gdzie można sobie odpocząć. Taki jakby... - nie chciała użyć tego słowa, lecz użyła: - taki specjalny szpital, gdzie odzyskasz siły i poczekasz, aż pan Brue wszystko załatwi.
- Specjalny szpital?
  - Prywatny. I okropnie drogi, bo musi być bardzo dobry. Dlatego znowu musimy porozmawiać o pieniądzach, które przechowuje dla ciebie pan Brue. Pan Brue był tak miły, że dał nam zaliczkę na twój pobyt w szpitalu. To jeszcze jeden powód, żebyś zgłosił się po spadek. Bo potem będziesz musiał zwrócić pieniądze panu Brue.
- Szpital KGB?
- Issa, my tu nie mamy szpitali KGB!

Już przeklinała swoją głupotę. Dla niego szpital to coś jeszcze gorszego niż więzienie. Zaraz musiał się pomodlić. Wycofała się do kuchni. Kiedy wróciła, siedział z powrotem na swym zwykłym miejscu w oknie.

- Czy mama uczyła cię śpiewać, Annabel? - zapytał zamyślonym głosem.
- Jak byłam mała, zabierała mnie do kościoła. Ale chyba tak naprawdę nie uczyła mnie śpiewać. Chyba nikt mnie nie uczył. Bo nikt jakoś nie umiał mnie nauczyć, nawet najlepsi nauczyciele.
- Mnie wystarczy, że słyszę, jak mówisz. Czy twoja matka jest



katoliczką, Annabel?

- Luteranką. To też chrześcijanie, ale nie katolicy.
- A ty też jesteś luteranką, Annabel?
- Tak mnie wychowano.
- A modlisz się do Jezusa, Annabel?
- Już nie.

215

— A do jedynego Boga?

Nie mogła dłużej tego znieść.

- Issa, słuchaj...
- Słucham cię, Annabel.
- Nie uciekniemy od tego, nie mówiąc o tym. To dobry szpital. Dobry szpital, w którym będziesz bezpieczny. A żebyś mógł zostać w dobrym szpitalu, musimy mieć pieniądze. Co oznacza, że musisz się o nie upomnieć. Mówię ci to jako twój adwokat. Bo jeżeli się nie upomnisz, nie uda ci się zostać studentem medycyny. Ani tu, ani nigdzie indziej na świecie. Ani studentem, ani kimkolwiek innym, kim chciałbyś zostać w życiu.
- Boże słowo zawsze zwycięży. Taka jest Jego wola.
- Nie! To ty musisz chcieć. Choćbyś nie wiadomo ile się modlił, i tak ty sam musisz podjąć decyzję.  
Czy nic go nie przekona? Chyba nic.
- Ty jesteś kobietą, Annabel. Nie myślisz racjonalnie. Pan Tommy Brue kocha pieniądze. Jak mu powiem, żeby może je sobie wziąć, będzie mi wdzięczny i z wdzięczności będzie dalej pomagał. Jeżeli mu je zabiorę,

więcej mi nie pomoże, bo będzie na mnie zły. On na pewno tak myśli. A dla mnie to dobrze, że tak myśli, bo te pieniądze są mi wstrętne i nie chcę sobie nimi brudzić rąk. A może ty byś je wzięła?

- Nie bądź śmieszny!
- No, czyli widzisz, że nic nam po nich. Ty też ich nie chcesz, tak samo jak ja. Jeszcze nie jesteś gotowa przyjąć prawdy Bożej, ale poczucie moralności już masz. To dobrze wróży naszemu związkowi. Dobrze, że się zgadzamy. Od tego musimy zacząć.

Bezsilnie skryła twarz w dłoniach, lecz w ogóle nie przejął się jej gestem.

— Bardzo cię proszę, Annabel, nie wysyłaj mnie do tego szpitala. Wolę być tu, w twoim domu. Musimy tu zamieszkać, kiedy nawrócisz się na islam. I panu Brue powiedz to samo. Teraz

216

musisz iść, inaczej staniesz się dla mnie pokusą. Lepiej nie ściskajmy sobie dłoni na pożegnanie. Idź z Bogiem, Annabel.

Rower czekał na nią w sieni. W zapadającym zmierzchu świeciły już przymglone światła nabrzeża, musiała więc kilkakrotnie mrugnąć, by widzieć dokładnie. Pamiętając, że ścieżka rowerowa biegnie po drugiej stronie drogi, stanęła w grupce pieszych czekających przed przejściem przez jezdnię. Ktoś wypowiedział jej imię. Nie była całkiem pewna, czy ten głos nie odezwał się w jej głowie, choć raczej nie, głos był bowiem kobiecy, ten zaś, który ciągle słyszała w głowie, należał do Issy.

Ten zewnętrzny głos, ten, który teraz słyszała, bo zaczęła się w niego

wsluchiwać, mówił do niej o siostrze.

— Annabel!... Coś takiego! Jak się masz? Co słychać u Heidi? To prawda, że znowu jest w ciąży?

Krzepko zbudowana kobieta w jej wieku, zielona sztruksowa kurtka, dzinsy, krótkie włosy, bez makijażu, szeroki uśmiech. Ponieważ jej umysł wciąż z trudem powracał do rzeczywistości, Annabel zagrała na zwłokę i równocześnie gwałtownie poszukiwała w pamięci jakiegoś związku: Fryburg?... Studia?... Narty w Austrii?... Siłownia?...

— U mnie wszystko w porządku — powiedziała. — U Heidi też. Jesteś na zakupach?

Światło dla pieszych zmieniło się na zielone. Ruszyły równocześnie przedzielone rowerem Annabel.

— Ej, Annabel! A co ty robisz po tej stronie miasta? Już nie mieszkasz w Winterhude?

Z lewej strony Annabel, tej bez roweru, pojawiła się druga kobieta. Była puciołowata, różowa na policzkach i miała na głowie cygańską chustę. Dotarły do przeciwległego krawężnika i nagle były tam już tylko one trzy. Na przegubie ręki Annabel trzymającej kierownicę zacisnęła się silna dłoń. Druga ujęła ją

217

pod lewe ramię i gestem, który mógłby z daleka uchodzić za czuły, przesunęła się na jej plecy. Annabel poczuła ból i równocześnie przypomniała sobie dwie kobiety pod stacją benzynową z przedpołudnia tego samego dnia.

- Wsiadaj spokojnie do auta - wyjaśniła druga kobieta,

mówiąc wprost do ucha Annabel. - Siadaj na środku z tyłu i bardzo proszę, bez numerów. Ma to wyglądać przyjacielsko i zwyczajnie. Koleżanka zajmie się rowerem.

Sfatygowana żółta furgonetka miała otwarte tylne drzwi. Z przodu siedzieli dwaj mężczyźni, kierowca i pasażer, i patrzyli wprost przed siebie. Czując na ramieniu dłoń kobiety, Annabel dała się pchnąć na tylne siedzenie. Usłyszała szcęk własnego roweru, potem jakieś głośniejsze uderzenie. Nie zauważyła, że w zamieszaniu zdążyli zabrać jej plecak. Już bez pośpiechu obie panie wsiadły po jej obu stronach, każda chwyciła ją za jedną rękę, nałożyła po parze kajdanek i przysiadły je między sobą, by nie było ich widać z zewnątrz.

- A co z nim zrobicie? - szepnęła. - Jest zamknięty! Jak ja tam nie pójdę, kto mu da jeść?

Najpierw ruszyła stojąca z przodu czarna limuzyna, saab. Furgonetka pojechała zaraz za saabem. Teraz już naprawdę nikomu się nie śpieszyło.

## 9

Fakty formułuj jasno i spokojnie.

Jesteś prawniczką.

To prawda, że jesteś wściekła, że zaraz wybuchnie w tobie wulkan furii, ale musisz przemówić nie jako kobieta, tylko jako prawniczka.

Ta stukająca żelazna winda, którą cię wiozą, jedzie w górę, nie w dół. Wiesz, bo czujesz to w żołądku, i jest to uczucie całkiem odrębne od innych odczuć, takich jak nudności albo bolesny skurcz upokorzenia.

Czyli transportują cię na górne piętro, a nie do piwnicy, i to chyba w sumie lepiej.

Winda nie zatrzymuje się na pośrednich piętrach. Nie ma przycisków, luster, okna. Śmierdzi w niej ropą i polem. To winda bydlęca. Pachnie jak szkolne boisko jesienią. Proszę omówić.

Każdy, kto jedzie tą windą, robi tak z woli innych. Stoisz między dwiema kobietami, które porwały cię, udając twoje koleżanki. Potem pomagała im trzecia, która już koleżanki nie udawała. Nikt ci się nie przedstawił. Nikt nie użył w twojej obecności innego imienia prócz twojego. Nikt, nawet Issa, nie

219

umiał ci opisać, jak to jest tracić wolność, ale właśnie zaczynasz się uczyć. Jesteś prawniczką, która zaczyna się uczyć.

Wciąż trzymając się za jadącym z przodu czarnym saabem, niespiesznie mijali kościelne wieże i nabrzeża portowe, grzecznie zatrzymując się na czerwonych światłach i wrzucając kierunkowskazy to na prawo, to na lewo, przemykając się z ograniczoną prędkością alejami wśród wygodnych willi o zapalonych światłach. Potem znaleźli się na przemysłowej pustyni, szczęśliwie ominęli zagradzające im drogę: rzędy stalowych kolców w drodze, zwolnili, lecz nie zatrzymali się przy budce strażniczej wystającej zza zwojów drutów kolczastych, patrzyli zgodnie, jak na powitanie saaba wznosi się biało-czerwony szlaban, i wreszcie zajechali na rzeźnię oświetloną jupiterami dziedziniec, pełen zaparkowanych samochodów i otoczony z jednej strony czarnymi oknami

budynku biurowego, z drugiej starą stajnią, daleką kuzynką stajni w rodzinnym majątku pod Fryburgiem.

Furgonetka nie zatrzymała się jednak. Wybrała ciemniejszą stronę dziedzińca i pojechała dalej, wolniej i - jak się zdawało Annabel — jakby ukradkiem, by zatrzymać się dopiero parę metrów przed stajnią. Uwolniwszy jej ręce z przypiętych między poduszkami siedzenia kajdanek, jej prześladowczynie wyciągnęły ją na asfalt i poprowadziły między sobą do niewielkich drzwi. Ktoś otworzył je od wewnątrz, wepchnięto ją do środka. W środku czekała już trzecia kobieta, młodsza, piegowata, obcięta na chłopaka. Znalazły się w siodłami bez siodła. Ze ścian wystawały żelazne haki i wieszaki. Stare wiadro z wymalowanym od szablonu numerem jednostki. Niska wyściełana ława z kocem. Szpitalna miska z wodą. Mydło. Ręczniki. Gumowe rękawice.

Każda z kobiet pilnowała jednej trzeciej Annabel. Piegowata miała ten sam co Annabel kolor włosów. Być może wła-

220

śnie ona została wyznaczona, by z nią rozmawiać. Sądząc po akcencie pochodziła z południa, może nawet tak samo jak Annabel z Badenii-Wirtembergii — jeszcze jeden powód. Wybieraj, Annabel, tłumaczyła jej. Postępujemy według zwykłych zasad stosowanych względem tych, którzy mają kontakty z terrorystami. Albo będziesz zachowywać się spokojnie, albo zostaniesz obezwładniona. Co wybierasz?

Jestem prawniczką.

Będziesz spokojna czy nie?

Odpowiedziawszy, że będzie spokojna, Annabel powtarzała sobie w

duchu te same bezużyteczne wskazówki, jakie zawsze dawała klientom, gdy mieli stanąć przed sądem: *mów prawdę... panuj nad sobą... nie płacz... nie podnoś głosu i nie próbuj się do nich przymilać... oni nie chcą cię nienawidzić ani kochać, nie chcą się nad tobą litować... oni chcą zrobić swoje, dostać pieniądze i pójść do domu.*

Drzwi windy otwarły się, ukazując wnętrze małego białego pomieszczenia, podobnego do tego, w którym trzymano jej babcię, kiedy umarła. Za nagim drewnianym stołem, na którym powinna leżeć babcia, siedział człowiek, który rano nazywał się jeszcze *Herr Dinkelman*, i palił rosyjskiego papierosa — natychmiast rozpoznała tę woń. Takie same zapalał w Moskwie jej tata po dobrej kolacji.

A obok *Herr Dinkelmanna* wysoka żylasta kobieta o siwiejących włosach i piwnych oczach, która choć w niczym nie przypominała wyglądem jej mamy, miała jednak w sobie tę samą, na pierwszy rzut oka widoczną mądrość.

A na stole leżała przed nimi zawartość jej plecaka, trochę jak dowody rzeczowe w sądzie, tyle że nie w workach foliowych i bez numerków. A przy najbliższym boku stołu pojedyncze krzesło dla Annabel - dla oskarżonej. Stojąc twarzą

221

do swych sędziów, usłyszała stukot i szcęk wracającej na dół bydlecej windy.

— Naprawdę nazywam się Bachmann- powiedział Dinkelman, jakby jej zaprzeczając. - Jeżeli zamierza pani pozwać

nas do sądu, proszę zapamiętać: Günther Bachmann.

A to *Frau* Frey. Erna Frey. Żegluj. Żegluj i szpieguj, a ja tylko szpieguję, nie żegluję. Proszę siadać.

Annabel podeszła do stołu i usiadła.

- Może od razu złoży pani ten swój oficjalny protest, żebyśmy mieli to z głowy? — zapytał Bachmann, zaciągając się papierosem. - Ponawia pani o tych swoich szczególnych uprawnieniach adwokackich, o całym tym gównie? O tych niesamowitych prawach, o pani tajemnicy zawodowej? O tym, jak to już jutro załatwi mi pani, że mnie wyrzucą z roboty? Że pogwałciłem wszelkie zasady?... To zresztą akurat racja, bo pogwałciłem... Że podeptałem ducha konstytucji?... To co? Będzie mi pani gadać te wszystkie pierdoły czy po prostu uznamy, że mamy to za sobą?... Aha, przy okazji: kiedy ma pani następne spotkanie z poszukiwanym terrorystą Issą Karpowem, którego trzyma pani w swoim mieszkaniu?
- On nie jest terrorystą. Pan jest terrorystą. Żądam natychmiastowej rozmowy z adwokatem.
- A może z mamusią, wielką panią sędzią?
- Z adwokatem, który będzie mnie reprezentował.
- To może z szanownym tatusiem? A może ze szwagrem z Drezna? No bo pani ma takie plecy, że strach. Parę telefonów i cała niemiecka palestra zwali mi się tutaj za panią. Pytanie tylko, czy ma pani na to ochotę... Wcale pani nie ma. To wszystko pierdoły, wie to pani równie dobrze jak ja. Pani chce tylko uratować chłopaka. Tylko na tym pani zależy. Jasne jak drut.



Erna Frey dodała trochę łagodniej i milej:

— Kochanie, niestety nie masz wyboru. Albo my, albo nikt.

Całkiem niedaleko od miejsca, gdzie teraz sobie siedzimy, jest mnóstwo ludzi, którzy o niczym innym nie marzą, jak o tym,

222

żeby dokonać na Issie dramatycznego policyjnego zatrzymania i pochwalić się tym. Nie mówiąc już o tym, że policja aż się ślini, żeby zatrzymać też tych, których by można przedstawić jako jego współników: Leile, Melika... czy ja wiem? pewnie i pana Brue, może nawet twojego brata. To dla policji świetna reklama w mediach niezależnie od tego, jak by się skończyło. Ach, zapomniałam o Azylu Północ!... Wyobraź sobie, co by powiedzieli sponsorzy Ursuli. Nie mówiąc już o tobie. Czyli o oficjalnym przedmiocie śledztwa *Herr* Wenera, że użyję tej nieprzyjemnej terminologii, którą *Herr* Werner tak chętnie się posługuje. Przekroczenie obowiązków obrońcy. Świadome ukrywanie poszukiwanego terrorysty. Fałszywe zeznania i tak dalej. I koniec kariery w wieku lat... ilu?... czterdziestu?... Bo tyle będziesz miała, jak wyjdiesz z więzienia.

- Nic mnie nie obchodzi, co ze mną zrobicie.
- Tylko że przecież tak naprawdę tu wcale nie chodzi o ciebie, prawda? Prawda, kochanie? Chodzi o Isse.

Bachmann, który najwyraźniej nie umiał dłużej skupić uwagi na jednej sprawie, rozmową już się nie interesował, tylko po kolei przeglądał rzeczy z jej plecaka: kołonoatnik, kalendarzyk, prawo jazdy, dowód osobisty, chustka na głowę - którą ostentacyjnie podniósł do nosa, by sprawdzić,

jakich używa perfum, a ona nigdy żadnych nie używała. Ale wielokrotnie powracał tylko do czeku od Tommyego Brue — oglądał go pod światło, z przodu i z tyłu, przyglądał się kwocie, odręcznemu pismu i kręcił głową ze starannie wystudiowanym zdziwieniem.

- Czemu pani tego nie zrealizowała? — zapytał.
- Czekalam.
- Na co? Na to, ile zaśpiewa doktor Fischer z tego ośrodka?
- Tak.
- Ale na długo by nie starczyło, co? Pięćdziesiąt tysięcy... Tam to nie na wiele.
- Wystarczyłoby.
- Na co?

223

Annabel bezsilnie wzruszyła ramionami:

- Żeby spróbować. Nic więcej. Tylko spróbować.
- A czy Brue mówił, że może być więcej?

Annabel już miała odpowiedzieć, zmieniła jednak zdanie.

- Muszę wiedzieć, na jakiej podstawie twierdzicie, że wy dwoje jesteście inni — powiedziała wyzywająco, zwracając się do Erny Frey.
- Od kogo, kochanie?
- Od tych, którzy, jak mówiliście, chcą go aresztować i odesłać do Rosji albo do Turcji.

Odpowiadając za nich oboje, Bachmann po raz kolejny wziął do ręki czek od Brue i przypatrywał się mu, jakby z niego chciał wyczytać

odpowieź.

- No pewnie, że jesteśmy inni — mruknął. - Nie ma dwóch zdań. Ale pani tak naprawdę pyta, co zamierzamy zrobić z pani chłopakiem. - Położył przed sobą czek, nie przestawał jednak na niego patrzeć. - Cóż, nie jestem pewny, czy sami to wiemy, Annabel. Prawdę mówiąc, raczej na pewno nie wiemy. Wydaje nam się, że to my tu ustalamy reguły gry, więc na razie nie spieszymy się, wyczekujemy, ile się da. I patrzymy, co nam ześle Allah - dodał, znowu trącając palcem czek. - A jak Allah da... to może twój chłopak zostanie człowiekiem wolnym, zamieszka na Zachodzie i będzie mógł spełnić swoje najśmielsze zachcianki i nadzieje. A jeżeli nie, czyli jeżeli Allah nie da, albo pani nie da, po prostu wróci tam, skąd przyszedł, nie? Chyba że zgłoszą się po niego Amerykanie. Wtedy nawet się nie dowiemy, co się z nim stanie. On zresztą pewnie sam nie będzie wiedział.
- Robimy, co możemy, żeby mu pomóc, kochanie. - Erna Frey powiedziała to z tak autentyczną szczerością w głosie, że Annabel miała przez chwilę ochotę jej uwierzyć. - Günther doskonale zdaje sobie z tego sprawę, tylko nie umie tego właściwie powiedzieć. My nie uważamy, że Issa jest zły. W ogóle go tak nie osądzamy. I wiemy, że jest trochę kopnięty, ale przecież każdy z nas by był po tym, co on przeszedł. Tylko że my uwa-

224

żamy, że mimo to on może nam pomóc dotrzeć do różnych bardzo złych ludzi.

Annabel usiłowała się zaśmiać.

-Jako szpieg? Issa? Zwariowaliście! Jesteście tak samo kopnięci jak on!

—Jako szpieg, jako cholera wie co!... - burknął poirytowany

Bachmann. - W tej sztuce nikomu jeszcze ról nie rozdano. Pani też jeszcze swojej nie zna. My wiemy jedno: jeżeli dogadamy się z panią i załatwimy to, co chcemy załatwić, razem uratujemy o niebo więcej ludzkich istnień niż pani sama, karmiąc te zasrane króliki w Azylu Północ. — Podniósł czek ze stołu i niecierpliwie zerwał się z miejsca. - Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, jakim cudem brytyjski bankier, który mówi po rosyjsku i niegdyś interes miał w Wiedniu, a teraz tutaj nie bardzo mu się wiedzie, fatygował się w piątek wieczór, żeby złożyć uszanowanie panu Issie Karpowowi. Chce pani przejść z nami w jakieś bardziej kulturalne miejsce czy woli pani dalej siedzieć tu, za stołem, z obrażoną miną?

Jednakże Erna Frey znów wyraziła się łagodniej:

- Nie powiemy ci całej prawdy, kochanie, bo nam nie wolno. Ale wszystko, co ci powiemy, będzie prawdą.

\* \* \*

Było już dobrze po północy, a ona ciągle nie zapłakała ani razu.

Powiedziała im wszystko, co wiedziała, wszystko, co wiedziała w połowie, czego się domyślała i czego się domyślała w połowie, wszystko, do ostatka, lecz ani razu nie zapłakała ani nawet się nie poskarżyła. Jak to się stało, że tak szybko przeszła na ich stronę? Co się stało z jej buntowniczą naturą, z jej wielkimi zdolnościami przekonywania i oporu, które tak ceniono na forum rodzinnym? Dlaczego nie uplotła kolejnej sieci kłamstw, takiej, jaką już raz uplotła dla pana Wenera? Syndrom sztokholmski?...

Przyszedł jej na myśl kucyk, którego kiedyś miała. Nazywał się Moritz. Moritz był niepokorny, nieposkromiony, nieujarzmiony. Żadna rodzina w całej Badenii-Wirtembergii go nie chciała — dopóki nie dowiedziała się o nim Annabel. By wykazać się determinacją, zebrała wśród koleżanek pieniądze, żeby go kupić

- wbrew zakazowi rodziców. Kiedy go przywieziono, natychmiast kopnął stajennego, kopytami zrobił dziurę w stajni i zbiegł do padoku. Ale gdy następnego ranka Annabel, cała drżąca, zbliżyła się do niego, Moritz sam do niej podszedł, pochylił głowę pod uzdę i odtąd był jej posłuszny jak niewolnik. Miał już dość walki i wolał, żeby odtąd kto inny rozwiązywał jego problemy.

Czy z nią stało się teraz tak samo? Czy przestała się bronić i powiedziała: “W porządku, niech was diabli, macie mnie”? Tak samo jak parokrotnie mówiła mężczyznom, kiedy ich niekończące się nalegania wymogły na niej wreszcie gniewne poddanie?

Nie. Diabeł tkwił w logice, tego była pewna: w tej wymuszonej siłą woli bezstronnej refleksji, w chwili gdy jej zawodowa natura zastanowiła się i zrozumiała, że nie ma najmniejszych szans nie tylko wygrać tę sprawę, ale choćby trafić z nią na wokandę, i nie chodziło tu już ani o jej klienta, ani o nią

- o siebie naprawdę najmniej się troszczyła. Właśnie ona sama, twarda prawniczka - z całych sił pragnęła, aby to była prawda
- powiedziała sobie, że jej jedyną szansą jest wyrażenie skruchy i prośba o łagodny wymiar kary - nie ze strony sądu co prawda, tylko tych, którzy ją porwali. Owszem, była emocjonalnie wyczerpana, to oczywiste.

Owszem, samotność i napięcie wywołane utrzymaniem tak trudnej sprawy w sekrecie okazały się zbyt silne. I jeszcze ta ulga, rozkosz wręcz, że znowu jest dzieckiem, że trudne życiowe decyzje podejmą za nią ludzie mądrzejsi i starsi. Ale nawet kiedy na szalę rzucała te wszystkie czynniki, i tak właśnie prawnicza logika — jak z uporem sobie wmawiała

- kazała jej powiedzieć wszystko, co wie.

Powiedziała więc o Tommym Brue, o panu Lipizzanerze, o kluczu i liście Anatolija, o Issie i Magomedzie, potem znowu

226

o Brue: jak wyglądał, co mówił, jak reagował w takiej sytuacji, jak w innej, najpierw w Atlanticu, potem w kawiarni przed pójściem do Leili. A co mówił o tym, że studiował w Paryżu? A ta kupa forsy, którą nagle dał jej ni stąd, ni zowąd - co się stało? Miał ochotę się z tobą przespać, kochanie? - to pytanie Erny Frey, nie Bachmanna, on bowiem płoszy się w obecności ładnych kobiet.

W każdym razie nie było to zeznanie wydobyte z niej podstępem, groźbą czy przekupstwem. Sama Annabel tak się zhańbiła: z rozkoszą oczyszczając się z wiedzy i uczuć, które za długo dusiła w sobie, niszcząc barykady, które wzniosła we własnym umyśle: barykady przeciwko Issie, Hugonowi, Ursu-li, hydraulikom, dekoratorom, elektrykom i przede wszystkim przeciwko sobie.

Poza tym oni mieli rację - nie miała wyboru. Podobnie jak Moritza, ją także wymęczył własny opór. Jeżeli ma uratować Issę, potrzebuje przyjaciół, a nie wrogów, i obojętne, czy naprawdę jedni czymkolwiek

różnią się od drugich czy też tylko przed nią udają.

Wąski korytarz prowadził do maleńkiej sypialni. Na łóżku była świeża pościel. Tak zmęczona, że mogłaby pewnie zasnąć na stojąco, Annabel rozglądała się wokoło, podczas gdy Erna Frey pokazywała jej, jak działa prysznic, i cmoknęła z niezadowoleniem, zobaczywszy używane ręczniki - natychmiast porwała je i wyjęła z szuflady nowe.

— A wy gdzie będziecie spali? - zapytała Annabel nie wiedząc po co.

- Już ty się o nas nie martw, kochanie. Teraz musisz na prawdę porządnie odpocząć. Miałaś dziś ciężki dzień, jutro będzie równie ciężko.

“Jeżeli zasnę, wrócę do więzienia, Annabel...”

\* \* \*

227

Tommy Brue nie siedział w więzieniu, ale też nie spał.

Tego samego ranka o czwartej nad ranem wymknął się z małżeńskiego łóżka i bosy przekradł w dół po schodach do swego gabinetu, bo tam trzymał notes z adresami. Przy Georgie widniało w nim sześć numerów. Pięć było wykreślonych. Przy szóstym widniał zrobiony jego ręką dopisek: “Komórka K.”. K jak Kevin - jej ostatni znany adres. Użył go ostatni raz trzy miesiące temu, a przebrnąć przez Kevina udało mu się jeszcze dawniej. Ale teraz działo się z nią coś niedobrego. Był tego pewny. Nie musiał tego nazywać przeczuciem ani atakiem paniki. Było to tym, czym było - napadem ojcowskiego lęku o dziecko.

Sięgnął po komórkę, by w telefonie na szafce nocnej od strony Mitzi nie zdradziło go światełko diody, wybrał numer Kevina, zamknął oczy i czekał, aż w słuchawce rozlegnie się rozmamłany, leniwy głos informujący go, że no wiesz, Tommy, wiesz, jak jest, sorki, ale Georgie nie ma teraz ochoty z tobą gadać, z nią wszystko w porządku, tyle że łatwo się denerwuje. Tym razem jednak postanowił się uprzeć, że musi z nią rozmawiać. I powołać się na prawa ojca, choć wcale nie uważał, że je ma. Łomot muzyki, który rozległ się w słuchawce, jeszcze upewnił go w tym postanowieniu, i podobny efekt wywarło nagranie głosu Kevina, proponującego, że jak chcesz zostawić wiadomość, koleś, to możesz zostawić, ale tu raczej rzadko się je odsłuchuje, więc lepiej się rozłączyć i dzwonić kiedy indziej - aż do chwili gdy nagranie przerwał kobiecy głos.

- Georgie?
- Kto mówi?
- To naprawdę ty, Georgie?
- No pewnie, że ja, tato. Nie poznajesz mnie po głosie?
  - Nie wiedziałem, że odbierzesz telefon. Nie spodziewałem się. Jak się masz, Georgie? Wszystko w porządku?
  - W porządku. A tobie co się stało? Bo głos masz okropny. A jak się ma nowa pani Brue? Jezu, która to u ciebie godzina? Tato?

228

Dopóki się nie uspokoił, trzymał telefon na odległość wyciągniętej ręki. Nowa pani Brue. Nowa - od ośmiu lat. I nigdy nie powie o niej: Mitzi.



- Nic się nie stało, Georgie. U mnie też wszystko gra. Ona śpi. Ja tylko okropnie się o ciebie przestraszyłem, sam nie wiem dlaczego. Ale u ciebie wszystko w porządku. A po głosie sądząc, nawet lepiej, niż w porządku. W zeszłym tygodniu skończyłem sześćdziesiąt lat... Georgie?

Nie wolno jej do niczego zmuszać, powtarzał ten wstrętny psycholog w Wiedniu. Jeżeli znowu zaczniesz milczeć po swojemu, trzeba odczekać, póki sama nie zaczniesz mówić.

- Bo po głosie jakoś nie wydawało mi się, że wszystko gra - powiedziała z wyrzutem, jakby codziennie ze sobą rozmawiali. - Myślałam, że to Kevin dzwoni z supermarketu, a to ty. Ale się zdziwiłam!
- Nie miałem pojęcia, że znowu korzystacie z supermarketów. Co kupuje?
- Wszystko. Chce wykupić cały sklep. Odbiło mu. Bo wyobraź sobie: czterdziestoletni facet od dziesięciu lat żywi się orzeszkami pinii i twierdzi, że dziecko to koniec świata. A teraz o niczym nie gada, tylko o przewijalniach, śpioszkiach z króliczymi uszami, kołyskach z falbankami po bokach i wózkach z osłoną od słońca. Czy z tobą też tak było, jak się okazało, że mama jest w ciąży? I trzeba ci było tłumaczyć, że nie masz kasy i będziesz musiał to wszystko zwrócić?
- Georgie? - Tak?
- To cudownie. Fantastycznie!... Nie wiedziałem.
- Ja sama dowiedziałam się jakieś pięć minut temu.

- A na kiedy termin, na miłość boską? Jeżeli wolno spytać. ..
- Chyba dopiero za jakieś pięćdziesiąt lat. Uwierzysz? I że Kevin już się zachowuje jak tatuś?... Teraz, jak mu przyjęli książkę, nawet chce się ze mną ożenić.

229

- Książkę? Nikt mi nie powiedział, że coś pisze.
- To taki poradnik. Jak myśleć, dieta, medytacje...
- Świetnie!
- Aha... i wszystkiego najlepszego! Przyjedź do nas kiedyś. Kocham cię, tato. Będzie dziewczynka. Kevin już postanowił.
- A mogę przysłać wam trochę pieniędzy? Żeby wam było łatwiej? Nie dla was, dla dziecka, na kołyskę z falbankami i tak dalej... - Już chciał zaproponować pięćdziesiąt tysięcy euro, lecz ugryzł się w język i poczekał, co ona powie.
- Może później. Pogadam z Kevinem i oddzwonię. Może rzeczywiście na kołyskę z falbankami... Tylko nie chcę kasy zamiast miłości. Podaj mi jeszcze raz swój numer.

Po raz dziewiętnasty, a może dziewięćdziesiąty w ciągu ostatnich dziesięciu lat Brue dyktował numery swoich telefonów: komórka, domowy, ten na biurku w banku. Zapisała? Może tym razem naprawdę zapisała.

Nalał sobie whisky. Wspaniała, niewiarygodna wiadomość. Najlepsza, jaką mógł sobie wymarzyć.

Szkoda, że Annabel nie może mu powiedzieć, że u niej też wszystko w porządku. Bo dopiero teraz sobie uświadomił, że to o Annabel, a nie o

Georgie tak się niepokoił, że dlatego obudził się, zerwał i uciekł na dół.

A więc, krótko mówiąc, piękny przypadek stuprocentowej paranoi, jak mawiał ten wstrętny psycholog w Wiedniu.

\* \* \*

Te schody to skaranie boskie.

Po co ona kupiła to mieszkanie?

Tyle tam tych niebezpiecznych zakamarków i półpięter... Kark można skrócić.

Ten plecak waży chyba z tonę. Co myśmy tam nakładli? Paski wpijają mi się w ramiona, jakby były z drutu. Jeszcze jedno piętro i będę na miejscu.

230

Udało się jej zasnąć. Po dwóch nieprzespanych nocach, gdy leżała tylko i patrzyła w sufit własnego mieszkania, wreszcie udało się jej zasnąć i spała jak dziecko, i nic jej się nie śniło.

— Issa będzie z ciebie bardzo zadowolony, kochanie - za pewniała ją Erna Frey, gdy przyszła ją obudzić. Podała jej filiżankę z kawą i usiadła na łóżku. - Będiesz miała dla niego wspaniałe wieści. Właśnie takie, jakie pragnie usłyszeć. No i za serwujesz mu pyszne śniadanko.

Powtórzyła to samo do lusterka wstecznego w samochodzie, choć oczywiście mówiła do Annabel ściśniętej na tylnym siedzeniu wraz ze swym rowerem, z którym miała wsiąść w pewnej odległości od nabrzeża:

-Tylko pamiętaj, kochanie, że nie robisz nic złego ani nieuczciwego. Ty mu przynosisz nadzieję, on ci ufa. Jogurty dałam na wierzch, żeby się nie zgmiotły. Klucz masz w prawej kieszeni kurtki. Gotowa?... No to jazda.

Nowa kłódka otwarała się lekko, żelazne drzwi musiała pchnąć oburącz, w środku cicho grało radio, wydawało się jej, że Brahms. Stała w progu przepełniona lękiem, wstydem i dręczącym, beznadziejnym smutkiem na myśl o tym, co za chwilę zrobi. Leżał pod gotyckim oknem, tam gdzie urządził sobie legowisko. Jego długie ciało owinięte było od stóp po głowę w brązowy koc, tak że tylko z jednego końca wystawał czubek jego mycki, z drugiego zaś skarpety od znanego projektanta mody — spadek po Karstenie. Obok leżał w równym rzędzie cały dobytek, jaki miał zabrać ze sobą do kolejnego więzienia: torba, złożony w kostkę czarny płaszcz oraz modne dżinsy i mokasyny, również po Karstenie. Czy nie miał na sobie nic poza skarpetami i czapką? Zamknęła za sobą drzwi i stanęła o całą długość poddasza od niego.

— Bardzo proszę, Annabel, natychmiast jedźmy do szpitala - oznajmił Issa spod koca. - Czy pan Brue przysłał już uzbrojonych strażników i śmierzący szary autobus z kratami w oknach?

231

- Niestety nie - zawołała wesoło w odpowiedzi. -1 do szpitala też nie jedziemy. Okazało się, że nie musisz już nigdzie jechać. - Przemknęła się do kuchni. - Z tej okazji przyniosłam pyszne śniadanie. Dla nas obojga. Wstaniesz i zjesz ze mną? A może chcesz się teraz pomodlić?

Cisza. Szuranie stóp w skarpetach. Przywarła do lodówki, otworzyła ją, plecak postawiła obok na podłodze.

- Nie jedziemy do szpitala, Annabel?
- Nie jedziemy - powtórzyła, gdy szuranie ucichło.
  - Wczoraj mówiłaś, że mam jechać do szpitala, Annabel. Teraz że nie muszę. Dlaczego?

Gdzie on jest? Była zbyt przestraszona, aby się obejrzeć.

- Bo to w sumie nie był najlepszy pomysł - powiedziała głośno. — Za dużo papierkowej roboty. Za dużo wypełniania formularzy, odpowiadania na kłopotliwe pytania. — Tak jej poradziła Erna Frey. - Uznaliśmy, że lepiej ci będzie tutaj.

- My?

- Pan Brue i ja.

Cały czas zasłaniaj się Brue, powiedział jej Bachmann. Skoro Issa uważa go za istotę wyższą, niech tak zostanie.

- Nie rozumiem dlaczego, Annabel.
  - Po prostu zmieniliśmy zdanie. Ja jestem twoją prawniczką, on twoim bankierem. Zastanowiliśmy się jeszcze raz i uznaliśmy, że najlepiej ci będzie tu, u mnie. Sam przecież tak chciałeś.

Zebrała się na odwagę i ogłędnęła za siebie. Stał w drzwiach, wypełniał je sobą, wciąż owinięty tym samym brązowym kocem, istny mnich o czarnych jak węgielki oczach, i patrzył, jak rozpakowuje plecak, w którym było wszystko, na co mógłby mieć ochotę, bo podyktowała Ernie Frey bardzo dokładnie: sześć-pak jogurtów, jeszcze ciepłe bułeczki z makiem, grecki miód, kwaśna śmietana, ementaler.

- Pewnie pan Brue się zmartwił, że musi dużo zapłacić za

szpital, Annabel? I dlatego zmienił zdanie?

232

- Już ci mówiłam, że to dla twojego bezpieczeństwa.
- Kłamiesz, Annabel.

Poderwała się gwałtownie i obróciła, by patrzeć mu w oczy. Teraz dzielili ich tylko metr. W każdej innej sytuacji uszanowałyby tę rozdzielającą ich niewidzialną ziemię niczyją, lecz tym razem nie ustąpiła.

- Ja nie kłamię, Issa. Powtarzam ci, że plan został zmieniony dla twojego dobra.
- Masz zaczerwienione oczy, Annabel. Piłaś alkohol?
- Ależ skąd!
- Dlaczego "ależ", Annabel?
- Bo ja nie piję.
- A powiedz, dobrze znasz tego pana Brue?
- O co ci chodzi?
- Piłaś alkohol z panem Brue, Annabel?
- Issa, dość!
  - Czy z panem Brue łączy cię to samo, co cię łączyło z tym nieodpowiednim człowiekiem w twoim poprzednim mieszkaniu?
- Issa, mówię ci, dość!

- Czy pan Tommy Brue jest następcą tego nieodpowiedniego człowieka? Czy pan Brue ma nad tobą wielką władzę? Wiadziałem, jak pożądliwie spoglądał na ciebie u Leili. Czy uległaś niskim popędom pana Brue, bo jest bogaty w sensie materialnym? Czy pan Brue uważa, że trzymając mnie tu, u ciebie, na

rzuca ci swoją wolę i przy okazji unika płacenia wielkich pieniędzy za ten szpital waszego KGB?

Wreszcie się opanowała. Nie chcemy, żeby się pani na wszystko zgadzała, tłumaczył jej Bachmann. Oczekujemy od pani pomysłowości. I zimnej krwi. I pokrętnego adwokackiego kombinowania, a nie całego tego sentymentalnego gówna, inaczej nic nam pani nie załatwi.

- Posłuchaj, Issa - rzekła uspokajająco, schylając się z powrotem do plecaka. - Pan Brue przysyła ci nie tylko coś dla ciała. Zobacz, co jeszcze mam dla ciebie.

233

Tomik w miękkiej oprawie z dwiema nowelkami Turgeniewa, *Wiosenne wody* i *Pierwsza miłość* — w oryginale.

Opowiadania Czechowa, również po rosyjsku.

Miniodtworacz płytek kompaktowych, żeby zastąpić jej stary magnetofon. Na płytkach Rachmaninow, Czajkowski i Prokofiew. Przyniosła nawet baterie, bo Erna zawsze myśli o wszystkim.

- Pan Brue lubi i szanuje nas oboje — powiedziała. - I wcale nie jest moim kochankiem. Ubzdurałeś to sobie po prostu. Nie chcemy cię tu trzymać ani jeden dzień dłużej, niż trzeba. I zrobimy co w naszej mocy, żebyś był wolny. Musisz w to wierzyć.

\* \* \*

Żółta furgonetka stała tam, gdzie dopiero co ją podwiozła. Za kierownicą siedział wciąż ten sam chłopak. Obok niego wciąż siedziała Erna Frey. Miała włączone radio, słuchała Czajkowskiego. Annabel wepchnęła do

środka rower, potem plecak, sama wcisnęła się do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- W życiu nie musiałam zrobić większego świństwa - zauważyła, patrząc przed siebie, przez przednią szybę. — Wielkie dzięki. Świetnie się bawiłam.
- Co ty wygadujesz, kochanie? - sprzeciwiła się Erna Frey. - Świetnie ci poszło. Posłuchaj, jaki jest szczęśliwy.

Radio wciąż nadawało Czajkowskiego, ale odbiór był fatalny jak rzadko i dopiero po chwili Annabel uświadomiła sobie, że słyszy również Iszę stąpającego po jej poddaszu w mokasynach Karstena i na cały głos śpiewającego fałszywym tenorem.

- A, czyli jeszcze to - powiedziała. - No pięknie!...

## 10

Z drewnianego ganku zwieszała się zasłona bluszczu. Cały maleńki, ale starannie pielęgnowany ogródek urządzone bardzo romantycznie - były tam i różane krzewy, i sadzawka z liliami wodnymi zasilana wodą z pyszczków ozdobnych żab. Sam dom też był niewielki, lecz śliczny — istny domek Królowny Śnieżki z sielską różową dachówką, choć stał nad jednym z najelegantszych kanałów w centrum Hamburga. Była dokładnie siódma wieczór. Bach-mann wiedział, że punktualność to grunt. Przyszedł ubrany w swój najlepszy urzędniczy garnitur, ze służbową aktówką w ręce. Miał też starannie wyglansowane czarne półbuty i nawet jego niesforna czupryna musiała, przynajmniej na jakiś czas, uznać wyższość lakieru do



włosów zaaplikowanego przez Ernę Frey.

- Schneider - mruknął do domofonu. Drzwi wejściowe otwarły się natychmiast po to tylko, by równie szybko zamknęła je za nim *Frau* Ellenberger.

\* \* \*

W ciągu osiemnastu godzin, które upłynęły od chwili, gdy Erna Frey odprowadziła Annabel do łóżka, Bachmann za pośrednic-

235

twem Maximiliana zasypał centralny serwer Urzędu kwerendami o wszystkich znanych ludzkości Karpowach; skontaktował się ze swym łącznikiem z austriackimi służbami specjalnymi, żeby wydobył mu choćby spod ziemi smutną historię ostatnich wiedeńskich lat banku Brue Freres; nie dawał spokoju drażliwemu szefowi zabezpieczenia ulicznego z działu Arniego Mohra o szczegóły na temat ostatniego z żyjących dyrektorów banku; wysłał analityka, żeby przetrząsnął archiwa hamburskiego urzędu skarbowego; trochę po dwunastej w południe przez godzinę nudził Michaela Axelroda na gorącej linii do Komitetu i wreszcie zażądał wszystkich akt mieszkającego w północnych Niemczech, powszechnie szanowanego muzułmańskiego uczonego, znanego z umiarkowanych poglądów i sympatycznych wystąpień w telewizji.

By otrzymać niektóre z tych dokumentów, Bachmann musiał wystąpić o specjalne zezwolenie do jednego z oddziałów Komitetu - tego, który zajmował się zwalczaniem prania brudnych pieniędzy. Erna Frey myślała chwilami, że zwariował, gdy biegał tam i z powrotem między własnym

gabinetem a pokojem analityków, palił papierosa za papierosem, zagłębiał się w rozrzuconych po całym biurku papierach i domagał się od niej zwrotu jakiegoś memorandum, które najpierw kiedyś jej wysłał, potem zapomniał, a teraz nie mógł odnaleźć w trzewiach własnego komputera.

- Ale po jaką cholere ten gość poszedł do Brytoli? - pytał raz za razem.

- Po jaką cholere ruski bandzior w austriackim mieście wybiera akurat brytyjski bank? Zgoda, powiedzmy, że Karpow senior podziwia Anglików za coś, pewnie za dwulicowość. Szanuje ich, bo potrafią łączyć jak dżentelmeni. Ale jak on do nich trafił, skurwysyn jeden? Kto go do niego posłał?

I wreszcie o trzeciej po południu - eureka! Trzymał w rękach cienką brązową teczkę z aktami wydobytymi z kazamatów prokuratury okręgowej. Miała adnotację nakazującą zniszczenie, lecz jakimś cudem nie poszła z dymem. Do Bachmanna jeszcze raz uśmiechnęło się szczęście.

236

Zasiedli naprzeciw siebie w haftowanych w kwiaty fotelach na werandzie wychodzącej z jej nieskazitelnego saloniku, jakby żywcem przeniesionego z samego środka Anglii, racząc się earl greyem z filiżanek z najcieńszej, oryginalnej angielskiej porcelany kostnej. Na ścianach - grafiki z widoczkami starego Londynu i pejzaże Constable'a, w biblioteczce, która na pewno wyszła spod ręki Sheratona- dzieła wszystkie Jane Austen, Trollope' a, Hardyego, Edwarda Leara i Lewisa Carrolla. A pod oknami werandy pucha-te wiosenne sadzonki w doniczkach od Wedgwooda.

Przez dłuższą chwilę milczeli oboje. Bachmann uśmiechał się

dobrotliwie, głównie do siebie. *Frau* Eilenberger patrzyła w zasłonięte koronkową firanką okno.

- Czy ma pani coś przeciwko nagrywaniu naszej rozmowy, *Frau* Eilenberger? - zapytał.

- Owszem, mam, *Herr* Schneider.

- W takim razie nie będę nagrywał- oznajmił z głębokim przekonaniem Bachmann, wrzucając jedno ze swych urządzeń z powrotem do torby, lecz nie przyznając się do drugiego. - Ale notatki mogę robić? — upewnił się, opierając notes na kolanie i trzymając gotowe już pióro.

- Będę się domagała kopii wszystkiego, co zechce pan umieścić w aktach - powiedziała. - Gdyby powiadomił mnie pan z większym wyprzedzeniem, poprosiłabym brata, by był przy tej rozmowie. Niestety dziś wieczór jest już zajęty gdzie indziej.

- Pani brat będzie miał zawsze prawo wglądu do naszych akt.

- Mam taką nadzieję, proszę pana - powiedziała *Frau* Eilenberger.

Gdy otwierała mu drzwi, zaczerwieniła się. Teraz była blada jak widmo i piękna. Jej wielkie wrażliwe oczy, zaczesane do tyłu włosy, długa szyja i dziewczęcy profil sprawiały, że była dla niego jedną z tych pięknych kobiet, które niezauważone przechodzą w wiek średni - i znikają.

237

- Czy możemy zacząć? - zapytał.

- Proszę bardzo.

- Siedem lat temu złożyła pani dobrowolne i zaprzysiężone zeznania przed moim poprzednikiem i kolegą, *Herr* Brenne-rem, na temat tego,

co zaniepokoiło panią w działalności pani ówczesnego pracodawcy.

- Ja nie zmieniałam pracodawcy, *Herr Schneider*.
- Wiem o tym i zapewniam panią, że potrafię to uszanować - odpowiedział niemal z czcią Bachmann i ostentacyjnie coś sobie zanotował, żeby ją uspokoić.
- Mam taką nadzieję, *Herr Schneider* — powtórzyła *Frau Ellenberger* w stronę koronkowych firanek i mocniej zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

— Niech mi będzie wolno powiedzieć, że podziwiam pani odwagę.

Nie dowiedział się, czy rzeczywiście mu wolno, bo jakby go nie usłyszała.

- Oczywiście, szczerowość też. Ale przede wszystkim odwagę. Czy mogę zapytać, co sprawiło, że podjęła pani wtedy taką decyzję?
- A czy najpierw ja mogę spytać pana, co właściwie pana do mnie sprowadza?

- Karpow - odpowiedział natychmiast Bachmann.

- Grigorij Borysowicz Karpow. Stary i ceniony klient banku Brue Freres. Banku, który dawniej miał siedzibę w Wiedniu, a obecnie mieści się w Hamburgu. Właściciel rachunku lipi-cańskiego.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, zwróciła się szybko ku niemu, trochę - jak mu się wydawało - z odrazą, ale równocześnie i z żywą, choć skrywaną satysfakcją.

— Niech mi pan nie mówi, że on ciągle bawi się w te klocki! — wykrzyknęła.

- Bez żalu mogę panią poinformować, że samego Karpowa nie ma już wśród nas. Za to jego dzieło jest wiecznie żywe.

238

I żyją też jego współpracownicy. Nie zdradzę żadnej tajemnicy służbowej, mówiąc pani, że to właśnie mnie tu dzisiaj sprowadza. Mówi się, że historia nie zatrzymuje się dla złapania tchu. Im dalej szukamy, tym dalej musimy sięgać pamięcią w przeszłość. Pozwoli pani, że zapytam: czy imię A n a t o l i j cokolwiek pani mówi? Anatolij, *consigliere* świętej pamięci Karpowa?

- Trochę mówi. Znam zresztą tylko jego imię. On wszystko załatwiał.

- Ale nigdy nie poznała go pani osobiście?

- Nie było pośredników. — Poprawiła się: - Oczywiście poza Anatolijem. Pan Edward nazywał go "załatwiaczem" Karpowa. Ale wie pan, Anatolij był nie tyle załatwiaczem, ile praczem. Bez przerwy podnosił za Karpowem jego brudy i sprawy, że wyglądały na czyste.

Bachmann zapamiętał tę interesującą przenośnię, nie drażył jednak tematu.

- A słyszała pani o Iwanie? O Iwanie Grigorijewiczu?

- O żadnym Iwanie nie słyszałam, *Herr* Schneider.

- O naturalnym synu Karpowa? Który potem zmienił imię na Issa:<sup>5</sup>

- Nie słyszałam o żadnym z potomków pułkownika Karpowa, naturalnych czy nie, chociaż nie wątpię, że było ich wielu. Pan Brue junior zadał mi to samo pytanie parę dni temu.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

I znów Bachmann udał, że puszcza tę informację mimo uszu. Zawsze chętnie pouczał młodszych kolegów - w tych rzadkich okazjach, gdy pozwalano mu na takie kontakty - że dobre przesłuchanie to takie, podczas którego nie wyważa się pierwszych zamkniętych drzwi. Najpierw dzwoni się od frontu, potem wchodzi od kuchni. Ale jak już po fakcie wyznał Ernie Frey, nawet nie dlatego powstrzymał się od pytań na ten najbardziej ich przecież interesujący temat. Bo w odpowiedzi *Frau* EUenberger było jeszcze coś — miał wrażenie, że podczas

239

gdy ona opowiadała mu jedną historię, on słuchał jakiejś innej. I ona też.

—W takim razie czy mogę panią zapytać... Znowu cofnijmy się w czasie... A więc co sprawiło, że siedem lat temu zdołała się pani na odwagę, by złożyć to zeznanie?

Chwilę trwało, nim pytanie do niej dotarło.

- Nie rozumie pan? Jestem Niemką — odpowiedziała niecierpliwie właśnie w chwili, gdy już miał zapytać jeszcze raz.
- Oczywiście.
- Wracalam wtedy do Niemiec. Do ojczyzny.
- Z Wiednia.
- Bank Freres miał właśnie otworzyć filię w Niemczech. W moim kraju rodzinnym. Chciałam... No więc chciałam... - mówiła gniewnie i równocześnie groźnie marszczyła brwi pod adresem firanek i rozpościerającego się za nimi ogrodu, jakby gdzieś tam leżała wina.
- Może chciała pani zakończyć jakiś etap? Oddzielić przeszłość grubą

kreską? — podsunął Bachmann.

- Chciałam wrócić do kraju z czystym sumieniem - odparła z nagłym ożywieniem. — Bez skazy. Rozumie pan?
- Jeszcze nie całkiem, ale chyba zaczynam rozumieć.
- Chciałam zacząć od nowa, z czystym rachunkiem. I pracę w banku, i własne życie. To chyba naturalne? Chcieć zacząć wszystko od nowa?... Ale może pan tak nie uważa, mężczyźni są inni.
- Zdaje się, że wtedy również zmarł pani szanowny wieloletni pracodawca, a bank przeszedł w ręce Brue juniora. - Używając jej określenia, zniżył głos na znak, że robi na nim wrażenie jej mentorski ton.
- Tak było, proszę pana. Z satysfakcją widzę, że dobrze się pan przygotował. W naszych czasach ludzie rzadko dobrze przygotowują się do tego, co mają zrobić. Byłam wtedy strasznie młoda - skonstatowała tonem bezstronnej autodiagnozy. - Młodsza, młodsza nad wiek, proszę pamiętać. W porównaniu z dzisiejszą

240

młodziwą byłam niemowlątkiem. Pochodzę z biednej rodziny, absolutnie nic nie wiedziałam o świecie.

-Ależ to naturalne! - zaprotestował Bachmann, dostrajając się do jej oburzenia. - Była pani bez doświadczenia, pierwszy raz w takiej sytuacji! Dostała pani polecenie służbowe, musiała je pani wykonać. Była pani młoda, bez doświadczenia życiowego, no i musiała pani być posłuszna. Więc czy nie jest pani jednak dla siebie trochę zbyt surowa?

Czy ona w ogóle go słuchała? Bo jeśli słuchała, to dlaczego się

uśmiechnęła? Głos też jej się zmienił, stał się młodszy. Gdy odezwała się znowu, zabrzmiał w nim jakiś jaśniejszy ton, spokojniejszy, świeższy, z lekkim wiedeńskim akcentem, przez co nawet jej najsurowsze stwierdzenia nabierały pewnego przebaczącego blasku. Wraz z odmłodniałym głosem młodniała jej figura - była wciąż wyprostowana, pełna godności i szacunku, ale już bardziej ruchliwa i zalotna w gestach. A co dziwniejsze, nawet jej sposób mówienia nabrał teraz cech, które musiały miło brzmieć w uszach kogoś wyższego stanowiskiem i starszego wiekiem, choć przecież Bachmann nie spełniał ani jednego, ani drugiego z tych warunków; i w tym nieświadomym akcie retrospektywnego brzuchomówstwa przywoływała nie tylko głos własnej utraconej młodości, lecz także głos, którym posługiwała się w tym, co łączyło ją z opisywanym właśnie człowiekiem.

- W moim ówczesnym otoczeniu, proszę pana, było wiele młodych osób, które zrobiłyby wszystko, absolutnie wszystko — to jej wspomnienie było pełne dezaprobaty, a równocześnie czułości - byle zwrócić na siebie uwagę pana Edwarda. — Imię to było wciąż tak dla niej drogie, tak bardzo jej. I wciąż jeszcze potrafiła się nim cieszyć. -Ale ja byłam zupełnie inna. On zwrócił na mnie uwagę właśnie dlatego, że byłam taka pełna rezerwy. Sam mi to powiedział: "Elli, jak się chce znaleźć niewolnika, który będzie się tarzał w gównie, jeśli mu się każe, najlepiej szukać w ostatnich rzędach tłumu". Czasem używał takich mocnych słów- dodała rozmarzona. - Z początku mnie



prawdziwym dżentelmenie, jakim był pan Edward, czegoś takiego się nie spodziewałam. Potem już było dobrze. Tak jakoś prawdziwie — powiedziała z dumą i znów zamilkła.

- A pani miała wtedy zaledwie... No właśnie, ile lat? - zapytał po chwili Bachmann, bardzo delikatnie, by przypadkiem nie zaburzyć nastroju.
- Dwadzieścia dwa. Ale szkołę sekretarek ukończyłam z najlepszymi stopniami. Widzi pan, mój ojciec zmarł, kiedy byłam bardzo młoda. Zresztą mogę panu powiedzieć, że to była bardzo tragiczna śmierć. Podobno się powiesił, tyle że oficjalnie niczego nie wiedziałam, jestem z katolickiej rodziny. Wujek ze strony mamy był księdzem w Passau, z dobroci serca wziął nas wtedy do siebie. No a w Passau w grę wchodził tylko katolicyzm, cóż innego? Niestety z biegiem lat wujek zrobił się dla mnie trochę zbyt dobry, więc chociaż mama była temu przeciwna, wolałam na wszelki wypadek wyjechać do szkoły dla sekretarek w Wiedniu. Tak... No cóż... Prawda jest taka, że mnie nie uszanował, jeśli musi pan wiedzieć. Wtedy prawie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Taka byłam niewinna.

I znów zamilkła.

- I bank Brue Freres był pani pierwszą pracą po szkole? - zapytał Bachmann.
- Mogę panu powiedzieć tylko tyle — mówiła dalej *Frau Ellenberger* w odpowiedzi na pytanie, którego wcale jej nie zadał — że pan Edward zawsze traktował mnie z najwyższym szacunkiem.
- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem.
- Pan Edward był uosobieniem przyzwoitości.
- Mój Urząd wcale nie twierdzi, że nie był. Uważamy, że kto inny

sprowadził go na złą drogę.

- Był Anglikiem w każdym calu i w najlepszym tego słowa znaczeniu. Kiedy mi się zwierzał, byłam z tego dumna. Gdy zapraszał mnie na jakieś spotkanie towarzyskie, na przykład na

242

*justa little dinner*— z rozkoszą zacytowała angielski zwrot — zanim po długim i pracowitym dniu wracał odpoczywać na łonie rodziny, schlebiało mi, że wybierał właśnie mnie.

- Nic dziwnego.
- Nie przejmowałam się znanym tym, że mógłby być nie tylko moim wujkiem, ale prawie dziadkiem - dodała surowo, jakby do protokołu. - Ponieważ zdażyłam się przyzwyczać, skoro już wcześniej interesował się mną inny starszy mężczyzna, uznawałam, że w mojej sytuacji to coś całkowicie naturalnego. Tylko że pan Edward miał klasę. Był inny niż wujek. Kiedy wreszcie powiedziałam mamie, co zaszło między mną a moim pracodawcą, wcale nie uważała, że stało się źle. Wręcz przeciwnie, powiedziała mi, że bym tego nie zepsuła jakimiś małostkowymi zastrzeżeniami. I że pan Edward, który ma tylko jednego syna, na pewno nie zapomni o ładnej młodej dziewczynie, która w jesieni życia darzyła go czułością i przyjaźnią.
- I nie zapomniał, prawda? - wtrącił Bachmann, rozglądając się z uznaniem po pięknym salonie, lecz ona znowu go nie słuchała. Miał zresztą wrażenie, że nie słucha już nawet własnych słów.
- A czy potrafiłaby pani określić, w którym dokładnie momencie - odezwał się wesoło, jakby zaczynał całą rozmowę od nowa — wasze

wspólne szczęście zakłóciło pojawienie się pułkownika Karpowa,  
jeśli mogę tak to ująć?

\* \* \*

Czy naprawdę tego nie usłyszała?

Nie dotarło do niej?

Bo przecież brwi uniosła tak wysoko, jak tylko mogła, i przechylała  
głowę na bok, jakby słuchała uważnie. Nagle wyrecytowała kolejny  
fragment swojego zeznania:

- Pojawienie się Grigorija Borysowicza Karpowa jako jed-  
nego z ważniejszych klientów banku Freres miało miejsce w tym

243

samym czasie co zupełnie niespodziewane, ale całkowite skonsumowanie  
mojego związku z panem Edwardem. Ani wówczas, ani teraz nie  
potrafiłabym określić, które z tych dwóch zdarzeń nastąpiło wcześniej,  
które później. Pan Edward zaczął się zachowywać, że tak powiem, jakby  
właśnie rozpoczął drugą albo i trzecią młodość. Swoje zainteresowanie  
mną objawiał bardzo zdecydowanie i z wyraźnie większym zapałem niż  
wielu znacznie młodszych mężczyzn z wiedeńskiego środowiska bankier-  
skiego. - Zamyśliła się na chwilę, zaczęła coś mówić, pokręciła głową i  
łobuzersko uśmiechnęła się do swych wspomnień. — Naprawdę bardzo  
zdecydowanie, jeżeli to pana ciekawi. — Zaraz jednak i ten nastrój prysł. -  
Zdaje się, że pytał pan kiedy... Pewnie chodzi panu o to, kiedy tamten  
pojawił się na scenie. Kiedy pojawił się Karpow. Tak?

•Mniej więcej.

- W takim razie opowiem panu o Karpowie.
- Bardzo proszę.
  - Bardzo chciałoby się powiedzieć, że Karpow był typowym rosyjskim niedźwiedziem, ale to byłaby tylko połowa prawdy. Na pana Edwarda działał jak lekarstwo na młodość. Powiedział mi kiedyś: "Karpow zastępuje mi hiszpańską muchę". Karpowa brak poszanowania dla uznanych norm postępowania poruszał w duszy pana Edwarda jakieś podobne struny. W tygodniach poprzedzających powstanie systemu lipicańskiego pan Edward jeździł do Pragi, Paryża i Berlina Wschodniego po to tylko, by poznać naszego nowego klienta.
- Zabierał panią?
  - Czasem tak, czasem nie. Prawdę mówiąc, częściej tak. A czasem jechał z nami jeszcze kochany Anatolij z tą swoją aktó-weczką. Zawsze się zastanawiałam, co on w niej nosił. Broń?... Pan Edward twierdził, że pidżamkę. Proszę sobie wyobrazić, że nawet do nocnych klubów ją zabierał! A jak płacił, zawsze z niej. Ale nie ze środka, tylko z zewnętrznej kieszeni, bo tam trzymał banknoty. Do samej aktówki nigdy nie udało nam się zajrzeć.

244

Jej zawartość była ściśle tajna. Poza tym on był łysy i z jakiegoś powodu to było jeszcze śmieszniejsze.

Pozwoliła sobie na dziewczęcy chichot.

- Z Karpowem nie można było się nudzić ani przez chwilę. Przy każdym spotkaniu wychodziło z niego to chamstwo, to kultura i nigdy nie było wiadomo, czy teraz kolej na jedno czy na drugie. - Nagle

zmarszczyła brwi i poprawiła się: - Coś panu powiem. Pułkownik Karpow był prawdziwym i pełnym zapału amatorem wszystkich dziedzin sztuki, muzyki i literatury. A nawet fizyki. No i oczywiście kobiet też, to rozumie się samo przez się. Po rosyjsku na pewno powiedziałby, że jest *kul-turnyj*. Kulturalny.

•Dziękuję — powiedział Bachmann, pilnie zapisując w notesiku.

Mówiła dalej tym samym surowym tonem:

- Potrafił hulać aż do świtu w nocnym klubie, przy czym mogę powiedzieć, że na górę wchodził po dwa albo i trzy razy. Ale między jedną a drugą bytnością u tych kobiet gawędził o literaturze i natychmiast po wyjściu z klubu pędził do galerii sztuki i zwiedzał zabytki. Snu w naszym znaczeniu właściwie nie praktykował. Wyjazdy na spotkania z nim były i dla mnie, i dla pana Edwarda nieprzerwanym pasmem zdobywania wiedzy.

Surowość znów ją opuściła, zaczęła śmiać się cicho i kiwać głową z boku na bok. Dla towarzystwa Bachmann obdarzył ją swym klaunowskim uśmiechem.

- A czy przy tych spotkaniach rozmawiano otwarcie o kontaktach lipicańskich? - zapytał. - Może o tym mówili tylko obaj panowie, w tajemnicy, cicho, sza? Najwyżej jeszcze z Anatolijem, jeżeli akurat też tam był?

Kolejne niepokojące milczenie. Na to wspomnienie twarz jej stała się całkiem bez wyrazu.

- Och, pan Edward był bardzo skryty, nawet gdy doskonale się bawił, zapewniam pana! — poskarżyła się, dając do zrozumienia, że rozumie pytanie, lecz nie odpowiada na nie bezpośrednio.

nio. - W sprawach bankowych, no cóż, to chyba oczywiste. Ale podobnie było w sprawach prywatnych. Czasem zastanawiałam się, czy byłam tylko ja... oczywiście oprócz pani Brue. Potem pani Brue umarła — dodała niechętnie. — Był zrozpaczony, tego jestem pewna. To naprawdę takie smutne. Bo wie pan, myślałam, że może się pobierzemy, ale okazało się, że tego nie miał w planach. W jego planach nie było miejsca dla biednej Elli.

- Z tego co pamiętam z pani zeznania, był też bardzo skryty, jeśli chodzi o swego angielskiego przyjaciela, pana F i n - d l a y a - przypomniał jej Bachmann, jakby nigdy nic, zadając właśnie to pytanie, które przyszedł tu zadać.

\* \* \*

Spochmurniała. Nie chciała o tym mówić. Wysunęła do przodu brodę, wargi zacisnęła.

- Bo chyba tak się nazywał, prawda? Findlay?... Ten tajemniczy Anglik? - lekko naciskał Bachmann. - Tak jest w pani zeznaniach. A może się mylę?
- Nie. Nie myli się pan. To F i n d l a y się mylił. Całkowicie się mylił.
- Findlay, ten geniusz zła, który stał za rachunkami lipi-cańskimi?
- Pan Findlay nikogo nie powinien interesować. Pana Fin-dlaya należy natychmiast i nieodwołalnie puścić w niepamięć, to właśnie powinno spotkać naszego pana Findlaya — powiedziała i zmieniła ton na taki, jakim recytowałyby staroświecki okrutny wierszyk dla dzieci: - Pana Findlaya powinno się pokroić na małe kawałeczki i wsadzić do

garnka, niech się gotuje, aż zmięknie!

Nagły energiczny wydech, na którym wypowiedziała te ostatnie słowa, potwierdził narastające już od dłuższej chwili podejrzenia Bachmanna, że choć piją teraz angielską herbatkę z filiżanek z pięknej porcelany na srebrnej tacy, choć obok stoi srebrny czaj-

246

niczek, srebrny dzbanek z mlekiem i drugi z wrzątkiem, to woń, która od czasu do czasu docierała do niego wraz z jej słowami, pochodziła od czegoś znacznie mocniejszego niż herbata.

- Aż taki był niedobry? — zdziwił się Bachmann. — Żeby aż na kawałeczki? Rzeczywiście sobie zasłużył? — Ona jednak na powrót skryła się w swych wspomnieniach, więc równie dobrze mógłby mówić do siebie. - Zresztą świetnie panią rozumiem.

Ja też bym był bardzo zły, gdyby ktoś oszukał mojego pracodawcę. Patrzyć, jak ktoś wiedzie na manowce własnego szefa...

- Bez odpowiedzi. - No ale ten pan Findlay musiał mieć silną osobowość, prawda? Bo żeby sprowadzić pana Edwarda na złą drogę, poznać go z rosyjskimi bandytami, takimi jak Karpow i ten jego załatwiacz...

Tym razem udało mu się zdjąć z niej urok.

• Jaka tam osobowość! Nic podobnego! - obruszyła się *Frau*

Ellenberger. - On w ogóle nie miał własnej osobowości. Pan Findlay składał się wyłącznie z cech skradzionych innym ludziom! - Po czym szybko przyłożyła dłoń do ust, by nic więcej z nich nie wyszło.

• A jak ten Findlay wyglądał? Niech mi go pani opisz.

- Oślizgły. Zły. Wymuskany. Ciągłe miał suchy katar.
- A wiek?
  - Czterdzieści lat. Ale może tylko na tyle wyglądał. Bo cień miał znacznie starszy.
  - A wzrost? Ogólny wygląd? Może pamięta pani jakieś znaki szczególne?
- Rogi, długi ogon i bardzo silny odór siarki. Bachmann pokręcił głową ze zdziwieniem.
- Pani chyba nie bardzo go lubiła, prawda?

*Frau* Ellenberger przeszła kolejną ze swych nagłych przemian. Usiadła sztywno jak nauczycielka, wydeła wargi i spojrzała na niego z ostrym wyrzutem.

- Jeżeli ktoś doprowadza do tego, że z życia kobiety znika mężczyzna, ktoś, z kim była związana uczuciowo, komu obja-

247

wiała się w pełni swej kobiecości, to chyba zrozumiało, że tego kogoś traktuje się z odrazą i podejrzliwością, tym bardziej że jest kusicielem winnym... winnym utraty honoru zawodowego pana Edwarda.

- Często go pani spotykała?
  - Tylko raz, ale to wystarczyło, by wyrobić sobie zdanie na jego temat. Umówił się na spotkanie, podając się za zwykłego klienta. Przyszedł do banku i odbyłam z nim niezobowiązującą rozmowę w poczekalni, bo to należało do moich obowiązków. I w banku był tylko ten jeden raz. Ale odtąd jego zły czar już działał, ja zaś zostałam całkowicie



odsunięta od wszystkiego. Przez nich obu.

- W jaki sposób?
  - Zdarzało się, że mieliśmy z panem Edwardem trochę czasu dla siebie. Sam na sam. A może coś mi dyktował, mniejsza z tym. Dzwonił telefon. Findlay. Wystarczyło, że pan Edward słyszał jego głos, zaraz mówił: "Elli, idź poprawić makijaż". Jeżeli Findlay chciał się spotkać z panem Edwardem, spotkanie odbywało się w mieście, nigdy w banku. Właśnie na tym polegało moje odsunięcie. "Nie dziś wieczór, Elli. Idź do mamy, ugotuj jej rosół".
- Czy wypominała pani panu Edwardowi takie traktowanie?
  - Odpowiadał wtedy, że bywają na świecie takie tajemnice, że nawet mnie nie może ich zdradzić, i że jedną z tych tajemnic jest Teddy Findlay.
  - Teddy?
  - Tak miał na imię.
- Chyba mi tego pani przedtem nie mówiła.
  - Nie miałam zamiaru. Zresztą chciał, żeby zwracała się do niego po imieniu. On tak się do mnie zwracał, ale oczywiście tylko przez telefon. A przecież odbyliśmy tylko jedną rozmowę w poczekalni, kiedy gawędziliśmy o byle czym. Poza tym ciągle udawał. To była jego najważniejsza cecha: ciągle udawanie. Może mi pan wierzyć, że w zwykłej rozmowie nie pozwoliłabym na

248

taką poufałość. Pan Edward chciał, żebym udawała rozbawienie jego impertynencją, więc naturalnie udawałam.

- A dlaczego jest pani taka pewna, że to Findlay stał za operacją z lipizzanerami?
- On ją planował!
- Z Karpowem?
  - A czasem z Anatolijem działającym z polecenia Karpo-wa. Tak przynajmniej mi to wyglądało. Z daleka. Ale pomysł był jego, Findlaya. Jak się przechwalał! "Moje lipizzanery". "Z mojej stajni". A tak naprawdę mówił: "pan Edward jest mój". Z góry wszystko ukartował. Biedny pan Edward nie miał szans. Skusił go. "Najpierw żartobliwa czarująca rozmowa telefoniczna, prośba o spotkanie, oczywiście osobiste, w cztery oczy, bez świadków, nic oficjalnego. Potem już bardziej oficjalnie: piękne zaproszenie do ambasady brytyjskiej na drinka z samym ambasadorem. Ładne mi "oficjalnie"! Nic, co wiązało się z lipizzanerami, nie było oficjalne! Wręcz przeciwnie. Gdyby odnieść to do koni, można powiedzieć, że od samego początku chodziło o stare szkapy na dopingu udające konie pełnej krwi! Jedno wielkie oszustwo!
- A tak, rzeczywiście, ambasada... - Bachmann potaknął mętnie, jakby tylko na chwilę zapomniał o roli ambasady. Bo każdy, kto choć trochę umie prowadzić przesłuchanie, wie, że nie należy zaczynać od wyważenia drzwi. Tymczasem wątek ambasady był mu dotąd całkowicie nieznany. I jemu, i Ernie Frey. W zeznaniach *Frau Ellenberger* przed siedmiu lat nie było nic, co wskazywałoby na udział w całej sprawie ambasady brytyjskiej w Wiedniu.
- A w ogóle jak to było z ambasadą? - zapytał, udając zakłopotanie. -

Czy mogłaby mi pani to przypomnieć, bo chyba jednak nie jestem tak do końca przygotowany.

- Pan Findlay podawał się z początku za brytyjskiego dyplomata — odpowiedziała z gryzącą ironią. — Za nieoficjalnego dyplomata, jeżeli coś takiego istnieje, w co wątpię.

249

Sądząc z wyrazu twarzy Bachmanna można by przypuszczać, że i on w to wątpi, chociaż niegdyś sam był właśnie kimś takim.

- Potem zaczął o sobie mówić “doradca finansowy”, ale moim zdaniem nie miał nic do czynienia ani z doradzaniem, ani z finansami. Był oszustem, niczym więcej.
- A więc lipizzanery zawdzięczają swe istnienie ambasadzie brytyjskiej w Wiedniu? - zastanawiał się głośno Bachmann. - No oczywiście! Teraz sobie przypominam. Przepraszam. Ze też wyleciało mi to z głowy!
- A ja nie mam najmniejszych wątpliwości, że właśnie tam wymyślono cały ten plan z lipizzanerami. Pan Edward przedstawił mi jego zarysy tego samego wieczoru, kiedy wrócił z pierwszego spotkania w ambasadzie. Byłam wstrząśnięta, ale nie miałam prawa tego okazywać. A potem wszelkie uściślenia i poprawki pojawiały się po spotkaniach z panem Findlayem. Albo w jakimś mieście za granicą, albo w Wiedniu, ale wtedy zawsze z dala od banku, albo przez telefon, za to w bardzo oględnej formie, czyli słownym szyfrem, jak zawsze mawiał pan Edward. Tego zwrotu przedtem nigdy nie używał. Zegnam pana, *Herr Schneider*.

• Dobranoc, *Frau* Ellenberger.

Bachmann jednak nie ruszył się z miejsca. Ona też nie. Jak później zwierzył się Ernie Frey, jeszcze nigdy w całej swojej karierze nie miał równie wyraźnego przeblýsku jasnowidzenia. Oto *Frau* Ellenberger kazała mu odejść, lecz on nie odszedł, wiedział bowiem, że ona ogromnie pragnie jeszcze mu coś powiedzieć, tylko się boi. I że jest rozdarta między poczuciem lojalności a własnym oburzeniem. Nagle okazało się, że wygrało oburzenie.

- A teraz wrócił — szepnęła, szeroko otwierając oczy ze zdu mieniem. — I chce zrobić dokładnie to samo z biednym panem Tommym, który swemu ojcu nie dorasta nawet do pięt. Pozna łaam go po głosie, jak tylko zatelefonował. I wie pan, co jeszcze poczułam? Zapach siarki! Bo to wcielony Belzebub. Foreman,

250

Teraz tak się przedstawia. Foreman! Czemu nie Superman? On zawsze musi być pierwszy i najlepszy!

\*\* \*

Niespełna sto metrów od miejsca, gdzie czekał samochód Bach-manna, rozciągał się nad jeziorem mały zagajnik z prowadzącą przezeń krętą dróżką. Kiedy Bachmann podał kierowcy teczkę, zapragnął naraz przejść się w samotności. Po chwili zobaczył ławkę. Usiadł. Zapadał zmierzch, w Hamburgu zaczynała się właśnie *magic hour*. W głębokiej zadumie wpatrywał się w ciemniejącą taflę jeziora i wznoszące się wokół niej światła wielkiego miasta. Przez tę krótką chwilę, jak złodziej ogarnięty

nagle wyrzutami sumienia, miał wrażenie, że okradł nie tę osobę, którą chciał. Pokręciwszy głową, by odgonić tę chwilową słabość, wydobył telefon komórkowy z kieszeni swego urzędniczego garnituru i wybrał numer bezpośredniej linii do Michaela Axelroda. -Tak, Günther?

- Angole też polują na to co my - powiedział. - Tylko że bez nas.

\* \* \*

Przez telefon trudno było o miłą rozmowę niż z łanem Lan-ternem, to już Brue musiał mu przyznać. Lantern przeproszał co drugie słowo, rozumiał doskonale, że Tommy ma okropnie napięte terminy i że nawet by mu się nie śniło narzucać, tylko że Londyn nie daje mu chwili wytchnienia.

- Niestety, więcej nie mogę powiedzieć przez telefon.

Muszę się z tobą umówić na rozmowę w cztery oczy, Tommy. Na wczoraj. Powinna wystarczyć godzina. Powiedz mi, gdzie i o jakiej porze, to będę.

Brue nie był taki głupi. Zaczął ostrożnie.

251

- A czy przypadkiem nie chodzi o tę sprawę, o której już tyle rozmawialiśmy przy lunchu? — zapytał, na razie nie ustępując ani na krok.
- Trochę tak. Nie do końca, ale jakiś związek jest. Znowu upiory z przeszłości, choć nic groźnego. Dla nikogo. W sumie to nawet z korzyścią dla ciebie. No, jedna godzinka i będzie po krzyku.

Uspokojony Brue zerknął do terminarza, mimo że wcale nie musiał. W środę Mitzi chodziła do opery, razem z Bernhardem wykupili sobie abonament. Brue miał z tego kolację na zimno w lodówce albo na ciepło z partią snookera w klubie: i przed takim oto pięknym wyborem stawał co środę.

- Może być siódma piętnaście u mnie w domu? - Zaczął podawać adres, lecz Lantern mu przerwał:
- Ekstra, Tommy. Będę jak w zegarku.

I był. Przyjechał samochodem, kierowca czekał na zewnątrz. Przyniósł nawet kwiaty, oczywiście dla Mitzi. I ten swój cholerny uśmiech, który nie schodził mu z twarzy, gdy pił wodę sodową z lodem i plasterkiem cytryny.

- Nie, dziękuję, postoję, jeśli wolno — powiedział dobrodusznie, kiedy Brue wskazał mu fotel. - Trzy godziny na autostradzie. Muszę rozprostować kończyny.
- A nie lepiej było pociągiem?
- Właśnie, może lepiej, nie?

Brue zatem także nie siadał. Założył ręce do tyłu i miał nadzieję, że zachowuje się jak uprzejmy, choć nieco zniecierpliwiony człowiek, który ma mnóstwo do roboty, tymczasem ktoś zawraca mu głowę w jego własnym domu, toteż oczekiwałby jakiegoś wyjaśnienia.

-Jak mówiłem, obaj mamy mało czasu, Tommy, więc najpierw wytłumaczę ci, na czym polega twój kłopot, a potem przypatrzymy się innemu kłopotowi, który jest już całkiem nasz. Może być?

- Jak chcesz.

— A przy okazji: ja jestem od terroru. Bo chyba nie wspomnieliśmy o tym przy lunchu. Czy wspomnieliśmy?

- Chyba nie.

• Aha, nie bój się, że Mitzi mnie tu zastanie. Jeżeli ona i ten jej kochaś postanowią wyjść w antrakcie, moje chłopaki zaraz nas o tym uprzedzą. Może jednak usiądź i dokończ tę whisky?

• Nie, dziękuję, postoję.

Lantern bardzo się zmartwił, mimo wszystko ciągnął:

— Przyznam ci się, Tommy, że głupio się czułem, jaki mi mój niemiecki kolega opowiedział, że ty nie tylko wiesz, co się dzieje z niejakim Issą Karpowem, ale jeszcze spędziłeś z nim pół nocy, i to przy świadkach. Trochę wyszliśmy przez to na głupków. A przecież nie powiesz, że cię nie pytaliśmy, co?

- Chcieliście, żebym was poinformował w wypadku, gdyby zgłosił się po pieniądze. Nie zgłosił się. Ani wtedy, ani później.

Lantern przyjął do wiadomości tę odpowiedź, lecz wyłącznie z szacunku należnego osobie starszej. Widać było, że niezupełnie go zadowolila.

— Szczerze mówiąc, byłeś w posiadaniu całego mnóstwa informacji, które bardzo by nam się przydały. I to my prowadzilibyśmy w tej grze, zamiast najeść się wstydu przed szkopami.

- W jakiej grze?

Uśmiech Lanterna zabarwił się żalem. - To muszę niestety zostawić bez komentarza. Wiesz, Tommy, w naszej branży mówi się tylko tyle, ile trzeba.

• W mojej też.

- A właśnie, Tommy. Zamówiliśmy sobie taką małą analizę twojej motywacji. To znaczy my do spółki z Londynem. I sytuacji rodzinnej. Czyli masz córkę z pierwszego małżeństwa... Georgie, tak? Twoja córka z Sue... Nikt właściwie nie wie, czemuście się rozeszli. Zawsze uważam, że to bardzo smutne. Bo jestem zdania, że pochozny rozwód jest poniekąd jak śmierć. Wiem doskonale, że moi starzy już się po rozwodzie nie pozbierali. Zresztą ja pewnie też do końca się z tym nie pogodziłem.

253

Ale najważniejsze, że teraz jest w ciąży. Mówię o Georgie. Musisz się strasznie cieszyć.

- Co ty wygadujesz, do diabła? Zajmij się swoimi sprawami, dobrze?
- Ależ my tylko próbujemy wykombinować, dlaczego tak nam się z tobą ciężko współpracuje i co jeszcze ukrywasz. Albo kogo kryjesz. Czy tylko siebie? Tak się zastanawiamy. Czy chodzi ci przede wszystkim o Brue Freres? A może o młodego Kar-powa, bo jakoś tam przypadł ci do gustu? Trzeba przyznać, że łągałeś jak z nut, Tommy. Zrobiłeś nas na szaro. Z żalem, bo z żalem, ale musieliśmy to przyznać.
- O ile sobie przypominam, wy też nie byliście szczególnie prawdomówni.

Lantern puścił tę uwagę mimo uszu.

- No, ale jak tylko rzuciliśmy okiem na dość opłakany stan finansów Brue Freres — ciągnął już weselej - i obliczyliśmy z grubsza, ile musiał u was mieć stary Karpow, zaraz odnieśliśmy wrażenie, że



lepiej cię rozumiemy: ach, Tommy'emu o to chodzi! Ma nadzieję, że miliony Karpowa zapewnią mu wygodną emeryturę. Nic dziwnego, że nie chce, żeby ktokolwiek się o nie upomniał. Jak byś to skomentował?

- Może założmy, że macie rację? — warknął Brue. — A teraz wynoś się z mojego domu.

Młodzińczy uśmiech Lanterna stał się jeszcze szerszy i jeszcze bardziej współczujący.

- Niestety, Tommy, to nie najlepszy pomysł. Również z twojego punktu widzenia. Poza tym podobno w grę wchodzi pewna panienska...
- Co za bzdury! Nie mam żadnej panienski. Kompletny bezsens. Chyba że masz na myśli tę adwokatkę chłopaka... - rozpaczliwie udawał, że usiłuje sobie przypomnieć. — Tę *Frau* Richter. Mówi po rosyjsku. Załatwia mu azyl i tak dalej.

-1 jest całkiem niezła, wiemy, wiemy. Oczywiście jeśli lubi się takie filigranowe laseczki. Ja osobiście lubię.

254

- Nie zwracałem uwagi. Niestety w moim wieku już się człowiek tak nie przygląda, jak to określiłeś, laseczkom.

Zastanawiając się, dlaczego Brue musiał akurat teraz zrobić tę krytyczną uwagę na temat własnego wieku, Lantern swobodnym krokiem podszedł do komody i jeszcze swobodniejszym gestem dolał sobie wody sodowej.

- Na tym właśnie polega twój problem, Tommy. Zresztą w odpowiednim czasie będę miał na ten temat jeszcze trochę do

powiedzenia. Ale tymczasem pozwól, że ci się zwierzę, na czym z kolei polega mój problem, który szczerze mówiąc, przez ciebie zrobił się jeszcze większy. Mogę?

- Co możesz?
- Przecież mówię. Opisać ci w szczegółach, w jakie gówno nas wpakowałeś. Słuchasz czy nie?
- No przecież słucham.

-1 bardzo dobrze. Bo jutro tu, w Hamburgu, punktualnie o dziewiątej rano udaję się na bardzo trudne i niezwykle tajne zebranie, którego tematem będzie nie kto inny, tylko Issa Kar-pow, którego rzekomo nie widziałeś na oczy. A widziałeś.

Nagle stał się zupełnie inny: pouczał, nie znosił sprzeciwu, był jak Napoleon. Jego głos pobrzmiwał rytmem niespodziewanych słów jak dźwięki źle nastrojonego fortepianu.

- I na tym zebraniu, Tommy, właśnie przez ciebie przeżyję ciężkie chwile... Nie tylko ja, cała moja firma, każdy, kto usiłuje zachować się jak trzeba w tej niezwykle delikatnej sytuacji: Londyn, Niemcy i jeszcze inne zaprzyjaźnione służby, których tu teraz nie wymienię... Otóż bardzo by nam było na rękę, gdybyśmy mogli oświadczyć, że ty, pan Tommy Brue, dyrektor banku Brue Freres, jako szczerzy brytyjski patriota i zaprzysięgły wróg terroryzmu, jesteś nie tylko gotowy, ale wręcz palisz się do tego, by współpracować ze mną w dowolny sposób, jakiego będzie wymagała ta ściśle tajna operacja, 1której przynajmniej na razie nie będziesz wiedział nic a nic. 2moje pytanie brzmi następująco: czy mam rację? Będziesz

nam pomagał czy tak jak dotychczas przeszkadza! w prowadzeniu wojny z terrorem?

Nie dał Tommy'emu czasu na ripostę. Za to przestał piorunować i już użalał się nad swym rozmówcą:

- Bo widzisz, Tommy, niezależnie od twojej dobrej woli, do której w tej chwili apeluję, sam zobacz, jak wszystko sprzysięgło się przeciwko tobie. Zaraz będziesz miał zarząd komisaryczny, i to przed postawieniem ci zarzutów o pranie brudnych pieniędzy. A jeszcze dodaj do tego, co Niemcy powiedzą, jak się okaże, że jeden z zamieszkałych w ich pięknym kraju brytyjskich bankierów idzie rączka w rączkę ze zbiegłym z aresztu znanym islamskim terrorystą. Aż strach pomyśleć!... Będziesz miał przesrane. Nie lepiej więc przestać się stawiać i jeszcze coś z tego mieć? Rozumiesz mnie? Bo ja nie jestem pewny, czy rozumiesz. Mam ci teraz opowiedzieć o Annabel?
- A więc szantaż? - podsumował Brue.
- Powiedzmy, że metoda bata i marchewki, Tommy. Jak nam się uda, stare grzechy banku pójdą w zapomnienie, w City też będą cię bardziej lubić, a bank Brue Freres dostanie jeszcze jedną szansę. No co, dalej uważasz, że to nieuczciwa propozycja?
- A chłopak?
- Jaki chłopak?
- Issa.
- Ach, tak... Zapomniałem, jaki z ciebie dobroczyńca. No, to już, oczywiście, zależy od tego, jak dobrze odegrasz swoją rolę. W każdym

razie on jest własnością Niemców. My nie możemy mieszać się w ich wewnętrzne sprawy, sami zdecydować. Ale przecież głowy mu nie urwą, takich rzeczy się tutaj nie robi.

• A *Frau* Richter? Co niby ona zrobiła?

—Annabel? Cóż, ona też jest w tym po pachy. Przynajmniej teoretycznie: kontaktowała się nim, ukryła go gdzieś, pewnie się też z nim pieprzyła.

- Pytałem, co z nią będzie.

256

• Wcale nie. Pytałeś, co takiego zrobiła, więc ci powiedziałem.

Wiadomo, co z nią zrobią. Jeżeli mają chociaż trochę rozumu, postawią ją na nogi, otrzepią z kurzu. Ma cholernie mocne plecy, ale to chyba wiesz.

• Teraz wiem.

• Pierwszorzędna rodzina, sami prawnicy, stara gwardia dyplomacji, do tego z arystokratycznymi tytułami, chociaż ich na co dzień nie używają. Posiadłości w Bryzgowii. Ja bym im radził, żeby dali jej po tyłku i odesłali do domu, tak to się robi w tym kraju.

• Czyli ja mam wam wystawić za moje usługi czek *in blanco*\*. To mi chciałeś powiedzieć?

• Szczerze mówiąc, w sumie tak, Tommy. Podpiszesz, co trzeba, my puszczamy wszystko w niepamięć i odtąd działamy razem. I cieszymy się, że łączy nas taka wielka sprawa. Wielka nie tylko dla nas, ale dla wszystkich. Za wolność naszą i waszą.

Mimo to Brue bardzo się zdziwił, że naprawdę musiał podpisać

dokument, który przy dokładnej lekturze pod wieloma względami rzeczywiście zaczynał przypominać czek *in blanco*. Teraz spoczywał w grubej brązowej kopercie w kieszeni marynarki Lanterna, a zobowiązywał Brue do bliżej nieokreślonego “działania w sprawie wagi państwowej” i zwracał jego uwagę na liczne drakońskie zapisy w ustawie o ochronie tajemnicy państwowej oraz na kary, jakie mu grożą w wypadku niestosowania się do tychże zapisów. Dziwił się też jeszcze jednemu — samemu sobie, gdy najpierw spojrział na Lanterna, potem, jakby szukając pomocy, rozglądał się po pokoju, a że pomocy nie znalazł, podpisał.

Lantern wyszedł.

Brue stał we własnym holu i nie mogąc ze złości ruszyć się z miejsca, zbyt wściekły, by choć dokończyć whisky, jak tro-

257

skliwie radził mu Lantern, wpatrywał się w zamknięte drzwi frontowe. Wreszcie jego wzrok padł na bukiet kwiatów, wciąż jeszcze nieodwinięty z folii, leżący na stoliku w sieni. Podniósł je, powąchał i odłożył z powrotem.

Gardenie. Ulubione kwiaty Mitzi. Z porządnej kwiaciarni. Ten łan to hojny gość, szczególnie za państwowe pieniądze.

Po co to przyniósł? Żeby pokazać, że wie? Ale co wie? Że gardenie to ulubione kwiaty Mitzi? Tak samo jak wiedzieli, że w La Scali zawsze jem rybę? I że tak trudno namówić Maria, by w poniedziałek otworzył knajpę w południe?

A może po to, by pokazać, iż nie wie, że ona poszła do opery z

kochankiem, co przecież wie doskonale; tylko że w jego branży jak się coś wie, to się udaje, że się nie wie. Czyli oficjalnie się nie wie.

A Annabel? "Ona też jest w tym po pachy".

Brue nie miał zamiaru wierzyć we wszystko, co mówił mu Lantern, lecz w to akurat wierzył. Przez ostatnie cztery doby wymyślał najróżniejsze sposoby, by się z nią dyskretnie porozumieć: może kartka z paroma słowami osobiście dostarczona do Azylu Północ przez bankowego kuriera? A może zdawkowa wiadomość zostawiona w poczcie głosowej w biurze albo w komórce?

Tylko że z delikatności - by użyć słowa Lanterna - albo zwykłego tchórzostwa, wszystko jedno, jak to nazwać, ciągle tego nie zrobił.

Czasem u siebie w gabinecie, zamiast rozmyślać

0     wielkich finansach, przyłapywał się na tym, że siedzi z brodą opartą na dłoni i gapi się w telefon, usiłując zmusić go, by za dzwonił. Telefon wszakże nie dzwonił.

A teraz Annabel była w niebezpieczeństwie, sam to wyczuł. Nie wierzył w uspokajające kłamstwa Lanterna - nie ma mowy, by cała ta sprawa uszła jej na sucho. Musiał tylko wymyślić jakiś pretekst, by do niej zatelefonować, i pretekst ten znalazł się właśnie dzięki złości. Lantern może się ugryźć. Ja prowadzę bank.

1     muszę dokończyć whisky. Wypił ją jednym haustem i na do mowym telefonie wystukał jej numer.

258

• *Frau* Richter?

• Słucham?

- Tu Brue. Tommy Brue.

- Dzień dobry panu.

- Czy nie przeszkadzam?

Sądząc po obojętnym tonie, przeszkadzał.

- Nie, mogę rozmawiać.

- Pomyślałem, że powinienem się z panią skontaktować. Z dwóch powodów. Jeżeli naprawdę ma pani parę minut czasu. Ma pani?

- Tak, tak, mam. Oczywiście.

Czy ją czymś otumanili? Związali? Czy robi, co jej każą? Czy za każdym razem musi kogoś pytać, co ma odpowiedzieć?

- Pierwsza sprawa... Oczywiście dokładnie nie mogę powiedzieć przez telefon... Ale chodzi o pewien niedawno podpisany przeze mnie czek. Zdaje się, że nie został zrealizowany.

- Sytuacja się zmieniła - odpowiedziała po kolejnym niekończącym się oczekiwaniu.

- Ach, tak? W jakim sensie?

- Zdecydowaliśmy się na inny sposób załatwienia sprawy.

M y? Czyli tak naprawdę ty i kto? Ty i Issa?... Brue jakoś nie wierzył, by Issa mógł uczestniczyć w jakimkolwiek procesie decyzyjnym.

- Mam nadzieję, że to lepszy sposób - powiedział, siląc się na optymistyczny ton.

- Może tak, może nie. Najważniejsze, żeby się udało, prawda? - Ten sam monotony ton, głos jak z otchłani. - Mam podrzeć czek? Odesłać?

- Nie, nie! — Zbyt natarczywie, spokojniej. - Lepiej nie, jeżeli istnieje

jakakolwiek możliwość, że jeszcze się przyda. Lepiej nie. Zresztą nie mam nic przeciwko temu, by go pani zrealizowała, póki się nie przedawni. A jeśli się okaże, że aż tyle nie trzeba, potem odda mi pani resztę... — Zawahał się niepewny, czy może zaryzykować i użyć drugiego pretekstu. - Poza tym

259

jeszcze ta nasza druga bankowa sprawa. Czy na tym froncie coś się zmieniło?

Bez odpowiedzi.

- No... chodzi mi o domniemaną własność naszego wspólnego znajomego. - Zaryzykował odrobinę humoru: - I o tego konia cyrkowego, o którym rozmawialiśmy. Czy nasz przyjaciel zamierza go przyjąć?
- Jeszcze nie mogę o tym rozmawiać. Muszę się z nim porozumieć.
- Oddzwoni pani?
- Może kiedy zdołam z nim to omówić.
- A tymczasem zrealizuje pani czek?
- Może.
  
- A u pani wszystko w porządku? Żadnych trudności? Żadnych kłopotów? W niczym nie mogę pomóc?
- Dziękuję, u mnie wszystko gra.
- To dobrze.

Długie milczenie, tak z jej, jak i z jego strony. Tylko że z jego strony to bezsilny niepokój, z jej najwyraźniej głęboka obojętność.



—Czyli niedługo odbędziemy przyjemną rozmowę? — do dał z tą resztką zapachu, która mu jeszcze pozostała.

Może odbęda, może nie. Rozłączyła się. Słuchają, pomyślał. Są z nią. To oni dyrygują jej głosem chórzysty.

\* \* \*

Wciąż trzymając w ręce telefon komórkowy, Annabel siedziała za białym biurkiem w swoim starym mieszkaniu i patrzyła przez okno na ciemną ulicę. Z tyłu za nią siedziała w jedynym w mieszkaniu fotelu Erna Frey i czujnie popijała zieloną herbatę.

—Pytał, czy Issa zgłosi się po pieniądze - powiedziała Annabel. - I co słyszeć z tym czekiem od niego.

260

— A ty zagrałaś na czas - rzekła z aprobatą Erna. - I wiesz, uważam, że bardzo ci dobrze poszło. Kiedy zadzwoni następnym razem, może będziesz miała dla niego lepsze wiadomości.

— Lepsze? Dla kogo?... Dla niego?... Dla was?...

Złożywszy telefon na stole i głowę na własnych dłoniach, Annabel patrzyła na nią tak, jakby właśnie Erna Frey znała odpowiedzi na wszystkie pytania o tajemnicę wszechświata.

— Dla nas wszystkich, kochanie — odparła Erna Frey, zrywając się na równe nogi, ponieważ telefon Annabel zadzwonił znowu. Spóźniła się jednak, Annabel bowiem jak w transie chwyciła go i już przedstawiała się do słuchawki.

Telefnował Melik. Chciał się z nią pożegnać przed swoim i mamy

wyjazdem do Turcji, lecz pytał też o Isse, bo wciąż miał względem niego wyrzuty sumienia.

- Słuchaj, jak wrócimy... Przekaż to mojemu bratu, przekaż naszemu przyjacielowi... Że o każdej porze dnia i nocy... Rozumiesz? Jak tylko będzie tu legalnie, niech zaraz przychodzi. Łóżko czeka, może jeść, ile chce. I powiedz mu, że jest w porządku gość, dobra? Na ringu może by sobie nie dał rady, ale poza nim... Tyle przeżył... Rozumiesz, co chcę powiedzieć?
- Rozumiem, Melik, rozumiem, co chcesz powiedzieć. I pozdrów ode mnie mamę. Powiedz jej, żeby się świetnie bawiła na weselu, tradycyjnym tureckim weselu, takim, o jakim marzyła. I sam też się dobrze baw, Melik. I sto lat dla twojej siostry i jej przyszłego męża. Niech będą ze sobą bardzo szczęśliwi. Wracajcie zdrowo i bezpiecznie, Melik, i pamiętaj, opiekuj się mamą, to dzielna kobieta, kocha cię i jest też dobrą matką dla twojego przyjaciela...

I tak dalej, i tak w kółko, dopóki Erna Frey delikatnie nie wyjęła telefonu spod zesztywniałych palców Annabel i nie wyłączyła go, przez cały czas czule trzymając jej drugą dłoń na ramieniu.

**11**

Ani nieproporcjonalnie długa odpowiedź na pożegnanie Melika, ani oziębła rozmowa z Brue nie były żadnymi nowymi elementami w nowej egzystencji Annabel. Z każdym mijającym dniem jej nastrój wahał się między wstydem, nienawiścią do opiekunów, promiennym, irracjonalnym

optymizmem i dłuższymi okresami bezkrytycznej akceptacji tego, co się z nią działo.

W Azylu - chociaż pan Werner odwiedził Ursulę z polecenia i z instrukcjami Bachmanna, by ją poinformować, że sprawa Issy Karpowa nie jest już przedmiotem zainteresowania władz - Annabel sama zakazała sobie wszelkich kontaktów z innymi.

Erna Frey była teraz już nie tylko jej strażniczką, lecz i sąsiadką. W dzień po podwieszeniu Annabel na nabrzeże żółtą furgonetką wprowadziła się do apartamentowca z betonu i stali niespełna sto metrów dalej. Wynajęty przez nią apartament stawał się powoli trzecim domem Annabel. Tam wstępowała przed każdymi odwiedzinami u Issy, tam zachodziła, wracając od niego. Czasem nawet, gdy już nie mogła wytrzymać, kładła się spać w małej, przeznaczonej dla dzieci sypialni, w której nigdy nie robiło się ciemno z powodu podświetlonych reklam na ulicy.

\*

262

Odwiedzała Issę dwa razy dziennie, lecz odwiedziny te nie były teraz ryzykownymi przygodami, tylko doskonale przeciwiczonymi scenami sztuki teatralnej, starannie reżyserowanymi przez Ernę, a wraz z upływem dni również przez Bachman-na. Doskonale ukryci za kotarami saloniku mieszkania operacyjnego w pojedynkę lub we dwójkę odpytywali ją przed i po każdej wspinaczce po krętych drewnianych schodach. Odgrywano i analizowano stare scenki, planowano i ulepszano nowe, wszystko po to, by namówić Issę do zgłoszenia się po spadek i uchronienia się przed koszmarem deportacji.

Annabel zaś, choć rozumiała ich zamysł dość mgliście albo wcale, w

głębi duszy była im wdzięczna za pomoc, rozpaczliwie orientując się, że powoli się od niej uzależnia. Bo przez cały czas, który spędzali w trójkę pochyleni nad magnetofonem, jej łącznikami ze światem rzeczywistym byli Erna i Gunther, a nie Issa; bo Issa był wtedy dla nich wszystkich nieobecnym dzieckiem specjalnej troski.

Dopiero gdy odbywała swą stumetrową drogę krzyżową po zatłoczonym chodniku i na nowo zjawiała się u Issy - dopiero wtedy żołądek podchodził jej do gardła, język stawał się lepki ze wstydu i znów nachodziło ją pragnienie, by podeptać wszelkie odrażające zobowiązania poczynione względem swych prześladowców. Co gorsza, wydawało się jej, że Issa, ze swą wykształconą w więzieniu zdolnością empatii, wyczuwa w niej zmianę i zwiększoną pewność siebie, którą - mimo że z całych sił się temu opierała - czerpała właśnie z tego, że tak starannie nią kierowali.

- Daj mu z siebie, ile możesz, kochanie, na ile to bezpieczne — pouczała ją Erna. - Po prostu łagodnie przyprowadź go do żłoba. Bo kiedy wreszcie podejmie decyzję, będzie kierował się uczuciami, nie rozumem.

Annabel grywała z nim w szachy, słuchała muzyki i na polecenie Erny prowadziła rozmowy na takie tematy, których w ogóle można by nie poruszać jeszcze dwa dni wcześniej. Co cieka-

263

we, wraz z coraz większą swobodą względem niego coraz mniej pokornie przyjmowała jego uszczypliwe uwagi na temat jej zachodniego stylu życia, a szczególnie pełne dezaprobaty nawiązania do jej związku z Karstenem - bo przecież sam nie miał nic przeciwko temu, by stroić się w

jego drogie szmaty.

- A czy ty kiedykolwiek kochałeś jakąś kobietę poza swoją mamą? - zapytała raz ostro, wciąż przemawiając do niego z drugiego końca poddasza.

Tak, przyznał po dłuższym milczeniu. Miał wtedy szesnaście lat. Ona miała osiemnaście i już nie miała rodziców: była czystej krwi Czeczenką, jak jego matka, była pobożna, piękna i niewinna. Nie doszło do fizycznego uzewnętrznienia uczuć, zapewnił Annabel. To była wyłącznie czysta miłość.

- I co się z nią stało?
- Zniknęła.
- Jak miała na imię?
- To bez znaczenia.
- Jak to zniknęła? W jaki sposób?
- Została męczennicą islamu.
- Jak twoja matka?
- Była męczennicą.

• Ale jaką? — Cisza. - Dobrowolną? Chcesz powiedzieć, że dobrowolnie poniosła męczeńską śmierć za islam? - Cisza.

- A może nie całkiem dobrowolną? Była ofiarą jak ty? Albo jak twoja matka?

To bez znaczenia, powtórzył Issa, gdy już minęła cała wieczność. Bóg jest miłosierny. Przebaczy jej i przyjmie ją do raj. Mimo wszystko samo wyznanie Issy, że kiedyś był zakochany, stanowiło poważne osłabienie jego pozycji obronnych, na co natychmiast zwróciła uwagę Erna Frey.

- To już nie rysa na jego zbroi, to cała dziura! - zawołała.

- A jak zaczął mówić o miłości, znaczy, że może z tobą gadać o wszystkim: o religii, polityce, o czym zechcesz. Sam może jeszcze tego nie wie, ale on chce, żebyś go przekonała. No to teraz

264

trzeba iść za ciosem, drażnić dalej. - Po czym nastąpiła zwyczajna nagroda, od której Annabel też zdążyła się uzależnić: — Cudownie ci idzie, kochanie. On to ma szczęście.

\* \* \*

Annabel drażniła zatem. Następnego dnia rano, śniadanie, godzina szósta. Kawa i świeże rogaliki — znów dzięki uprzejmości Erny Frey. Siedzą na swych zwykłych miejscach: Issa pod gotyckim oknem, Annabel skulona w najdalszym kącie, w długiej spódnicy zakrywającej wszystko łącznie z wielkimi czarnymi glanami.

- W Bagdadzie znowu był dziś zamach bombowy — oznajmiła. — Słuchałeś radia? Osiemdziesiąt pięć osób nie żyje, setki rannych.
- Boża wola.
- Chcesz powiedzieć, że Bogu podoba się, że muzułmanie zabijają muzułmanów? W takim razie ja nie bardzo rozumiem takiego Boga.
- Nie osądzaj Boga, Annabel. Bo może cię pokarać.
  
- A tobie to się podoba? -Co?
- Zabijanie.
- Allaha nie może cieszyć zabijanie niewinnych.

- A kto jest niewinny? Kogo wolno zabić, by ucieszyć Allaha?
- Allah wie. Allah wie wszystko.
- Ale skąd m y mamy wiedzieć? Jak On nam to powie?
- Już nam powiedział. W świętym Koranie. Już nam powiedział przez Proroka, niech będzie błogosławiony.

“Poczekaj, aż przestanie się bronić, i wtedy rób swoje”, mówiła jej Erna. Teraz wiedziała, że właściwy moment nadszedł:

—Czytałam o jednym sławnym islamskim uczonym.

Nazywa się doktor Abdullah. Słyszałeś o nim? O doktorze Faj-salu Abdullahu? Mieszka tu, w Niemczech. Od czasu do cza-

265

su występuje w telewizji. Nie za często, bo jest zbyt pobożny na telewizję.

- A niby dlaczego miałbym o nim słyszeć, Annabel? Skoro występuje w zachodniej telewizji, to znaczy, że nie jest dobrym muzułmaninem, że jest grzesznikiem.
  - Wcale nie. Jest człowiekiem pobożnym, ascetą i szanowanym islamskim uczonym, który napisał wiele ważnych dzieł o wierze i praktykach islamu - odparła, ignorując podejrzliwie-pobłaż-liwy uśmiezek, który już zaczął pojawiać się na jego twarzy.
  - A po jakimu napisał te książki, Annabel?
  - Po arabsku. Ale wiele z nich przetłumaczono. Na niemiecki, rosyjski, turecki... właściwie na wszystkie języki świata. Należy do wielu muzułmańskich organizacji dobroczynnych. Pisał też o muzułmańskich zasadach jałmużny — dodała znacząco.
- Annabel...

Czekała.

- Czy zwracasz mi uwagę na to, co napisał ten Abdullah, żeby mnie przekonać, bym przyjął brudne pieniądze Karpowa?
- A nawet jeśli, to co?
- To bardzo proszę, pogódź się w sercu, że nigdy tego nie uczynię.
- Ależ ja się godzę! - uniosła się, tracąc do niego cierpliwość. — Oczywiście, że się z tym godzę. — Mówiła prawdę czy tylko udawała? Tego sama już nie wiedziała. - Biorę sobie do serca, że nigdy nie zostaniesz lekarzem czy czym tam teraz chcesz zostać. I że nic mi nie zwróci zmarnowanego czasu. I że pan Brue nie odzyska pieniędzy, które mi dał, żebyś mogła się tobą opiekować, bo lada dzień przyjdą tu, znajdą cię i odeślą do Turcji, Rosji albo gdzieś, gdzie jest jeszcze gorzej. Tylko że to nie będzie żadna wola Boża, a wyłącznie twój ośli upór.

Oddychając ciężko, wściekła na niego w jednym ze swych wcieleń, zimna jak lód w drugim, zobaczyła, że wstał i przez gotyckie okno patrzy na leżący u jego stóp rozświetlony słońcem świat.

266

“Jeżeli uda ci się to zrobić w sposób naturalny, możesz mu urządzić awanturę”, powiedział jej jakiś czas przedtem Bach-mann. “Tak samo jak zrobiłaś nam, kiedyśmy zgarnęli cię z ulicy i zmusili, żebyś wreszcie dorosła”.

\* \* \*

Gdy Annabel wróciła do mieszkania operacyjnego, Erna Frey i Bachmann



wpadli w entuzjazm, mimo że nie wiedzieli, co robić dalej. Pochwały Erny nie miały granic. Annabel świetnie się spisała, lepiej, niż mogli się spodziewać, sprawy posunęły się do przodu tak bardzo, że w ogóle tego nie przewidywali. Pytanie tylko, czy teraz lepiej dać Issie pomęczyć się jeszcze dzień czy może pod byle pretekstem sprowadzić do niego Annabel z Azylu w przerwie obiadowej i kuć żelazo, póki gorące, czyli na przykład podrzucić mu parę książek Abdullaha.

Jednakże te piękne plany nie uwzględniały nagłego spadku morale Annabel, które nastąpiło po jej wielkim sukcesie. W pierwszej chwili oboje byli tak przejęci, że nie zauważyli zmiany nastroju, jaka zachodziła w niej, gdy siedziała z nimi przy stole z głową wspartą na dłoni. Uznali, że ciężki oddech to tylko efekt zmęczenia ciężką przeprawą. Dopiero kiedy Erna wyciągnęła rękę, by dotknąć jej ramienia, Annabel cofnęła się, jakby ją kto ugryzł. Ale Bachmann nie zwykł tolerować humorów swoich agentów.

- A to co znowu? - zapytał ostro.
- Jestem taką waszą przynętą na żywca, nie? - odpowiedziała Annabel prosto we własną dłoń.
- Czym?
- Najpierw złapiecie na mnie Isse, potem Abdullaha. A potem Abdullaha załatwicie. I na tym według was polega ratowanie niewinnych ludzi?

Bachmann już zdążył okrążyć stół i stanąć nad nią.

- Bzdury gadasz! - krzyknął jej do ucha. - Jak będziesz robić, co ci każemy, twój chłopak odejdzie wolny. Ale skoro

tak się tym przejmujesz, mogę ci powiedzieć z ręką na sercu, że z mojego powodu Abdullahowi nie spadnie włos z tej jego zasranej świątobliwej głowy. Przecież ten gość to symbol tolerancji, miłości i asymilacji! Myślisz, że ja jestem po to, żeby wywoływać rozruchy?

W końcu wybrali wersję z przerwą obiadową. Annabel pojawi się z lotną kontrolą u Issy, podrzuci mu książki Abdullaha, potem powie, że się śpieszy, lecz wróci wieczorem, by wysłuchać jego reakcji. Annabel zgodziła się na wszystko.

-Tylko mi tu nie wymiękaj, Erna - powiedział Bachmann, gdy odprowadzili Annabel wraz z rowerem do żółtej furgonetki. — W tej operacji nie ma na to miejsca.

- A pamiętasz taką, że było? - odpowiedziała Erna Frey.

\* \* \*

Annabel i Issa siedzieli jak zwykle w przeciwnych kątach poddasza. Nadszedł wieczór. Przedtem, w południe, Annabel wpadła do niego jak po ogień, żeby zostawić mu trzy przetłumaczone na rosyjski broszurki doktora Abdullaha. Teraz wróciła. Z kieszeni kurtki wyciągnęła kartkę. Do tej pory prawie się do siebie nie odezwali.

- Ściągnęłam to z Internetu. Chcesz posłuchać? To po nie miecku, będę musiała ci tłumaczyć.

Czekała na odpowiedź, lecz nie doczekawszy się, zaczęła mówić głośno i dobitnie, by dobrze wszystko zrozumiał:

- Doktor Abdullah urodził się w Egipcie, ma pięćdziesiąt pięć lat. Jest światowej sławy uczonym, potomkiem wielu pokoleń imamów, muftich i kaznodziejów... Kiedy studiował w Ka

irze, skusiły go zasady głoszone przez Bractwo Muzułmańskie. Za swe ówczesne radykalne poglądy został aresztowany, uwięziony i torturowany... Po wypuszczeniu na wolność znów stanął w obliczu śmierci, tym razem z rąk byłych towarzyszy, ponieważ zaczął głosić braterstwo, tolerancję i szacunek dla wszyst-

268

kich dzieci bożych. Doktor Abdullah chce reformować islam, ale w duchu nauk Proroka i jemu podobnych. I znowu musiała czekać:

- Słuchasz?
- Ja wolę Turgieniewa.
- Pewnie dlatego, że nie umiesz się na nic zdecydować. A może dlatego, że nie chcesz, żeby głupia niewierna przynosiła ci książki o tym, co porządny muzułmanin może robić ze swoimi pieniędzmi? Ile razy mam ci przypominać, że jestem twoim prawnikiem?

W pstrokatym półmroku zamknęła oczy i znów je otworzyła. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że czas ucieka? Lepiej niech sobie nie zawraca głowy wielkimi decyzjami, skoro nawet te małe my podejmiemy za niego.

- Issa, ocknij się, jak cię proszę... Do doktora Abdullaħa udają się po radę pobożni muzułmanie z całego świata. Właśnie do niego. A ty nie możesz? Jest członkiem wielu dużych muzułmańskich organizacji dobroczynnych. Niektóre z nich wysyłają pomoc do Czeczenii. Jeżeli taki mądry islamski uczoney jak doktor Abdullah może ci wskazać właściwy sposób wykorzystania twoich pieniędzy, to czemu, do diabła, nie chcesz go wysłuchać?
- To nie są moje pieniądze, Annabel. Zostały skradzione ludowi mojej

matki.

- Czemu więc nie chcesz spróbować zwrócić mu wszystko? A może przy okazji naprawdę zostać lekarzem, wrócić do kraju i pomagać ludziom? Bo przecież to chciałeś robić?
- Czy pan Brue ma dobre zdanie o tym Abdullahu?
- On go pewnie nie zna. Może widział go kiedyś w telewizji.
- Zresztą to bez znaczenia. Nic mnie nie obchodzi zdanie niewiernego o doktorze Abdullahu. Sam przeczytam te książki i z bożą pomocą sam je osądzę.

Czy właśnie przełamała jego ostatnią linię obrony? Na chwilę ogarnęła ją tak wielka i tak niezrozumiała trwoga, że zaczęła się modlić, by tak nie było.

269

Minął kolejny wiek, nim Issa przemówił znowu:

- Z drugiej strony pan Tommy Brue jest bankierem, więc może radzić się tego doktora Abdullaha jako osoba świecka. Najpierw musi ustalić, z pomocą innych oligarchów, czy ten człowiek cieszy się opinią uczciwego w sprawach świeckich. Uciśniony lud Czeczenii okradany był już wiele razy, nie tylko przez Karpowa. Gdyby się okazało się, że Abdullah rzeczywiście jest uczciwy, pan Brue mógłby przedstawić mu w moim imieniu pewne warunki, a wtedy sam doktor Abdullah odgadnie, czego chce Bóg.
- A potem?
- Jesteś moim adwokatem, Annabel. Wtedy ty mi doradzisz.

\* \* \*

Restauracyjka nazywała się Louise i znajdowała się pod numerem trzecim na Maria-Louisenstrasse, głównej arterii przytulnej wioski składającej się w większości ze sklepów z antykami, sklepów ze zdrową żywnością i sklepów z kosmetykami dla licznych bogatych psów zamieszkujących tę prestiżową okolicę. W czasach gdy Annabel uważała się za osobę wolną, właśnie w Louise lubiła spędzać leniwe niedzielne przedpołudnia, popijać *latte*, czytać gazety i patrzeć na przesuwający się przed jej oczyma świat. I właśnie ten lokal wybrała na umówioną schadzke z reprezentującym bank Brue Freres panem Tommym Brue, słusznie się domyślając, że w tak porządnym i bezpiecznym otoczeniu nie będzie czuł się nieswojo.

Za radą Erny Frey zaproponowała późne przedpołudnie, a więc porę, kiedy w restauracji panuje najmniejszy ruch i jest największe prawdopodobieństwo, że Brue znajdzie dla niej czas z tak małym wyprzedzeniem. Bo jak słusznie zauważyła Erna, jeżeli ten pan Tommy jest szanującym się bankierem, na pewno umówił się z kimś na lunch. Na co Annabel nie odpowie-

270

działa, choć miała wszelkie dane, by rzec, że o ile orientuje się w uczuciach Brue, dla niej zrezygnowałby z lunchu z samym prezesem Banku Światowego.

Mimo to idąc już za własną radą - której sobie udzieliła spontanicznie po długiej i niezbyt zadowolającej sesji przed lustrem - postanowiła ubrać się stosownie do okazji. Wiedziała, że na pewno tego oczekuje po niej pan Tommy Brue. Bez przesady, ale to w końcu porządny człowiek, w dodatku zakochany, więc należał mu się ten ukłon. Poza tym bardzo przyjemnie

będzie ukazać mu się dla odmiany jako Europejka! A więc do diabła ze strojem wymuszonym na niej przez muzułmańskie ograniczenia Issy - z tym jej więziennym drelichem, bo tak zaczynała

3tym myśleć. Może najlepsze džinsy i biała kopertowa jedwabna bluzeczka, którą kupił jej Karsten i której nigdy nie włożyła?

4nowe, nie za bardzo bezkształtne półbuty, w których jednak da się jechać na rowerze? A skoro tak, to może nawet odrobinę makijażu, żeby policzki nie były już tak chorobliwie blade i żeby trochę podkreślić rysy twarzy? Wzruszył ją nieskrywany entuzjizm Brue, gdy zatelefonowała do niego ze swej celi w apartamencie Erny zaraz nazajutrz rano po odwiedzinach u Issy.

- Cudownie! Fantastycznie! No brawo!... Czyli udało się pani go przekonać! Już zaczynałem się martwić, że nie, a tu proszę! Proszę tylko powiedzieć, gdzie i kiedy, na pewno się zjawię — nalegał.

A na wzmiankę o Abdullahu, chociaż samo nazwisko jeszcze nie padło, bo Erna uważała, że to by było trochę za wcześnie, odparł:

- Wątpliwości religijne i etyczne? Ależ, proszę pani, my, bankierzy, mamy z nimi do czynienia na co dzień. Najważniejsze, że pani klient się do nas zgłosi. Kiedy to zostanie załatwione, bank Freres poruszy dla niego niebo i ziemię.

Gdyby chodziło o innego człowieka w tym wieku, taki entuzjizm byłby wręcz niepokojący, lecz pamiętając własne zachowanie podczas ich ostatniej rozmowy, poczuła wielką ulgę,

wręcz euforię. Czyż to bowiem nie znaczy, że losy całego świata zależą od jej zachowania? Czyż każde słowo, zmarszczenie brwi czy gest nie stanowią w takim razie osobistej własności tych, do których teraz lub przedtem należała: Issy, Bachmanna, Erny Frey, Ursuli w Azylu i całej jej dawnej rodziny- wszystkich, którzy świadomie unikali jej wzroku, równocześnie nie przestając ukradkiem jej obserwować?

\* \* \*

Nic dziwnego, że nie mogła zasnąć. Wystarczyło, że przyłożyła głowę do poduszki, by natychmiast oglądać na nowo powtórki wszystkich swoich licznych zróżnicowanych ról, jakie odgrywała tego dnia: czy nie przesadnie zmartwiłam się chorobą dziecka telefonistki z azylowej centrali? Jak się zachowałam, kiedy Ursu-la zaproponowała, że najwyższy czas, żebym wzięła sobie urlop? A w ogóle skąd ta propozycja, skoro ja i tak tkwię tam tylko za biurkiem i za zamkniętymi drzwiami, udając, że tak pilnie pracuję? I dlaczego nagle zaczęłam myśleć o sobie jako o przysłowiowym motylu z Australii, który jednym machnięciem skrzydeł może wywołać trzęsienie ziemi na drugim końcu świata?

Kiedy zeszłego wieczoru wróciła do swego mieszkania podekscytowana zgodą Issy na wystąpienie o spadek, jeszcze raz odwiedziła stronę internetową doktora Abdullaha, oglądnęła urywki jego telewizyjnych występów i wywiadów i ogromnie się ucieszyła własnym przekonaniem, że Günther Bachmann tak bardzo będzie się starał, by włos nie spadł z tej zasranej świątobliwej głowy, choć akurat o włosy można było być spokojnym, doktor Abdullah bowiem był łysy. Był poza tym niski i ruchliwy — oraz *erhaben*, ulubione określenie jej katechетки ze szkoły z

internatem, które spłynęło do niej z przeszłości na określenie człowieka uduchowionego. Jego uduchowanie, podobnie jak Issy, zawierało w sobie wszystko, co było dla niej cechą porządnego mężczyzny: czystość fizyczną i duchową, miłość traktowaną

272

jako absolut i przekonanie, że istnieje wiele dróg prowadzących do Boga czy jak tam inaczej wolimy Go sobie nazywać.

Zdziwiło ją trochę - musiała to przyznać — że w swoich wystąpieniach i tekstach ani słowem nie wspomina o tym, co wielu ludzi uważa za wady islamu i stosowania go w praktyce, lecz dobroduszny mądry uśmiech i inteligentny optymizm skutecznie zniechęcały do tego rodzaju małosłownej krytyki. Mówił przecież, że w każdej religii są wierni, których własna gorliwość sprowadza na manowce, i islam nie jest tu żadnym wyjątkiem; każda religia może zostać wykorzystana przez ludzi złych; różnice między nami to dla nas dar Boga, za który powinniśmy Go błogosławić. Z oczywistych względów najbardziej przypadły jej do gustu poglądy Abdullaħa na jałmużnę i jego wzruszające słowa o islamskich Wyklętych Ludach Ziemi, bo przecież mówił nie tylko o swoich, ale i o jej klientach.

\* \* \*

W tajemniczy sposób ukojona tymi luźnymi uwagami zapadła wreszcie w głęboki sen i obudziła się wypoczęta i gotowa do działania.

Uspokojenie przyniósł jej też widok niespodziewanie uszczęśliwionej twarzy Brue, gdy wsunął się przez szklane drzwi do restauracji Louise i



ruszył ku niej z dwiema rosyjskim zwyczajem wyciągniętymi do powitania rękami. Jeszcze bardziej zaskoczyła ją własna myśl, że może powinna zaproponować, by przenieśli się z restauracji na kawę do niej, do jej pierwszego mieszkania - po to tylko, by mu okazać, jak bardzo ceni go sobie jako przyjaciela w potrzebie — lecz zaraz też sama zaleciła sobie ostrożność, miała bowiem wrażenie, że gdyby choć trochę się rozluźniła, wszystko, co musiała zachowywać dla siebie w głowie, natychmiast by z niej wyciekło. I że szybko by tego pożałowała. A jeszcze bardziej pożałowałiby ci, którym przyrzekła wierność.

273

- Co my tu mamy?... Nie, to zupełnie nie w moim guście - powiedział, robiąc komiczną minę na widok szklanki z zamówionym przez nią mlekiem o smaku waniliowym i za mówił sobie podwójne espresso. - No właśnie, a co słyhać u naszych Turków?

Turków? Jakich Turków?... Nie zna przecież żadnych Turków. Myślami błądziła po tak wielu innych miejscach, że chwilę trwało, nim spośród tłumu otaczających ją twarzy wyciągnęła Melika i Leilę.

- Nic. W porządku - powiedziała i całkiem niepotrzebnie rzuciła okiem na zegarek, pomyślawszy, że o tej porze są już chyba w powietrzu w drodze do Petersburga. Nie, nie do Petersburga, przecież do Ankary. - Wydają mi za mąż siostrę - dodała.
- Pani siostrę?
- Nie, nie, siostrę Melika - poprawiła się i usłyszała, że wraz z nim śmieje się głośno ze swojego przejęzyczenia. Pomyślała, że Brue

wygląda dziś znacznie młodziej, i postanowiła mu to powiedzieć. Co też uczyniła, i to z tak zalotnym spojrzeniem, że zaraz się zawstydziła.

- Mój Boże, naprawdę tak pani myśli? - odparł, czerwieniąc się całkiem miło. — Bo szczerze mówiąc, ja też otrzymałem dobre wieści od rodziny. Tak, tak, bardzo dobre, tak jest.

To jego "tak jest" miało najwyraźniej oznaczać, że w tej chwili nie może powiedzieć więcej, co natychmiast zrozumiała. Wiedziała, że jest człowiekiem honorowym i naprawdę miała nadzieję, że mogą zostać przyjaciółmi do końca życia, chociaż niezupełnie takimi, jak on by pragnął. A może jednak wymyśliła sobie to wszystko?

Tak czy inaczej postanowiła, że czas zrobić poważną minę. Zgodnie z radą Erny przyniosła kopię wydruku, który przedtem pokazała Issie, i jeszcze kartkę z telefonem, adresem domowym i e-mailowym doktora Abdullaha, które każdy może ściągnąć z Internetu. Przypomniawszy sobie to wszystko w jednej chwili, szybko wyszarpnęła obie kartki z plecaka

274

ka i wręczyła je Tommyemu, przez cały czas oglądając samą siebie w lustrze.

- To właśnie ten człowiek — powiedziała swym najpoważniejszym tonem. - O niczym nie mówi, tylko o muzułmańskiej jałmużnie.

I podczas gdy on przeglądał wydruki z lekkim zdziwieniem, bo przecież jeszcze mu nie wytłumaczyła, o co chodzi, jeszcze nie zdążyła, znów z wesołą miną zanurkowała do plecaka i tym razem wydobyła zeń niezrealizowany czek na pięćdziesiąt tysięcy euro, za który znowu uznała

za stosowne mu podziękować, a zrobiła to tak wylewnie, że przestał czytać o doktorze Abdul-lahu, więc oboje się roześmiali, patrząc sobie prosto w oczy, do czego normalnie by nie dopuściła, ale z Brue mogła, ponieważ mu ufała, poza tym to ona śmiała się głośniejsz niż on, póki wreszcie nie opanowała się i dla przyzwoitości nie sprawdziła, jak wygląda, oczywiście, znowu w lustrze.

- No więc są pewne komplikacje, jak pan wie - powiedziała, wciąż patrząc wprost w jego twarz, i zasmuciła się, bo zauważyła na niej zmarszczki, zamazane do tej pory radością z tych dobrych rodzinnych wiadomości, które niedawno otrzymał.

Wyjaśniła, że komplikacje polegają na tym, iż, krótko mówiąc, je^ klient chciałby przekazać cały swój majątek na różne muzułmańskie cele dobroczynne i w tym celu zamierza poprosić o radę wielkiego szanowanego uczonego, doktora Abdullaha, tylko że z powodu niezwykle nieuregulowanego stanu prawnego naszego klienta - który oboje znamy, więc z oczywistych względów nie będę rozwijała tego tematu - on sam nie może nawiązać bezpośredniego kontaktu, dlatego ma nadzieję, że gdy uda mu się udowodnić swe prawa do spadku - z czym, jak dał już pan do zrozumienia, nie powinno być większych problemów — wtedy pan Tommy, jak pana poufale nazywa, zrobi to za niego.

- Czy taki sposób załatwienia sprawy byłby do przyjęcia dla banku Brue Freres? - zakończyła, wciąż patrząc mu w oczy

275

i obdarzając go swym najbardziej promiennym uśmiechem; i znowu zrobiło się jej smutno, Brue bowiem jakby nie potrafił się odwzajemnić z

takim samym przekonaniem.

— A nasz klient... jest teraz w dobrym stanie? - zapytał z powątpiewaniem, a brwi z troski omal nie uniosły mu się nad głowę.

- Jak na całą sytuację, w całkiem niezłym, dziękuję. Nawet w bardzo dobrym. Powiem tak: mogło być znacznie, znacznie gorzej.

— I nadal... I ciągle nie został...

— Nie — przerwała mu. - Nie, proszę pana, nie został. Dziękuję, nasz klient jest nadal w takim stanie, w jakim go pan widział ostatnio.

- I jest w bezpiecznych rękach?
  - W najbezpieczniejszych, jakie można sobie wyobrazić. W dodatku tych rąk jest dużo.
  - A ty, Annabel? - zapytał, nagle zmieniając ton. Równie nagle przechyliwszy się przez stół, chwycił ją za przedramię i trzymając je, patrzył na nią z tak rozkochaną czułością, że w pierwszej chwili chciała podzielić jego troskę o siebie i wybuchnąć płaczem; w następnej chwili jednak szybko się opanowała i schroniła za swój status zawodowy. Równocześnie zauważyła, i to z dezaprobatą, że pozwolił sobie nazwać ją po imieniu, ba! użył poufalej formy *ty*, nie pytając o zgodę. Poczula, że sztywnieje, i za to też miała do niego pretensje. I jeszcze za to, że zaczęła mówić przez zęby. Bolało ją w dołku, lecz kogo obchodzi, że gdzieś ją boli, a gdzieś nie? Na pewno nie jakiegoś podstarzałego bankiera, któremu wydaje się, że może ją łapać za rękę.

— Ja się trzymam - oświadczyła. - Rozumie pan?

Rozumiał. Już się wycofywał, już widać było, że się wstydzi za siebie. Tylko że z jakiegoś powodu dalej trzymał ją za przegub.

— Ja nigdy się nie załamuję. Jestem prawniczką - uzupełniła.

- I to bardzo dobrą - przytaknął z tą swoją idiotyczną skwapliwością.

276

- Mój ojciec jest prawnikiem. Matka też. I szwagier. Nawet mój chłopak był prawnikiem. Karsten. Kazałam mu się wyprowadzić, bo obsługiwał firmę ubezpieczeniową i tak opóźniał wypłatę odszkodowań za zatrucie azbestem, że poszkodowani umierali jeden po drugim. Nam, czyli i mojej rodzinie, i ludziom mojego zawodu, nie wolno kierować się emocjami. Ani przeklinać. Kiedyś mi się zdarzyło. Żałuję. Przepraszam. Powiedziałam przy panu coś o pana pierdolonym banku. Pana bank nie jest pierdolony. To zwykły bank. Całkiem uczciwy, honorowy bank, na tyle, na ile bank może być uczciwy i honorowy.

Teraz już nie dość mu było trzymać ją za rękę, teraz usiłował jeszcze otoczyć ją ramieniem. Odtrąciła go. Sama potrafiła wstać, więc wstała.

-Jestem prawnikiem, który nie ma czego negocjować, proszę pana, i to najgłupsza, najbardziej beznadziejna sytuacja na świecie. Tylko proszę nie mówić mi nic pocieszającego. Ja nie będę brała udziału w pana sprytnych przekrętach. Albo zrobimy tak, jak mówiłam, albo Issa zginie. My robimy jedno: ratujemy Issę. My robimy to, co jest jedynym racjonalnym wyjściem. Dla Issy. Czy jasno się wyraziłam?

Zanim Brue zdążył wyartykułować odpowiednio uspokajającą

odpowieź, Annabel opadła na stojące za nią krzesło i prawie równocześnie rzuciły się ku niej dwie kobiety siedzące w drugim kącie sali. Jedna położyła rękę tam, gdzie przed chwilą usiłował położyć swoją Brue, podczas gdy druga już machała tłustą łapą w stronę nieprawidłowo zaparkowanego przy krawężniku volvo kombi.

## 12

Günther Bachmann otwierał swój sklepik. Już od dziewiątej rano na pokoje Arniego Mohra spływali ewentualni klienci, same grube ryby z Berlina, przybywali dwójkami, trójkami... Kosztowali kawy, rzucali polecenia podwładnym, szczekali w telefony i z marsem na czole wpatrywali się w ekrany swoich laptopów. Na parkingu stały dwa służbowe helikoptery, zwykli śmiertelnicy musieli tego dnia parkować przy stajni. Po dziedzińcu snuli się jak zagubione koty agenci ochrony.

A Bachmann, przyczyna sprawcza tego wszystkiego, człowiek, który ustala reguły gry, twardy agent z terenu w swym jedynym porządnym garniturze, był w każdym punkcie sali, tu konferując półgłosem z ministerialnym baronem, tu poklepując po plecach starego kumpla z bardzo dawnych czasów. Gdyby go zapytać, od jak dawna przygotowywał swój towar, i gdyby zapytała go o to dobrze mu znana osoba, przywołałby znowu na twarz ten swój klaunowski uśmiech i zamruczał, że przez dwadzieścia pięć zasranych lat, bo od tyłu właśnie w taki czy inny sposób pracował w tajnej winnicy pańskiej.

Erna Frey nie stawiała się tym razem u jego boku. Musiała zostać z tym

“biednym dzieckiem”, jak obecnie nazywała An-

278

nabel. Gdyby potrzebowała drugiej wymówki - a nie potrzebowała—  
wolałaby umrzeć, niż oddychać tym samym powietrzem co doktor Keller  
z Kolonii. Wyzwolony od jej tonizującego wpływu Bachmann poruszał się  
szybciej i przemawiał głośniejsz

— może trochę za głośno, jak mechanizm z jednym wyłamanym  
trybikiem. Kto w tym mieszanym towarzystwie, całym w przy-  
jaznych uśmiechach i ukradkowych spojrzeniach, będzie dziś  
jego chwilowym sojusznikiem, kto nieprzyjacielem? Któremu  
z mrocznych komitetów, ministerstw, wyznań religijnych czy  
partii politycznych przysięgli na dziś swą wierność? Z tego co  
wiedział, spośród obecnych tylko drobna garstka słyszała kiedy  
kolwiek prawdziwy wybuch prawdziwej bomby - za to wszyscy  
byli weteranami zaprawionymi w ciągłych bojach o przywódz-  
two swych służb.

I właśnie przed tymi menedżerami z awansu, spasionymi na hossie w  
przemysle wywiadowczym i innych pokrewnych branżach, będącej  
wynikiem 11 września 2001, Bachmann chętnie by wykonał swą drugą  
kantatę gotową już na ten szczęśliwy dzień, kiedy zostanie wezwany z  
powrotem do Berlina. Napomniałby ich w niej, że niezależnie od tego, ile  
szpiegowskich gadżetów skrywają w swoich szufladach, ile udało im się  
złamać magicznych szyfrów i tajnych sygnałów, ile błyskotliwych  
dedukcji na temat struktur organizacyjnych przeciwnika dokonali na  
podstawie wyłowionych z eteru danych czy też ich braku, ile stoczyli

bratobójczych pojedynków i ilu oswojonych dziennikarzy pragnęło wymienić u nich swe wątpliwej jakości perełki informacji na przecieki do gazet i parę drobnych do ręki

- to i tak solidnych podstaw prawdziwej wiedzy trzeba szukać u pogardzanego imama, u nieszczęśliwie zakochanego kuriera poczty dyplomatycznej, u chciwego naukowca z pakistańskiego przemysłu zbrojeniowego, u średniego stopniem oficera irańskiego, którego znowu pominięto przy awansie, i wreszcie u kogoś, kto śpi samotnie i już dłużej nie wytrzyma samotnego spania— bo bez tych wszystkich ludzi cała reszta jest tylko

279

pożywką dla niszczących ten świat naginaczy prawdy, ideologów i politopatów.

Ale kto by go słuchał? Bachmann sam wiedział najlepiej, że jego głos byłby głosem wołającego na puszczy. Spośród całej tej zgromadzonej wokół niego berlińskiej szpiegokracji za sojusznika mógł uważać tylko wysokiego, powolnego w gestach, inteligentnego i nieco już zaczynającego się starzeć Michaela Axelroda.

— Na razie wszystko w porządku, Gunther? - zapytał go przed chwilą Michael ze swym zwykłym półuśmiechem. Pytanie nie było całkiem bezcelowe, bo do sali wszedł właśnie swobodnym krokiem Ian Lantern. Poprzedniego wieczoru, gdy wreszcie doszło między nimi do wymuszonej przez Axelroda ugody, cała trójka poszła już w bardzo przyjacielskich nastrojach na drinka w barze hotelu Four Seasons. Mały Lantern zachował się tak typowo po angielsku i tak się sumitował za kłusownictwo w



rewirze Günthera, tak szczerze i otwarcie opowiadał o tym, co Londyn planuje zrobić z Issą, gdyby kiedyś udało się go złapać — “zresztą, szczerze mówiąc, to dla nas taka płotka, że jestem absolutnie przekonany, że prędzej czy później i tak przyszlibyśmy do was, żeby zająć się tym wspólnie i zrobić, co każecie” — że Bachmann zrozumiał, dlaczego od początku nie wierzył w ani jedno jego słowo.

Czego innego natomiast się nie spodziewał - że będzie tu też Martha, która objawiła się na pokojach Arniego Mohra tuż po wejściu Lanterna, jakby był jej osobistym heroldem, i może zresztą właśnie tak było; majestatyczna Martha, druga po Bogu w berlińskiej placówce CIA - bo rzeczywiście tylko Bóg mógł wiedzieć, ile jest tam po nim osób. Nawet ubrana była jak anioł, lecz anioł śmierci, w szkarłatny satynowy kaftan pokryty czarnymi cekinami. A z kolei tuż za Martha, tak blisko, że mogłaby mu służyć za tarczę, kroczył nie kto inny jak Newton, powszechnie przezywany New - choć wcale nowym nie był, bo już od dość dawna pełnił funkcję wiceszefa do spraw operacyjnych w am-

280

basadzie amerykańskiej w Bejrucie, a więc swego czasu odpowiednika Bachmanna na tym samym terenie. Teraz na widok starego towarzysza broni wystąpił z szeregu, podbiegł do niego i rzucił mu się w objęcia, równocześnie wykrzykując:

- Kurde, Gunther, jak cię ostatnio widziałem, leżałeś za lany w trupa w barze w Commodore! Gościu, a co ty, kurde, robisz w Hamburgu?

Bachmann zaś, nie pozostając dłużnym w uściskach, śmiechach i

okrzykach, w duchu zadawał Newtonowi to samo pytanie: co, do cholery ciężkiej, robi w Hamburgu berlińska ekspozytura Centralnej Agencji Wywiadowczej i dlaczego wciska się na mój teren? Kto ich tu prosił i po co? I gdy tylko Martha z Newtonem ruszyli na poszukiwanie dalszych ofiar, zadał to pytanie Axelrodowi, ale już na głos, natarczywie i ze złością.

- Oni są tu tylko obserwatorami. Nikomu to nie przeszkadza. Opanuj się. Nic się jeszcze nie dzieje.
- A co będą obserwować? New nie jest od obserwowania, tylko od podrzynania gardeł.
- Uważają, że Abdullah to trochę ich działka. Że współfinansował atak na jedno z ich osiedli w Arabii Saudyjskiej, i drugi, ale nieudany, na amerykański punkt nasłuchowy w Kuwejcie.
- No to co? Może nawet współfinansował Bliźniacze Wieże. My go chcemy zwerbować, nie sądzić. Skąd się tu wzięli? Kto im dał cynk?
- No jak to kto? Komitet.
- Ale kto w Komitecie? Z której części Komitetu? Z której z kilku części Komitetu? Chcesz mi powiedzieć, że to Burg-dorf dał im cynk? Że Burgdorf wydał moją operację Amerykanom?
- To była wspólna decyzja... - Axelrod urwał i dokładnie w tej samej chwili Martha postanowiła odbić od Arniego Mohra i jak wielki okręt obrać kurs na nich, ciągnąc w swym kilwaterze lana Lanterna.

281

— Przecież to Günther Bachmann we własnej osobie! - rozdarła się, jakby rzeczywiście krzyczała ze statku na statek, który

właśnie dostrzegła na horyzoncie. — To ty dalej kiblujesz w tej zabitej dechami pipidowie? - Już chwyciła go za rękę i wciągała w fałdy swego cielska, jakby chciała zachować go tylko dla siebie. — Znasz już mojego małego łana? No pewnie, że znasz, łan to mój angielski pudelek. Co rano wyprowadzam go na spacer po Charlottenburgu, no nie, łan?

- Codziennie, jak w zegarku - odpowiedział Lantern, skwaśliwie podbiegając bliżej. - I nawet po mnie sprząta - dodał, mrugając do swego nowego przyjaciela Günthera.

Axelrod zdążył umknąć. Na drugim końcu sali Burgdorf szeptał na ucho swego satrapy, doktora Ottona Kellera, lecz nie spuszczał oczu z Bachmanna, więc może właśnie o nim rozmawiali. Przedstawiciele nieprzejednanej prawicy powinni mieć odpowiedni do poglądów wygląd, ale sześćdziesięcioletni obecnie Burgdorf zawsze przypominał Bachmannowi niezadowolone dziecko, obrażone, że jest przez mamę mniej kochane niż reszta rodzeństwa. Wreszcie otwarły się podwójne drzwi. Główny organizator przyjęcia, Arni Mohr, z wypiętą w przód pierśią i rękami po bokach na znak szacunku, prosił wszystkich na ucztę.

Bachmann, wyprowadzony z równowagi i zdezorientowany obecnością Amerykanów, zajął przeznaczone mu krzesło na końcu stołu konferencyjnego. Mohr umieścił go więc na honorowym miejscu - a jeśli to ośła ława? Prawda, że to Bachmann był organizatorem i instygatorem operacji; gdyby wszakże coś poszło nie tak, stałby się też jedynym winowajcą. Decyzje Połączonego Komitetu, mimo wszystkich poprzedzających je wewnętrznych utarczek, były wynikiem żelaznej zasady konsensusu — jak przed chwilą przypomniawszy mu Axelrod. Wolni

strzelcy pokroju Bachmanna byli dla Komitetu elementem ryzyka, ale i źródłem zysku, i decyzje względem nich uchwalano właśnie w ten sposób. Być może właśnie dlatego zazwyczaj rywalizują-

282

ce ze sobą stronnictwa Burgdorfa i Axelroda tym razem zwarły szeregi na drugim końcu stołu, odgradzając się od intruza zależnymi od siebie urzędnikami.

By podkreślić obserwatorski status Marthy i Newtona, Mohr przygotował dla nich osobny stolik, lecz ku rosnącej konsternacji Bachmanna z pary zrobiła się już trójca, bo dołączyła do nich barczysta, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta o doskonałym uzębieniu i długich popielatoblond włosach. A jakby tego było mało, przez ten krótki czas, który minął od chwili, gdy prawie dwumetrowy Newton ścisnął Bachmanna, Amerykaninowi jakby zdążyła urosnąć broda, a może Bachmann po prostu nie zauważył jej w klinczu: świetnie utrzymana czarna plama w kształcie karcianego pika, uczepiona na końcu podbródka, dokładnie w miejscu, gdzie chciałoby się przywalić mu pięścią — tylko że zanim to by się stało, Newton dawno już wgniałałby przeciwnika w ring.

Zachwycająco uprzejmy Ian Lantern, choć dopiero niedawno dokooptowany do tego grona, znalazł się za głównym stołem, jednakże na tyle blisko stolika obserwatorów, by móc szeptać Marcie na ucho. Po jego lewej zasiadł Burgdorf, ale trzymał się z daleka, Burgdorf bowiem, elegancki, świeżutki przy-stojniaczek, nie znosił fizycznej bliskości innych. Dwa miejsca za Burgdorfem siedziały dwie maniaczki zajmujące się w Berlinie walką z praniem brudnych pieniędzy. Ich życiowym po-

wołaniem stało się wpędzanie samych siebie w przedwczesną starość przez zgadywanie, jak to się stało, że bankowy przelew na dziesięć tysięcy dolarów, zebranych w dobrej wierze przez muzułmańską organizację dobroczynną, zamienił się w pięćset litrów farby do włosów w garażu na tyłach czyjś domu w Barcelonie.

Reszta ustawionych przed Bachmannem twarzy pochodziła z różnych ministerstw albo jeszcze gorzej: miał więc przed sobą grube ryby z Ministerstwa Skarbu, żalobnie ponurą babę z Urzędu Kanclerskiego, absurdalnie młodego szefa departa-

283

mentu z Policji Federalnej i byłego redaktora działu zagranicznego pewnego berlińskiego dziennika, specjalistę od zamykania ust kolegom po fachu.

Czy rozpocznie Bachmann? Mohr zamknął drzwi, nie tylko na klamkę, ale i na klucz. Doktor Keller zerknął krzywo na swoją komórkę i wepchnął ją do kieszeni. Lantern rzucił Bachmannowi swój dziarski uśmiech, który mówił: "Dawaj, Gun-ther". Bachmann więc zaczął:

- Operacja FELDC - obwieścił. - Czy mogę założyć, że wszyscy zaznajomili się z materiałami? Dla nikogo nie bra kło?

Dla nikogo. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

- W takim razie pan profesor Aziz będzie tak dobry i przed stawi nam profil figuranta.

Bo tak radził Axelrod: "Najpierw wypuść na nich Aziza, najważniejsze sprawy zostaw na koniec".

Bachmann wielbił Aziza już dwadzieścia lat. Kochał go i wielbił, gdy Aziz był jego głównym agentem w Ammanie; gdy Aziz gnił w tunezyjskim więzieniu, resztę siatki powieszono, a jego rodzina się ukrywała; i gdy Aziz wywłókł się z bram więzienia na swych poobijanych stopach prosto do czekającego samochodu z numerami ambasady niemieckiej, który powiózł go ku lotnisku i nowemu życiu w Bawarii. I kochał Aziza teraz, kiedy otwarły się boczne drzwi i zgodnie z wcześniejszą umową ukazał się w nich na chwilę Maximilian, po czym do sali wmaszerowała cicho drobna, ciemnowłosa, wąsata, ubrana w ciemny garnitur postać i zajęła miejsce na podwyższonej mównicy przy drugim krańcu stołu — przesiedlony szpieg Aziz, czołowy ekspert Komitetu od poputczyków dżihadu, a także od myśli i czynów swego kolegi ze studiów w Kairze, doktora Abdullaha.

284

Tylko że Aziz wcale nie mówi o nim "Abdullah". Mówi o nim DROGOWSKAZ, ponieważ taki dowcipny pseudonim nadał figurantowi Axelrod, co miało być cienką aluzją do duchowego poradnika wszystkich islamskich fundamentalistów pod tytułem *Drogowskazy przy drodze*, spisane przez ich guru, Sajeda Kutuba, podczas odsiadki wyroku w egipskim więzieniu. Głos Aziza brzmi poważnie, pojawiają się w nim bolesne nutki.

— DROGOWSKAZ jest niemal pod każdym względem czło-  
wiekiem Boga - zaczyna, stawiając się w roli obrońcy. - Jest  
autentycznym stuprocentowym erudyta i uczonym. Nie ma  
też najmniejszych wątpliwości, że jest pobożny. I że opowia

da się za rozwiązaniami pokojowymi. Jest szczerze przekonany, że użycie przemocy do obalenia skorumpowanych rządów w krajach islamskich kłóci się z prawem religijnym. Ostatnio wydał nowy niemiecki przekład złotych myśli proroka Mahometa. Przekład jest naprawdę doskonały. Lepszego nie znam. Prowadzi skromne życie, żywi się miodem. - Nikt się nie śmieje. - Miód po prostu uwielbia. Z tego zamiłowania do miodu jest znany wśród muzułmanów. Muzułmanie chętnie przyczepiają ludziom etykiety. Jest więc człowiekiem Boga, Księgi i miodu. My wiemy niestety, że jest również człowiekiem bomby. Do końca mu tego nie udowodniliśmy, ale te dowody, które mamy, mówią same za siebie.

Bachmann ukradkowo rozgląda się wokół stołu. Miód, Bóg i bomby. Wszystkie oczy skierowane są na drobnego profesora o żołnierskiej postawie, byłego przyjaciela miodożerne-go terrorysty.

— Jeszcze pięć lat temu ubierał się w garnitury od krawca. Był dandysem. Ale odkąd zaczął się pojawiać w niemieckiej telewizji i brać udział w publicznych debatach, przerzucił się na skromniejszy strój. Postanowił rzucać się w oczy tą skromnością. I ascetycznym stylem życia. Tyle wiem. Nie wiem dokładnie dlaczego.

285

Słuchacze też nie wiedzieli.

—Przez całe życie DROGOWSKAZ był autentycznym bojownikiem o zniesienie wszelkich różnic i podziałów między wszyst

kimi członkami *ummy*. I za to należałoby go podziwiać...

Urywa. Obecni w większości, choć nie wszyscy wiedzą, że słowa *umma* używa mówca na określenie wszechświatowej wspólnoty muzułmanów.

- DROGOWSKAZ prowadzi działalność charytatywną, zasiadając w radach organizacji dobroczynnych o mocno zróżnicowanej proveniencji. Bardzo często są one między sobą skłócone, mimo że chodzi przecież o zgodne pobieranie i rozdawanie *zakatu* — ciągnie Aziz i po raz kolejny szybko rozgląda się po swoich słuchaczach.
- *Zakat* to te dwa i pół procenta zarobków każdego muzułmanina, które zgodnie z prawem szariatu powinien on oddawać na szczytne cele, czyli na szkoły, szpitale, karmienie ubogich i potrzebujących, stypendia dla studentów i sierocińce. Oczywiście muzułmańskie sierocińce. Te cieszą się jego szczególnym zainteresowaniem, DROGOWSKAZ ZAWSZE powtarza, że dla naszych sierot gotowy jest zjeździć całą kulę ziemską bez snu i jadła. I za to też powinniśmy go podziwiać. W islamie jest wiele sierot. Poza tym DROGOWSKAZ sam został sierotą w bardzo wczesnym dzieciństwie. Wychowywał się w surowych, bardzo surowych szkołach koranicznych.

Ale istnieje też gorsza strona medalu, jak zdaje się sugerować nagła zmiana tonu mówcy:

— W tym miejscu chciałbym państwu przypomnieć, że sierocińce są jedną z tych płaszczyzn, na których w sposób całkowicie naturalny krzyżują się drogi działalności społecznej i terrorystycznej. Sierocińce to schronienie dla dzieci tych, co umarli. A wśród umarłych są męczennicy, kobiety i mężczyź



ni, którzy oddali życie w obronie islamu, czy to na polu walki, czy jako zamachowcy samobójcy. Hojni ofiarodawcy nie muszą wiedzieć, jaką konkretną formę przybrał w danym przypadku

286

akt męczeństwa. Niestety, w tej sytuacji związki ze sponsorami terroryzmu stają się nieuniknione.

Bachmann wcale by się nie zdziwił, gdyby zebrani odpowiedzieli na to skupionym "Amen".

- DROGOWSKAZ nie cofa się przed niczym — mówi z naci skiem profesor Aziz, powracając do swej roli sądowego obrońcy. - Wykonując swoją życiową misję, zdążył się napatrzeć, w jak strasznej biedzie żyją jego muzułmańscy bracia i siostry w najgorszych zakątkach ziemi. Sam przyznam, że w absolutnie najgorszych. W ciągu ostatnich lat odwiedził, często z narażeniem życia, Strefę Gazy, Bagdad, Somalię, Jemen, Etiopię i wreszcie Liban, gdzie na własne oczy zobaczył, co z tym krajem zrobili Izraelczycy. Niestety, to go oczywiście nie rozgrzesza.

Bierze głęboki wdech, jakby chciał wraz z nim zaczerpnąć odwagi — choć Bachmann doskonale pamięta, że czego jak czego, ale odwagi Azizowi nigdy nie brakowało.

- Wyznam państwu, że w takich jak ta sprawach i muzułmanie, i niemuzułmanie muszą sobie odpowiedzieć, czy rzeczywiście dzieje się to, na co wskazują te bardzo sugestywne dowody. Czy ktoś taki jak DROGOWSKAZ rzeczywiście czyni trochę dobra, żeby czynić zło? A może on czyni trochę zła, żeby

czynić dobro? Ja twierdzę, że cel, jaki na całe życie obrał sobie DROGOWSKAZ, to zawsze i wszędzie czynić tylko dobro. Proszę go zapytać, co sądzi o uzasadnionym użyciu przemocy. Odpowie, że w sprawie terroryzmu trzeba umieć rozróżnić całkowicie dozwolony opór przeciwko okupacji od zwykłego terroryzmu, na który zgody być nie może. Na opór przeciwko okupacji zezwala Karta Narodów Zjednoczonych. I z tym na pewno zgodziliby się wszyscy liberalni Europejczycy. Sęk w tym - tu mówca zaczyna nagle sprawiać wrażenie, że szczerze się martwi - sęk w tym, że wiemy, iż w tych przypadkach, od których DROGOWSKAZ nie jest wyjątkiem, bo przecież mamy już sporo dowodów, otóż w tych przypadkach dobrzy ludzie dochodzą do wniosku, że trochę zła jest nieuniknionym elementem ich

287

działalności. Niektórzy godzą się, by tego zła było dwadzieścia procent. Inni przystają tylko na dziesięć czy dwanaście. Jeszcze inni dopuszczają tylko pięć. Ale i pięć procent zła może być naprawdę bardzo złe, nawet jeżeli poza tym mamy dziewięćdziesiąt pięć procent dobra. Wszyscy ci ludzie oczywiście znają wszystkie za i przeciw. W swoich głowach jednak — mówca stuka się we własną - uważają ten spór za nierozstrzygnięty. W swych głowach mają więc jakiś określony stosunek do terroru i nie jest to stosunek do końca negatywny. Terror uważają — szuka w swym sumieniu właściwego określenia, lecz jakby udawał, że to sumienie Abdullaha — za bolesny, choć konieczny element wielkiej różnorodności *ummy*. Niestety, to nikogo nie usprawiedliwia. Ośmielę się natomiast twierdzić, że

owszem, nie usprawiedliwia, za to przynajmniej tłumaczy. Z tego też powodu, o ile DROGOWSKAZ jest zapewne przeświadczony, że obrał właściwą drogę, o tyle nie uznaje za właściwe powiedzieć terrorystom w twarz, że czynią zło. Bo w głębi ducha nie jest tego do końca pewien. Na tym polega jego nierozwiązywalny paradoks. I nie tylko jego. Bo przecież czy nie jest tak, że wszyscy prawdziwi wierni poszukują właściwej drogi? I czy nie jest tak, że niełatwo odgadnąć, czego chce Bóg? DROGOWSKAZ może nawet czuć głęboką odrazę do tego, co robią terroryści, zapewne nawet ją czuje. Ale kto ośmieli się powiedzieć, że oni są mniej pobożni, gorzej niż on kierują się wolą boską? Oczywiście zakładając, że wierzymy w to, co zdają się sugerować nam posiadane dowody.

Bachmann rzuca szybkie spojrzenie na Burgdorfa, potem na Marthę, bo amerykańska superkobieta-szpieg i przyszły jedynowładca niemieckiego wywiadu patrzą tak samo, w dodatku na siebie nawzajem. Jest to spojrzenie pozbawione wyrazu, nie mówiące nic poza tym, że istnieje między nimi osobista nić porozumienia. A potem to spojrzenie nagle dostrzega czujny Lantern i z całych sił pragnąc się w nie włączyć, odchyła się do tyłu na fotelu, aż jest już najbliżej, jak się da, zdobnego w klej-

288

noty ucha Marthy, i szepcze w nie coś, co w najmniejszy sposób nie wpływa na wyraz jej twarzy.

Jeżeli Aziz nawet dostrzegł to wszystko, nie daje tego po sobie poznać.

— Musimy również wziąć pod uwagę taką możliwość

- mówi dalej - że DROGOWSKAZ właśnie z powodu swojego pochodzenia i z racji wynikających z tego koneksji jest pod moralnym naciskiem swych

współwyznawców. To się zdarza. Jego współpraca z nimi jest nie tylko niekwestionowana, ale i wymuszana. "Jeżeli nam nie pomożesz, zdradzisz nas". A może DROGOWSKAZ jest przedmiotem innych jeszcze form nacisku? Jego poprzednia żona i ukochane dzieci z tego pierwszego związku mieszkają w Arabii Saudyjskiej. Pewności nie mamy żadnej

- mówi dobitnie i z wielkim żalem - i nigdy jej mieć nie będziemy, i może sam DROGOWSKAZ też nie wie, jak do tego doszło, że stał się tym, kim się stał, oczywiście zakładając, że rzeczywiście tym kimś się stał. - Zbiera się w sobie na ostatni już chyba apel do sumienia słuchaczy, w jego skuteczność jednak nie bardzo wierzy. — Bo może DROGOWSKAZ nie chce wiedzieć, może naprawdę nie chce wiedzieć, gdzie dla niego kończy się owe pięć procent? Przecież do końca tak naprawdę nie wie tego nikt. Tu w jakimś meczecie trzeba naprawić dach, tam dobudować nowe skrzydło szpitala... Allah jest tak łaskaw, że za czyimś pośrednictwem pieniądze się znajdują. Ale najbiedniejsze zakątki krajów islamskich nie słyną przecież ze szczególnie drobiazgowej księgowości. Toteż ten czy inny pośrednik zawsze może odłożyć sobie tyle, że starczy na parę pasów z materiałami wybuchowymi... - I wreszcie naprawdę już ostatnie słowo: - DROGOWSKAZ wie to wszystko i uwielbia to, co robi. Ale o pięciu procentach po prostu woli nie wiedzieć, więc nie wie. Bardzo mi przykro.

Za co przykro? — już miał zapytać Bachmann.

- No to jak z nim w końcu jest? - pyta nagle zniecierpliwiony męski głos. Głos należy do Burgdorfa.

- W świede jego czynów, *Herr* Burgdorf? Chodzi panu o skutki tego, co

robi? Zakładając, że dowody mówią prawdę?

- A nie o tym tutaj gadamy? Skoro już zrobiliśmy takie założenie... Jak to z nim jest?

Burgdorf, kapryśne duże dziecko, znany jest ze swej niechęci do liberalnego dzielenia włosa na czworo. "Michael, ty mi przyprowadź doradców, którzy widzą tylko na jedno oko!" — miał kiedyś wykrzyknąć pod adresem Axelroda podczas niestosownej bardzo publicznej kłótni - "A nie ludzi, którzy mówią, że z jednej strony to, z drugiej tamto!"

—DROGOWSKAZ jest dla wszystkich, *Herr* Burgdorf- przy znaje z mównicy, wciąż ze smutkiem, profesor Aziz. - I nie chodzi o ogólny sens tego, co robi, tylko o szczegóły. Tu zaoszczędzi trochę pieniędzy, tam przekieruje jakąś drobną sumkę... Bo kwoty rzeczywiście nie są wielkie. Zresztą terror działa teraz na takim poziomie, że naprawdę nie potrzebuje wielkich pieniędzy. Wystarczy już kilka tysięcy dolarów. A w miejscach, gdzie jest naprawdę strasznie, nawet kilkaset. W przypadku Hamasu jeszcze mniej.

I jeszcze jakby chciał coś dodać. Może właśnie przypomniał sobie, na co wystarczyło kiedyś kilkaset dolarów. Burgdorf nie dopuszcza go do głosu.

- Czyli finansuje działalność terrorystyczną - oświadcza głośno i bez ogródek, żeby do wszystkich dotarło.
- Praktycznie rzecz biorąc, tak, *Herr* Burgdorf. Jeżeli prawdą jest to, co o nim wiemy. W dziewięćdziesięciu pięciu procentach nie. W dziewięćdziesięciu pięciu procentach on pomaga biednym, chorym i potrzebującym członkom *ummy*. Ale w pięciu procentach finansuje

działalność terrorystyczną. Świadomie i sprytnie. A więc jest człowiekiem złym. Na tym polega jego dramat.

Axelrod spodziewał się tego i już był przygotowany.

- Panie profesorze, czy pan nie sugeruje czegoś innego?

Sądząc po tym, co można wyczytać między wierszami pana wy-

290

stąpienia, czy nie zgodziłby się pan z tezą, że gdyby zastosować, powiedzmy, odpowiednie zachęty albo właściwe połączenie zachęt i nieszczęśliwych wypadków, DROGOWSKAZ byłby idealnym kandydatem do nawrócenia na drogę pokojową? Przecież wiele lat temu pan też należał do Bractwa Muzułmańskiego i opowiadał się za akcją bezpośrednią?

Profesor Aziz kłania się na pożegnanie i zostaje wyprowadzony. Co prawda ma wszelkie konieczne dopuszczenia, po co jednak ryzykować? Patrząc za nim, Bachmann słyszy Marthę, która odzywa się teatralnym szeptem do Lanterna:

- Wiesz co, Ian? Ja od razu biorę te pięć procent.

Po wyjściu Aziza zrobiło się okropne zamieszanie. Martha wstała, nabrała wiatru w żagle i wypłynęła z pokoju z komórką przy uchu, porywając za sobą Newtona i barczystą blondynkę. Okazało się, że Mohr odstąpił Agencji osobny gabinet, żeby mogła sobie stamtąd wszystko obserwować i dalej nikomu nie przeszkadzać. Burgdorf pochylał się nad siedzącym Kellerem i szeptał mu coś do ucha, podczas gdy obaj patrzyli w przeciwne strony. A Bachmann, usiłując zagłuszyć w sobie narastające obawy, modlił się w duchu tekstem swej niewykonanej kantaty:

*Nie jesteśmy policjantami, ale szpiegami. My nie aresztujemy naszych figurantów. Pracujemy nad nimi i nasyłamy ich na większych figurantów. Jeżeli wykryjemy siatkę, obserwujemy ją, podstuchujemy, przenikamy do niej i stopniowo zaczynamy sami ją prowadzić. Aresztowania mają wartość ujemną. Niszczą cenny nabytek. Zmuszają do zaczynania od początku, do szukania, żeby znaleźć coś choć w połowie tak dobrego jak ta siatka, którą się właśnie spaprało. Jeżeli Abdullah nie należy do żadnej znanej siatki, ja go do niej włączę. Jak trzeba będzie, sam mu ją założę — specjalnie dla niego. Dawniej mi się udawało, uda mi się również teraz z Abdullahem, tylko dajcie mi szansę. Amen.*

291

\* \* \*

Ale już w ustach legendarnej analityczki nazwiskiem Zimmermann, którą Bachmann zdążył poznać podczas jej przelotnych odwiedzin w ambasadzie w Bejrucie, DROGOWSKAZ przemienia się z łasego na miód pobożnego uczonego z pięcioprocentowym mankiem w skąpanego we krwi poplecznika terroryzmu.

Na ekranie ponad płaską głową *Frau Zimmermann* pojawiają się przypominające drzewa genealogiczne wykresy ukazujące, ilu z powszechnie szanowanych muzułmańskich organizacji dobroczynnych, którymi kieruje, DROGOWSKAZ używa do zdobywania środków i sprzętu dla terrorystów. Nie wszystkie z jego pięcioprocentowych transakcji to transakcje finansowe. Wyklęty lud z Dżibuti błaga o sto ton cukru? Jedna z organizacji DROGOWSKAZA już dopilnuje, by transport został natychmiast wysłany. Ale tak się złoży, że po drodze do Dżibuti płynący z pomocą

statek zawinie na chwilę do skromnego portu Berbera na północnym wybrzeżu targanej wojną Somalii, by wyładować inny ładunek, tłumaczy pani Zimmerman, z irytacją okładając ekran wskaźnikiem, jakby chciała się pozbyć natrętnego owada.

W Berberze zaś okazuje się, że przez pomyłkę wyładowano tam dziesięć ton cukru. No cóż, zdarza się, nie tylko w Berberze, nawet w Hamburgu. Głupia pomyłka zostaje zauważona, dopiero gdy statek znów znajduje się na pełnym morzu. A kiedy dociera do oficjalnego celu podróży, właśnie do Dżibuti, odbiorcy są tak głodni i tak wdzięczni za dziewięćdziesiąt ton, że nikt nie upomina się o brakujące dziesięć. Tymczasem w Berberze za dziesięć ton cukru można kupić detonatory, miny, broń ręczną i ręczne granatniki dla soma-lijskich fundamentalistów, których życiowym celem jest sianie zamętu i rozlew krwi po cenach konkurencyjnych. I czy ktokolwiek może mieć pretensje do dzielnej organizacji dobroczynnej, która w swej niekwestionowanej dobroci dostar-

292

czyła cukier głodującym z Dżibuti? I czy ktokolwiek może mieć pretensje do DROGOWSKAZA, tego dziewięćdziesięciopięcioprocentowego bojownika o tolerancję i pojednanie między ludźmi wszystkich wyznań?

Owszem, może. Na przykład *Frau Zimmermann*.

Potem *Frau Zimmermann* odsyła swych słuchaczy do akt FELIKSA, gdzie znajdą szczegółowy opis rozumowania, na którym opiera swe wnioski. Na razie ma dla opornych inny wykres, jeszcze prostszy niż ten pierwszy. Przedstawia on istny archipelag banków, i dużych, i małych, rozsianych po całej kuli ziemskiej. Nazwy jednych brzmią znajomo, inne mają



pewnie swe główne siedziby w slumsach jakiegoś miasta w górach Pakistanu. Na pozór nic ich ze sobą nie łączy. Tylko jedno — światełko laserowego wskaźnika, którym trafia w nie *Frau Zimmermann*, potrząsając tym urządzeniem jak rozzłoszczona staruszka wygrażająca parasolem odjeżdżającemu autobusowi.

*Frau Zimmermann* mówi, że pewnego pięknego dnia do jakiegoś konkretnego banku zostaje wpłacona pewna skromna sumka. Powiedzmy, że bank jest w Amsterdamie. I powiedzmy, że ta sumka to dziesięć tysięcy euro. Przychodzi z ulicy miły pan i po prostu ją wpłaca.

Pieniążki zostają w banku. Wpłacone na konto osoby fizycznej, firmy, instytucji albo organizacji dobroczynnej. Zostają i nigdzie się nie ruszają. Leżą sobie na koncie szczęśliwego właściciela. Może przez pół roku. A może przez rok.

Tydzień potem, proszę bardzo, taka sama sumka zostaje wpłacona do tego samego banku, tyle że do jego oddziału oddalonego o dobrych parę tysięcy kilometrów - niech będzie w Karaczi. I ta sumka też tam sobie leży. Żadnych telefonów, żadnych przelewów. Przyszedł z ulicy jakiś inny pan, również miły, i już.

— Za to miesiąc później bardzo podobna sumka pojawia się wreszcie tu — mówi *Frau Zimmermann* i jej piskliwy głos staje się jeszcze bardziej piskliwy pod wpływem świętego obu-

293

rzenia. Światełko wskaźnika spoczywa teraz na północy Cypru. - W miejscu, gdzie od początku miała trafić, wpłacona po cichutku, nie do wyśledzenia bez szczegółowych danych o operacjach bankowych. W

ciągu godziny na całym świecie przeprowadza się niezliczone transakcje tego rodzaju. Tylko zupełnie mały odsetek z nich ma cokolwiek wspólnego z działalnością terrorystyczną. Gdy zbierze się informacje z wielu źródeł i uda się skorzystać z danych komputerowych, od czasu do czasu daje się też prześledzić drogę takiej transakcji. Ale to tylko jedna droga. Na tym polega cała trudność. Jeżeli udało się raz, skąd pewność, że uda się drugi? Bo za drugim razem droga może być zupełnie inna. Dlatego tak świetnie to działa. Chyba że osoba odpowiedzialna za ten łańcuszek świętego Antoniego przestanie mieć się na baczności, rozleniwi się, zacznie się powtarzać. Wtedy pojawia się jakaś prawidłowość i po jakimś czasie można już robić pewne przypuszczenia. Najlepiej jeżeli uda się ustalić początek łańcucha i jego następne ogniwo. Otóż DROGOWSKAZ jest takim początkiem łańcucha, który się rozleniwił.

Światelko ponie nad Nikozją. Wskaźnik karcąco uderza w miasto na mapie, wreszcie na nim się zatrzymuje.

— Z niewidzialnymi przelewami jest jak z szyframi - mówi dalej legendarna *Frau Zimmermann* swym nabytym w szkole akcentem z południowych Niemiec. - Kryptolog o niczym tak nie marzy jak o tym, żeby ktoś zaczął się powtarzać. Na podstawie trzyletniej obserwacji wpadliśmy na trop pewnej niezwykle anonimowej firmy armatorskiej, która ma na swym koncie mnóstwo omyłkowych wyładunków żywności i innych towarów w podejrzanym miejscach, ale jakoś nie śpieszy się za bardzo z odzyskaniem ładunków... - Ponad zarysem wyspy rozlewa się nagle czerwony napis z nikomu nic nie mówiącą nazwą: SEVEN FRIENDS NAVIGATION COMPANY, lecz wskaźnik dzielnie trwa na posterunku. — Poza tym udało się ustalić, że to od DROGOWSKAZA rozpoczynają się przelewy na

konto tej organizacji dobroczynnej w tym banku - roz-

294

świetla się Rijad oraz nazwa banku po arabsku i po angielsku — że do tego banku trafia identyczna suma - wskaźnik przenosi się nad Paryż — i że dokładnie taki sam przelew trafia t u - jesteśmy już w Stambule - a wszystko na rachunki, które udało nam się poznać z wyprzedzeniem, i w efekcie stanowi to bardzo mocną przesłankę, że DROGOWSKAZ jest w ten czy inny sposób zamieszany w finansowanie terroryzmu. Bo gdyby DROGOWSKAZ był czysty, jesteśmy przeświadczeni, nigdy by się nie kontaktował z takim drobnym armatorem. A tymczasem osobiście korzystał z jego usług, i to nieraz, choć wiedział, a może właśnie dlatego, że wiedział, iż przynajmniej raz ta firma dostarczyła ładunek w niewłaściwe miejsce. Nie jest to jeszcze niezbity dowód, ale jako poszlaka aż się prosi, by pracować nad tym dalej.

Kiedy ekran z powrotem chowa się w suficie, pedantycznemu głosowi *Frau Zimmermann* przerywa odbijający się echem od ścian megafon okrętowy majestatycznej Marthy.

— Kiedy mówisz “mocna przesłanka”, Charlotte... - A skąd ona wie, do cholery, jak tamtej na imię? zastanawia się Bachmann. I jak, do cholery, wlaźła tu z powrotem, a ja jej nie za uważylem? - to czy masz na myśli, że zaraz będą dowody? Że wystarczy, żeby zrobił ruch taki, jaki chcemy, żeby zrobił ten pierwszy ruch, i już będziemy mieli dowody? Takie, które by zadowolili amerykański sąd?

Zdezorientowana *Frau Zimmermann* protestuje, że nie jest właściwą

osobą, by odpowiadać na takie pytanie, i zaraz skwapliwie wyręcza ją w tym Axelrod:

— A o jakich sądach mówimy, Martho? O wojskowych trybunałach za zamkniętymi drzwiami czy o tych staroświeckich, w których oskarżonemu wolno wiedzieć, o co jest oskarżony?

Parę osób o nieco bardziej niezależnych poglądach nawet się zaśmiało. Reszta udaje, że nie słyszy.

— *Herr* Bachmann - wtrąca się Burgdorf. - Pan przygotował propozycję operacji. Bardzo proszę, posłuchajmy.

295

\* \* \*

Człowiek, który zwykle ustala reguły gry, nie lubi, by niewtajemniczeni zaglądali mu przez ramię, gdy on zabiera się do roboty. W swej niechęci do ujawniania procesu twórczego był Bachmann bardzo podobny do artysty. Mimo wszystko wstał, by uczynić zadość życzeniu publiczności. Bezpretensjonalnymi, zrozumiałymi dla laika słowami, by dotrzeć do tych z obecnych, którzy znajdowali się na pograniczu świata szpiegów, przedstawił argumenty będące podstawą wystąpienia spisanego pośpiesznie we współpracy z Erną Frey i Axelrodem. Wyjaśnił, że celem operacji jest udowodnienie winy DROGOWSKAZA przy równoczesnym zachowaniu, a w późniejszym okresie nawet podniesieniu jego pozycji i reputacji, z zachowaniem wszystkich jego kontaktów z organizacjami dobroczynnymi. Chodzi bowiem o to, by przejąć kontrolę nad tymi jego pięcioma procentami i użyć go jako słuchawki i mikrofonu równocześnie. Wbrew sobie Bachmann użył nawet zwrotu "wojna z terrorem". Dlatego

najważniejszy będzie pierwszy krok, mianowicie całkowita kompromitacja DROGOWSKAZA, uświadomienie mu tej kompromitacji oraz wskazanie wyboru, jaki przed nim stoi: albo zostanie tym, kim jest, czyli wybitnym przywódcą duchowym *ummy*, albo...

- No właśnie, albo co, Günther? Powiedz - przerwała mu Martha, nikomu nie przeszkadzająca obserwatorka zebrania.

- Publiczne upokorzenie, być może również więzienie.

- Być może?

Axelrod pośpieszył Bachmannowi z pomocą:

- Jesteśmy w Niemczech, Martho.

- A pewnie. W Niemczech. Zrobicie mu proces i załóżmy, że tym razem dla odmiany uda wam się go skazać. Na ile pójdzie siedzieć? Jakies sześć lat z czego trzy w zawieszeniu? Wy chyba nie wiecie, co to jest prawdziwe więzienie. A kto go będzie przesłuchiwał?

Co do tego Axelrod nie miał żadnych wątpliwości.

296

- Będzie więźniem Niemiec, więc zostanie przesłuchany zgodnie z niemieckim prawem. Ale to oczywiście w wypadku, jeśli nie pójdzie na współpracę. Bo byłoby znacznie lepiej, gdyby został tym, kim jest, i pracował dla nas. Uważamy, że się zgodzi.
- Niby dlaczego? Przecież to fanatyczny terrorysta. Nie będzie wolał wysadzić się w powietrze?
- Raczej tego się po nim nie spodziewamy — włączył się Bachmann.  
- To ojciec rodziny, wyrobił sobie pozycję, jest szanowany w całej

*ummie*, podziwiany na Zachodzie. Ostatni raz siedział trzydzieści lat temu. Zresztą my nie będziemy go namawiali do zdrady, tylko damy mu nową definicję wierności. Wzmocnimy jego tutejsze notowania, obiecamy mu niemieckie obywatelstwo, o które stara się bez skutku już chyba szósty raz. Pewnie, na początek go postraszymy, ale to będzie tylko gra wstępna. A potem się z nim zaprzyjaźnimy. "Współpracuj z nami, razem stworzymy lepszy i bardziej umiarkowany świat islamski".

- A amnestia za dawną działalność terrorystyczną? — dodała Martha, jakby teraz włączała się w tę dyskusję po jego stronie. - Amnestię też mu dorzucicie?
- Pod warunkiem, że o wszystkim nam powie. I że Berlin się zgodzi. I jako konieczny element całego układu. Wtedy tak.

Cień wzajemnej wrogości nagle się rozwiął. Martha już uśmiechała się szeroko.

- Günther, kochanie, ja pierdołę, ile ty masz lat? Sto pięćdziesiąt?
- Sto czterdzieści dziewięć — odpowiedział Bachmann, zgadzając się na własny udział w jej żarcie.

— I pomyśleć że mnie wycięto ostatnie ideały, jak miałam siedemnaście i pół! - zawołała Martha ku powszechnej radości, w której prym wiódł Ian Lantern.

\* \* \*

Ale Bachmann jeszcze nie wygrał. Ukradkowe obrzucenie wzrokiem zgromadzonych wokół stołu twarzy potwierdziło jego obawy, które żywił

od samego początku - że perspektywa czulej przyjaźni z kimś, kto od dawna finansuje terroryzm, nie każdemu musi od razu przypaść do gustu.

- Czyli tak: dajemy naszym wrogom obywatelstwo teraz, zaraz — odezwał się kwaśno znany żartowniś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. — Tulimy do piersi nie tylko DROGO-WSKAZA, który już został rozszyfrowany jako międzynarodowy terrorysta, ale jeszcze naszego kochanego FELIKSA, zbiegłego rosyjskiego kryminalistę i recydywistę, z całą litanią wyroków za akty przemocy dokonane z inspiracji muzułmańskiej. Nasza gościnność względem zagranicznych przestępców nie zna granic. Kolesi jest zdany na naszą łaskę i niełaskę, a my mu jeszcze dajemy na zachętę niemieckie obywatelstwo. Zastanawiam się, jak daleko jesteśmy w stanie posunąć się w szlachetności.
- Chodzi o tę dziewczynę — warknął Bachmann, czerwieniąc się ze złości.
- No oczywiście. Bo w tej sprawie jest jeszcze kobieta. Całkiem zapomniałem.
- Dziewczyna nigdy by nie poszła na współpracę, gdybyśmy jej uroczyście nie obiecali, że FELIX będzie wolny. Bez dziewczyny w życiu nie udałoby się nam wpłynąć na FELIKSA. To ona się z nim zaprzyjaźniła i ona go przekonała, żeby skontaktować Się Z DROGOWSKAZEM.

Zdając sobie sprawę, że jego słowa zostały przyjęte w niedowierzającym, by nie rzec: całkowicie sceptycznym milczeniu, Bachmann wojowniczo wychylił głowę do przodu.

- Dałem jej słowo. Słowo prowadzącego dane agentowi.

Tego słowa się nie łamie. Taka była umowa. Komitet się zgodził.  
- To ostatnie zdanie było prztyczkiem pod adresem Burgdorfa.  
Axelrod z zażenowaniem zmarszczył brwi. - Ona jest jego adwokatem. - Tym razem zwracał się do całej sali. - I jako jego adwokat ma święty obowiązek zrobić wszystko, by chronić

298

swojego klienta. Współpracuje z nami, bośmy ją zapewnili, że to dla jego dobra. Puścimy go wolno, on będzie mógł uczyć się i modlić, bo jemu tylko o to chodzi. Właśnie dlatego ona z nami w ogóle współpracuje.

— Podobno się w nim kocha — odezwał się ten sam uszczypliwy i całkowicie nieprzekonany głos. - Może trzeba się zastanowić, czy zostało jej trochę tej miłości dla nas?

I mimo ostrzegawczego spojrzenia Axelroda Bachmann pewnie odpowiedziałby na tę zaczepkę w sposób, którego by potem pożałował, gdyby nie wtrącił się Lantern, by rozładować napięcie.

— A czy ja mógłbym przez chwilę pomachać malutką brytyjską flagą? - zapytał, wybierając Axelroda na głównego odbiorcę swego angielskiego humoru. — Uważam za swój obowiązek przypomnieć, że gdyby nie udział w sprawie pewnego brytyjskiego banku z pięknymi tradycjami, nie byłoby ani FELIKSA, żeby mógł odziedziczyć pieniądze po tatusiu, ani DROGOWSKAZA, żeby pomógł mu je wydać!

Śmiech, który zabrzmiał, ciągle był niepewny. Napięcie nie opadało. Martha namawiała się czoło w czoło z Newtonem i swoją tajemniczą popielatą blondynką. Nagle uniosła głowę.



— Gunther. Ian. Axel. W porządku. Bardzo was proszę, powiedzcie mi jedno. Czy wy i wasi chłopcy jesteście pewni, że uda się wam ten numer? No bo, Jezu, widzicie, co my tutaj mamy. Kopnięta liberalna adwokątka na skraju załamania nerwowego. Stary brytyjski bankier, co ma na nią ochotę. A do tego półkrwi Czeczen, bojownik o wolność, który uciekł z Rosji, puszcza papierowe samoloty, słucha muzyki i myśli, że zostanie lekarzem. I wy naprawdę myślicie, że uda się wam posadzić ich w jednym pokoju i że oni razem, do spółki, wystawią wam zatwardziałego islamistę, specja od prania brudnych pieniędzy, który przez całe życie uczył się wachać pismo nosem? Dobrze zrozumiałam? A może coś mi się stało w głowę?

299

Bachmann odetchnął z ulgą, ponieważ tym razem Axelrod odezwał się znacznie bardziej przekonująco:

- Martha, z punktu widzenia DROGOWSKAZA NASZ FELIX nie przychodzi do niego znikąd. Jeżeli zerkniesz na materiał, zobaczysz, jak pięknie piszą o nim prowadzone przez nas fundamentalistyczne strony internetowe. Nasza sekcja elektroniczna już mówi, że się opłaciło. Szwedzki list gończy i raport milicji rosyjskiej też nam raczej nie zaszkodziły. Bo teraz podchwyciły to strony internetowe, o których w życiu nie słyszeliśmy, i trąbią o tym, jaki to z niego wielki bojownik czeczeński i mistrz ucieczek. Jak w końcu dojdzie do ich spotkania, FELDC przyjdzie na nie poprzedzony sławą bohatera.

\* \* \*

Ktoś pytał o procedury operacyjne. Kiedy już dojdzie do skompromitowania i zabezpieczenia DROGOWSKAZA, jak długo może Bachmann go trzymać, żeby nikt nie zaczął się martwić, co się z nim dzieje?

Bachmann odpowiedział, że to zależy, jakie plany będzie miał DROGOWSKAZ na ten wieczór. Czas działa przeciwko nam, bo i dziewczyna, i FELDC mogą się załamać.

Teraz w centrum uwagi znalazł się Arni Mohr. Za wszelką cenę usiłując zaznaczyć swoją obecność, zaczął opowiadać o wizycie w Komendzie Głównej Policji, gdzie wybranym osobom przedstawił część, bo oczywiście nie całość, planowanej operacji.

Bachmann słuchał i miał wrażenie, że z rozpaczy chyba się pochoruje. Mohr właśnie oznajmiał z dumą, że policja zamierza rozmieścić wokół banku snajperów na wypadek, gdyby DROGOWSKAZ przyszedł na spotkanie z pasem wypełnionym materiałami wybuchowymi.

A ponieważ trzeba zakładać, że DROGOWSKAZ przyjdzie uzbrojony, policja zamierza też zabezpieczać spotkanie w ban-

300

ku Brue Freres z wszystkich pięciu stron: od strony nabrzeża, obu stron ulicy i obu jej końców.

No i z dachów też, ciągnął Mohr. Jego plan zakładał odcięcie całej okolicy, gdy tylko DROGOWSKAZ zostanie wpuszczony do banku, i zastąpienie prawdziwych przechodniów własnymi: nie tylko przechodniów, ale także kierowców w samochodach i rowerzystów. Policja pomoże też ewakuować wszystkie okoliczne domy i hotele.

Keller potakiwał.

Burgdorf nie przeczył.

Martha, choć była tylko nikomu nie przeszkadzającą obserwatorką, z przyjemnością wyraziła swą aprobatę.

Newton powiedział, że jakbyście czegoś potrzebowali, wiecie, gadżety, noktowitzory, obojętne co, to on zaraz, w tej chwili...

Tajemnicza popielata blondynka wyrażała swą zgodę zaciśnięciem ust i kiwaniem głową.

Próbując powstrzymać rozmach Mohra w planowaniu operacji, Axelrod przypomniał mu, że wszelkie planowane przez niego i policję zabezpieczenia muszą pozostać niezauważone, i to przed wizytą DROGOWSKAZA w banku Brue Freres, podczas niej i po jej zakończeniu. Jeżeli bowiem ktoś się dowie - wszystko jedno, czy media czy wspólnota muzułmańska, która tak wysoko go sobie ceni - wszelkie nadzieje, by DROGOWSKAZ stał się cennym informatorem, zostaną natychmiast pogrzebane.

Oczywiście, przyznał Axelrod, jeśli o niego chodzi, Arni Mohr może być obecny w chwili zatrzymania DROGOWSKAZA przez policję, ale tylko jeżeli Bachmann uzna takie zatrzymanie za konieczny środek zastraszający przed rozpoczęciem procesu zaprzyjaźniania się z figurantem. Czy wszystkim to odpowiada?

Odpowiadało chyba wszystkim, tylko nie Bachmannowi. Nagle jednak zebranie się skończyło. Rada przysięgłych - wraz z obserwatorami - miała teraz udać się na naradę i za-

301

stanowić nad wyrokiem, a Bachmann - nie po raz pierwszy w życiu -

niech wraca do swojej stajni i zadrecza się, czekając na wyrok.

- Świetna robota, Bachmann - powiedział mu Burgdorf, poklepując go po ramieniu w rzadkim u niego przyływie potrzeby fizycznego kontaktu.

Dla Bachmanna ta pochwała zabrzmiała jak nekrolog.

\* \* \*

Bachmann siedział przy własnym biurku, trzymając głowę w dłoniach; naprzeciw niego Erna Frey metodycznie stukała w klawiaturę komputera.

- W jakim ona jest stanie? - zapytał.
- Dobrym jak na to, co się dzieje.
- Czyli jak dobrym?
- Dopóki myśli, że Issa jest w gorszym, wytrzyma.
- To dobrze.
- Dobrze?

A co miał powiedzieć? Czy to jego wina, że Erna też zakochała się w tej dziewczynie? A może to wina Erny? Skoro wszyscy naokoło tak uwielbiają tę dziewczynę, nic chyba dziwnego, że Erna też. Miłość, uwielbienie - wszystko jedno co, byle tylko wytrzymać.

W pozostałych pomieszczeniach stajni panował równie ponury nastrój. Maximilian i Niki rozszyfrowywali i sprawdzali codzienny urobek, byle tylko nie iść do domu. Ale do uszu Bachmanna nie docierał żaden ludzki głos - żadne śmiechy czy pokrzykiwania — ani z sąsiedniego pokoju analityków, ani z nasłuchu trochę dalej w dół korytarza, ani z piętra niżej, od grupki kierowców i obserwatorów ulicznych.

Stojąc przy oknie i zmagając się z przemożnym poczuciem *deja vu*,

Bachmann patrzył, jak służbowy helikopter Kellera startuje do Kolonii; potem drugi, Burgdorfa, odleciał do Berlina,

302

unosząc też całe urzędnicze towarzystwo i Axelroda; ostatnia osobą, która znalazła się na pokładzie, była Martha, lecz bez swego Newtona i bez popielatej blondynki.

Konwój czarnych mercedesów ruszył w stronę głównej bramy. Szlaban podniósł się i nie opadał.

Na biurku Bachmanna zadzwonił telefon na szyfrowanej linii. Przyłożył słuchawkę do ucha i od czasu do czasu pomrukiwał "tak, Michael" i "nie, Michael".

Erna Frey nie ruszała się z za komputera. Bachmann powiedział: — Cześć, Michael. - I odłożył słuchawkę. Erna Frey wciąż nie przerywała pracy.

- Jest — powiedział Bachmann.
- Co jest?
  - Zielone światło. Pod pewnymi warunkami. Możemy robić swoje. Najszybciej, jak się da. Boją się, że siedzimy na wulkanie. Ja dostaję go na pierwsze osiem godzin.
- Na osiem. Nie na dziewięć.
  - Osiem wystarczy. Jeżeli nie połknie przynęty przez pierwsze osiem godzin, Arni może kazać policji go aresztować.
  - A jeśli można wiedzieć, gdzie ty go zabierzesz na te pierwsze osiem godzin? Do Atlantycu? A może do Four Seasons?
- Do twojego apartamentu na nabrzeżu.

- Zaciągniesz go tam za ucho?
- Grzecznie go zaproszę. Jak tylko wyjdzie z banku. *Herr Doktor*, jestem przedstawicielem władz niemieckich. Chcielibyśmy z panem porozmawiać o pewnych nielegalnych transakcjach finansowych, które właśnie pan przeprowadził.
- A on na to?
  - Wtedy już go będę miał w samochodzie. Niech sobie wtedy mówi, co chce.

## 13

Ona jest bliska obłądu.

To oni ją do tego doprowadzili.

Jeszcze jeden taki tydzień i będą mieli drugą Georgie. O ile już nie mają. Pewnie myślała, że ja też zwariowałem.

Kiedy poznałem ją w Adanticu, byłem poczciwym starym Tommym Brue, upadłym właścicielem upadającego banku, na skraju rozpadu małżeństwa - balon na wietrze.

U tych Turków byłem nękanym wyrzutami sumienia starym pierdołą, usiłującym wkupić się w jej życie pięćdziesięcioma tysiącami euro, których potem nawet nie tknęła.

A kim jestem teraz, kiedy jadę na północny zachód z zalecaną prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę? Szantażowanym sługusem tych, co sprowadzili na złą drogę mojego świętej pamięci ojca,

sługusem udającym się na spotkanie z czcigodnym, ale w pięciu procentach złym muzułmańskim uczonym, i mam go namówić, żeby ratował skórę chłopaka, w którym ona pewnie się kocha.

— Przecież ty tylko wykonujesz życzenie jednego ze swoich bogatych klientów - uspokajał go Lantern podczas skądinąd morderczej sesji w obrzydliwym mieszkaniu operacyjnym,

304

cuchnącym chlorem od znajdującego się sześć pięter niżej miejscowego basenu pływackiego. — Tylko że klient należy do tej jakby ciemniejszej strony twojego banku i stąd ta cała dyskrecja. A jedziesz zobaczyć się z wybranym przez niego doradcą inwestycyjnym, mniejsza z tym, jakiego rodzaju, i tak czy inaczej dostaniesz tłustą prowizję — dodał pewnym głosem, jakby był miniaturką wychowawcy z niecierpianej przez Brue szkoły z internatem. - Normalna sprawa bankowa.

- Nie dla mnie.
- I całkowicie zgodna ze zwykłą praktyką bankową - upierał się Lantern, wielkodusznie puszczając mimo uszu tę impertynencję. — Na wyraźne życzenie swojego klienta przekazane przez jego doradcę prawnego podjąłeś się sprawdzić, czy dżentelmen, z którym masz się spotkać, nadaje się do tej roli. Nie jest tak?
- Poniekąd może i jest - powiedział Brue, nieproszony częstując się sporą szklanką whisky.
- Będziesz roztropny i obiektywny. Sam zdecydujesz, opierając się na swym zawodowym doświadczeniu, jaki jest najlepszy sposób działania dla obu stron, to znaczy dla twojego klienta i twojego banku. A

interesy szanowanego muzułmanina, z którym się spotykasz, są dla ciebie na drugim miejscu albo w ogóle cię nie obchodzą.

- I opierając się na swym doświadczeniu zawodowym, uznaję, że szanowany muzułmanin się nadaje - zaproponował Brue tym samym tonem.
- No wiesz, Tommy, za wielkiego wyboru to ty nie masz - skwitował mały Lantern, rzucając mu uroczy uśmiech.

\* \* \*

Dwanaście godzin wcześniej Mitzi też miała dla męża ciekawą wiadomość.

— Bernhard jest nieznośny — oznajmiła zaczytanemu w "Financial Times" Tommyemu. — Hildegard odchodzi od niego.

305

Brue napił się kawy, otarł usta serwetką. W grze, którą ze sobą prowadzili, pierwszą, żelazną zasadą było niczemu się nie dziwić.

- Chyba raczej właśnie Hildegard jest nieznośna - zaproponował.
- Hildegard zawsze jest nieznośna.
- Więc co takiego zrobił biedny Bernhard, że to on jest nie do zniesienia? — zapytał Brue, biorąc stronę męża.
- Zaproponował mi małżeństwo. Mam cię opuścić, dostać rozwód i wyjechać z nim na całe lato na Sylt, a potem zastanowimy się, gdzie będziemy mieszkać do końca życia - powiedziała z oburzeniem. - Wyobrażasz sobie dzielenie z Bernhardem jego starości?



—Szczерze mówiąc, nie mogę sobie wyobrazić dzielenia  
czegośkolwiek z Bernhardem.

— A Hildegard zamierza pozwać cię do sądu.

-Mnie?

- No to mnie, ale co za różnica? Za to, że odebrałam jej męża. Wydaje się jej, że jesteś bogaty. Więc chyba ty będziesz musiał pozwać Bernharda, żeby się zamknęła. Zapytam twojego kumpla Westerheima, kto jest najlepszym adwokatem.
- A czy Hildegard nie obawia się rozgłosu?
  - Ona uwielbia rozgłos. Będzie się tarzać w rozgłosie. W życiu nie słyszałam czegoś równie pospolitego.
- Przyjęłaś oświadczyzny Bernharda?
- Rozważam je.
- Aha. I do czego doszłaś w swoich rozważaniach?
  - Nie jestem pewna, Tommy, czy my jeszcze mamy sobie cokolwiek do zaoferowania.

— Ty i Bernhard?

-Ty i ja.

306

Nad płaskim, odstręczającym krajobrazem zwieszało się nisko czarne niebo. Autostrada lśniła jak szkło. Światła samochodów na przeciwległym pasie co chwila uderzały go w oczy. Czyli nie mamy już sobie nic do zaoferowania. W porządku. Sam sobie radę dam. Sprzedam bank, póki jeszcze jest co sprzedawać, i wreszcie zacznę żyć własnym życiem. Może

nawet przejadę się do Kalifornii na ślub kochanej Georgie. Wciąż nie powiedział Mitzi, że zostanie dziadkiem, i zrobiło mu to niejaką przyjemność. Może nigdy jej nie powie.

Czy Georgie wtajemniczyła już mamę? Miał nadzieję, że tak. Sue chyba oszaleje z radości. W sumie Sue była całkiem niegroźna, kiedy człowiek przyzwyczał się do tych jej wybuchów. Szczerze mówiąc, szkoda, że wcześniej się nie zorientował. Że się nie zorientował... jak by to powiedzieć?... p r zd Mitzi, a nie p o. No ale teraz już nic się nie da zrobić. Sue ma przecież tego swojego Włocha, winiarza. Podobno fajny gość. Może jeden kupaż nazwą na cześć dziecka?

Potem jednak wszelka radość, jaką odczuwał przez chwilę, utonęła w szeleście kół na mokrej drodze i znów był razem z An-nabel, i znów czuł opiekuńczą wściekłość na to, co z nią zrobiono: sztywny chód, obojętność głosu chórzysty, tak już różniącego się od tego, którym atakowała go w pokoju Melika: "Mojego klienta by tutaj nie było, gdyby nie ten pana pierdolony bank!".

— Bank jest pani dłużnikiem - oświadczył głośno przedniej szybie, małpując własną pompatyczność. - I z satysfakcją stwierdzam, że bank wkrótce spłaci ten dług.

Bank panią kocha, ciągnął już w myśli. Nie po to, by panią posiąść, ale by pomóc pani odzyskać odwagę, by mogła pani żyć takim życiem, jakim ja sam bałem się żyć. Czy ty kochasz Isę, Annabel? Georgie natychmiast by go pokochała. I ciebie też. I powiedziałyby ci, żebyś się mną zajęła, bo tak właśnie funkcjonuje umysł Georgie. Ona uważa, że wszyscy powinni zajmować się wszystkimi. Właśnie dlatego stale ktoś ją zawodził. Zresztą czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, czy kochasz się

w Issie? W słownikowym znaczeniu słowa "kochać"? Absolutnie nie. Liczy się to, byś wywalczyła mu wolność.

\* \* \*

- A jak cała ta zabawa się skończy, co będzie z Annabel? - Brue zapytał o to Lanterna na tym samym ciągnącym się w nieskończoność spotkaniu, na którym wypił mnóstwo whisky, a Lanterna nie wiadomo ile szklanek gazowanej wody mineralnej. To dopiero był dzień: przy śniadaniu bomba Mitzi o Bernhardzie, w pracy otwarty bunt w księgowości o pracę na zmiany w święta państwowe, potem godzinna rozmowa z jego szacownym adwokatem z Glasgow, który chyba w życiu nie słyszał o rozwodzie, później dwie godziny zbyt obfitego lunchu a la carte z dwójką kompletnie pozbawionych poczucia humoru bogatych klientów z Oldenburga, i jeszcze do tego kac, który usiłował wybić klinem u Lanterna.

- Co z nią będzie, Lanterna? — powtórzył.

- To czysto niemiecka sprawa, Tommy - odpowiedział ostrożnie Lanterna, jeszcze raz udając głos wychowawcy. — Ja myślę, że dadzą jej spokój. O ile nie postanowi wydać swoich wspomnień albo jakoś inaczej się awanturować.

- To mi niestety nie wystarcza.

- Co ci nie wystarcza?

- To co ty myślisz. Ja chcę gwarancji. Na piśmie. Dla niej, a drugi egzemplarz dla mnie.

- Czego egzemplarz, Tommy? Tyś się chyba nieźle uwaliał, co? Może zostawmy to na następny raz?

Brue chodził tam i z powrotem po obskurnym pokoju.

- A będzie jakiś następny raz? Może nie będzie. Na pewno nie będzie, jeżeli się wycofam. No, i jak ci się to podoba? Co?
- No, Tommy... W takim razie Londyn może nie mieć wyjścia i trzeba będzie zastosować sankcje względem twojego banku.

—To je stosujcie, stary. Szczerze ci radzę. Miłej zabawy. Proszę bardzo.

Bank Freres splajtuje. Ale będzie narzekania w barze!

308

Tylko jak długo? I niby kto będzie narzekał? Do kogo? - Nareszcie poszedł na całość. I tak za długo z tym czekał. Teraz została mu już tylko walka na noże. Teraz mam was gdzieś, pomyślał. — Banki plajtują codziennie. Szczególnie takie stare, niewydajne jak mój. Za to jak wam coś się spieprzy, jakaś wspaniała operacja, jest zupełnie inaczej, prawda? Jeszcze potrafię wyczuć wielki numer, a to właśnie jest wielki numer. “Szkoda tego lana, mieliśmy o nim takie dobre zdanie. Miejmy nadzieję, że znajdzie jakąś dobrą pracę poza firmą”. No to zdrowko... Zdrowia życzę tobie i wszystkim, którzy z tobą w tym siedzą.

Czekał na “dziękuję”, lecz z przyjemnością się nie doczekał.

- W takim razie może mi powiesz dokładnie, Tommy, co by cię zadowoliło i uspokoiło? — zaproponował Lantern głosem beznamiętnym jak u zegarynki.
- Na początek Order Imperium Brytyjskiego. I podwieczorek u królowej. I dziesięć milionów funtów odszkodowania za zrobienie z banku Freres rosyjskiej pralni.
- Ty chyba żartujesz.

- Pewnie, że żartuję. Całkiem śmieszny żart. Jak ta cała wasza operacja. Mam jeszcze inne żądania. Bezwarunkowe.
- Mianowicie?
  - Po pierwsze... Chcesz sobie zapisać czy uważasz, że zapamiętasz?
- Zapamiętam, dziękuję.
- Oficjalne pismo. Zaadresowane do *Frau Annabel Richter*, jeden egzemplarz dla mnie. Podpisane i podbite przez odpowiednie niemieckie władze, z podziękowaniem za współpracę i zapewnieniem, że przeciw niej nie zostaną podjęte żadne kroki, ani prawne, ani jakiegokolwiek inne. To tak na razie ogólnie, dobrze? Szczegóły potem. — A na widok niemalże niedowierzania na twarzy Lanterna dodał: — Nie robię sobie jaj, Lantern. Jestem śmiertelnie poważny. Jeżeli nie dostanę wszystkiego, czego chcę, nie ma takiej siły na całym bożym świecie, która by mnie zmusiła, żebym jutro polazł do Ab-

309

dullaha. Po drugie: muszę zobaczyć na własne oczy nowiotki niemiecki paszport Issy Karpowa ważny od momentu, kiedy przekaże pieniądze. Chcę mieć ten paszport w ręce, żebym mógł go pokazać Annabel, zanim akcja się zacznie, bo to niezbity dowód, że ci, co nią kierują, spełnią swoje obietnice, że jej nie wykołują. Zrozumiałeś mnie czy mam ci włączyć napisy?

- Przecież to niemożliwe!... Chcesz, żebym poszedł do Niemców, zabrał ten paszport i ci go pożyczył?... Facet, chyba ci odwaliło!

— Gówna prawda. Odchody, jeżeli razi cię moje słownictwo

two. Przecież ty pracujesz w branży, gdzie cuda się zdarzają.  
Wystarczy, że machniesz różdżką, nawet jeśli masz taką małą.  
I jeszcze ci coś powiem...

-Co?

- O tym paszporcie.

— No? Co z paszportem?

- Zdaję sobie sprawę, że w twojej branży paszport to pestka. Można go podrobić, unieważnić, odebrać albo zakodować w nim różne nieprzyjemne wiadomości dla władz w innych krajach. Zgadza się?
- No to co?
- Ja mam na ciebie haka. Bardzo cię proszę, żebyś o tym pamiętał. I dalej go będę miał, nawet jak już dostanę paszport dla Issy. Jeżeli kiedykolwiek dowiem się, że go orznąłeś, roz-powiem o tym. Bardzo głośno, bardzo długo i bardzo wyraźnie. Lantern z ambasady brytyjskiej w Berlinie to szpicel, który nie dotrzymuje słowa. A nawet jak mnie potem dorwiesz, będzie za późno. Teraz wracam do domu. Zadzwoń do mnie, jak będziesz miał jakąś odpowiedź. Jestem do dyspozycji o każdej porze.
- A twoja żona?

310

No właśnie — a moja żona? Leżał w łóżku, patrzył, jak sufit się kołysze, i czekał, aż przestanie. Kartka od Mitzi: "Konferencja na szczycie z Bernhardem".

Szerokiej drogi. Niech każdy sobie poszczytuje.

Lantern zatelefonował o północy.

- Możesz gadać?
- Jestem sam, jeśli o to ci chodzi.

Okazało się, że Lantern skutecznie machał swoją różdżką.

\* \* \*

Brue włączył prawy kierunkowskaz i zerknął w lusterko wsteczne.

Właśnie zbliżał się zjazd, tamci wciąż za nim jechali - dwaj mężczyźni w bmw, którzy śledzili go od wyjazdu z domu. "Ktoś, kto będzie cię strzegł", zapowiedział ze złośliwym uśmiechem Lantern.

Miasteczko wyglądało z daleka jak sterta cegieł rozrzucona po zamglonym polu. Czerwony kościół, czerwona stacja kolejowa, remiza strażacka. Rząd na poły domków, na poły chat po jednej stronie głównej drogi. Po drugiej stacja benzynowa i szkoła z betonu i szkła. Przed nią boisko, ale nikt na nim w nic nie grał.

Przy głównej drodze był zakaz parkowania, zjechał więc w przecznicę i wrócił się piechotą. Ludzie Lanterna zniknęli. Pewnie siedzą na kawie na stacji benzynowej i udają kogo innego.

Jego zbliżanie się obserwowali dwaj krępi, wyglądający na Arabów mężczyźni w obszernych brązowych garniturach. Starszy wywijał różańcem, młodszy palił obrzydliwie wyglądającego żółtego papierosa. Starszy posunął się o krok, szurając nogami i wyciągając ręce, jakby na powitanie. Pięćdziesiąt metrów dalej wzdłuż drogi z cienia wysokiego żywopłotu wysunęli się dwaj mundurowi policjanci, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Pan pozwoli?

311

Brue pozwolił. Ramiona, klapy, pachy, boczne kieszenie, plecy, uda, krocze, łydki, kostki, wszystkie strefy erogenne i nie-erogenne. Potem, na prośbę tego drugiego, który tymczasem rozgniół niedopałek o ziemię, zawartość kieszeni marynarki. "To zwykle wieczne pióro", tłumaczył Lantern. "Wygląda jak pióro, pisze jak pióro, podsłuchuje jak pióro. Jak rozłożą je na części, dalej będzie zwykłym wiecznym piórem".

Nie rozłożyli.

Nagle pojawienie się słońca upiększyło okolicę. W zarośniętym ogrodzie przed domem kobieta, spowita w czerń od stóp do głów, siedziała na rozkładanym fotelu, zabawiając niemowlę. Za siedem miesięcy to samo będzie robić Georgie. Otwarły się frontowe drzwi. Zza framugi wyglądał mały chłopiec w mycce i białej szacie. Może u Georgie też będzie chłopiec.

—Serdecznie witamy, *sir* — wydekłamał po angielsku i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Brue wszedł z werandy prosto do salonu. Na podłodze trzy dziewczynki, również w bieli, budowały z lego gospodarstwo, podczas gdy telewizor z wyłączoną fonią pokazywał złote kopuły i minarety. U stóp schodów stał brodaty młodzieniec w długiej pasiastej koszuli i dżinsach.

- Proszę pana, jestem Ismail, osobisty sekretarz doktora Abdullaha. Serdecznie witamy — powiedział i położył prawą dłoń na sercu, nim wyciągnął ją na powitanie Brue.



\* \* \*

Jeżeli doktor Abdullah był zły w pięciu procentach - zdaje się, że Lantern powiedział coś takiego - musiało to być bardzo małe pięć procent. Doktor był niski, podtatusiały, łysy i dobroduszny. Miał wesołe oczy, bujne brwi i nieco taneczny krok. Wskoczył zza biurka, chwycił oburącz dłoń Brue i długo ją trzymał w swoich. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę zapiętą pod szyją i tenisówki bez sznurowadeł.

312

- A więc to pan jest ten wielki pan Brue - zapiszczał, lecz mówił po angielsku bardzo dobrze i bardzo szybko. - Pana nazwisko nie jest nam obce. Pański bank miał kiedyś różne arabskie powiązania, nie najlepsze, ale zawsze. Zresztą może już pan nie pamięta. Bo wie pan, zapominanie to jeden z wielkich problemów naszego współczesnego świata. Właśnie zapominanie. Ofiary nie zapominają nigdy. Proszę zapytać Irlandczyka, co zrobili mu Anglicy w roku 1920, poda panu dzień, miesiąc, godzinę i nazwiska wszystkich zabitych. Proszę zapytać Irańczyka, co Anglicy zrobili mu w 1953, zaraz panu powie. I jego dziecko panu powie, i wnuk też. A jak będzie miał prawnuka, to ten prawnuk też panu powie. Ale gdy pan zapyta Anglika...

— Wyrzucił ręce w górę w geście mającym udawać niewiedzę. - Nawet jeżeli kiedyś wiedział, dawno zapomniał. "Zapomnijcie!", mówicie nam. "Nie grzebcie się w przeszłości! Zapomnijcie, cośmy wam zrobili. Myślcie o jutrze!" Ale tak się nie da, proszę pana. - Wciąż trzymał go za dłoń. — Bo widzi pan, jutro

tworzy się wczoraj. To właśnie usiłuję panu wytłumaczyć. Wczoraj i przedwczoraj. Zapomnieć o historii, to jak zapomnieć, że przed drzwiami domu siedzi wilk. Proszę. Proszę siadać. Mam nadzieję, że drogę miał pan dobrą?

- Całkiem dobrą, dziękuję.
- Nie wiem, czy taką znowu dobrą, bo przecież padało. Teraz na chwilę wyszło słońce. Na życie trzeba patrzeć trzeźwo. Poznał pan już mojego syna, Ismaila, tego, który jest moim sekretarzem? A to Fatima, moja córka. Od października, jeśli Bóg pozwoli, Fatima zacznie studia w London School of Economics, Ismail wkrótce pójdzie w ślady ojca, czyli na Uniwersytet Kairski, ja zaś będę człowiekiem bardziej samotnym, za to bardzo dumnym. A czy pan ma dzieci?
- Mam córkę.
- A więc i panu Bóg pobłogosławił.
- Ale z tego co widzę, nie tak bardzo jak panu! - powiedział żywo Brue.

313

Fatima, podobnie jak jej brat, była wyższa od ojca o głowę. Miała piękną okrągłą twarz. Brązowy hidżab spływał jej z ramion jak opończa.

- Dobry wieczór — powiedziała i spuszczaając oczy, położyła na powitanie rękę na sercu.
- Amerykanie są jeszcze gorsi niż wy, Brytyjczycy, ale ich przynajmniej można jakoś wytłumaczyć — ciągnął tym samym beztroskim tonem doktor Abdullah, prowadząc Brue do jedyne go, przeznaczonego dla gościa, wygodnie wymoszczonego fotela, lecz wciąż nie puszczał jego

dłoni. - Ich tłumaczy niewiedza. Oni nie wiedzą, że błędzą. Za to wy, Anglicy, wiecie doskonale, i to od dawna. I dalej robicie, coście robili. Mam nadzieję, że nie obrazi się pan na mnie za ten drobny żart? Powtarzają mi, że kiedyś ten mój humor mnie zgubi. Ale błagam pana, proszę przypadkiem nie wziąć mnie za filozofa. Filozofia to coś dla pana, nie dla mnie. Owszem, znam się na religii, ale filozofia jest dla ludzi świeckich i bezbożnych. Nie musi mi pan mówić, że źle się dzieje w naszej części świata. Zastanawiam się, czyja to wina. Tysiąc lat temu mieliśmy w Kordobie więcej szpitali na jednego mieszkańca niż mają ich tam teraz Hiszpanie. Nasi lekarze wykonywali operacje, których do dziś nie potrafią zrobić wasi nowocześni chirurdzy. Zadajemy sobie pytanie, co się stało? Obca interwencja?... Rosyjski imperializm?... A może zeświecczenie? Bo my, muzułmanie, też nie jesteśmy bez winy. Niektórzy z nas stracili wiarę we własną wiarę. Przestaliśmy być prawdziwymi muzułmanami. I wtedy zaczęło dziać się źle... Fatima, poprosimy o herbatę. Przez rok studiowałem w Cambridge. W Caius College. To zresztą pewnie też pan wie, bo w wieku Internetu i telewizji nie ma już żadnych tajemnic. Ale informacja to nie wiedza. Informacja to mierzwa. Tylko Bóg potrafi zmienić informację w wiedzę... I o ciasto też poprosimy, Fatima, pan Brue jechał tu aż z Hamburga w taki deszcz! Czy nie jest panu za zimno albo za gorąco? Proszę szczerze, jesteśmy gościnni, staramy się jak najlepiej wypełniać boskie przykazania. Chcemy, żeby gość dobrze się u nas czuł. A jeżeli

przywozi pieniądze, to żeby czuł się jeszcze lepiej! Jak to mówią: im więcej, tym lepiej! Tędy proszę. Proszę pozwolić, że zaprowadzimy pana do naszego pokoju konsultacyjnego! Jest pan dobrym człowiekiem. Ma pan dobrą twarz, tak się u nas mówi.

Zły w pięciu procentach? Czyli jak zły? myślał z gniewem i z niepokojem Brue. Gdy zadał to samo pytanie Lanternowi, ten nie chciał mówić więcej: "Wierz mi na słowo, Tommy. Wystarczy, że wiesz, że w pięciu procentach jest zły". A pokaż mi kogoś, kto nie jest zły, mówił sobie Brue, gdy w towarzystwie całej rodziny szedł teraz wąskim korytarzem. Bank Brue Freres, te jego wszystkie chytre inwestycje, chytry klienci i lipizzanery? Nie mówiąc już o *insider trading*, w które się bawimy, oczywiście, jeżeli wiemy, że nikt się nie połapie? Myślę, że mój bank należałoby wycenić na jakieś piętnaście procent. A nasz dzielny prezes i dyrektor zarządzający, czyli ja? Rozwiódł się z dobrą żoną, zostawił ją z dzieckiem i sam dopiero teraz uczy się je kochać, kiedy jest pewnie za późno, pieprzył się na lewo i prawo, ożenił się z dziwką, teraz nawet ona go rzuca: sobie dałbym pięćdziesiąt procent, nie pięć.

"A co robi z pozostałymi dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami?", zapytał jeszcze Lanterna. "Pomaga innym", padła wykrętna odpowiedź.

A co ja robię ze swoimi? Kurwa mać. Jak nas ktoś podliczy i zobaczy, ile wychodzi na koniec, będzie się mocno zastanawiał, który z nas jest o pięć procent lepszy od drugiego.

— A więc bardzo proszę, niech pan zaczyna. Powoli, nie śpieszymy się, tylko bardzo proszę po angielsku. To bardzo ważne, żeby dzieci przy

każdej okazji ćwiczyły się w angielskim. Tędy proszę. Bardzo dziękuję.

Znaleźli się w skromnym gabinecie z oknem wychodzącym na tylny ogród. W każdym miejscu nie zajęтым przez książki leżały wykaligrafowane zwoje. Doktor Abdullah zasiadł za pro-

315

stym drewnianym biurkiem i siedział pochylony nad złożonymi na blacie dłońmi. Fatima musiała już wcześniej zaparzyć herbatę, bo pojawiła się z nią natychmiast, przynosząc oprócz tego talerzyk ze słodkimi ciasteczkami. Tuż za nią przybiegł mały chłopiec, ten sam, który otwierał Brue drzwi frontowe, za nim zaś najśmielsza z jego trzech młodszych siostrzyczek. Wspinając się po schodach za Ismailem, Brue czuł pojedynczą strużkę potu spływającą po prawym boku, jakby wędrował po nim jakiś mały, lecz bardzo zimny owad. Teraz, kiedy usiedli, uspokoił się i odzyskał cały swój profesjonalizm. Teraz był w swoim żywiole. Miał w głowie doskonale uporządkowane instrukcje Lanterna i konkretne zadanie do wykonania. A w dodatku, jak przez cały czas, gdzieś daleko miał przed oczyma twarz Annabel.

- Panie doktorze, muszę pana prosić o wybaczenie... — powiedział władczym tonem.
- A za cóż znowu?
- Mój klient, jak już wspominałem przez telefon, nalega, by nasze spotkanie było jak najbardziej poufne. Jego sytuacja jest co najmniej delikatna. Mam wrażenie, że powinniśmy rozmawiać w cztery oczy. Bardzo mi przykro.
- Ale przecież pan nawet nie zamierza wymienić jego nazwiska! Czy

mógłbym w czymkolwiek zagrozić pana szanownemu klientowi, skoro nie będę wiedział, kim jest?

Rzucił cicho parę słów po arabsku. Fatima wstała i nie patrząc na Brue, wyszła z pokoju, za nią dwoje mniejszych dzieci i wreszcie Ismail. Brue odczekał, aż zamkną za sobą drzwi, wyciągnął z kieszeni niezaklejoną kopertę i położył ją na biurku doktora.

— Przejechał pan taki kawał drogi, żeby teraz wysłać do mnie list? - zapytał żartobliwie doktor Abdullah, lecz zobaczywszy poważną minę Brue, wyciągnął odrapane okulary do czytania, otworzył kopertę, wyjął z niej kartkę i przeczytał wydrukowane na niej słupki liczb. Potem zdjął okulary, przesunął dłonią po twarzy i znów je nałożył.

316

- Czy to żart, proszę pana?
- Jeżeli żart, to dość kosztowny, nie uważa pan?
- Kosztowny dla pana?
  - Nie dla mnie osobiście. Raczej dla mojego banku. Żaden bank nie rozstaje się chętnie z taką kwotą.

Nieprzekonany doktor Abdullah jeszcze raz rzucił okiem na liczby.

- Ja też nie mam na co dzień do czynienia z aż tak wielkimi pieniędzmi, proszę pana. Co teraz mam zrobić? Powiedzieć: "Dziękuję"? Powiedzieć: "Nie, dziękuję"? Powiedzieć: "Tak"? To pan jest bankierem, proszę pana. Ja jestem skromnym biedaczyną bożym. Czy moje modlitwy zostały właśnie wysłuchane czy też robi pan ze mnie głupca?

- Ale są pewne warunki — ostrzegł surowo Brue, puszczając wszystkie te pytania mimo uszu.
- Bardzo się cieszę, że to słyszę. Im więcej warunków, tym lepiej. Czy zdaje pan sobie sprawę, ile pieniędzy potrafią zebrać na tej półkuli w ciągu roku wszystkie moje organizacje dobroczynne razem wzięte?
- Nie mam pojęcia.
- Myślałem, że bankierzy wiedzą wszystko. Najwyżej jedną trzecią tej sumy. Raczej jedną czwartą. Allah jest miłosierny.

Abdullah nie przestawał wpatrywać się w leżącą przed nim na biurku kartkę, trzymając dłonie po jej obu stronach, jakby się obawiał, że ktoś mu ją zabierze. Podczas swej wieloletniej pracy w banku Brue widział już wielu różnych ludzi, którzy w jego obecności dowiadywali się o niespodziewanym a ogromnym majątku, lecz nigdy jeszcze nie widział kogoś cieszącego się tak niewinnie jak ten oto szlachetny doktor.

- Pan nawet nie wie, co taka suma oznacza dla mojego ludu — powiedział i ku zażenowaniu Brue w oczach doktora pojawiły się łzy, przez co musiał je zmrużyć i spuścić głowę. Kiedy jednak uniósł ją z powrotem, jego głos zabrzmiał ostro i konkretnie: - Czy wolno mi zapytać, skąd pochodzi tak wiel-

317

ka suma pieniędzy, w jaki sposób została zdobyta i jak znalazła się w posiadaniu pańskiego klienta?

- Większość tej sumy była od prawie dwudziestu lat złożona na rachunku w moim banku.
- Ale droga tych pieniędzy nie zaczęła się w pańskim banku.

- Oczywiście, że nie.
- A więc gdzie, proszę pana?
  - Te pieniądze stanowią spadek. Według mojego klienta zostały zdobyte w sposób niegodny. Poza tym zostały złożone na procent, co o ile wiem, jest sprzeczne z prawem islamskim. Mój klient dopiero wtedy upomni się o nie, gdy otrzyma zapewnienie, że działa w zgodzie ze swą wiarą.
- Mówił pan o warunkach.
  - Prosząc pana o rozdanie jego majątku kierowanym przez pana organizacjom dobroczynnym, mój klient pragnie, by głównym odbiorcą była Czeczenia.
  - To pana klient jest Czeczenem? - Im bardziej łagodniał ton jego głosu, tym ostrzejszy stawał się wzrok i tym więcej drobnych zmarszczek tworzyło się wokół oczu, jakby mrużył je od pustynnego słońca.
  - Mojemu klientowi bardzo leży na sercu los ciemniezonego ludu Czeczenii - rzekł Brue, znów unikając odpowiedzi na pytanie. - Zależy mu najbardziej na dostawach lekarstw i zapewnieniu opieki lekarskiej.
  - To rzeczywiście ważna sprawa. Zajmuje się nią wiele muzułmańskich organizacji dobroczynnych, proszę pana. - Ciemne oczy ani na chwilę nie przestawały wpijać się w twarz Brue.
  - Mój klient żywi nadzieję, że któregoś dnia sam zostanie lekarzem. Właśnie po to, by leczyć zło wyrządzone Czeczenom.
  - Leczyć umie tylko Bóg, proszę pana, a człowiek jest jedynie narzędziem w Jego rękach... Czy mogę zapytać, ile lat ma pana



klient? Czy mówimy o człowieku dojrzałym? Może o kimś, kto sam zdobył majątek w sposób legalny?

318

— Nie mówmy o jego wieku ani o stopniu zamożności. Mój klient jest zdecydowany studiować medycynę i chce być pierwszym, który skorzysta z własnej hojności. Ponieważ uważa te pieniądze za nieczyste i nie chce używać ich bezpośrednio, prosi, by dowolna muzułmańska organizacja dobroczynna pokryła w całości koszt jego studiów tu, w Europie. Koszt ten będzie nieznacznym w porównaniu z wysokością jego daru, ale wtedy wiedziałby na pewno, że postępuje w zgodzie z etyką. I właśnie w tych wszystkich sprawach chciałby osobiście poradzić się pana. W Hamburgu, w umówionym i dogodnym dla obu stron miejscu i czasie.

Wzrok Abdullaha powrócił na chwilę do kartki, po czym znów spoczął na Brue.

- Czy mogę zaapelować do pana szlachetności?
- Oczywiście.
  
- Jest pan człowiekiem honoru, to dla mnie jasne. Człowiekiem honoru, człowiekiem dobrym. Reszta się nie liczy. Nic mnie nie obchodzi, czy jest pan chrześcijaninem czy żydem. Ważne, że jest pan tym, kim się wydaje. A jest pan ojcem, jak ja. I człowiekiem doświadczonym.
- Taką przynajmniej mam nadzieję.
- W takim razie proszę mi powiedzieć jedno: dlaczego mam panu zaufać?

- A dlaczego miałby mi pan nie ufać?
- Bo ta wspaniała propozycja pozostawia mi w ustach jakiś dziwny niesmak.

“Nikogo nie prowadzisz na rzeź”, tłumaczył mu Lantern. “Dajesz mi szansę postąpić przyzwoicie i uczciwie. Więc daj sobie spokój z tą całą mea culpa. Za rok on sam będzie ci wdzięczny”.

\* \* \*

— Jeżeli jest jakiś niesmak, to nie z mojej winy ani z winy mojego klienta. Może chodzi o to, w jaki sposób pieniądze te zostały zdobyte?

319

- Pan to powiedział.
- Mój klient doskonale zdaje sobie sprawę, że pochodzenie tych pieniędzy jest godne ubolewania. Wiele dyskutował o tym ze swoim doradcą prawnym i w końcu doszli do takiego właśnie rozwiązania.

• To on ma swojego prawnika? -Tak.

• Tu, w Niemczech?

Pytania znów zaczęły robić się coraz natarczywsze, co Brue przyjął niemal z wdzięcznością.

• Owszem - odpowiedział żywo.

• Dobrego?

• Wydaje mi się, że tak. Skoro ją właśnie wybrał...

• A, czyli to kobieta. Podobne one są w tym świetne. Czy pana klient

radził się kogoś przed skorzystaniem z usług tej prawniczki?

- Rozumiem, że tak.
- Czy ona jest muzułmanką?
- O to musiałby pan sam ją spytać.

- Czy pana klient jest człowiekiem równie ufnym jak ja?

“Powiedz mu tylko to i nic więcej”, pouczał go Lantern. “Pokaż mu kawałek nóżki, tyle, żeby go skusić, ale nic więcej”.

- Mój klient przeżył wiele tragicznych chwil, panie doktorze.

Wyrządzono mu wiele krzywd. Wytrwał. Nie poddał się. Ale krzywdy te pozostawiły na nim trwałe ślady.

- A więc?

- A więc za pośrednictwem swego adwokata zlecił mojemu bankowi, by te skażone złem pieniądze, bo za takie je uważa, zostały przekazane bezpośrednio organizacjom dobroczynnym, które razem wybieracie. Pan i on. I trafią do beneficjenta prosto z banku Brue Freres. On nie chce żadnych pośredników. Wie, jak wielkim jest pan człowiekiem, czytał pana prace, tylko pana rad zamierza słuchać. Ale musi być naocznym świadkiem tych transakcji.

320

- Czy pana klient mówi po arabsku?
- Znow musi mi pan wybaczyć.
- Po niemiecku? Francusku? Angielsku? Jeśli jest Czeczenem, na pewno mówi po rosyjsku. A może tylko po czeczeńsku?
- Jakimkolwiek językiem włada, ręczę, że usługi tłumacza będą zapewnione.

Doktor Abdullah niepewnie przesuwał palcem po kartce, znów badawczo popatrzył na Brue, po czym popadł w zamyślenie.

- Pan jest w świetnym humorze — powiedział wreszcie z niezadowoleniem. — Jakby uwolnił się pan od wielkiego ciężaru. Dlaczego? Pański bank ma się pożegnać z taką fortuną, a pan się uśmiecha? To jakiś paradoks. A może to ten przewrotny angielski uśmiech?
- A może mój angielski uśmiech ma jakieś prostsze wytłumaczenie?
- Więc może dlatego właśnie ja się niepokoję?
- Nie tylko mój klient uważa pochodzenie tych pieniędzy za niegodne.
- Ale mówi się, że pieniądz nie śmierdzi. A już na pewno nie bankierowi, prawda?
- Mimo to przyznam się panu, że mój bank odczuje pewną ulgę.
- W takim razie podziwiam moralność pana banku. I proszę powiedzieć mi jeszcze jedno.
- Jeśli tylko będę mógł.

Brue znów poczuł spływającą kroplę potu, tym razem z drugiej strony żeber.

- Wyczuwam w tym wszystkim pośpiech. Skąd ten pośpiech? Co takiego nas goni, proszę pana? O co chodzi? Bardzo proszę. Jesteśmy obaj uczciwymi ludźmi. I jesteśmy sami.

- Mój klient nie zna dnia ani godziny. W każdej chwili może stracić możliwość dokonania tych darowizn. Dlatego potrzebuję od pana jak najszybciej listę polecanych przez pana

organizacji i opis ich działalności. Przekażę je jego prawniczce, ona przedłoży wykaz do zatwierdzenia naszemu klientowi i będziemy mogli zakończyć całą sprawę.

Gdy Brue podniósł się, zbierając się do odejścia, doktor Abdullah znów był równie energiczny i wesoły jak na początku spotkania.

- A więc nie mamy ani czasu, ani wyboru — narzekał, obu rącz ściskając dłoń Brue i uśmiechając się do niego pełnymi iskierkami oczyma.

- Ani pan, ani ja - zgodził się Brue równie wesoło i podobnie narzekającym tonem. - Mam nadzieję, że szybko się zobaczymy.

- W takim razie życzę panu bardzo bezpiecznego powrotu na łono rodziny. Tak się u nas mówi. Niech Allah będzie z panem.

- A pan też niech uważa na siebie — odpowiedział równie ciepło Brue, wciąż z zażenowaniem trwając w uścisku dłoni.

Znalazłszy się z powrotem w samochodzie, poczuł, że całkiem przepocił koszulę i mokry ma nawet kołnierz marynarki. Kiedy wjechał na autostradę, tuż za nim pojawili się jego goryle. Obaj uśmiechali się jak idioci. Brue nie miał pojęcia, czym ich tak rozśmieszył. Ani dlaczego teraz jeszcze bardziej nienawidzi siebie.

Odkąd Brue wyszedł od Abdullaha, Erna Frey i Günther Bachmann nie zamienili ze sobą ani słowa, choć siedzieli ramię w ramię przed całym rzędem monitorów Maximiliana. Jeden był połączony z centrum wywiadu elektronicznego w Berlinie, drugi z podglądem satelitarnym, jeszcze jeden z pięcioosobową ekipą obserwatorów Arnego Mohra.

Od godziny 15.48 słuchali w całkowitym milczeniu i z pół-

przymkniętymi oczyma rozmowy między Brue a Abdullahem, która docierała za pośrednictwem mikrofonu w wiecznym piórze

322

Brue do ludzi Lanterna na stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy, a po konwersji na sygnał kodowany do nich, do stajni. Jediną reakcją Bachmanna było bezgłośnie klaśnięcie w dłonie. Erna Frey w ogóle nie zareagowała.

O godzinie 17.10 pojawiła się pierwsza seria przechwyconych rozmów telefonicznych wychodzących z domu Abdullaha. Na monitorze wywiadu elektronicznego przesuwano się symultaniczne tłumaczenie z arabskiego na niemiecki. Bachmannowi, który mówił po arabsku, tłumaczenie było niepotrzebne, ale przydawało się Ernie Frey i większości zespołu Bachmanna.

Przy każdej rozmowie u dołu ekranu pojawiała się nazwisko rozmówcy. Inny, równoległy monitor podawał dane osobiste i szczegóły nasłuchu. Wszystkie połączenia, łącznie sześć, były do szanowanych muzułmańskich filantropów i przedstawicieli fundacji dobroczynnych. Jak wynikało z dodatkowych informacji podawanych na bieżąco przez analityków, żadna z tych osób nie była w tym momencie przedmiotem śledztwa.

Wiadomość dla każdej z nich była jednakowa: mamy fundusze, bracia, miłosierny Allah w swej nieskończonej dobroci uznał nas za godnych wielkiej, historycznej łaski. Ciekawostką wspólną dla wszystkich rozmów było to, że doktor Abduliah udawał— niezbyt przekonująco — iż chodzi o dar amerykańskiego ryżu, a nie dolarów amerykańskich. Cały jego

prymitywny szyfr polegał na tym, że miliony nazywał tonami.

Ktoś zauważył, że powodem tej mistyfikacji jest ostrożność — chodziło o to, by nie obudzić chciwości jakiegoś szeregowego pracownika, który mógłby przypadkiem usłyszeć rozmowę. A one rzeczywiście niewiele się różniły; ten sam zapis mógłby wystarczyć na wszystkie sześć:

- Dwanaście i pół tony, najlepsza jakość, drogi przyjacielu, w tonach amerykańskich, rozumiesz? Tak, właśnie, w tonach. I każde ziarnko ma trafić do wiernych. Tak, ty stary baranie! Tony. Czy Bóg zatkał ci te głupie uszy swymi miłosiernymi dłońmi? Oczywiście, pamiętaj, że pod pewnymi warunkami.

323

Nic wielkiego, ale *zawsze* to jakieś warunki. Słuchasz mnie jeszcze? Pierwszy transport mają otrzymać nasi ciemniejni bracia w Czeczenii. Najpierw musimy nakarmić tych głodujących. I wykształcić nowych lekarzy, *inszallah*. Prawda, że to cudowne? W Europie też. Jednego kandydata już mamy!

W jednej z rozmów uczestniczył niejaki szajch Raszid Has-san, wieloletni przyjaciel Abdullaha i jego kolega ze studiów w Kairze, zamieszkały obecnie w angielskim miasteczku Wey-bridge w Surrey. Być może dlatego ta właśnie rozmowa była najdłuższa i najbardziej poufała. Skończyła się trochę dziwnie, co natychmiast odnotowali analitycy: "Nasz dobry znajomy na pewno zadzwoni do ciebie później, żeby omówić wszystko, co jest do omówienia", obiecał Abdullah. W odpowiedzi rozległo się znaczące chrząknięcie.

\* \* \*

O godzinie 19.42 pojawiają się pierwsze obrazy na żywo:

Na pierwszym filmie widać *DROGOWSKAZA*, który wychodzi z ganku swego domu. Wygląda bardzo europejsko w jasnoszarym płaszczu burberry i sukiennej czapce, takiej, jaką do dziś noszą angielscy ziemianie. Jest sam. Przed frontową furtką stoi czarna limuzyna volvo, czekają już na niego otwarte drzwi.

Uwaga od analityków: volvo jest zarejestrowane przez turecką wypożyczalnię samochodów z Flensburga, całe sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Hamburga. Ani na temat firmy, ani jej właścicieli nie mamy niczego w kartotece.

*DROGOWSKAZ* wsiada na tylne siedzenie volvo, pomaga mu starszy z jego dwóch ochroniarzy, który potem wraca na miejsce obok kierowcy. Podglądająca ich kamera zmienia punkt widzenia, ustawia się za volvo i sunie za nim. Pobożni ludzie niechętnie sami prowadzą samochód, zauważa Bachmann. Wpatruje się w ochroniarza obok kierowcy, bo ten bardzo pilnie obserwuje widok w lusterku bocznym i wstecznym.

324

Volvo dociera do autostrady, jedzie na północny wschód dwadzieścia... czterdzieści... pięćdziesiąt siedem kilometrów. Zapada zmrok. Obraz w kamerze staje się lekko rozmyty i zielony - jak to w noktowizorze. Przez całą drogę zarys głowy ochroniarza ani na chwilę nie przestaje zwracać się to ku jednemu, to ku drugiemu lusterku. Jego czujność jeszcze wzrasta, gdy volvo zjeżdża na parking z zaznaczonym automatem telefonicznym.

Ochroniarz wysiada z samochodu i siusia pod drzewkiem, lecz przy



okazji najwyraźniej sprawdza, czy na parkingu nie pojawił się żaden intruz. Patrzy wprost w kamerę, zapewne przyglądając się samochodowi z ludźmi Mohra zaparkowanemu jakieś pięćdziesiąt metrów bliżej zjazdu na parking.

Ochroniarz wraca do volvo, otwiera tylne drzwi, mówi coś do środka, DROGOWSKAZ wysiada i przytrzymując czapkę na wietrze, kieruje się do przeszklonej budki telefonicznej na wschodnim krańcu parkingu. Wchodzi do środka i natychmiast wsuwa do automatu przygotowaną już kartę kredytową. A to idiota, myśli Bachmann. Choć może karta też, jak volvo, nie należy do DROGOWSKAZA.

DROGOWSKAZ wystukuje numer, a nazwisko abonenta natychmiast pojawia się u dołu jednego z monitorów Maximi-liana. To ten sam szajch Raszid Hassan z Weybridge, do którego DROGOWSKAZ wcześniej telefonował od siebie. Tyle że między jedną a drugą rozmową coś dziwnego stało się z głosem DROGOWSKAZA, co centrum w Berlinie zauważyło z lekkim opóźnieniem.

W pierwszej chwili nawet Bachmann ledwo potrafi zrozumieć, co tamci dwaj do siebie mówią, podciera się nawet symultanicznym tłumaczeniem na sąsiednim ekranie. Bo DROGOWSKAZ co prawda nadal mówi po arabsku, ale tym razem z silnym potocznym akcentem egipskim, który ma zapewne skutecznie przeszkodzić w zrozumieniu ewentualnemu przypadkowemu słuchaczowi.

325

Jeżeli o to chodziło, bardzo się przeliczył, ponieważ tłumacz symultaniczny, kimkolwiek jest, musi być geniuszem. Nawet się nie

zająknął:

DROGOWSKAZ: Czy szajch Raszid?

RASZID: Raszid, słucham?

DROGOWSKAZ: Tu Fajsal, kuzyn twojego szanownego teścia.

RASZID: O co chodzi?

DROGOWSKAZ: Mam dla niego wiadomość. Czy możesz mu ją przekazać?

RASZID: *(odpowiada nie od razu)* Mogę. *Inszallah.*

DROGOWSKAZ: Do szpitala jego brata w Mogadyszu ciągle nie dotarł ten obiecany transport protez i wózków inwalidzkich.

RASZID: No to co?

DROGOWSKAZ: Sprawa zostanie natychmiast załatwiona. I będzie mógł pojechać na wakacje na Cypr. Czy możesz mu to przekazać? Ucieszy się.

RASZID: Przekażę. *Inszallah.*

Szajch Raszid odkłada słuchawkę.

## 14

- *Frau Elli...* - zaczął Brue, rozpoczynając ich typową rozmowę.

- *Mister Tommy?*... -odpowiedziała *Frau Ellenberger*, spodziewając się kolejnej rytualnej wymiany z góry ustalonych kwestii. Ale się myliła, bo tym razem Brue miał jej tylko coś do zakomunikowania:
- Z przyjemnością informuję panią, że dziś wieczór zamknę ostatnie

rachunki lipicańskie.

- Co za ulga, *mister Tommy*. Najwyższy czas.
- Wieczorem, po godzinach urzędowania, przyjmę osobę, która się po nie zgłosi. Tak sobie życzyła, po godzinach.
- Dziś wieczór jestem wolna, z przyjemnością zostanę - odpowiedziała dziwnie skwapliwie *Frau Elli*.

Czy tak jej zależy, by pozbyć się ostatniego lipizzanera, czy aby poznać nieślubnego syna pułkownika Grigorija Borysowicza Karpowa?

- Dziękuję, *Frau Elli*, to nie będzie konieczne. Klient chce, żeby wszystko odbyło się w jak najściślejszej tajemnicy. Natomiast byłbym wdzięczny, gdyby wydobyla pani z lochu właściwe papiery i zostawiła mi je na biurku.
- Rozumiem, że klient ma odpowiedni klucz, *mister Tommy*?

327

- Według jego adwokata ma. A my mamy nasz. Gdzie?

—Też w lochu, *mister Tommy*. W sejfie w ścianie. Tym z podwójną kombinacją.

- Za skrytkami?
- Za skrytkami.
- Zawsze mi się wydawało, że mamy zasadę trzymać klucze do sejfów jak najdalej od sejfów.
- Tak było za czasów pana Edwarda. W Hamburgu stosował pan już mniej surowe środki ostrożności.
- W takim razie czy byłaby pani tak dobra i pobrała dla mnie ten klucz?
- Muszę tylko poprosić główną kasjerkę.

- Dlaczego?
- Bo ona ma drugą kombinację.
  - Oczywiście. A musi jej pani mówić, po co bierze pani klucz?
- Nie, *mister Tommy*.
  - To bardzo proszę nie mówić. Aha, i dzisiaj zamykamy wcześniej. Chciałbym, żeby do trzeciej po południu nie było już w banku nikogo. -Nikogo?
- Nikogo oprócz mnie, jeśli można.
- Bardzo dobrze, *mister Tommy*.

Był jednak wstrząśnięty, widząc na jej twarzy gniew - tym bardziej że nie wiedział, o co chodzi.

Bank opustoszał przed trzecią, Brue zatelefonował więc do Lanterna, żeby to potwierdzić. Nie minęło kilka minut, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Ponieważ był sam w budynku, ostrożnie zszedł na dół, gdzie zastał na progu czterech mężczyzn w niebieskich kombinezonach, a przed bankiem zaparkowaną białą furgonetkę mieniającą się własnością Three Oceans Electrical Company z Lubeki. "Oni są od zakładania pluskiew. Nic dziwnego, że w branży nazywa się ich pluskwiarzami", powiedział mu wcześniej Lantern, zapowiadając to wtargnięcie.

328

Najstarszy z czwórki miał dwa złote zęby, przez co wyglądał jak pirat.

- Pan Brue? - zapytał z błyskiem w ustach.
- O co chodzi?
- Jesteśmy umówieni, żeby sprawdzić system. - Angielski nie był jego najsilniejszą stroną.

•No to proszę - niechętnie odpowiedział Brue po niemiecku. — Jak trzeba, to trzeba. Tylko bardzo proszę nie poryć mi ścian, jeśli łaska.

Do znudzenia powtarzał Lanternowi, że bank Freres jest nafaszerowany kamerami i wewnątrz, i na zewnątrz. Po co plu-skwiarze Lanterna mają zakładać swoje? Po prostu niech wykorzystają istniejący system. Ale to nie wystarczało ludziom, o których Lantern mówił teraz “nasi niemieccy przyjaciele”. Przez następną godzinę Brue bezsilnie miotał się po gabinecie, podczas gdy tamci robili swoje: w holu, przy recepcji, na schodach, w pokoju komputerowym, gdzie zwykle zasiadali kasjerzy, w sekretariacie, toaletach i nawet w lochu, który musiał im otworzyć własnym zestawem kluczy.

—A teraz jeszcze bardzo proszę pana pokój. Jeśli można - powiedział człowiek o złotym uśmiechu.

Brue został na dole i pozwolił im zbezczścić swój gabinet. Choć śladów zniszczenia szukał bardzo skrupulatnie, nie potrafił znaleźć najmniejszych oznak ich działalności. Podobnie niezmienny zastał swój gabinet, kiedy już mógł do niego wrócić.

Rzuciwszy zdawkowe pożegnanie, mężczyźni wynieśli się, Brue zaś znów został sam i nagle poczuł się bardzo samotny. Siedział bezwładnie w fotelu za biurkiem i nawet nie chciało mu się sięgnąć po stertę starych papierów lipicańskich, które zostawiła mu *Frau Ellenberger*.

Ale wkrótce przyszedł do siebie — jeżeli nie do dawnego siebie, to do siebie w jakiejś nowej wersji. Ów odrodzony Brue wstał, zamasyście przeszedł przez gabinet i z rękami w kieszeniach wpatrzył się z napięciem w oryginalne, ręcznie malowane

drzewo genealogiczne swej rodziny, które od trzydziestu pięciu lat codziennie przypominało mu, że jest niegodnym spadkobiercą rodu. Czy nasi niemieccy przyjaciele tu też umieścili jedną ze swych pluskiew? Czy sam wielki ojciec założyciel śledzi mój każdy ruch?

Niech sobie śledzi. Za parę tygodni będzie mnie śledził z zielonego kubła na śmieci.

Obrócił się na pięcie i gniewnie rozglądnał po gabinecie: to m ó j gabinet, moje dyrektorskie biurko, m ó j zasrany drewniany stojak na marynarkę od Randalla z Glasgow, moja biblioteczka — a nie mojego ojca, jego ojca czy jego ojca. A książki w środku, nawet jeśli nigdy ich nie otworzyłem, też są moje. Najwyższy czas, żeby to do nich dotarło; i do nich, i do mnie. To wszystko jest moje i mogę z tym zrobić, co mi się żywnie podoba. Spalić, sprzedać, rozdać wyklętym ludom ziemi.

Więc mam ich gdzieś. Tak jak inni mnie mają, cha, cha.

Gdy już raz użył w myśli tego niezbyt uprzejmego zwrotu, gdy powtórzył go sobie wielokrotnie i dobrze się nim nacieszył - powtórzył go głośno, staranną angielszczyzną, najpierw pod adresem Lanterna, potem Lanterna niemieckich przyjaciół i wreszcie wszystkich ewentualnych słuchaczy. Czy już włączyli podsłuchy? Niech włączają. To też miał gdzieś.

Potem zaczął bardzo starannie przygotowywać scenografię: Issa siądzie tu, Abdullah tam, ja zostanę za biurkiem.

A Annabel?

Przecież Annabel nie może siedzieć z tyłu, co to, to nie. Na pewno nie u mnie. Jest tutaj moim gościem i będzie traktowana tak właśnie, jak ja

sobie zażyczę.

Kiedy to pomyślał, spojrzął na olbrzymi fotel po dziadku czyhający w najciemniejszym kącie pokoju, w którym kazał ukryć ten odrażający, przesadnie ozdobny mebel z herbem Brue u góry i tartanem Brue na mocno spłowiałej tapicerce. Wyciągnął go na środek, rzucił nań parę poduszek i cofnął się, by podziwiać swoje dzieło - ona właśnie tak siedzi, kiedy pra-

330

kuje, wyprostowana jak struna, niech tylko ktoś spróbuje jej przeszkodzić.

Ostatnim elementem dekoracji było kilka butelek niegazowanej wody mineralnej, po które poszedł do lodówki w alkwie. Postawił je na stoliku, by przed jej przyjściem ogrzały się do temperatury pokojowej. Przez chwilę zastanawiał się nad nalaniem sobie szklaneczki whisky, lecz uznał, że lepiej nie. Przed wieczornym spotkaniem miał jeszcze do załatwienia jedną ważną sprawę i tego już nie mógł się doczekać.

\* \* \*

Brue uparł się na Atlantic, nie podając powodu. Lantern przeprowadził rozpoznanie i potulnie się zgodził. Była godzina siódma, ta sama, o której po raz pierwszy spotkał się z Annabel. W holu unosiły się te same zapachy, dyżur miał ten sam *Herr* Schwarz, a z baru dochodził taki sam gwar głosów. Ten sam niedoceniany pianista grał miłosne melodie, gdy Brue zajmował pozycję pod tymi samymi kupiecko-marynistycznymi obrazami i nie spuszczał wzroku z tych samych drzwi wahadłowych.

Tylko że pogoda była inna. Tego dnia na ulicę spływały promienie nisko

stojącego wiosennego słońca, przez co przechodnie byli swobodniejsi i wyżsi. Albo tak przynajmniej wydawało się Brue, sam bowiem czuł się swobodniejszy i wyższy.

Przyszedł za wcześnie, lecz Lantern z dwoma "chłopakami" zjawił się jeszcze wcześniej. Siedzieli teraz jak trzej średniej rangi biznesmeni między zajmowanym przez Brue kątem a wahadłowymi drzwiami, zapewne na wypadek, gdyby usiłował im nawiać z paszportem Issy w ręce. Po drugiej stronie sali, niedaleko wejścia do grill-roomu, siedziały dwie kobiety, te same, który pośpieszyły z pomocą Annabel w restauracji Louisy. Sprawiały wrażenie, że mogłyby to zrobić jeszcze raz: były śmiertelnie poważne i metodyczne; tylko ich dialog, prowadzony nad planem miasta, brzmiał mało przekonująco.

331

Zostawiła gdzieś plecak.

To było pierwsze spostrzeżenie Brue, gdy minęła wahadłowe drzwi. Bez plecaka, wolniejszy krok, bez roweru. Pod hotel podwiozło ją piaskowe volvo, i to nie taksówka, więc pewnie przywiozła ją tu obstawa.

Miała na szyi tę samą chustę, której używała jako hidżabu u Leili. Ascetyczna czarna spódnica, w tym samym kolorze bluzka z długimi rękawami i zakiet z początku lekko go zdumiały, bo wyglądała w nich, jakby albo zaraz miała wystąpić w sądzie, albo właśnie stamtąd wyszła, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że i on na spotkanie z doktorem Abdullahem wybrał najciemniejszy ze swych garniturów.

—Wody? - zaproponował ostrożnie. - Bez cytryny? W temperaturze pokojowej? Tak samo jak wtedy?



Powiedziała: — Tak, proszę — ale nie uśmiechnęła się.

Zamówił dwie wody. Drugą dla siebie. Kiedy podała mu rękę na powitanie, pozwolił sobie tylko na ukradkowe spojrzenie na jej twarz, ponieważ bał się, co na niej zobaczy. Wyglądała na zmęczoną i niewyspaną. Zaciśnięte wargi zdradzały, że usiłuje się opanować.

— Mam wrażenie, że ty też jesteś tu pod opieką, prawda?  
- zaczął tym samym jowialnym tonem. - Jeżeli chcesz, możemy im posłać coś do picia. Na przykład butelkę szampana.

Obojętne wzruszenie ramion, zupełnie jak u Georgie.

To dla niej silił się na dobry humor. Zachowywał się jak typowy angielski półgłówek, czyli żartował w chwili, w której na pewno nie należało żartować, lecz tylko to potrafił. Był starym marnym aktorzyzną, ale przygotowywał ją do jej wielkiej sceny i chciał jej okazać, jak ją kocha.

— Wiesz co, Annabel? Właściwie chyba powinni nas le piej pilnować. Przecież tyle jesteśmy dla nich warci! Ty masz ze sobą tylko dwa potwory, ja mam trzy. Moi są tam, oglądnij ich sobie. - Ostentacyjnie wskazał ich palcem. - Ten młody kurdupel w garniturze to ich mózg. Nazywa się Lantern. Ian Lan-

332

tern z brytyjskiej ambasady w Berlinie, w każdej chwili możesz o niego zapytać samego ambasadora. Tamci dwaj to... No, tacy tam. Za dużo rozumu pewnie nie mają. Zakładam, że ty też masz na sobie podsłuch?

-Tak.

Czy rzeczywiście zobaczył pierwociny uśmiechu? Miał wrażenie, że

tak.

- I bardzo dobrze. Dzięki temu wiemy, że mamy licznych słuchaczy. A czy ty nie uważasz przypadkiem... - jakby uderzyła go nagła myśl - że twoje potwory słyszą tylko ciebie, a moje mnie? Nie, to chyba raczej niemożliwe, prawda? Nie znam się na elektronice, ale musieliby nas odbierać na różnej długości fali. Myślisz, że odbierają? - Obejrzał się najpierw przez lewe, potem przez prawe ramię, jakby chciał to sprawdzić. - W sumie chyba nie warto za bardzo się nimi przejmować - powiedział, kiwając głową, jakby sam to sobie perswadował. - W końcu to my jesteśmy gwiazdami wieczoru. A oni zwykłymi słuchaczami, więc niech słuchają- wyjaśnił i został nagrodzony tak podnoszącym na duchu, tak całkowicie nieskrywanym uśmiechem, że był to jakby cały nowy świat, którym mógł się teraz cieszyć.
- Masz jego paszport - powiedziała wciąż z tym samym uśmiechem. - Mówili mi, że jesteś bardzo dobry.
- No nie wiem, czy dobry, ale pomyślałem sobie, że pewnie chciałabyś ten paszport zobaczyć. Pomyślałem również, że ja też chciałbym go zobaczyć, bo takie czasy, że człowiek nie ma pojęcia, z kim robi interesy. Niestety nie mogę ci go jeszcze dać. Mogę tylko pokazać, potem musi wrócić do młodego pana Lan-terna, tego po prawej, on wręczy go jednej z twoich osób, która go aktywuje, jeśli tak się to nazywa, kiedy twój klient zrobi to, co zamierza zrobić i co wszyscy chcą, żeby zrobił.

Już podawał jej paszport. Nie krył się z tym, po prostu podawał jej go przez stół z taką ostentacją, że obie grupy obstawy musiały przestać udawać, że robią co innego, tylko patrzeć na nich.

-A może twoja strona przedstawiła ci to inaczej? - ciągnął swobodnym tonem. - Już się nauczyłem, że z tymi ludźmi trzeba zawsze sprawdzić, czy wersje się zgadzają. Bo trudno o nich powiedzieć, że przesadzają z prawdomównością. Otóż mnie tak powiedzieli: ty przyprowadzasz naszego klienta do banku, on składa zlecenie i potem, jak mnie zapewniono, natychmiast zostaje zabrany do pewnej instytucji, w której wypełni parę formularzy w trzech egzemplarzach i dostanie niemiecki paszport. Właśnie ten, który mamy tutaj, tylko wtedy już ważny. Czy to się zgadza? W stu procentach?

- Zgadza się - przyznała.

Wzięła od niego paszport i oglądnęła dokładnie. Najpierw zdjęcie, potem parę niewinnie wyglądających pieczętek z przekraczania granicy, niezbyt świeżych. Potem datę ważności: trzy lata i siedem miesięcy.

- Jak będzie po niego szedł, muszę z nim być — oświadczyła ku jego zachwytowi, ponieważ wróciło jej dawne zdecydowanie.
- To oczywiste. Nie masz wyjścia, jesteś jego adwokatem.
- On jest chory. Musi mieć czas dojść do siebie.
- Jasne! Od jutra będzie miał tyle czasu, ile dusza zapagnie - powiedział Brue. - A ja mam jeszcze jeden dokumencik, ale to już wyłącznie dla ciebie. - Wziął paszport i w jej wystawioną dłoń wsunął niezaklejoną kopertę. - Teraz nie musisz oglądać. Nie bój się, to nie pierścionek, żebyś musiała czuć się zażenowana. Tylko kawałek papieru. Ale dla ciebie oznacza wolność. Nie będzie żadnych mściwych oskarżeń prokuratury ani nic takiego, oczywiście pod warunkiem, że już nigdy nie zrobisz nic podobnego, choć ja akurat

mam nadzieję, że zrobisz. I bardzo ci dziękuję, że pracujemy razem. Przecież chyba można powiedzieć, że tak jest. A w mojej branży to prawie jak oświadczyły.

- Nic mnie nie obchodzi moja wolność.
- Chyba jednak powinna - odpowiedział.

334

Tylko że teraz mówił już nie po niemiecku, lecz po rosyjsku, co — jak zauważył z wielką satysfakcją — wywołało gwałtowne poruszenie w obu grupach po obu stronach sali. Uniesione czujnie głowy, rozpacz w oczach — czy ktoś z nas rozumie po rosyjsku? Sądząc po zdumionych minach - nikt.

\* \* \*

- No to mamy parę minut dla siebie. Przynajmniej mam nadzieję, że mamy - mówił dalej Brue swą klasyczną, wyuczoną w Paryżu ruszczyzną. - Bo jest kilka bardzo osobistych i ściśle tajnych spraw, które chciałbym z tobą omówić. Mogę? Ku jego radości twarz Annabel cudownie pojaśniała.

- Możesz.

- Kiedyś mówiłaś o moim banku. O moim pierdolonym banku. Że gdyby nie ten bank, Issy by tutaj nie było. No więc teraz jest. I zdaje się, że będzie mógł zostać. Nadal wolałabyś, żeby tu nie przyjechał?

- Już nie.

- Całe szczęście. Chcę ci też powiedzieć, że mam córkę, którą bardzo kocham. Ma na imię Georgina, ale zawsze mówiło się do niej Georgie. Jest dzieckiem z małżeństwa, które za

warłem tak wcześnie, na takim etapie życia, kiedy jeszcze nie wiedziałem, na czym polega małżeństwo. Ani na czym polega miłość. Nie byłem gotowy ani do małżeństwa, ani do ojcostwa. Teraz jest inaczej. Georgie spodziewa się dziecka, ja jeszcze zdążę nauczyć się być dziadkiem.

— To wspaniale.

- Dziękuję. Strasznie chciałem to komuś powiedzieć, więc powiedziałem, dlatego się cieszę. Georgie ma depresję. Nie ufam psychiatrii i jej żargonowi, ale w tym przypadku jestem pewny, że diagnoza jest trafna. Georgie musi być utrzymywana w stanie równowagi. Zdaje się, że tak to się nazywa. Mieszka w Kalifornii. Z jednym pisarzem. Kiedyś miała też anoreksję.

335

Wyglądała jak zagłodzony ptak. Nic nie dało się zrobić. Smutna historia. Oczywiście rozwód jeszcze wszystko pogorszył. Miała dość rozumu, żeby wynieść się do Ameryki. Do Kalifornii. Teraz tam mieszka.

- Już mówiłeś.

•Przepraszam. Chodzi o to, że wreszcie znalazła się na prostej.

Rozmawiałem z nią dopiero co, parę dni temu. Czasem myślę sobie, że gdy rozmawiam z nią przez telefon, to im jest dalej, tym łatwiej usłyszeć, czy jest szczęśliwa. Już raz miała dziecko, ale umarło. To nie umrze, jestem tego pewny. Wybacz, zbaczam z tematu.

Pomyślałem sobie, że jak to wszystko się skończy, wezmę urlop i pojedę ją odwiedzić. Może nawet trochę tam zostanę. Bo szczerze mówiąc, mój bank upada. Nie mogę powiedzieć, że bym jakoś bardzo

go żałował. Wszystko kiedyś się kończy. Więc pomyślałem sobie, że jak ja już tam będę i jakoś się urządę na chwilę, a tobie też wreszcie dadzą spokój, może zechcesz do nas przyjechać, choćby na parę dni, oczywiście na mój koszt, przyjedziesz z kim chcesz, poznasz Georgie, jej dziecko, nawet jej męża, który na pewno jest okropny.

- Bardzo chętnie.
- Nie musisz odpowiadać od razu. I nie po to mówię, żeby się potem dobierać do ciebie. Tylko to sobie przemyśl. Tyle miałem do powiedzenia. A teraz możemy przejść z powrotem na niemiecki, zanim słuchacze zaczną za bardzo się niecierpliwić.
- Przyjadę - powiedziała wciąż po rosyjsku. - Bardzo chętnie. Nie muszę niczego przemyśliwać. Wiem, że przyjadę.
- Doskonale - rzekł już po niemiecku i popatrzył na zegarek, jakby sprawdzał, jak długo nie ma go w biurze. - Mam jeszcze jedną sprawę. To lista życzeń doktora Abdullaha co do Czeczenii. Ma oczywiście różne propozycje co do wspólnot muzułmańskich na całym świecie, ale to są wybrane organizacje działające w Czeczenii. Pomyślał, że może nasz klient chciałby rzucić na to okiem jeszcze przed spotkaniem. Ze może będzie

336

mu łatwiej się doczekać. Czy wolno mi powiedzieć, że z przyjemnością czekam na spotkanie z wami dziś o dziesiątej wieczór?

- Wolno ci - odparła. — Wolno... — I żywo skinąwszy głową na podkreślenie swych słów, odwróciła się i sztywno pomaszerowała w stronę drzwi wahadłowych, gdzie już czekała na nią jej eskorta.

- Nie było w tym nic nieprzystojnego, Ian - niedbale zapewnił Lanterna Brue, oddając mu paszport Issy. - Taka krótka chwila wytchnienia dla naszej wolnej woli.

Było wpół do dziewiątej, kiedy baby Annabel podrzuciły ją na nabrzeże, skąd sama poszła schodami do swego mieszkania na poddaszu — ostatni raz, powtarzała sobie: ostatni raz, gdy Issa był jej więźniem, a ona jego; ostatni raz będą słuchali muzyki rosyjskiej przy migających w gotyckim oknie światłach portu; ostatni raz on będzie dla niej dzieckiem, które trzeba karmić i uspokajać, niedotykalnym kochankiem i nauczycielem nieznośnego cierpienia i nadziei. Za godzinę odda go w ręce Brue i doktora Abdullaha. Za godzinę Bachmann i Erna Frey dostaną to, co chcą. Z pomocą Issy uratują więcej niewinnych istnień ludzkich niż cała ekipa Azyłu Północ przez całe życie - tylko jak tu liczyć niezabitych?

- Czy to są rekomendacje doktora Abdullaha? — zapytał Issa nowym i dość władczym tonem, gdy stojąc na środku pokoju tuż pod lampą zabierał się do odczytania listy.
- To tylko część. Na początku jest Czeczenia. Tak jak chciałeś.
- On jest mądry. Te organizacje są dobrze znane w całej Czeczenii. O, o tej słyszałem. Daje lekarstwa i opatrunki naszym dzielnym żołnierzom w górach. Środki przeciwbólowe też. Na to dam na pewno.
- To dobrze.

- Ale przede wszystkim musimy ratować dzieci z Groźnego —

powiedział, czytając dalej. — A potem wdowy. Młode kobiety zbezczeszczone nie ze swojej winy nie będą karane, tylko jeśli Bóg pozwoli, umieszczane w specjalnych schroniskach. Umieszczane tam będą, nawet jeżeli będzie podejrzenie współ-winy. Taka jest moja wola.

- To dobrze.

- Żadna nie będzie karana, nawet przez własną rodzinę. Wszystkie te kobiety dostaną dobrze wyszkolone opiekunki.

- Przerzucił stronę. - Dzieci męczenników będą otoczone szczególną troską. Taka jest wola Allaha. Ale tylko pod warunkiem, że ich ojcowie nie zabijali niewinnych. A jeśli ojcowie zabijali niewinnych, na co Allah nie pozwala, nimi też się zajmiemy.

Zgadzasz się z tym, Annabel?

- Brzmi wspaniale. Trochę to zagmatwane, ale i tak...

- rzekła z uśmiechem.

- A teraz ta następna fundacja. Ją podziwiam. Nie słyszałem o niej, ale ją podziwiam. Bo nauczanie dzieci zostało bardzo zaniedbane podczas naszej długiej wojny o niepodległość.

- To może postawisz znaczek przy tych, na których najbardziej ci zależy? Masz ołówek?

- Na wszystkich mi zależy. I na tobie też mi zależy, Annabel.

Złożył listę i wepchnął ją do kieszeni.

Nie mów mi tego, błagała go w duchu ze swojego miejsca na drugim końcu poddasza. Nie każ mi przysiąc. Nie maluj przede mną tego nieziszczalnego marzenia. Nie mam na to dość sił. Przestań!

- Kiedy nawrócisz się na wiarę Boga, bo to religia mojej



matki i mojego ludu, i kiedy ja będę wielkim lekarzem z zachodnimi kwalifikacjami i samochodem takim, jaki ma pan Brue, cały czas poza pracą zawodową poświęcę temu, żeby dobrze ci się ze mną żyło. To ci obiecuję, Annabel. A kiedy nie będziesz w zbyt zaawansowanej ciąży, będziesz pielęgniarką w moim szpi-

338

talu. Zauważyłem, że masz wiele współczucia, kiedy nie jesteś zbyt surowa. Ale najpierw musisz się wyszkolić. Bo żeby zostać pielęgniarką, nie wystarczy dyplom prawnika.

- Rzeczywiście nie wystarczy.

- Czy ty mnie słuchasz, Annabel? Proszę, słuchaj mnie uważnie.

- Ja tylko sprawdzam, która godzina, to wszystko. Pan Brue chce, żebyśmy przyjechali przed doktorem Abdullahem. Bo ty musisz najpierw zgłosić się po pieniądze, nawet jeżeli sam ich w końcu nie przyjmiesz.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Annabel. Wiem o tym wszystkim. Dlatego właśnie w odpowiedniej chwili przyjedzie po nas jego limuzyna. Czy Melik i Leila też będą na uroczystości?

- Nie. Są w Turcji.

- Szkoda... Ich też podniosłoby na duchu to, co zamierzam zrobić. A nasze dzieci otrzymają wszechstronne i szerokie wykształcenie.

- Niestety nie w Czeczenii, bo to zbyt niebezpieczne. Najpierw będą studiować Koran, potem literaturę i muzykę. Będą dążyć do osiągnięcia Pięciu Cnót. Jeżeli im się nie uda, nie będą za to karane.

- Będziemy je kochać i często się z nimi modlić. Ja osobiście nie wiem dokładnie, jakie kroki należy podjąć, by doprowadzić do twojego

nawrócenia. To zadanie dla jakiegoś mądrego imama. Kiedy wyrobię sobie opinię na temat tego doktora Abdullaha, którego pisma szanuję, może uznam, że on byłby odpowiedni. Ja nigdy cię nie obraziłem, Annabel.

- Wiem.
- A ty nie próbowałaś mnie uwieść. Były chwile, kiedy się tego obawiałem. Ale udało ci się opanować.
- Myślę, że musimy się zbierać. Nie uważasz?
- Posłuchajmy Rachmaninowa.

Podszedł do gotyckiego okna i włączył odtwarzacz. Muzyka ryknęła głośno, bo tak właśnie lubił jej słuchać, kiedy zostawał sam. Potężne akordy uderzyły w sklepienie. Issa obrócił się do okna. Annabel patrzyła na jego sylwetkę, gdy metodycznie

339

ubierał się do drogi. Skórzana kurtka Kamena już mu nie odpowiadała. Teraz wolał mieć na sobie swój stary czarny płaszcz, wełnianą myckę i żółtą torbę na ramię.

—No, Annabel. Pójdziesz za mną, bardzo proszę. Ja będę cię chronił. Taka jest nasza tradycja.

Jednakże przy drzwiach zatrzymał się jak wryty i spojrzał na nią z tak niezwykłym uczuciem, że przez chwilę niemal wierzyła, że zaraz zamknie drzwi z powrotem i zatrzyma ją tu ze sobą, i już na zawsze będą wieść takie życie, jakie wiedli dotąd - tu, na górze, sami we własnym świecie.

I gdy ją zaczynała ogarniać nadzieja, że może tak się stanie, on już schodził po schodach i było na to za późno. Długa, czarna limuzyna

czekała, kierowca otwierał tylne drzwi. Był bardzo młodym blondynem, naprawdę młodzieńskim chłopcem. Annabel wsiadła. Kierowca czekał, by Issa wsiadł za nią, lecz ten odmówił. Kierowca musiał otworzyć drzwi z przodu i Issa dopiero wtedy wsiadł do auta.

\* \* \*

Brue ruszył pierwszy do swego gabinetu, za nim Issa i wreszcie Annabel w swym czarnym prawniczym stroju i chuście na głowie. Bankier od razu zauważył, że Issa zmienił się nie do poznania. Pobożny muzułmański uciekinię przedzierzgnął się w milionera, syna pułkownika Armii Czerwonej. W holu rozej -rzał się wokół z pogardą, jakby piękna siedziba banku nie była dla niego wystarczająco elegancka. Nieproszony zajął miejsce w fotelu, który Brue przygotował dla Annabel, założył rękę na rękę i nogę na nogę, czekając, aż ktoś się do niego zwróci, i tym samym zmuszając Annabel, by zajęła miejsce z tyłu.

—*Frau* Richter, czy nie chce pani usiąść bliżej? - zapytał ją Brue w ich wspólnym języku, rosyjskim.

—Dziękuję, tu jest bardzo wygodnie — odpowiedziała ze swym na nowo odnalezionym uśmiechem.

340

- W takim razie zaczynam - oświadczył Brue, przełykając rozczarowanie.

I zaczął, choć miał dziwne wrażenie, że mówi do pełnej sali, a nie do dwojga ludzi siedzących o dwa metry od niego. W imieniu Brue Freres oficjalnie powitał Issę jako wieloletniego klienta banku, lecz taktownie

powstrzymał się od złożenia kondolencji.

Issa nasrożył się, ale skinął głową na znak zgody. Brue odchrząknął. W tej sytuacji, powiedział, proponuję ograniczyć formalności do minimum. Został poinformowany przez pełnomocnika Issy - tu lekki ukłon w stronę Annabel — że zamierza się on upomnieć o spadek pod warunkiem, że cały majątek zostanie natychmiast przekazany wybranym muzułmańskim organizacjom dobroczynnym.

- Zostałem też poinformowany, że w tym celu zamierza pan poradzić się znanego autorytetu religijnego, doktora Abdullaha, któremu już przekazałem pana instrukcje. Doktor Abdullah wkrótce z przyjemnością do nas dołączy.
- Rada będzie pochodzić od Allaha - poprawił Issa urażonym pomrukiem, skierowanym jednak nie do Brue, tylko do złotej bransolety z miniaturką Koranu, którą zaciskał w dłoni. — To będzie wola boża, proszę pana.

W zwykłych okolicznościach, ciągnął niezrażony Brue, zażądałby w tej chwili, by osoba zgłaszająca się po spadek udowodniła swoją tożsamość. Jednakże przekonany przez *Frau* Richter, co stwierdził z naciskiem, uważa, że tym razem można pominąć tę formalność i przejść od razu do przekazania spadku - wciąż zwracał się do Annabel - jeżeli takie jest życzenie jej klienta.

- Jest, proszę pana, jest! Tak właśnie sobie życzę! — zawołał Issa, nim Annabel zdążyła się odezwać. - Upominam się o ten spadek w imieniu wszystkich muzułmanów! W imieniu Czeczenii!
- W takim razie proszę za mną - rzekł Brue. I z tacki na biurku wziął mały, o skomplikowanym wycięciu klucz.

Drzwi do lochu otwarły się z chrzęstem. Po wyjściu techników Brue włączył tylko jeden system alarmowy. Skrytki stały wzdłuż jednej ze ścian, ciemnozielone, z dziurkami na dwa klucze każda. Edward Amadeus, który uwielbiał nadawać różnym rzeczom śmieszne nazwy, nazywał je swoim gołębnikiem. Brue wiedział, że niektórych z tych skrytek nie otwierano od pięćdziesięciu lat. Teraz może już nikt nigdy ich nie otworzy. Odwrócił się do An-nabel i zobaczył, że jej twarz jaśniej ostrożnym entuzjazmem. Ona też nie spuszczała z niego wzroku, gdy wręczała mu list, który Issa dostał od Anatolija, ten z wytłuszczonym numerem konta. Znał go na pamięć. I skrytkę też znał na pamięć, choć nie jej zawartość: bardziej sfatygowana niż inne, przypominała mu rosyjskie pudło na amunicję. Napis na wizytówce - poplamionym pożółkłym kartoniku przytrzymywanym w czterech rogach przez miniaturowy żelazny zacisk — został zrobiony odręcznym pedantycznym pismem Edwarda Amadeusa: LIP

— kreska, numer i komentarz: "Żadnych transakcji bez porozumienia z EAB".

- Poproszę pana o klucz - zwrócił się do Issy.

Z powrotem założywszy bransoletę na rękę, Issa rozpiął swój długi płaszcz i sięgnął za koszulę po skórzaną sakiewkę. Rozchylił ją, wyciągnął klucz i wycelował go w Brue.

- Obawiam się, że to musi pan zrobić sam - powiedział Brue z ojcowskim uśmiechem. - Widzi pan, ja mam swój.

- I wyciągnął klucz bankowy, żeby Issa zobaczył.

- Czy Issa będzie otwierał pierwszy? — zapytała Annabel, ciesząc się jak dziecko na zabawie.
- Zdaje się, że tak jest w zwyczaju, prawda, *Frau Richter*?
- Issa, zrób, co ci mówi pan Brue, bardzo proszę. Włóż klucz do zamka i przekreśl.

Issa postąpił krok do przodu i wepchnął swój klucz w lewy zamek, lecz kiedy spróbował go przekreślić, napotkał opór.

342

Zły wyszarpnął klucz i włożył w prawy zamek, z lepszym skutkiem. Klucz obrócił się. Issa odstąpił w tył. Teraz przystąpił Brue i kluczem bankowym otworzył lewy zamek. Potem on też się cofnął.

Stojąc obok siebie, Brue i Annabel patrzyli, jak syn pułkownika Grigorija Borysowicza Karpowa z nieskrywanym obrzydzeniem bierze w posiadanie nieuczciwie zgromadzone miliony swego zmarłego ojca, przechowywane dla niego przez również nieżyjącego Edwarda Amadeusa, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego, na prośbę wywiadu brytyjskiego. Na pierwszy rzut oka zawartość skrytki nie robiła większego wrażenia: jedna duża zatłuszczona koperta, niezaklejona i niepodpisana.

Wychudłe dłonie Issy drżały. Jego twarz w padającym z sufitu świetle jarzeniówek znów stała się twarzą więźnia, składającą się jakby wyłącznie z zapadłych policzków i cieni, wykrzywioną na dodatek ze wstrętu. Dwoma palcami, wskazującym i kciukiem, ostrożnie wyciągnął z koperty zadrukowaną kartkę, kształtem i zdobieniami przypominającą wielki banknot. Włożywszy kopertę pod pachę, bo mogła się jeszcze przydać, rozwinął dokument i oglądnał go, zwrócony plecami do Brue i Annabel;

ale chyba tylko podziwiał kunsztowny nadruk, ponieważ tekst był po niemiecku, nie po rosyjsku.

- Może *Frau* Richter zechce to panu przetłumaczyć na górze - zaproponował łagodnie Brue, gdy minęła co najmniej minuta, a Issa wciąż się nie poruszył.
- Richter? — powtórzył Issa, jakby nigdy jeszcze nie słyszał tego nazwiska.
- Annabel. *Frau* Richter. Pana adwokat. Ta pani, dzięki której jest pan tu dzisiaj i której zawdzięcza pan jeszcze więcej, jeśli mogę sobie pozwolić na taką uwagę.

Issa wrócił do rzeczywistości, oddał Annabel najpierw dokument, potem kopertę.

- To są pieniądze, Annabel?
- To będą pieniądze - powiedziała.

343

† \* \*

Po powrocie do gabinetu Brue robił co w jego mocy, by zachowywać się naturalnie - w obawie że Issa, stanąwszy w obliczu fizycznego dowodu popełnionych przez ojca potworności, może zmienić zdanie. Annabel zapewne podzielała te obawy, wzięła bowiem z bankiera przykład. Szybko wytłumaczyła swemu klientowi warunki i zasady działania obligacji na okaziciela, co Issa zbywał wzruszeniem ramion na znak obojętnej zgody. Nie miał żadnych pytań. Musiał podpisać, że obligację przyjął, Brue wręczył zatem odpowiedni formularz Annabel i poprosił, by wytłumaczyła klientowi, o co chodzi. Zrobiła to spokojnie i cierpliwie.

Chodziło zaś o to, że dopóki nie wyda tych pieniędzy, należą do niego. Jeżeli po podpisaniu formularza zmieni zdanie i zechce pieniądze przyjąć albo poszukać jeszcze innego dla nich przeznaczenia, może to zrobić. Brue miał wrażenie, że mówiąc to wszystko Issie, Annabel stawia swoje obowiązki względem klienta ponad swą wierność względem tych, którzy ją prowadzili i nią manipulowali; i że to z jej strony sprawa honoru i równocześnie akt sporej odwagi, by tak zaryzykować powodzenie wszystkiego, po co tu przyszli.

Ale Issa nie zamierzał zmieniać decyzji. Przyciskając do czoła zwinięte w pięść palce lewej dłoni ze zwisającym z nich złotym łańcuszkiem, podpisał dokument kilkoma gniewnymi pociągnięciami prawej dłoni, w której długopis trząsał się na wszystkie strony. Na chwilę zapomniawszy o muzułmańskich zwyczajach, Annabel wyciągnęła rękę, by odebrać mu długopis, i niechcący trąciła go w dłoń. Cofnął się, lecz i tak długopis zabrała.

Zarządca liechtensteinowskiego funduszu przygotował zestawienie finansowe. Na podstawie przyjętej obligacji i złożonego na formularzu podpisu Issa stał się jedynym właścicielem funduszu. Całość opiewała na sumę, którą Brue podał dokto-

344

rowi Abdullahowi, czyli dwanaście i pół miliona dolarów amerykańskich, czy też, jak wolał to ująć w rozmowie z przyjacielem z Weybridge tenże doktor Abdullah - dwanaście i pół tony amerykańskiego ryżu.

- Issa... — odezwała się Annabel, próbując wyrwać go z transu.



Wciąż wpatrując się w blankiet obligacji, Issa przesunął dłonią po zapadłym policzku, podczas gdy jego wargi poruszały się w bezgłośnie modlitwie. Brue zaś, świetnie przecież i od dawna obznajomiony z wszystkimi najdrobniejszymi reakcjami na nagłe wzbogacenie - tłumiony blask chciwości, triumfu, ulgi — na próżno szukał ich u Issy, podobnie jak nie potrafił zaobserwować ich u Abdullaha. Jeżeli w ogóle je zobaczył, to najpierw u Annabel - zresztą i u niej był to ledwie błysk, który zniknął, zanim na dobre rozgorzał.

- W takim razie - powiedział dziarsko - zakładając, że nie mamy już nic więcej do omówienia, zaproponowałem *Frau Richter*, że teraz zajmujemy się... Prawdę mówiąc, już się tym zająłem i tylko potrzebuję pana zgody na tymczasowe umieszczenie całej sumy na rachunku w naszym banku, aby w każdej chwili można przelać pieniądze wszystkim odbiorcom, których wskażecie wraz z doktorem Abdullahem na podstawie waszej wspólnej decyzji, by zadośćuczynić pana względem etycznym i religijnym. A do tego może dojść - wysunął rękę przed siebie i zerknął na swój drogi zegarek — już za jakieś siedem minut. Zresztą może nawet jeszcze wcześniej, jeżeli się nie mylę.

Nie mylił się. Przed bank zajechał właśnie samochód. Potem dała się słyszeć krótka wymiana zdań po arabsku - to kierowca zęgnął się ze swym pasażerem. Brue dosłyszał słowo "*Inszallah*" i poznał głos doktora Abdullaha, usłyszał też pożegnalne "*Salaam*". Samochód odjechał, rozległy się kroki zmierzające do wejścia.

- Przepraszam na chwilę, *Frau Richter* - rzekł stanowczo i popędził na dół, bo właśnie zaczynał się kolejny akt.

Arni Mohr był bardzo dumny ze swego wozu dowodzenia i zgodził się z nim rozstać tylko pod warunkiem, że zostanie umieszczony poza zamkniętym kordonem, który wraz z policją wytyczył wokół banku Brue. Wewnątrz kordonu znajdowali się jego obserwatorzy i snajperzy policyjni, na zewnątrz - wóz dowodzenia z Bachmannem w środku, dwoje jego ludzi i jedna pusta kremowa taksówka, cała oblepiona reklamami. Taki układ został zaaprobowany przez Kellera i Burgdorfa, nieskutecznie oprotestowany przez Axelroda i mimo protestów przyjęty przez Bachmanna.

— Nie mogę się z nimi użerać o każdy szczegół, Günther - tłumaczył Axelrod z większą desperacją w głosie, niżby sobie życzył Bachmann. - Jeżeli za ich hetmana muszę oddać parę pionków, trudno, oddam - dorzucił, nawiązując do licznych partii szachów, które rozegrali w schronie przeciwlotniczym niemieckiej ambasady w Bejrucie.

- Ale hetman będzie nasz, tak? — dopytywał się niespokojnie Bachmann.

-Tak. Na określonych warunkach. Jeżeli uda ci się ściągnąć DROGOWSKAZA do twojego mieszkania operacyjnego i jeżeli uda ci się z nim pogadać, i jeżeli zacznie dawać pierwsze oznaki, że idzie na współpracę. Wtedy będzie nasz. Zadowolony?

Nie. Nie był zadowolony.

Bo bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego trzy razy musiałeś powiedzieć "jeżeli", zanim powiedziałeś "tak".

I jeszcze chciałbym wiedzieć, co na naszym zebraniu robiła Martha i po co przywlokła ze sobą Newtona, tego rzeźni-ka z Bejrutu.

I co to za jedna ta popielata blondynka z kanciastą twarzą.

I dlaczego trzeba ją było przemycić do sali konferencyjnej jak jakiś zakazany owoc, kiedy już wszyscy siedzieli na swoich miejscach, i dlaczego zaraz się wymknęła jak dziwka z hotelu.

346

I dlaczego Axelrod, który zwykle nie zgadzał się na obecność Amerykanów równie stanowczo jak Bachmann, nie potrafił temu zaradzić, i dlaczego Burgdorf też najwyraźniej nie miał nic przeciwko tym nieproszonym gościom.

Wóz dowodzenia tym różnił się od innych pojazdów o podobnym przeznaczeniu, że nie był ucharakteryzowany ani na wóz meblowy, ani na TIR-a, tylko na szarą polewaczkę uliczną, którą kiedyś był i z której nie zdjęto nawet oryginalnych oznaczeń. Arni przechwalał się, że poza wszystkim innym pojazd jest niewidzialny. Nikt nie zauważa obecności polewaczki, a już na pewno nie nocą, kiedy krąży po centrum miasta. Działa równie dobrze w ruchu jak na postoju. Może sobie patrolować ulice z prędkością nawet trzech kilometrów na godzinę i nikt nawet słowa nie powie.

Na jej postój Bachmann wybrał zatoczkę między brzegiem Alsteru a główną ulicą, trochę ponad pół kilometra od banku Brue. W świetle sodowych lamp ulicznych jego zespół mógł podziwiać przez przednią szybę zagajnik kasztanowców, a przez zamaskowany wizjer z tyłu rzeźbę z brązu: dwie dziewczynki, które wiecznie przymierzają się do puszczenia

latawców.

W przeciwieństwie do Mohra Bachmann zredukował liczbę swoich ludzi do minimum. Plan działania też miał bardzo prosty. Kamery wideo i obrazy satelitarne obsługiwała oprócz Maximiliana jego nieodłączna dziewczyna, Niki, która w dodatku mówiła biegle po rosyjsku i arabsku. Na wypadek jakiejś nieprzewidzianej okoliczności ściągnął jeszcze dwóch obserwatorów w podrasowanym audi — mieli czekać na wezwanie tuż na zewnątrz kordonu. Sam Bachmann, dopóki pozostanie w wozie dowodzenia, zajmie się łącznością z Arnim Mohrem i Axelro-dem, który czekał w berlińskiej siedzibie Komitetu. Bachmann błagał Ernę Frey, by dotrzymała mu towarzystwa, ale ona po raz kolejny nie dała się przekonać.

- To biedne dziecko już ma mnie serdecznie dość. Sama nie zdaje sobie sprawy jak bardzo - odpowiedziała. A czując na

347

sobie jego spojrzenie, dodała po dłuższej chwili: - Okłamałam ją. A mówiliśmy, że nigdy tego nie zrobimy. Mówiliśmy jej, że nigdy nie dowie się całej prawdy, ale jeżeli coś jej powiemy, będzie to prawda.

- No i co?
- No i ją okłamałam.
- Już mówiłaś. Na jaki temat?
- Melika i Leili.
  - A cóż takiego powiedziałaś jej o Meliku i Leili, że to kłamstwo?
- Nie przesłuchuj mnie, Günther.

- Właśnie że cię przesłuchuję.
- Chyba zapomniałeś, że mam swoją wtyczkę w obozie Arniego Mohra.
- Tę, co źle gra w tenisa? Nie zapomniałem. A co ma baba, która źle gra w tenisa, do okłamania Annabel w sprawie Melika i Leili?
- Annabel martwiła się o nich. Raz, w środku nocy, przyszła do mojego pokoju i chciała, bym ją zapewniła, że Melik i Leila nie będą mieli nieprzyjemności za to, że przyjęli do siebie Issę. Za to, że zachowali się jak porządni ludzie i zrobili dobry uczynek. Powiedziała, że jej się śnili, ale mnie się zdaje, że nie mogła zasnąć, bo się o nich martwiła.
- I co jej powiedziałaś?
- Że będą się świetnie bawili na weselu, wrócą wypoczęci i szczęśliwi, Melik pobije w ringu wszystkich przeciwników, Leila znajdzie nowego męża i że w ogóle będą żyli długo i szczęśliwie. Takie bajeczki.
- Dlaczego bajeczki?
  - Arni Mohr i doktor Keller z Kolonii wystąpili o odebranie im prawa pobytu, bo pogwałcili jego zasady, ukrywając u siebie islamskiego bandytę, i sprzyjali postawom fundamentalistycznym wśród społeczności tureckiej. Mohr i Keller zamierzają też poinformować władze w Ankarze. Burgdorf już

348

się zgodził, tylko pod warunkiem, że będą trzymeni w Turcji w takim miejscu, by w żaden sposób nie naraziło to na szwank operacji

DROGOWSKAZ.

Po czym demonstracyjnie wyłączyła komputer, zamknęła papiery w stalowej szafie i wyniosła się do mieszkania operacyjnego przy nabrzeżu, by przygotować je na przyjęcie DRO-GOWSKAZA.

Bachmann został sam. Wściekły, że aż go mdliło, jeszcze raz zaapelował do Axelroda. Odpowiedź była taka, jakiej się obawiał:

— Niech cię szlag trafi, Günther! To ty jeszcze chcesz, żebym się z nimi kłócił? Chcesz, żebym poleciał do Burgdorfa i powiedział mu, że szpiegujemy specsłużby?

\* \* \*

Przez ostatnie dwie godziny do wozu dowodzenia płynęły informacje operacyjne i wszystkie były pomyślne:

Wycieczka DROGOWSKAZA z poprzedniego wieczoru była bardzo niezwykłym wydarzeniem, do tej pory bowiem nie miał zwyczaju korzystać z automatów telefonicznych. Ani pozostawiać domu, żony i dzieci samych po zapadnięciu zmroku. Na dzisiejszy wieczór zamierzał, jak zawsze, skorzystać z uprzejmości emerytowanego inżyniera, uczynnego przyjaciela i sąsiada, Palestyńczyka imieniem Fuad, który nie wyobrażał sobie przyjemniejszego sposobu spędzania wolnego czasu niż wożenie samochodem wielkiego uczonego i wymienianie z nim głębokich uczonych uwag. Poprzedniego wieczoru Fuad był na wykładzie w miejscowym domu kultury, ale dziś był wolny, dzięki czemu obaj goryle DROGOWSKAZA mogli pilnować domu, czyli robić to, co zwykle do nich należało.

Gdzie jednak DROGOWSKAZ zatrzyma się na noc w Hamburgu, kiedy już odbędzie spotkanie w banku? A przynajmniej gdzie planuje się

zatrzymać? Czy oczekują go jacyś przyjaciele,

349

zamówił hotel czy też zamierza od razu wyruszyć w powrotną drogę, żeby spać we własnym łóżku? Bo może się okazać, że osiem godzin, jakie dostał na niego Bachmann, może skrócić się do trzech czy czterech.

Ale przynajmniej w tej kwestii los uśmiechnął się do organizatorów akcji, DROGOWSKAZ przyjął zaproszenie na nocleg od szwagra Fuada, Irańczyka imieniem Cyrus, u którego już wielokrotnie się zatrzymywał, Cyrus zaś zostawił klucz u Fuada, ponieważ sam wraz z rodziną wybierał się w odwiedziny do znajomych w Lubece i miał wrócić dopiero następnego dnia przed południem.

Jeszcze pomyślniejszym zbiegiem okoliczności było to, że po spotkaniu w banku DROGOWSKAZ miał samotnie udać się na nocleg. Fuad błagał, by Abdullah pozwolił mu poczekać na siebie przed bankiem, lecz DROGOWSKAZ był niewzruszony:

- Fuad, natychmiast pojedziesz do mieszkania swojego drogiego szwagra, niech go Bóg błogosławi, i nie będziesz się niczym przejmował - przekonywał go przez domowy telefon. — To rozkaz, drogi przyjacielu. W twojej piersi bije zbyt wielkie serce. Jeżeli nie będziesz uważał, Allah przedwcześnie zabierze cię do siebie. Z banku zamówię taksówkę, ty się nie kłopotz.

Dlatego właśnie obok wozu dowodzenia parkowała też pusta taksówka.

I dlatego nad jej deską rozdzielczą widniała zafoliowana taksówkarska legitymacja z paszportowym zdjęciem Bachmanna.

I dlatego na wieszaku na drzwiach wozu dowodzenia wisiała tania kurtka i marynarska czapka. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w tym właśnie stroju wystąpi Bachmann, by porwać DROGOWSKAZA do mieszkania operacyjnego na nabrzeżu i tam dokonać siłowego sprowadzenia go na drogę cnoty.

— Do świtu muszą mi się spełnić trzy życzenia — powiedziała mu Erna Frey, nim tak demonstracyjnie się z nim rozstała.

- Zapuszkowanie DROGOWSKAZA. Wypuszczenie na wolność

350

FELIKSA i tej biednej dziewczyny. I wysłanie ciebie do Berlina z biletem w jedną stronę. Drugą klasą.

— A nic dla ciebie?

- Dla siebie chcę emeryturę i jacht oceaniczny.

DROGOWSKAZ miał zjawić się w banku Brue Freres o 22.00.

O 20.30 obserwatorzy Mohra zameldowali, że Fuad podjechał pod dom DROGOWSKAZA nowiutkim bmw 335i coupe - zrealizowanym marzeniem całego życia. O tym, że właśnie ten samochód będzie wykorzystany, dowiedziano się za późno, żeby i w nim założyć podsłuch.

Wychodząc z domu, DROGOWSKAZ sprawiał wrażenie, że jest w dobrym humorze. Na odchodnym polecił żonie i reszcie rodziny — co wychwyciły mikrofony kierunkowe zainstalowane po drugiej stronie ulicy - by byli czujni i chwalili Boga. Prowadzący podsłuch twierdzili, że słyszeli w jego głosie "pewien szczególny ton". Jeden z nich upierał się, że to "niepokój", drugi, że figurant "jakby wyruszał w daleką podróż i nie wiedział, kiedy



wróci".

O 21.14 obserwator z helikoptera meldował o szczęśliwym dotarciu bmw na północno-zachodnie rogatki miasta, gdzie samochód zjechał na parking zapewne po to, by kierowca i pasażer mogli odbyć modły i zabić czas, jaki pozostał do umówionej godziny spotkania w banku. Albowiem DROGOWSKAZ nie stosował się do wszystkich arabskich zwyczajów - słynął mianowicie z obsesyjnej punktualności.

O 21.16 - a więc dwie minuty później - obserwatorzy dali znać, że limuzyna, którą koniecznie uparł się jechać do banku FELIX - i którą z przyjemnością załatwił mu Arni Mohr - zabrała samego FELIKSA i Annabel sprzed domu na nabrzeżu.

Ich planowe przybycie do banku potwierdził już z wewnątrz kordonu Mohr, i to osobiście. Zrobił to całkowicie niepotrzeb-

351

nie, Bachmann bowiem oglądał to sobie na jednym z monitorów Maximiliana, lecz taki już był Arni Mohr. O 21.29 Bachmann dowiedział się z Berlina od samego Axelroda, że Ian Lantern nudził i nudził, tak że w końcu pozwolono również jemu znaleźć się wewnątrz zamkniętego obszaru i parkuje" właśnie w ślepej uliczce z widokiem na bank, a na przednim siedzeniu peugeota siedzi obok niego "jeden niezidentyfikowany pasażer".

Bachmann był wstrząśnięty, ale ponieważ operacja się dla niego zaczęła, wiedział dobrze, że nie może sobie pozwolić na wrzaski oburzenia. Wolał spokojnie i powoli zapytać Axelroda po zaszyfrowanej linii, kto konkretnie wyraził zgodę na zaproszenie Lanterna do zabawy.

- On ma takie samo prawo na niej być jak ty, Gunther - zauważył Axelrod.

- No, z tego co widzę, chyba nawet większe.

— Ty boisz się o tę swoją dziewczynę, on o swojego bankiera.

Ale to wyjaśnienie bynajmniej Bachmanna nie zadowoliło.

Zgoda - Lantern prowadził Tommy'ego Brue. Czy to jednak oznaczało, że jeżeli Brue zapomni kwestii, Lantern ma lecieć mu pomóc? I trzymać go za rączkę dla uspokojenia? Z tego co wiedział Bachmann, Lanternowi zostało tak naprawdę podbiec do swojego agenta, kiedy już będzie po wszystkim, otrzeć mu czołko z potu, wypytać o wszystko i powiedzieć, że świetnie się sprawił. A do tego nie musiał czekać jak ojciec na porodówce niecałe sto metrów od celu. I co to za jakiś pasażer, do jasnej cholery? Kobieta?... Mężczyzna?... Skąd i po co?

Axelrod wszakże odłożył słuchawkę, a Maximilian już szarpał Bachmanna za rękaw. Bo emerytowany inżynier Fuad właśnie przywiózł DROGOWSKAZA pod bank Brue Freres.

**15**

W gabinecie Tommy'ego Brue na pierwszym piętrze banku wreszcie przydały się wszystkie poczynione przez niego przygotowania. Tym razem uparł się, by na fotelu po dziadku zasiadła "nasza szanowna tłumaczka", bo teraz tak określał jej zadanie, i w ten sposób udało mu się sprawić, że zajęła miejsce w samym środku wydarzeń. Siedziała dokładnie tak, jak sobie wyobraził - wyprostowana jak struna na samym środku rzuconych

na fotel poduszek. Siedzący po jej lewej ręce Issa i doktor Abdullah po prawej wraz z nią znajdowali się naprzeciw Brue, który pozostał po własnej stronie biurka. Sądząc po wyrazie twarzy, Issa znów się zmienił, stał się na nowo niepewny, nieśmiały i nieco zagubiony, gdy zorientował się, że nie zna żadnego języka, którym mógłby porozumieć się bezpośrednio ze swym nowo pozyskanym przewodnikiem duchowym. Doktor Abdullah pozdrowił go najpierw po arabsku, potem szybko po francusku, angielsku i niemiecku. Dla Issy zdobył się nawet na kilka zdań po czeczeńsku; Issa, który na chwilę się rozpromienił, wkrótce ze wstydem spuścił wzrok, ponieważ jego zasób czeczeńskich słów szybko się wyczerpał.

Brue miał wrażenie, że i doktor Abdullah zmienił się od wczoraj nie do poznania. Sam będąc zdenerwowany, Brue nie

353

spodziewał się, że jeszcze większe zdenerwowanie widać będzie po Abdullahu. Kiedy uczony zbliżał się ostrożnie do Issy, unosząc ręce do arabskiego powitania, sprawiał wrażenie, jakby do ostatniej chwili nie był pewien, czy powinien go przywitać. A jego słowa - gdy już okazało się, że rozmowę najlepiej będzie prowadzić po niemiecku z rosyjskim tłumaczeniem Annabel

- zdradzały ostrożny szacunek, ale też wiele wątpliwości.

— Mój przyjaciel pan Brue słusznie odmówił podania pańskiego nazwiska. To jego prawo i pańskie. Dla mnie jest pan panem X i nie muszę wiedzieć, skąd pan przybywa. Ale tak na prawdę nie ma potrzeby, byśmy mieli przed sobą jakiegokolwiek

tajemnice. Ja mam swoje źródła informacji, pan ma swoje, inaczej nie posyłałby pan do mnie swego angielskiego bankiera, żeby mnie wybadał. A wszystko, co o mnie słyszałeś, to prawda, bracie Isso. Ja jestem przede wszystkim i poza wszystkim czło- wiekiem pokoju. Co nie oznacza, że nie biorę udziału w naszej wielkiej walce. Nie popieram przemocy, ale szanuję tych, co po- wracają z bitewnych pól. Oni przelewają swą krew, ja też kie- dyś przelewałem własną. Ich torturowano za Proroka i Allaha, byli bici i więzieni, jak kiedyś ja, lecz nie udało się ich złamać. To nie oni wywołali przemoc. Oni są jej ofiarami.

Czekając na odpowiedź, spojrział na Issę i patrzył na niego ze współczuciem - choć także z ciekawością, jaki skutek odniosą jego słowa. Issa wysłuchał tłumaczenia Annabel i tylko skłonił głowę.

— W takim razie muszę panu ufać - ciągnął Abdullah.  
- Taki jest mój obowiązek przed Bogiem. Jeśli sam Bóg chce obdarzyć nas tak wielkimi darami, kimże jestem ja, jego pokor- ny sługa, by odmówić ich przyjęcia?

Po tych słowach i dokładnie tak, jak Brue zapamiętał z poprzedniego dnia, głos Abdullaha stwardniał:

—A więc bądź tak dobry, bracie, i oświeć mnie, jakim zrzą- dzeniem Allaha i dzięki czyjej roztropności znajdujesz się w tym kraju na wolności? Jak to możliwe, że możemy siedzieć tu ra-

354

zem, rozmawiać i się dotykać, skoro z tego, czego dowiedziałem się z Internetu i skądinąd, połowa policjantów tego świata chciałaby zakuć cię

w kajdany?

Issa zwrócił się do Annabel, słuchając jej przekładu, a potem z powrotem do Abdullaha, podczas gdy ona dawała mu odpowiedź, którą jak podejrzewał Brue, przygotowali jej zawczasu prześladowcy:

- Mój klient jest w Niemczech w niebezpiecznym położeniu, panie doktorze - powiedziała po niemiecku, po czym dodała ciche streszczenie własnych słów po rosyjsku. - Zgodnie z niemieckim prawem nie może zostać odesłany do żadnego kraju, w którym praktykuje się tortury lub stosuje karę śmierci. Niestety prawo to jest często ignorowane przez władze niemieckie i w ogóle przez większość demokratycznych państw Zachodu. Mimo to zamierzamy wystąpić o azyl polityczny w Niemczech.

- Z a m i e r z a m y ? A jak długo przebywa w tym kraju pani szanowny klient?

- Chorował i dopiero teraz wraca do zdrowia.

- A w tej chwili?

- W tej chwili mój klient jest osobą poszukiwaną, bezpaństwową i znajdującą się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Lecz mimo to miłosierny Bóg sprawił, że wciąż jest między nami — nie ustępował nieprzekonany Abdullah.

-W t e j c h w i l i- powtórzyła twardo Annabel — i dopóki nie uzyskamy wiążących gwarancji władz niemieckich, że mój klient nie będzie w żadnym wypadku deportowany do Turcji lub Rosji, odmawia on wydania się w ich ręce.

- W takim razie czy wolno zapytać, czyim rękami powierzył swój los? - drażnił niestropiony doktor Abdullah, przerzu

cając wzrok z Annabel na Isse, potem na Brue i z powrotem.

- Czy to nie jakiś podstęp? Kim pani jest? Może to wszystko zostało ukartowane? - Tym razem spojrzenie utkwił na dłużej w Brue. - Bo jestem tu z woli Allaha. Ja nie mam wyboru. Ale

355

komu wy służycie? Zadaję te pytania prosto z serca: czy jesteście ludźmi dobrymi czy też pragniecie mojej zguby? Czy jesteście tu po to, by podstępnie oszukać mnie, wystrychnąć na dudka? Przepraszam, jeśli moje pytanie was obraża, ale żyjemy w strasznych czasach.

Brue, zdecydowany przyjść z pomocą Annabel, ciągle jeszcze zastanawiał się nad najlepszą odpowiedzią, lecz ona była szybsza i tym razem nie ograniczyła się do tłumaczenia.

— Panie doktorze... - zaczęła tonem, w którym nie było znać ani gniewu, ani niepewności.

- Słucham panią.
- Mój klient zjawił się dziś tutaj, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, by złożyć na pana ręce wielką sumę pieniędzy dla prowadzonych przez pana organizacji dobroczynnych. On chce tylko dać i pragnie, aby pan raczył od niego wziąć. Niczego w zamian nie chce...
- Bóg mu wynagrodzi....
- ...poza obietnicą sfinansowania jego studiów medycznych przez jedną z pańskich fundacji, które najpierw sam tak hojnie wyposaży. Jest pan gotów dać mu takie zapewnienie czy nadal chce pan kwestionować jego dobrą wolę?

- Z bożą pomocą znajdują się środki, by zapłacić za jego studia.
- Ponadto mój klient stanowczo się domaga, by zachował pan dla siebie wszelkie informacje o jego tożsamości, jego sytuacji tu, w Niemczech, i pochodzeniu środków, które zamierza złożyć w ofierze pańskim fundacjom. Takie są jego warunki. Jeżeli pan ich dotrzyma, to on tym bardziej.

Doktor Abdullah na powrót skierował wzrok na Issę — na jego zaszczute oczy, wynędzniałą twarz napiętą z bólu i niepewności, na długie kościste dłonie złożone teraz razem, na powy-cierany płaszcz, wełnianą myckę i kozią bródkę.

I gdy tak na niego patrzył, stopniowo łagodniał.

— Issa, mój synu...

356

- Panie...

- Jeśli się nie mylę, niewiele dotąd pobrałeś nauk naszej świętej wiary?
- Nie myli się pan! - Issa aż krzyknął, z niecierpliwości nie panując już nad własnym głosem.

Pełne blasku oczka Abdullaha patrzyły teraz na bransoletę, którą Issa przebierał nerwowo między palcami.

- Czy ta ozdoba, którą masz na ręce, Isso, to złoto?
- Najczystsze złoto, proszę pana. — Równocześnie popatrzył z obawą na Annabel, która tłumaczyła jego słowa.

— A czy przyczepiona do łańcuszka książeczka to wizerunek naszego świętego Koranu?

Issa skinął głową znacznie wcześniej, niż Annabel przetłumaczyła mu pytanie.

- A czy na jej stronicach wyryto imię Allaha i jego święte słowa?

Już tylko pod adresem Annabel, i to po dłuższej chwili, od kiedy przebrzmiał jej głos, Issa odpowiedział:

- Tak, proszę pana.
- A czy nie wiesz, Isso, że takie przedmioty, taki blichtr, to marne naśladownictwo chrześcijan i żydów, którzy noszą gwiazdę Dawida albo krzyż, ale które nam jest zakazane?

Twarz Issy pociemniała. Spuścił głowę i wpatrzył się w napięciu w trzymaną w dłoni bransoletę.

Annabel przyszła mu z pomocą.

— Ta bransoleta należała do jego matki - powiedziała, choć jej klient nie wyrzekł ani słowa. - Taka była tradycja jej ludu i plemienia.

Puściwszy jej uwagę mimo uszu, jakby jej w ogóle nie było, Abdullah nie przestawał roztrząsać o winie Issy.

- Załóż ją z powrotem na rękę, Isso - rzekł wreszcie. - I za kryj rękawem, bym nie musiał na nią patrzeć. — Poczekał na przekład Annabel, by jego polecenie zostało wykonane, i do piero wtedy powrócił do swego kazania. — Są na tym świecie

357

ludzie, Isso, których obchodzi tylko *dunja*. To słowo oznacza pieniądze i sprawy materialne w krótkim życiu, które pędzimy tu, na ziemi. Ale są też ludzie, których nie obchodzi *dunja*, tylko *achira*, czyli życie wieczne,



które pędzimy potem, życie uzależnione od naszych zasług i grzechów w oczach Boga. Nasze życie w czasie *dunji* to czas dany nam na siew. Gdy nadejdzie *achira*, dowiemy się, jaki wzejdzie plon. Powiedz mi teraz, Isso, czego więc wyrzekasz się i dla kogo?

Ledwo Annabel skończyła tłumaczyć, Issa zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Panie! Proszę!... Dla Boga wyrzekam się win mego ojca!

\* \* \*

Przycupnąwszy obok Maximiliana z pięściami zaciśniętymi na stole biegnącym pod zamocowanymi na burcie wozu monitorami, Bachmann widział każdy wyraz twarzy i każdy gest czterech uczestników spotkania. Issa niczym go nie zaskoczył - miał wrażenie, że zna go od chwili jego przybycia do Niemiec. Również pierwsze wrażenie na widok DROGOWSKAZA było dokładnie takie, jakiego się spodziewał, czyli takie, jakie sobie wyrobił, oglądając w kółko programy telewizyjne z jego udziałem i zdjęcia z gazet, którym towarzyszyły artykuły redakcyjne chwalone dowcip, umiarkowanie i tolerancyjność jednego z najważniejszych niemieckich muzułmanów: człowieka w poważnym wieku, śmiałego, błyskotliwego, charyzmatycznego, inteligentnego, rozdartego między starannie pielęgnowanym wizerunkiem odludka a zamiłowaniem do autoreklamy.

Ale główną postacią tego przedstawienia była dla niego Annabel. Tak zręcznie prowadziła rozmowę z Abdullahem, że zaniemógł z zachwytu - zresztą nie tylko on. Maximilian siedział sztywno, z dłońmi zatrzymanymi w pół gestu nad klawia-

tura; Niki patrzyła na ekran spomiędzy palców przyłożonych do twarzy dłoni.

- Chroni nas, panie Boże, od adwokatów - wykrztusił wreszcie Bachmann. Tamci zaśmiali się z ulgą. - Mówiłem już, że ma dziewczyna talent?

A już tylko do siebie dodał: Erna, żałuj, że nie widzisz, jak się teraz sprawuje twoja biedna dziewczyna.

\* \* \*

Tymczasem w gabinecie Brue panował nadal znacznie poważniejszy nastrój, chociaż dla Tommyego był on nie tyle pełen napięcia, ile raczej nudy. Doktor Abdullah odkrył takie braki w religijnej edukacji Issy, że postanowił od razu wygłosić mu wykład na temat muzułmańskiej jałmużny, biorąc za przykład działalność kierowanych przez siebie organizacji dobroczynnych i system ich finansowania. Brue rozparł się w swym dyrektorskim skórzanym fotelu, słuchał z miną, która miała nadzieję, świadczyła o żywym zainteresowaniu, i ani na chwilę nie przestawał podziwiać symultanicznego niemal przekładu Annabel.

*Zakat*, tłumaczył właśnie niezmordowany doktor Abdullah, to w muzułmańskim prawie nie forma podatku, lecz służby Bożej.

- To bardzo słuszne, proszę pana - wymamrotał Issa, wysłuchawszy przekładu Annabel. Brue też zrobił minę pobożnej aprobaty.

—*Zakat* to dobroczynne serce islamu - ciągnął konsekwentnie doktor Abdullah i znów urwał, by Annabel nadażyła z tłumaczeniem. - Bóg i

Prorok, niech będą błogosławieni, nakazali każdemu człowiekowi dzielić się częścią swego majątku.

- Ale ja rozdám wszystko! — zawołał Issa, znów zrywając się na nogi, nie wysłuchawszy Annabel do końca. — Co do kopiejki, proszę pana! Zobacz pan! Oddam sto procent. Wszystkim moim braciom i siostróm w Czeczenii!

359

- Ale też całej *ummie*, bo jesteśmy jedną wielką rodziną - cierpliwie przypomniał mu Abdullah.
- Proszę pana! Proszę! Moją rodziną są Czeczenii - krzyczał Issa, przerywając Annabel w połowie. — Czeczenia to moja matka!
- Skoro jednak teraz jesteśmy na Zachodzie, Isso — mówił stanowczo doktor Abdullah, jakby go nie słyszał - pozwól sobie powiedzieć, że obecnie wielu muzułmanów na Zachodzie nie rozdaje *zakatu* osobistym przyjaciołom czy krewnym, tylko woli to robić za pośrednictwem naszych licznych organizacji dobroczynnych, skąd ich jałmużna trafia do wszystkich potrzebujących w *ummie*. Z tego co słyszałem, takie było też twoje życzenie.

Znów przerwa na tłumaczenie Annabel. I następna, by Issa przetrawił to, co usłyszał - słuchał ze spuszczoną głową i zmarszczonymi brwiami — i dał znak, że się zgadza.

— I właśnie dlatego — ciągnął Abdullah, wreszcie dochodząc do sedna sprawy - przygotowałem listę organizacji dobroczynnych, które uważam za godne twojego daru. Z tego co wiem, Isso, widziałeś tę listę. I już na coś się zdecydowałeś.

Czy to prawda?

Tak, to prawda.

— Czy więc ta lista ci odpowiada? A może powinienem wyjaśnić dokładniej, czym zajmuje się każda z fundacji, które ci poleciłem?

To było już ponad siły Issy.

— Proszę pana!... - wybuchnął i po raz kolejny zerwał się z miejsca. - Panie doktorze!... Bracie!... Proszę dać mi tylko jedno zapewnienie! Że dajemy te pieniądze Bogu i Czeczeniu! Ja chcę usłyszeć tylko to! To pieniądze rabusiów, gwałcicieli i morderców. I na dodatek *riba*\ To *haram*\ To zyski z alkoholu, wieprzowiny i pornografii! To nie pieniądz boski, ale szatański!

Abdullah najpierw wysłuchał przekładu Annabel z niezmałym spokojem, pomagając jej trochę przy arabskich terminach, po czym odpowiedział równie spokojnie:

360

- Mój dobry bracie! Isso! Dajesz mi pieniądze, bym wypełniał wolę Boga Mądrze i słusznie postanowiłeś, a kiedy to uczynisz, będziesz mógł spokojnie studiować i czcić Boga skromnością i umiarem. Może i prawda, że pieniądze zostały skradzione, pomnożone w lichwie i w inne jeszcze przez Boga zakazane sposoby. Ale wkrótce należec będą tylko do Boga, On zaś okaże ci miłosierdzie w życiu przyszłym, bo nikt poza Bogiem nie może wiedzieć, kogo czym wynagrodzić, niebem czy też piekłem.

Brue uznał teraz, że wreszcie może się wtrącić.

- W takim razie - powiedział z zapalem, również wstając, by dotrzymać w tym towarzystwa Issie — czy mogę zaproponować, byśmy przenieśli się do kasy i tam dokończyli nasze sprawy? Oczywiście zakładając, że *Frau* Richter nie ma nic przeciwko temu.

*Frau* Richter przeciwko temu nic nie miała.

\* \* \*

- Idziemy? - zapytał Maximilian Bachmanna, gdy zobaczyli w trójkę, że Brue i DROGOWSKAZ kierują się w stronę drzwi, a w ślad za nimi podążają Issa i Annabel.

Miał na myśli: czy już czas, żeby pan wszedł do taksówki i żebym ja dał znak naszym ludziom w audi, by pojechali za wami?

Bachmann kciukiem wskazał na ekran z połączeniem z Berlinem.

- Ciągłe nie dali nam zielonego światła - wyjaśnił i zmusił się do złośliwego uśmiechu, który miał skwitować dziwne pomysły tych berlińskich urzędników.

Ciągłe nie dali. Nie dali ostatecznego, nieodwołalnego, niezaprzeczalnego, niezmiennego, zasranego zielonego światła. Nie dał go ani Burgdorf, ani Axelrod, ani nikt z całej tej rozdętej do granic rozsądku, strojonej w garnitury, napuszonej, kłótlivej, prawniczej bandy. Czy napraw-

361

dę jeszcze nic nie jest zdecydowane? Czy Komitet do tej pory szuka pod tymi swoimi luksusowymi stołkami byle pretekstu, żeby się nie zgodzić?

A może dalej dyskutują, czy pięć procent zła to wystarczający powód, by zrazić do siebie i tak już przeczulone na własnym punkcie umiarkowane elementy w społeczności muzułmańskiej? Chciał wyrzeshzcze tej bandzie: przecież ja daję wam jakies wyjs'cie z tej sytuacji! Zróbcie, co mówię, a nikt o niczym się nie dowie! A może mam sobie dać z tym wszystkim spokój, przelecieć się helikopterem do Berlina i wytłumaczyć wam wszystkim, co te pięć procent znaczy w prawdziwej rzeczywistości, od której tak starannie się odgradzacie: krew po kostki i sto procent ludzi rozrzuconych w pięcioprocentowych kawałkach po kilometrze kwadratowym miejskiego placu?

Ale najbardziej obawiał się tego, co bał się nawet w duchu ubrać w słowa: Marthy i jej podobnych. Marthy, która jest tylko obserwatorem i nikomu nie przeszkadza — tak jakby ona kiedykolwiek zgodziła się odgrywać taką rolę! Marthy, neokonserwatywnej współwyznawczyni Burgdorfa. Marthy, która wyśmiewa całą operację FELIX, jakby to była jakaś wesoła europejska zabawa urządzona przez bandę liberalnych niemieckich amatorów. Oczyma wyobraźni widział ją w Berlinie. Czy ten rzeźnik Newton wciąż jest u jej boku? Nie, przecież został w Hamburgu razem z tą popielatą blondynką. Wyobrażał sobie jednak Mar-thę siedzącą w centrum dowodzenia w Komitecie i tłumaczącą Burgdorfowi, jak ma postępować, jeżeli chce zostać szefem. I jak to Langley nie zapomina o swych przyjaciółach.

— Rzeczywiście jeszcze nie dali - potwierdził Maximilian. - Mamy czekać na rozkazy.

\* \* \*

Jest jego adwokatem i obchodzi ją tylko załatwienie sprawy. I wypełnienie otrzymanych od klienta instrukcji.

362

A te instrukcje, wymuszone na niej przez rozpaczliwą sytuację Issy i utrwalone przez Ernę Frey, są takie, że ma doprowadzić klienta do stołu rozmów, pozwolić mu przekazać pieniądze i w ten sposób zapewnić mu paszport i wolność.

Nie była sędziwą jak jej matka ani dyplomatycznym hipokrytą jak ojciec. Była adwokatem, Issa jej klientem, to zaś, czy ten spokojny muzułmański mędrzec ma rację czy nie, jest winny czy nie

- to już do jej kompetencji nie należało. Günther powiedział, że Issie włos nie spadnie z głowy. Uwierzyła. A przynajmniej to sobie powtarzała, gdy wraz z pozostałą trójką szła pięknymi marmurowymi schodami banku Brue. Brue kroczył pierwszy, za nim Abdullah
- czemu nagle tak niepewny? - a na końcu Issa i Annabel.

Issa wystawiał do tyłu rękę, by mogła się go trzymać, lecz tylko za rękaw, wyłącznie za rękaw. Nawet przez materiał jednak czuła jego ciepło. I zdawało się jej, że wyczuwa też bicie jego tętna, chociaż chyba było to raczej jej tętno, nie jego.

“Co takiego zrobił ten Abdullah?” po raz kolejny zapytała Ernę Frey przy obiedzie, licząc, że zbliżająca się operacja choć trochę rozwiąże jej język. “Jest drobną częścią wielkiego, bardzo zabałaganionego jachtu”, odpowiedziała enigmatycznie Erna, pasjonatka żeglarstwa. “Trochę jak jedna mała szekla. Jak się jej do czegoś nie przywiąże, zaraz się gubi. A wtedy drugiej też nigdzie nie można znaleźć”.

Patrząc ponad Issą, widziała białą myckę doktora Abdulla-ha, ryzykownie podskakującą sześć stopni niżej. Drobną część bardzo zabałaganionego jachtu.

Drzwi do pomieszczenia kasowego były szeroko otwarte. Nad komputerem stał Brue, ojciec Georginy. Czy umie się nim posługiwać? Jeżeli nie, pomogę mu.

\* \* \*

A w wozie dowodzenia Bachmann i jego dwuosobowa załoga pograżyli się w takim samym milczeniu, w jakim tkwiły tam-

363

te cztery osoby w kasie. Umieszczona na przeciwległej ścianie pomieszczenia kamera z szerokokątnym obiektywem dawała obraz główny, druga zbliżenie Brue, siedzącego przy klawiaturze i pracowicie wstukującego dwoma palcami numery banków i kont podane mu na kartce przez doktora Abdulla-ha, które z kolei widoczne były świetnie dzięki kamerze zainstalowanej w oprawce lampy u sufitu. Ta sama lista pojawiała się na osobnym obrazie, przekazywanym z berlińskiego Komitetu, w miarę jak Brue coraz wolniej wpisywał kolejne cyfry na klawiaturze. Organizacje, które nie znalazły się na pierwszej liście, przedstawionej wcześniej Issie do aprobaty, były od razu zaznaczone na czerwono.

- Cholera jasna, Michael - błagał Bachmann przez bezpośrednią linię Axelroda. - Kiedy, jak nie teraz?
- Nie wsiadaj do taksówki, Gunther.



- Kurwa, przecież go mamy! Na co oni czekają?
- Zostań na miejscu. Nie zbliżaj się do banku, dopóki osobiście ci nie powiem. To rozkaz.

Kto więc ma się zbliżyć? Arni Mohr? Lantern i jego niezidentyfikowany pasażer? Axelrod jednak znowu się rozłączył. Bachmann gapił się na monitory. Zobaczył, że Niki na niego patrzy, i odwrócił wzrok. Rozkaz, powiedział Axelrod. Tylko czyj? Axelroda?... Burgdorfa?... Burgdorfa, ale szepnięty mu w ucho przez Marthę? A może efekt konsensusu wypracowanego przez wewnętrznie skłócony Komitet, zamknięty we własnym świątku, do którego nigdy nie dochodził zapach jeszcze ciepłej krwi?

Jego wzrok szybko wrócił do Niki. Ustawiony na półce nad monitorami czarny, śmiesznie staroświecki telefon rozdzwonił się brzękliwym dźwiękiem. Rysy Niki ani drgnęły. Nie uniosła brwi pod adresem Bachmanna, do niczego go nie namawiała, nie uczestniczyła w jego wahaniu. Słuchała tylko dzwonka telefonu i czekała na znak. Bachmann skinął głową: odbierz. Przechyliła głowę, czekając, aby to powiedział.

- Odbierz — rzekł na głos.

364

Podniosła słuchawkę i odezwała się wesołym, lekko śpiewnym głosem, który rozległ się echem z głośników wozu. - Taksówki Hanza!

Dziękujemy za telefon. Jaki adres?

Znacznie bardziej zrelaksowanym niż przez cały wieczór głosem Brue powoli podyktował adres banku.

- Jeszcze numer telefonu poproszę...

Podał także numer.

- Chwileczkę, proszę się nie rozłączać! — zaśpiewała Niki i udając, że szuka najbliższej taksówki, przyłożyła dłoń do mikrofonu i znowu czekała na decyzję Bachmanna. Tym razem on zastanawiał się o jedną chwilę dłużej. Potem wstał, chwycił z wieszaka marynarską czapkę i naciągnął ją na głowę. Potem włożył kurtkę — najpierw jeden rękaw, potem drugi. I jeszcze ją obciągnął, żeby dobrze leżała na ramionach.

- Powiedz, że już jadę - rzucił.

Niki zdjęła dłoń z mikrofonu.

- Taksówka będzie za dziesięć minut — obiecała i odłożyła słuchawkę.

Od drzwi Bachmann rzucił ostatnie spojrzenie na monitory.

- Powiedźcie po prostu "już" - rzekł do obojga. I do Niki, i do Maximiliana. - Jeżeli dadzą zielone światło, wystarczy, że powiecie "już".
- A jak nie? - zapytała Niki za nich oboje.
- Co jak nie?
- Jak nie dadzą?... Jak nie dadzą zielonego światła?...
- Wtedy nic nie powiecie, no nie?

\* \* \*

Brue od dawna serdecznie nie znosił widoku tego pomieszczenia, zastawionego od ściany do ściany tymi wszystkimi cudami techniki, i to nie tylko z powodu własnej niekompetencji w ich obsłudze. Jedną z najsmutniejszych chwil w całym swoim życiu

przeżył wtedy, gdy wraz z pierwszą żoną, Sue, i małą Georgie stali w ogrodzie swojego domu w Wiedniu i patrzyli, jak płonie ognisko, które trawiło sławny indeks banku Brue Freres. Kolejna przegrana bitwa. Kolejna zniszczona przeszłość. Odtąd będziemy już jak wszyscy inni.

A doktor Abdullah pachnie pudrem dla niemowląt - zauważył to właśnie w chwili, gdy w pocie czoła wpisywał do komputera jeden z licznych rzędów cyfr. Wtedy, u doktora w domu, nie zwrócił na to uwagi. Może starszy pan na specjalne okazje nakłada podwójną warstwę pudru? Zastanawiał się, czy Annabel też poczuła - jak będzie po wszystkim, musi koniecznie ją zapytać.

Biała koszula i mycka Abdullaha świeciły jasno w blasku jarzeniówek, on sam zaś napierał na Brue i ocierał się o niego ramieniem, uprzejmie wskazując palcem to kod banku, to numer konta, to sumę, które pozostawały jeszcze do wpisania w elektroniczny formularz przelewu.

Gdyby miał być całkiem szczery, Brue wyznałby, że Abdullah trochę za bardzo jak na jego gust wkracza w jego przestrzeń; chodziło i o kontakt fizyczny, i o zapach pudru, i o panujący w pomieszczeniu zaduch. Oczywiście Brue czytał gdzieś, że Arabowie nie przejmują się takimi rzeczami, nawet więcej - całkiem niewinnie trzymają się za ręce, chodząc po ulicy albo siedząc w kawiarni, podczas gdy trudno znaleźć bardziej od nich zatwardziały hetero. Mimo wszystko bankier czułby się znacznie swobodniej, gdyby Abdullah trochę się odsunął, ponieważ przez to jego zmagania z klawiaturą szły jeszcze mozolniej.

Ismail... Dlaczego nagle zaczął myśleć o Ismailu? Może dlatego, że zawsze żałował, że Georgie nie miała brata. Ismail. Co za przystojniak!

Gdybym ja tak wyglądał w jego wieku, dopiero miałbym powodzenie! A może wyglądałem, ale nic mi to nie dało? Tak bywa. A Fatima... Gdzie to ona idzie? Do Bal-liol? Nie, do London School of Economics, no właśnie. Geor-

366

gie nigdy nie wzniosła się na takie wyżyny. Była bystra, w lot człowieka przejrzała. Georgie wszystko potrafiła dostrzec, lecz to nie był umysł, który dałoby się kształcić. Wiele rzeczy wiedziała jakby od urodzenia, uczyć się jednak jak inni - tego Georgie nie potrafiła.

Kolejna fala zapachu pudru niemowlęcego. Abdullah naparł na niego jeszcze mocniej. Na miłość boską, jak tak dalej pójdzie, zaraz siądzie mi na kolanach. He on ma tych maluchów? Troje?... Czwooro?... I jeszcze to całkiem małe w ogrodzie... To chyba musi być niesamowite tak się rozmnażać. Rozmnażać i chyba nawet się nad tym nie zastanawiać. Po prostu robić swoje, czynić wolę bożą.

Wskazujący palec Abdullaha przesunął się tymczasem o parę linijek w dół. Jakiś armator z Cypru. A to skąd się tu wzięło? Najpierw znana na całym świecie muzułmańska fundacja charytatywna z siedzibą w Rijadzie, a teraz jakaś szemrana firma transportu morskiego z Nikozji?... Trochę po to, by zwiększyć nieco fizyczny dystans między sobą a Abdullahem, a trochę dla upewnienia się, Brue obrócił się do Annabel.

- Na to też się zgadzacie? - zapytał po niemiecku. — Bo nie widzę przy tym znaczka. Mam tylko sumę. Pięćdziesiąt tysięcy. SEVEN FRIENDS NAVIGATION COMPANY, Nikozja.
- A, tak. Ta firma bardzo nam pomaga w niesieniu pomocy biedakom z

Jemenu - wyjaśnił Abdullah, nim Annabel zdążyła przekazać pytanie Issie. - Skoro pani klient chce nieść pomoc medyczną całej *ummie*, to jest właśnie najskuteczniejszy sposób.

Zdjawszy dłonie z klawiatury, Brue słuchał, jak Annabel przekłada na rosyjski:

- Doktor Abdullah mówi, że ludzie w Jemenie cierpią wielką biedę. Ta zaufana firma ma statki i duże doświadczenie w dostarczaniu im pomocy. Im też chcesz dać czy nie?

Issa chwilę medytował, raz kiwał głową, raz kręcił, raz wzruszał ramionami. W pewnej chwili go olśniło:

367

-Wwiezieniu wTurcji siedział ze mną jeden Jemeńczyk, co tak chorował, że aż umarł! Teraz to już się nie powtórzy. Niech pan da, panie Tommy, niech pan da!

Brue posłusznie wpisał dane armatora i w wyobraźni sam uleciał za nimi w eter: najpierw do banku pośredniczącego, przez który Freres musieli załatwiać wszelkie przelewy — w czasach przedkomputerowych wystarczyłoby samo nazwisko Brue — potem do Ankary, potem do jakiegoś zapchlonego turecko-cy-pryjskiego banku w Nikozji, który pewnie wygląda jak latryna i na którego progu wygrzewa się cała sfera bezpieczeństwa psów. Annabel trąciła go w ramię. Poza uściskiem dłoni na powitanie jeszcze nigdy go nie dotknęła.

- Ten ukośnik miał być w drugą stronę.
- Naprawdę? No rzeczywiście. Boże, ależ ze mnie baran! Dzięki. Zmienił ukośnik na właściwy. Zrobił swoje. Czternaście banków i

jedna nędzna firma armatorska. Teraz już tylko trzeba kliknąć na "Wyślij".

- Czyli jesteśmy gotowi, *Frau Richter*? — zapytał jowialnie, trzymając dłoń nad klawiaturą z wycelowanym palcem.

- Issa? - zapytała.

Issa w roztargnieniu skinął głową i na powrót pograżył się w medytacji.

- Panie doktorze, czy wszystko w porządku?

- Dziękuję, ja oczywiście jestem bardzo szczęśliwy.

Tylko czy całymi stoma procentami? pomyślał Brue.

Wciąż spoglądając na przycisk "Wyślij" na ekranie, zastanawiał się, czy ma uczynić jakiś gest i jaki powinien mieć w tej chwili wyraz twarzy.

Czy bankier może mieć zadowoloną minę w momencie, gdy pozbywa się dwunastu i pół miliona dolarów? Chyba nie.

Czy ma się cieszyć, że oddaje taką przysługę synowi i spadkobiercy wieloletniego klienta?

368

A może najbardziej cieszy go wybawienie Annabel z okropnych kłopotów, Issy zaś od nie wiadomo ilu lat więzienia albo i czegoś jeszcze gorszego?

Oczywiście to ostatnie, na wszelki wypadek jednak przybrał minę, z jaką zwykle prowadził posiedzenia zarządu, i z góry ciesząc się na czekającą go ulgę, kliknął myszką w przycisk "Wyślij" trochę mocniej, niż trzeba.

I w ten sposób pozbył się ostatniego lipizzanera. Żegnaj, Edwardzie Amadeusie, kawalerze Orderu Imperium Brytyjskiego. Żegnaj, Ianie

Lanternie, pływaj po morzach i oceanach, na wieki wieków, amen.

A jemu też zostało już tylko jedno zadanie.

- Panie doktorze, pozwoli pan, że zamówię panu taksówkę?

Oczywiście na koszt banku.

I nie czekając na odpowiedź pana doktora, wybrał numer, który właśnie na tę okazję podał mu Lantern.

\* \* \*

Bachmann przebył niewidzialny kordon Mohra, mijając samochody, które jakimś cudem znalazły się na rogach od dawna wyłączonych z ruchu ulic, dobrze zbudowanych przechodniów, którzy nie mieli nic do roboty poza udawaniem niewiniątek, monterów mało przekonująco majstrujących przy stacjach przekaźnikowych, i zaparkował taksówką na wzniesionym podejździe przed bankiem Brue Freres. Podniósł kołnierz kurtki i jak każdy taksówkarz oczekujący na klienta włączył sobie radio i gapił się bezmyślnie przez przednią boczną szybkę — i już znacznie mniej bezmyślnie na ekran nawigacji satelitarnej, dyskretnie mrugający u dołu deski rozdzielczej. Wizję miał, ale technicy Mohra w ostatniej chwili coś spaprali i pozbawili go fonii.

Kiedy znalazł się przed bankiem, jego dwaj obserwatorzy podsunęli się swym audi i zaparkowali nieco dalej od banku, już na ulicy. Mieli tam zostać na wypadek, gdyby z jakichś po-

369

wodów DROGOWSKAZ miał coś przeciwko porwaniu go i wywiezieniu w nieznanym kierunku. Bachmann nakładł im do głowy, że mają zostać w

samochodzie, dopóki sam ich nie wezwie. I żeby pod groźbą wiecznej klątwy nie wchodzili w drogę ludziom Mohra.

Teraz ukradkiem rozejrzał się po okolicznych domach i ku swemu przerażeniu wypatrzył dwie ciemne postacie na jednym z dachów. I jeszcze dwie u wylotu ślepej uliczki wiodącej nad brzeg Binnenalsteru. Na niemym ekranie nawigacji satelitarnej zobaczył, że Annabel i FELIX już czekają w holu, podczas gdy Brue prowadzi DROGOWSKAZA do toalety na parterze, po czym sam idzie na piętro, zapewne w podobnym celu - a może uznał, że musi się napić?

Na ekranie Annabel i FELIX stoją jakieś dwa metry od siebie i śmieją się trochę sztucznie. Bachmann nigdy jeszcze nie widział Annabel w chuście na głowie. Ani żeby się śmiała. FELIX rozkłada ręce, unosi je w górę i wykonuje kilka tanecznych kroków. Bachmann domyśla się, że to pewnie jakiś czeczeński taniec. Annabel w długiej spódnicy ostrożnie idzie w jego ślady. Ale taniec urywa się, zanim rozpoczął się na dobre.

Bachmann zamknął oczy, otworzył i wszystko było jak przed chwilą — wciąż czekał na ostatnie już zielone światło, choć według rozkazów Axelroda wcale jeszcze nie miał być tam, gdzie w tym momencie był, wiadomo jednak, że Gunther Bachmann to znany ryzykant i nigdy się nie zmieni. Zresztą kto najlepiej wie, co robić? Ten, kto jest najbliżej akcji - tak przecież brzmi Prawo Bachmanna. Tylko czemu, ach, czemu nikt nie daje znaku, czemu, ach, czemu trzeba tyle czekać? Bo przecież jeżeli Berlin nie nawalił - czego wykluczyć w końcu nie można - to Abdullah jest skompromitowany na potęgę i cała operacja już właściwie zakończyła się tryumfem. I dlaczego orkiestra nie gra marsza, dlaczego nie dają mu tego upragnionego zielonego światła?... Zostało już tylko kilka minut!...



Dzwoni komórka. To Niki w zastępstwie Maximiliana:

370

- Jest rozkaz na piśmie. Właśnie przyszedł.
- Czytaj - mruknął Bachmann.
  - “Sprawa nieaktualna. Natychmiast opuścić teren, powrócić do kwatery”.
- Niki, kto to podpisał?
- Komitet. U góry jest twój znak, Komitetu na dole.
- Żadnych nazwisk?
- Żadnych — potwierdziła Niki.

A więc decyzja podjęta wspólnie, na zasadzie konsensusu, Komitet innych nie podejmuje. Niezależnie od tego, kto pociąga za sznurki.

- I piszą: “sprawa”? “Sprawa nieaktualna”, tak? A nie: “przerwać operację”? Tylko że “sprawa nieaktualna”?
- No właśnie. Sprawa. O operacji ani słowa.
- A O FELIKSIE?
- Nic.
- A O DROGOWSKAZIE?
- Też nic. Przeczytałam ci od początku do końca.

Spróbował dodzwonić się na komórkę Axelroda, ale włączyła się poczta głosowa. Potem na bezpośrednią linię do Komitetu - była zajęta. Na centralę - nikt nie podnosił słuchawki. A na ekranie przy jego kolanach Brue już wraca z góry. I teraz cała trójka stoi w holu i czeka, by DROGOWSKAZ wyszedł z toalety.

Sprawa n i e a k t u a l n a, powiedzieli.

Jak długo? Przez pięć minut czy na zawsze?

Czyli wykiwali Axelroda. Wykiwali go, lecz pozwolili, by wydał mi rozkaz, i dlatego on celowo napisał tak niejasno, żebym mógł go źle zrozumieć.

Nic o DROGOWSKAZIE, nic o FELIKSIE i nie operacja, tylko sprawa. Czyli Axelrod zostawia to do mojej decyzji. Jeżeli chcę działać, mogę działać, ale nie mów im potem, że ja ci kazałem, tylko że źle zrozumiałeś rozkaz. Nie, czyli tak.

Issa, Annabel i Brue wciąż czekają, żeby DROGOWSKAZ wyszedł z toalety. Razem z nimi czeka Bachmann.

371

Co on tam robi tak długo? Przygotowuje się na męczeńską śmierć? Bachmann przypomniał sobie wyraz twarzy tamtego, gdy szedł ku Issie, by objąć go ten pierwszy raz: obejmuję brata czy własną śmierć? Ten sam wyraz widywał nieraz w Bejrucie na twarzach szaleńców na chwilę przed tym, nim poszli się zabić.

Jest!... DROGOWSKAZ wreszcie wyszedł z toalety. Ma na sobie ten swój jasny trencz, ale nie nałożył białej mycki. Zostawił ją w szatni, a może włożył do teczki? A może chce nam w ten sposób coś powiedzieć? Czy chce nam powiedzieć to, co sobie myślał od samego początku: bierzcie mnie, świadomie dałem się zwabić w pułapkę, bo jak inaczej mam pogodzić się z Bogiem? Bierzcie mnie.

DROGOWSKAZ staje tymczasem przed Issą i patrzy w górę w jego twarz, i czci go swym spojrzeniem. Issa spogląda w dół i bardzo się dziwi,

DROGOWSKAZ wyciąga ręce i serdecznie ściska Isse, i klepie go po ramieniu. Synu mój... DROGOWSKAZ gładzi Issy twarz, chwytając jego dłonie w swoje, przyciska je czule do piersi, podczas gdy dwoje Europejczyków przygląda się temu z drugiej strony bariery kulturowej. Issa dopiero teraz dziękuje i oddaje cześć swemu duchowemu przewodnikowi. Annabel Richter tłumaczy. Dość długo trwa już to pożegnanie.

- Nic nowego, Niki?
- Wszystko zgasło. Nasze monitory, wszystko.

Jestem sam, jak zawsze. Kto decyduje? Ten, kto jest najbliższej akcji. Mam ich gdzieś.

Bo ekranik Bachmanna jakimś cudem jeszcze działa mimo wyłączonej fonii. Hol jest pusty. Cała czwórka zniknęła. Taka to robota tych techników Mohra - obrazu sieni banku nie ma.

Otwierają się drzwi banku. Kamery i ekrany już się nie liczą, wreszcie jest kontakt wzrokowy. Przesadnie jaskrawy halogen nad wejściem oświetla schody i kolumny ganku. Pierwszy pojawia się DROGOWSKAZ. Idzie niepewnie. Ze strachu chyba zaraz narobi w gacie.

372

Issa też zauważył, co się z nim dzieje, więc idzie przy nim i jedną ręką podtrzymuje swego mistrza. I uśmiecha się.

Idąca za nimi Annabel też się uśmiecha. Wreszcie jest na świeżym powietrzu. I widzi gwiazdy. Nawet księżyc wzeszedł. Annabel idzie z tyłu razem z Brue, który też uśmiecha się jak cała reszta. Tylko Abdullah ma dość nieszczególną minę. I bardzo dobrze. Jeśli na początek mu powiem, że właśnie sprawdziły się jego najgorsze przeczucia, tym łatwiej zostaną

jego najlepszym i jedynym"przyjacielem w potrzebie.

Idzie w moim kierunku. Issa i Annabel zagadują go, jemu jakoś udaje się uśmiechnąć, lecz drży jak osika.

Bachmann powoli unosi nakrytą czapkę głowę ku zbliżającej się do jego taksówki grupce. Tę rolę ma bardzo dokładnie przestudiowaną: jestem niedospanym hamburskim taksówkarzem, jeszcze jeden kurs i zjeżdżam do domu.

Teraz z przodu idzie Brue. Angielski dżentelmen Brue wy-sforowuje się przed grupkę, by odjeżdżającemu gościowi otworzyć drzwi.

Bachmann w czapce i kurtce - dopiero piętnaście sekund temu wyłączył ekranik - opuszcza szybę i wita Brue właśnie tak mało uprzejmie jak każdy taksówkarz w środku nocy.

- Taksówka dla Brue Freres? - pyta wesoło Brue z jedną dłonią na klamce tylnych drzwi, pochylając się ku otwartemu oknu Bachmanna. -Fantastycznie! -Po czym odwraca się do DROGOWSKAZA z tą samą serdecznością: - Dokąd pan jedzie, panie doktorze, jeśli wolno zapytać? Bank nie ma nic przeciwko temu, żeby pojechał pan nawet do domu. Bardzo bym chciał, żeby wszystkie interesy dało się przeprowadzać w tak przyjemny sposób.

Abdullah nie zdążył odpowiedzieć — a jeśli zdążył, Bachmann nie usłyszał ani słowa. Na podjazd przed bankiem zaję-

373

chał bowiem z piskiem opon wysoki biały mikrobus. Zahamował z poślizgiem, uderzył w taksówkę Bachmanna, przesuwając ją w bok,

pokrywając boczne okno siatką pęknięć i wgniatając drzwi od strony kierowcy. Obsypany rozbitym szkłem i odrzucony na siedzenie pasażera Bachmann widział niczym w zwolnionym tempie, że Brue odskakuje na bok, a marynarka nadyma mu się, jakby wpadł w niej do wody. Podciągnął się do góry i zobaczył, że za mikrobusem wyrasta jak spod ziemi jeden mercedes z zaciemnionymi szybami, drugi zaś zajeżdża tyłem tak, że staje po drugiej stronie. Oszołomiony uderzeniem i oślepiającym światłem reflektorów zobaczył w nim kanciastą twarz i popielatoblond włosy kobiety siedzącej obok zamaskowanego kierowcy pierwszego z mercedesów — właśnie w chwili, gdy pojazd zahamował z piskiem opon za białym mikrobusem.

To wszystko najpierw się Annabel przyśniło i dopiero potem uświadomiła sobie, że jednak nie śni. Postąpiła jeszcze o krok i zorientowała się, że jest sama. Abdullah też stanął jak wryty, ze złączonymi czubkami butów na swych małych stopkach, i gapił się za jej plecy na ulicę. Gdyby nie był tym wielkim muzułmańskim uczonym, pewnie poszłaby za głosem instynktu i chwyciła go za ramię, bo zachwiał się tak, że przestraszyła się, czy nie dostał jakiegoś ataku i czy zaraz nie upadnie.

Nie upadł.

Zobaczyła z ulgą, że wyprostował się. A on patrzył na jezdnię z wyrazem przestraszonego zrozumienia i zgrozy na twarzy - jak człowiek, którego najgorsze obawy właśnie się spełniają. Zauważyła też, że jego chuda głowa skryła się w ramionach ze strachu, jakby mu się zdawało, że ktoś właśnie zadaje mu w nią cios od tyłu, choć nikogo za nim nie było.

Przeniosła wzrok z Abdullaha na Issę, chcąc napotkać jego wzrok i

podzielić się z nim własnym lękiem, ale jej się nie udało,

374

bo w tej samej chwili patrzyła tam, gdzie patrzyli już Issa i Ab-dullah, i wreszcie zobaczyła to co oni, mimo że widok ten nie od razu nappełnił ją przerażeniem tak jak Abdullaha.

A przecież podczas pracy w Azylu słyszała o ludziach, w stosunku do których stosowano środki przymusu bezpośredniego - z biciem włącznie - kiedy przychodziło do deportacji. No i jeszcze Magomed machający do niej przez okno startującego samolotu — to wspomnienie pozostanie w niej do końca życia.

Mimo to miała w takich sprawach ograniczone doświadczenie i właśnie dlatego jej umysł nie dość szybko pogodził się z niewyobrażalnym, chociaż całkowicie konkretnym faktem: że podjazd przed bankiem nie tylko stał się miejscem skomplikowanego wypadku samochodowego, w którym brała udział zaparkowana tam kremowa taksówka i dwa nieznanome mercedesy o zaciemnionych szybach, ale że oczywisty sprawca wypadku, biały mikrobus, stoi teraz bokiem do niej i ma szeroko otwarte drzwi, z których niespiesznie wysiada czterech... nie, pięciu mężczyzn w kominiarkach, czarnych dresach i sportowych butach.

I właśnie przez to, że wykazała się taką tępotą, zadanie nie sprawia im najmniejszych trudności. Stojącego tuż obok niej Abdullaha porwali z taką łatwością, z jaką wyrwaliby jej torebkę; za to Issa, lepiej od swego guru obeznany z przemocą, trzymał się go ze wszystkich sił, oplatając swymi pajęczymi ramionami i ciągnąc wraz sobą ku ziemi, by jeszcze skuteczniej go chronić.

Cała ta scena nie trwała długo, bo zamaskowani ludzie utworzyli wokół tej pary ciasny krąg — zupełnie jak to, co na lekcjach łaciny w szkole nazywa się *testudo* - zaciągnęli, a raczej zanieśli obu do mikrobusu, wrzucili do środka, wskoczyli za nimi, po czym zatrzasnęli za sobą drzwi. Pewnie po to, żeby mieć święty spokój.

Zobaczyła, że podbiega do niej Brue, usłyszała, że na całe gardło wrzeszczy po angielsku za ludźmi w kominiarkach, więc

375

trochę się zdziwiła, że po angielsku. Potem uświadomiła sobie, że podczas swej krótkiej akcji zamaskowani mężczyźni rzucali urywkowe przekleństwa właśnie po angielsku, tylko że w odróżnieniu od Brue z amerykańskim akcentem, i to chyba tłumaczyło, dlaczego Brue postanowił krzyczeć na nich po angielsku, choć oczywiście mógł sobie darować, bo tamci nie bardzo zwracali na niego uwagę.

I zapewne właśnie pojawienie się przy niej Tommyego Brue sprawiło, że zorientowała się w sytuacji i rzuciła pędem do odjeżdżającego mikrobusu, by zagrozić mu drogę. Zrobiłaby to, gdyby miała jakąkolwiek szansę przecisnąć się między jego pogiętą maską a jednym z mercedesów, który cofając się, uszkodził lekko biały lakier.

\* \* \*

Pokonawszy prawą ręką drzwi od strony pasażera, Bachmann biegł utykając wzdłuż mikrobusu i bębnił zdrową pięścią w białą burtę. Wskoczył z rozpędu na maskę pierwszego mercedesa i przesunął się po niej nogami naprzód ku całkowitej obojętności zasiadających na przednich

siedzeniach dwóch panów w kominiarkach. Mikrobus odjeżdżał, boczne drzwi już się zamykały, ale Bachmann zdążył dostrzec w środku stojących mężczyzn w kominiarkach i dresach, a u ich stóp dwa ciała leżące twarzą w dół z rozkrzyżowanymi rękami i nogami — jedno w długim czarnym płaszczu, drugie w jasnym burberry. Usłyszał krzyk, zorientował się, że to krzyczy Annabel, zobaczył, że dziewczyna wczepia się w klamkę bocznych drzwi, mikrobus ją wlecze, a ona krzyczy: "Otwierać, otwierać, otwierać". Krzyczy po angielsku.

Pojawił się przy niej drugi mercedes, ten z jednym zamaskowanym mężczyzną i popielatą blondynką o kanciastej twarzy, usiłując Annabel zepchnąć na bok, mikrobus przyśpieszył, lecz Annabel nie puszczała, krzycząc teraz: "Dranie, dranie", wciąż po angielsku. Potem znowu usłyszał jej krzyk: "Wyciągnę cię!"

376

- teraz po rosyjsku, zrozumiał więc, że zwraca się do Issy, a nie do jego porywaczy. "Wyciągnę cię, choćby..." Pewnie chciała zawołać: "Choćby to było ostatnie, co w życiu zrobię", ale wtedy już dosłownie zawisła w powietrzu, Brue bowiem chwycił ją wpół i zmusił, by puściła klamkę. Nawet wszakże gdy postawił ją na nogi, ręce wciąż wyciągała ku mikrobusowi, jakby jeszcze teraz usiłowała go zatrzymać.

Bachmann zszedł podjazdem do głównej ulicy, gdzie jego dwaj ludzie, znieruchomiali w swym audi, nadal czekali na jego wezwanie. Ruszył chodnikiem najszybciej, jak mógł w swym obecnym stanie, aż doszedł do ślepej uliczki, gdzie widział wcześniej samochód Arniego Mohra.

Samochodu już nie było, za to na chodniku pod latarnią stał właśnie Arni



Mohr i gawędził z Newtonem, dobrym kumplem z bejruckich czasów. Nieco z boku trzymał się niewysoki łań Lantern, jak zawsze uśmiechnięty, grzecznie czekając, aż poproszą go do towarzystwa, Bachmann uznał zatem, że to Newton był owym niezidentyfikowanym pasażerem w samochodzie Lanterna.

Na widok zbliżającego się Bachmanna Arni Mohr przybrał minę całkowitej obojętności i poczuł nagłą potrzebę odbycia rozmowy telefonicznej, która wymagała z kolei, by oddalił się na parę kroków. Za to Newton, z tą swoją świeżo zapuszczoną kocią bródką, ruszył naprzód, by wylewnie powitać starego towarzysza broni.

- No, proszę, Günther Bachmann, niech mnie diabli!

A skąd tyś tu się wziął? Myśleliśmy, że jesteś chłopaczkiem Mi kę^ Axelroda. Czyli brat Burgdorf jednak dał ci dobre miejsce przy samej scenie?

Ale gdy znalazł się bliżej Bachmanna i zobaczył jego przetrącone ramię, stan jego stroju oraz wściekły oskarżycielski wzrok, zrozumiał, że niewłaściwie ocenił sytuację. Zatrzymał się gwałtownie.

— Stary, przepraszam za taksówkę. Wybacz, te wieśniaki z Langley jeżdżą, że szkoda gadać!... Czekaj, zaraz zajmiemy się

377

twoją ręką. łań zawiezie cię do szpitala, łań, zawieziesz? Mówi, że zawiezie. No to jedźcie, ale już.

- Gdzieście go zabrali? - zapytał Bachmann.
- Abdullaha?... Czy to nie wszystko jedno? Z tego co wiem, pewnie do jakiejś zabitej dechami dziury na pustyni. Sprawiedliwości stało

się zadość, chłopie. Możemy spokojnie iść do domu.

Ostatnie słowa wypowiedział po angielsku, lecz Bachmann był tak roztrzęsiony, że nie potrafił ich zrozumieć.

— Zadość? - powtórzył tępo. - Zadość? O jakiej ty sprawiedliwości mówisz?

-O amerykańskiej, baranie. A niby o jakiej? O prawdziwej sprawiedliwości, takiej, kurwa, co strzela z biodra. A nie byle jakiej, takiej jak wasza, co wystarczy byle adwokat, żeby ją wypaczyć. Nie słyszałeś o przesyłkach specjalnych? Najwyższy czas, żeby szkopy też miały na to jakieś swoje określenie. A ty co, zaniemówiłeś?

Bachmann wciąż się nie odzywał, Newton mówił więc dalej:

- Kurwa, oko za oko, Günther. Sprawiedliwość, czyli zemsta, jasne? Abdullah zabijał Amerykanów. Dla nas to grzech śmiertelny. A ty co, chcesz się bawić w szpiega w białych rękawiczkach? To baw się razem z innymi europigmejami.
- Pytałem o Issę - powiedział Bachmann.
- Issa to powietrze, stary - odparł Newton, teraz już rozgniewany nie na żarty. - A zresztą, kurwa, czyja to kasa? Issa Kar-pow finansuje terroryzm i kropka. Issa Karpow wysyła kasę bardzo złym ludziom. Dopiero co im wysłał. A w ogóle to odpieprz się, Günther, dobra? - I jakby nie był do końca przekonany, że się wytłumaczył, dodał: - A ci czeczeńscy bandyci, z którymi trzymał?... Co?... Też mi powiesz, że to same niewiniątka?
- On jest niewinny.
- Nie pieprz. Issa Karpow jest winny na sto procent. A za parę tygodni, jak w ogóle tyle wytrzyma, sam się przyzna. A teraz zabieraj się stąd,

zanim ci nakopię.

378

Lantern, trzymający się w cieniu wysokiego Amerykanina, najwyraźniej go popierał.

Znad jeziora uniósł się rześki nocny wiatr, przynosząc od portu smród ropy. Annabel stała na środku podjazdu, patrząc na pustą ulicę za mikrobusem, którego dawno już nie było widać. Brue stał obok niej. Chusta opadła jej na ramiona. Bezwiednie z powrotem nasunęła ją na głowę i zawiązała pod szyją. Brue usłyszał kroki, odwrócił się i zobaczył, że kuśtyka w ich stronę kierowca rozbitej taksówki. Wtedy Annabel też się obróciła i rozpoznała w kierowcy Günthera Bachmanna, człowieka, który dotąd ustalał reguły gry, a teraz stał dziesięć metrów od niej i nie śmiał podejść bliżej. Popatrzyła na niego, potem pokręciła głową i dostała dreszczy. Brue zrobił wtedy to, co od dawna chciał zrobić, czyli objął ją ramieniem, chociaż nie sądził, by w ogóle zwróciła na to uwagę.

AUTOR PROSI, BY PODZIĘKOWANIA PRZYJĘLI

Yassin Musharbash z internetowego wydania "Spiegła" - za niestrudzone i niezmiernie szczegółowe wyszukiwanie informacji do tej książki; Clive Staffbrd Smith, Saadiya Chaudary i Ałe-xandra Zernova z brytyjskiej organizacji dobroczynnej Reprie-ve\* oraz Bernhard Docke z Bremy - za porady prawne; pisarz i dziennikarz Michael Jiirgs z Hamburga — za liczne przydatne kontakty i dokładną lekturę pierwszej wersji książki; Helmuth Landwehr, były bankowiec - za wprowadzenie mnie w metody stosowane przez swych nie tak jak on uczciwych kolegów po fachu; Annę

Harms i Annette Heise z hamburskiej organizacji dobroczynnej *Flucht - Punkt*\* — za to, że pozwoliły uczynić z Azylu Północ siostrzaną organizację swojej fundacji, zatrudniającą fikcyjnych pracowników i zajmującą się fikcyjnymi klientami; oraz pisarz i ekspert od spraw bliskowschodnich Said Aburish - za mądre podpowiedzi. I wreszcie Carla Hornstein, bo to ona, zupełnie przypadkowo, jak to bywa w życiu, wysłała mnie w tę podróż, służąc licznymi kontaktami i radami.

\**Reprieve* to organizacja prawników, którzy upominają się o sprawiedliwość i ratują życie wszędzie, od cel śmierci po zatokę Guantanamo.